

CHRISTIAN JACQ, egiptolog, dyrektor Instytutu Ramzesa w Paryżu, należy do najpopularniejszych pisarzy francuskich. Jego powieści historyczne o starożytnym Egipcie ukazują się w milionowych nakładach w blisko trzydziestu krajach świata. W latach 1996—1997 tylko we Francji sprzedano łącznie około trzech milionów egzemplarzy picciotomowej sagi o faraonie Ramzesie II. Oprócz niej, do najpopularniejszych książek pisarza należą: „Egipcjanin Champouion” (1987), „Królowa Słońce” (1988), „Na tropie Tutenchamona” (1992), trzytomowy cykl „Egipski sędzia” (1993—94), „Czarny faraon” (1997) oraz najnowszy czterotomowy cykl „Świetlisty kamień” (2000). Obok powieści, w dorobku Jacqa znajdują się też liczne opracowania historyczne i artykuły na temat przeszłości i zabytków Egiptu.

Powieści Christiana Jacga
w wydawnictwie Albatros

CZARNY FARAON
KRÓLOWA SŁOŃCE
OSTATNIA ŚWIĄTYNIA
NA TROPIE TUTENCHAMONA

W przygotowaniu

MISTRZ HIRAM I KRÓL SALOMON
EGIPOANIN CHAMPOLLION

CHRISTIAN

JACQ

Na tropie

Tu tENCHAMONA

Tobie, Wikingu, towarzyszu wszystkich dni, który wyruszyłeś na piękne szlaki Zachodu 3 listopada, kiedy powstały pierwsze strony tej książki. Tobie, który byłeś dobrocią, wiernością i chęcią pomocy, a któremu przypadła rola otwierania dróg tamtego świata, gdzie będziesz mnie wiódł niczym Anubis Tutenchamona.

ROZDZIAŁ 1

George Edward Stanhope Molyneux Herbert wicehrabia Porchester, przez nielicznych przyjaciół zwany „Porcheyem”, a przez zawistnych szanowany jako przyszły lord Carnarvon, walnął pięścią w twarz greckiego marynarza, który odmówił wykonania rozkazu. Na pokładzie jachtu *Afrodyta* był jedynym panem i nie dopuszczał, aby ktoś stawał mu na drodze, nawet jeśli gwałtowna wichura siała panikę wśród załogi.

Oszołomiony Grek podniósł się z ziemi.

—Pański kucharz jest przegrany... lepiej niech pan przejmie ster.

—Atak ślepej kiszki to nie wyrok śmierci. Powinieneś wiedzieć, przyjacielu, że Afrodyta jest boginią morza. Na czas operacji powierzam jej statek i załogę.

Wzgardziwszy niedowiarkiem, Porchey zszedł do swojej kajuty, gdzie ulokował chorego. Był bardzo przywiązany do tego brazylijskiego kucharza, którego zatrudnił podczas ostatniego rejsu dookoła świata.

Mężczyzna wiał się z bólu.

Na pokładzie większość marynarzy padła na kolana i wznosiła modły do Boga. Porchey nie znosił takich manifestacji, bo dowodziły braku kontroli nad sobą. Odkąd nauczył się żeglować po Morzu Śródziemnym w pobliżu willi, którą jego ojciec miał w Porto Fino na włoskiej Riwierze wicehrabia Porchester nigdy nie odwołał się do Wszechmogące-

go. Sam będzie żeglował albo sam się utopi, nie fatygując niebiańskich zgromadzeń, zajętych ważniejszymi zadaniami niż wspieranie żeglarza w niebezpieczeństwie.

Kucharzowi dał do wypicia pół butelki doskonałej whisky, po czym zasiadł do pianina i zagrał inwencję na dwa głosy Jana Sebastiana Bacha. Mieszanka alkoholu i pogodnej muzyki uspokoi pacjenta. Jeśli nie przeżyje, odejdzie w dobrym nastroju.

Przed śmiercią matka Porcheya wymogła na nim, aby zgodnie z wychowaniem, jakie otrzymał w zamku Highclere, nie oglądał i nie słuchał grubianstw ani podłości. Szykując się do rozcięcia brzucha Brazylijczyka, który musiał mieć na sumieniu jedną lub dwie zbrodnie, wicehrabia tłumaczył się przed cieniem swojej rodzicielki.

Chory z rozgorączkowanymi oczyma odważył się zadać pytanie.

— Czy pan... czy pan już kogoś operował?

— Z dziesięć razy, przyjacielu, i zawsze z powodzeniem. Odpręż się i wszystko pójdzie dobrze.

Porchey, wielki miłośnik lektury, mówiący angielskim z Trinity College z Cambridge, a także po niemiecku, francusku, grecku, łacinie, znał również kilka rzadkich idiomów z basenu Morza Śródziemnego, rzeczywiście przeczytał parę podręczników chirurgii i miał w pamięci operację wycięcia ślepej kiszki, która była koszmarem nawigatorów wyruszających w dalekie rejsy. Dlatego zaopatrzył się w godne zawodowca narzędzia chirurgiczne.

— Zamknij oczy i pomyśl o dobrym posiłku albo o ładnej kobiecie.

Kwaśny uśmiech rozszerzył wargi kucharza. Porchey skorzystal z tej chwili słabości i ogłuszył go uderzeniem młotka w kark. Kilka bójek w podejrzanych barach Zielonego Przylądka i Antyli pozwoliło mu udoskonalić tę technikę anestezji.

Operował pewnie, rozmyślając o epidemii odry, na którą omal nie umarł. Żeby obniżyć gorączkę, polewano go lodowatą wodą. W Eton traktowanie było niewiele lepsze. Od pierwszej chwili wicehrabia znienawidził pretensjonalnych profesorów, worki wypełnione zbędną wiedzą. Pracował

wedle własnych metod i w swoim rytmie, obojętny na stopnie i kary. Dlatego uznano go za leniwego, choć rozwinął ogromną zdolność koncentracji i całkowitą niezależność myśli. Zbierał znaczki, porcelanowe filiżanki, francuskie sztychy i żmije w słojach, doznawał głębokiej nudy, czytając klasyków, czy chodziło o nudziarza Demostenesa, czy ponuraka Senekę, czy nadętego Cyncerona. W Trinity College znalazł jednak pasjonujące zajęcie: odnawianie boazerii na własny koszt. Oburzony dyrektor poskarżył się jego ojcu na niemożliwą do zaakceptowania postawę członka starej arystokracji, strażniczki wartości i tradycji, które Porchey z zapalem deptał.

Młodemu arystokracie, doskonałemu sportowcowi, pozostało już tylko włóczyć się po świecie, odkrywać Afrykę Południową, Australię i Japonię, przemieszczać się z kontynentu na kontynent w poszukiwaniu ideału, który niestannie umykał. Gdy istnienie wydawało mu się nazbyt bezbarwne, zanurzał się w literaturę historyczną. Pociągał go antyk ze względu na monumentalny charakter, tak daleki od drobnomieszczańskiej mentalności, w którą popadła Europa.

Fascynował go Egipt. Czyż nie przerósł on człowieka, włączając go w to, co kolosalne, i budując świątynie na miarę wszechświata? A przecież Porchey unikał ziemi faraonów, jakby rzadka u niego pełna szacunku obawa przeszkadzała mu wkroczyć na nieznaną terytorium.

Wicehrabia z zadowoleniem przyjrzał się własnej robocie.

— Nieźle... wcale nieźle. Nie przysięgnę, czy się z tego wykaraska, ale podręcznik był w porządku. Zdecydowanie, nie ma jak dobra książka.

Zbliżała się pora kolacji. Wicehrabia przebrał się, wybierając białą marynarkę i szare flanelowe spodnie. Nie zapomniał też o kapitańskiej czapce i wyszedł na pokład, gdzie załoga nadal modliła się w burzy.

— Bóg jest dobry — stwierdził arystokrata. — *Afrodyta* pokonała tę małą przeszkodę i nikt nie wpadł do wody.

Kilku marynarzy podbiegło do niego.

— Spokojnie, panowie. Nasz kucharz jest już uwolniony od kłopotliwej ślepej kiszki, ale zapewne nie będzie w stanie

przygotować posiłku, sami więc musimy sobie radzić aż do następnego portu. Incydent ten nie powinien wam jednak przeszkodzić w powrocie na stanowiska.

Dziedzic Carnarvonów wyglądał dumnie przy sterze jachtu. Wysokie i szerokie czoło zwieńczone niemal rudą czupryną, rasowy nos, doskonale przycięte wąsy, wydatna broda — wszystko to nadawało jego twarzy wygląd zdobywcy wyruszającego ku nieskończoności.

Tylko sam Porchey wiedział, że to mylący obraz. Chętnie roztrwoniłby część dziedzictwa, byle nadać sens własnemu życiu. Inteligencja, kultura, majątek, możliwość robienia tego, na co się ma ochotę... Nie uwalniało go to od uczucia pustki i zbyteczności...

Grek zawył.

— Kucharz żyje! Widziałem go, otworzył oczy!

Wicehrabia wzruszył ramionami.

— Mam tylko jedno słowo, mój drogi. Czy nie obiecywałem, że go uratuję?

ROZDZIAŁ 2

Mężczyzna obserwował młodego Howarda Cartera już dobre pół godziny.

Elegancki, bystry, miał surową twarz i przenikliwe spojrzenie.

Korzystając z pięknego dnia, Howard ustawił sztalugi na łące, gdzie kobyła karmiła żrebaka. Wyjątkowo piękna jesień w Norfolkku dostarczała setek tematów do obrazów. Siedemnastoletni chłopak poszedł w ślady ojca i, podobnie jak on, zamierzał zostać malarzem zwierząt. Zamiast posłać syna do szkoły w mieście, ojciec nauczył go czytać, pisać, rysować i malować. Tematów dostarczały mu głównie konie i psy. Choć miał ośmioro rodzeństwa, czuł się jedyńkiem, jedynym dzieckiem zdolnym odebrać przesłanie artysty. To on miał przedłużyć ród i dowieść, że wyżyje ze swojej sztuki. Pracował więc z uporem, starając się udoskonalać najdrobniejsze szczegóły.

Urodzony w Londynie, w dzielnicy Kensington dziewięć-

tego maja 1874 roku, Howard Carter spędził dzieciństwo w Swaffham, małej wiosce, której pełną zieleni ciszę cenił sobie bardzo.

Poprzedniego wieczoru zdarzył się rodzaj cudu. Po raz pierwszy jeden z własnych obrazów niemal go zadowolił. Kx»ń o pełnym radości spojrzeniu podskakiwał i żył, choć oczywiście należało poprawić mu nogi i głowę. Ręka malarza stawała się jednak pewniejsza i nabierała sprawności.

Mężczyzna zerwał lilię, wpiął ją w butonierkę i przeszedł kilka kroków w stronę młodzieńca, który wstał i wbrew dobremu wychowaniu wpatrywał się w niego, nie spuszczać wzroku. Mężczyzna zbliżał się wolno przez trawy, nie lękając się, że popłami na zielono piękne ubranie arystokraty, aż przystanął przed akwarelą, którą oglądał, wyciągając szyję niczym drapieżny ptak.

— Ciekawe — stwierdził. — To ty jesteś Howard Carter?

Chłopak nienawidził manier ludzi bogatych. Ile pokłonów muszą wykonać, nim się odezwą! Wobec niższych urodzeniem wystarczało wydane pogardliwym tonem polecenie.

—Nie znam pana. Pan nie jest z tej wioski.

—Ponieważ aby nas przedstawić, nie ma tu nikogo prócz tej pięknej kłaczy, pochłoniętej innymi zadaniami, dowiedz się, że nazywam się Percy E. Newberry i że mamy

wspólną znajomą. Czy byłbyś tak uprzejmy i narysował mi kaczkę?

Podał mu kartkę papieru.

—Ale... dlaczego?

—Nasza wspólna przyjaciółka, lady Amherst, która mieszka w pobliskim zamku, opowiadała mi o tobie jako wybitnym malarzu. Kupiła trzy twoje płótna. Twoja kłacz jest raczej udana, ale kaczka to inna sprawa...

Rozgniewany Howard wziął kartkę papieru i w ciągu niespełna pięciu minut naszkicował pięknego ptaka o zielonej szyi.

— Lady Amherst nie myliła się. Czy zgodziłbyś się rysować i kolorować koty, psy, gęsi i wiele innych zwierząt?

Artysta był pełen podejrzliwości.

— Czyżby pan był kolekcjonerem?

—Profesorem egiptologii na uniwersytecie w Kairze, w Egipcie.

—To bardzo daleko, prawda?

—Bardzo. Londyn jest już dużo bliżej.

—Dlaczego Londyn?

—Bo w naszej pięknej stolicy mieści się British Museum. Chciałbym cię tam zabrać

Największe muzeum świata... Ojciec mu o nim opowiadał.

Może pewnego dnia wystawiony tam będzie któryś z jego własnych obrazów!

—Ja nie mam pieniędzy. Podróż, mieszkanie...

—To sprawa załatwiona. Czy zgodzisz się opuścić rodzinę i swoją wieś co najmniej na... trzy miesiące?

Po niebie śmigały jaskółki. Na skraju lasu jakiś zielony dzięcioł dziobał korę dębu. Opuścić Norfolk, rozstać się z rodzicami, przerwać dzieciństwo... Howard przewrócił sztalugi.

— Kiedy wyjeżdżamy?

Kilka miesięcy nieprzerwanej pracy przy odrysowywaniu hieroglifów, wśród których znajdowały się nie tylko zwierzęta, ale też ludzie, przedmioty, budowle, znaki, figury geometryczne i wiele innych elementów tego języka, który Egipcjanie uważali za święty. Pochylony nad stołem Howard Carter jak skryba uczył się go rysować, nim go zrozumiał. Kreślenie tych pełnych mocy słów zmieniło jego rękę i myśl. Skrupulatnie odtwarzał modele, których dostarczał mu profesor Newberry. Stopniowo nauczył się pisać tak, jak pisali starożytni.

Sam w biurze, odosobniony w swoim pokoiku, nie zaprzyjaźnił się z nikim. Onieśmiało go British Museum i ci sztywni dżentelmeni. Wolał towarzystwo hieroglifów.

Deszcz otulił Londyn lodowatym płaszczem. Wezwał go profesor Newberry; na jego biurku leżały rysunki Howarda Cartera.

—Twoja praca całkiem mnie zadowala. Czy chciałbyś zostać najmłodszym członkiem Egypt Exploration Fund?

—Jakie obowiązki nakłada to wyróżnienie?

Percy E. Newberry uśmiechnął się.

—Jeśli mam być szczery, Howardzie, jesteś najbardziej płochliwym i najbardziej niezależnym człowiekiem, jakiego

Stwórca postawił na mojej drodze.

—To wady?

—Zadecyduje o tym los. Jeśli idzie o prywatną fundację naukową, która powita cię z radością, jej powołaniem są studia nad sztuką starożytnego Egiptu i głębsze poznanie tej cywilizacji.

Chociaż Howard Carter postanowił nie ujawnić żadnego wzruszenia, ogarnął go zachwyt.

—To... to cudowne! Więc zostanę tutaj i będę nadal rysował hieroglify!

—Boję się, że nie.

Newberry wydał mu się nagle demonem, który opuścił piekło, by go torturować. W zasięgu ręki Howarda stał kałamarz. Profesor przejrzał jego zamiar.

—Żadnych nieprzemyślanych gestów, Howardzie. Sytuacja jest delikatna.

—Popełniłem jakiś błąd? Czemu mnie odsyłacie?

—Nie znasz sytuacji. To uniesienie mogło ci przysporzyć wielkich kłopotów.

—Rady potem. Najpierw prawda!

Percy E. Newberry, z rękami założonymi z tyłu, podszedł do okna swego gabinetu i patrzył na deszcz.

—Kaczka z hieroglifów to jadowite zwierzę, Howardzie. Jeśli kogoś uszczypnie, to na całe życie.

—Godzę się narysować tysiące kaczorów.

— Czy godzisz się także poświęcić wszystko tym ptakom?

Nie przeraziło go i to ostrzeżenie.

— Jak ma się szczęście spotkać prawdziwych przyjaciół, to się ich pilnuje.

Profesor Newberry odwrócił się do młodzieńca.

—A więc, panie Carter, jest pan archeologiem. Do załatwienia pozostaje już tylko jeden drobiazg.

—Jaki?

—Pańskie walizki. Jutro wyruszamy do Egiptu.

ROZDZIAŁ 3

Howard Carter nie obejrzał niczego w Aleksandrii. Profesor Newberry spieszył się na pociąg do Kairu. Już pierwsze kroki na egipskiej ziemi wyzwoliły młodzieńca od siedemnastu lat w Anglii i rodziny, która zniknęła we mgle zapomnienia. Zaczął żyć — samotny, ale nagle upojony tysiącleciami nieśmiertelnej cywilizacji.

Niosąc dwie cenne walizki profesora, wypełnione materiałami naukowymi, nie mógł smakować kolorów i zapachów Orientu.

Koleje, linie telegraficzne, służby pocztowe, brzęczący tłumny dworzec... Nie krył swego zdumienia.

— Ależ tak, Howardzie, Egipt się modernizuje. Niestety, uznał on właśnie arabski za oficjalny język administracji i wydał pozwolenie na wydawanie dziennika propagującego niepodległość. To szaleństwo! Bez nas ten kraj skazany byłby na ruinę i nędzę. Ta przeklęta gazeta otrzymała nazwę *al-Ahrdm*, czyli „Piramida"! Co za profanacja... Na szczęście

ekstremiści nie mają tu żadnej przyszłości. Skończą w więzieniu, słowo Newberry'ego!

Pozostawiając profesora jego prorocत्वom, Howard podziwiał krajobrazy Deltę, która stanowiła osobliwy mariaż wody i ziemi. Budowane na pagórkach wsie drzemały w słońcu. Kohorty białych ptaków przelatywały nad zielonymi równinami trzcin. Obładowane wielbłądy posuwały się majestatycznym krokiem po grzbietach grobli wznoszących się ponad polami zbóż. Z nosem przyklejonym do szyby wagonu Carter przeżywał olśnienie po olśnieniu.

— Zapominasz o szkicowaniu.

Zawstydzony wyciągnął blok i zaczął rysować.

— Praca, Howardzie! Liczy się tylko praca. Teraz jesteś uczonym, nawet jeśli jeszcze niczego nie wiesz. Ogranicz się do notowania i analizowania. Jeśli ulegniesz magii tego kraju, utracisz duszę.

Dziesięć ras, sto języków, tysiąc kolorów turbanów, zbity tłum Egipcjan, Syryjczyków, Armeńczyków, Persów, Tur-

ków, Beduinów, Żydów i Europejczyków, kobiety o twarzach zasłoniętych czarnymi woalami, obładowane lucerną lub glinianymi naczyniami osły, dachy zrujnowanych domów przysypane odpadkami, smród ekskrementów zmieszany z zapachami przypraw, błotnista ziemia, sklepiki otwarte w szczyrbie muru, dym piecyków ustawionych na świeżym powietrzu, gdzie smażono mięso i pieczono chleb, drapieżne kanie kradnące pożywienie z koszyków, które wieśniaczki nosiły na głowie, szalony, wspaniały, nieludzki sen. Takim objawił mu się Kair, matka świata.

Zamieszkali w środku miasta, w hotelu, który niczym się nie różnił od londyńskiego. Profesor zamówił na obiad zupę i owsiankę. Zmęczony i zachwycony Howard usnął, wsłuchując się w nieustające odgłosy wielkiego miasta.

O piątej rano Newberry potrząsał nim bezlitośnie.

—Wstawaj, Howardzie! Mamy spotkanie.

—Tak wcześniej?

—Urzędnik, któremu musimy się przypodobać, w poniedziałki pracuje od szóstej rano do jedenastej. Jeśli tego nie wykorzystamy, stracimy tydzień.

Otwierano pierwsze kawiarnie. Przechodnie na pustych jeszcze ulicach wydawali się zmarznięci. Silny wiatr, przeganiając chmury, pozwalał dojrzeć blade słońce, którego promienie kładły się na niezliczonych minaretach. Przed wielkim meczetem Mehemeta Ali zmieniano warty.

Percy E. Newberry ruszył ponurą uliczką zastawioną skrzynkami, resztkami drobiu i stertami śmieci. Na wpeł zawalone domy chyliły się jedne ku drugim tak bardzo, że ich muszaraby * niemal się dotykały, ułatwiając mieszkańcom wymianianie plotek i wyznań bez wychodzenia z domu. Przeszli szybkim krokiem przez nędzną dzielnicę, mijając handlarzy pomarańcz i trzciny cukrowej. Za sykomorą kryło się wejście do zrujnowanego pałacu, którego strzegło dwóch starych ludzi. Pozdrowili oni profesora, który zadowolony się skinięciem głowy i wkroczył na marmurowe, niegdyś zbyt-kowne schody.

* Mały balkonik zamknięty kratą.

Ubrany w długą czerwoną szatę Nubijczyk odprowadził ich aż do drzwi biura, których pilnował jego równie muskularny rodak.

— Jestem profesor Newberry. Proszę zawiadomić Jego Ekszelencję o moim przybyciu.

„Jego Ekszelencja”, mały wąsaty tyran o twarzy wstrząsanej tikami, zgodził się ich przyjąć. Jego jaskinia zawalona była stertami akt i administracyjnymi notatkami, a on królował wśród nich niczym pasza. Ze względu na ciasnotę pomieszczenia nie można było do niego wstawić krzesel. Stali więc naprzeciw urzędnika.

—Profesorze, cieszę się, że znów pana widzę. Czy mogę być w czymś użyteczny?

—Wasza Ekszelencja ma w ręku klucz mego bezpieczeństwa.

—Niech Allah ma pana w swej opiece. Kim jest ten młodzieniec?

—To Howard Carter, mój nowy asystent.

—Witam w Egipcie.

Howard skłonił się niezdarnie. Wymówienie słów „Wasza Ekszelencjo” było ponad jego siły. Czemu taki uczony jak Newberry traci czas na spotkanie z takim napuszonym typem?

—Czy pana rodzina cieszy się dobrym zdrowiem, Wasza Ekszelencjo?

—Doskonałym, profesorze. Ale widzę, że i pańskie jest doskonałe.

—Gorsze niż Waszej Ekszelencji.

—Pan mi pochlebia. Zamierza pan powrócić do Środkowego Egiptu?

—Jeśli tak się spodoba Waszej Ekszelencji.

—Spodoba się, profesorze, spodoba! Pozwolenia na pobyt leżą na samym szczycie tej sterty, po pana lewej stronie. Bardzo chciałbym je podpisać i panu wręczyć...

Percy E. Newberry przybladł.

—Są jakieś niepokoje w okolicy?

—Nie, nie, miejscowe plemiona są spokojne.

—Czyżby drogi były niepewne?

—Nie doszło do żadnego pożałowania godnego incydentu.

—Więc proszę mi wyjaśnić, Ekscelencjo.

—Koszta administracyjne... Ostatnio bardzo wzrosły. Niestety kwota, którą pan wpłacił z góry, nie odpowiada już

rzeczywistości.

Profesorowi chyba ulżyło.

—Czy Wasza Ekscelencja zechciałby określić wysokość lej podwyżki?

—Dwukrotna.

Percy E. Newberry wyciągnął z kieszeni marynarki plik funtów szterlingów i wręczył go Jego Ekscelencji, który rozpląnął się w podziękowaniach, potem otworzył skrytkę w murze i włożył tam pieniądze. Zamknąwszy drzwiczki, zgodził się podpisać pozwolenia.

Nubijczyk przyniósł kawę po turecku. Podczas degustacji wymieniono wiele banalnych opinii. Gdy wyszli, Howard zmanifestował swoją wściekłość.

—To przekupstwo!

—Ceremoniał, Howardzie.

—Ja nigdy nie ulegnę takiemu szantażowi.

—W Europie korupcja ukrywa się pod płaszczem polityki i sprawiedliwości. Tutaj jest instytucją. Każda rzecz ma

swoją cenę. Tyle że trzeba znać właściwą. Inaczej będziesz

uchodził za głupca i stracisz twarz, czyli wszystko.

Sarkastyczny śmiech wstrząsnął piersią profesora.

— Biorąc pod uwagę skarb, jaki ty odkryjesz, nie zapłaciłem drogo.

ROZDZIAŁ 4

— Skarb, mówisz? — zapytał z niedowierzaniem Porchey.

Brazylijski kucharz powtórzył swoje oświadczenie w bar-dzo niemiłej dla ucha mieszance portugalskiego i angielskiego.

—Ogromny skarb!

—Klejnoty?

—Pierścienie, naszyjniki, diamenty, szmaragdy... To piraci je ukryli.

Przyszły lord Carnarvon spojrział na mapę.

—Na jakiej wyspie?

—Lanzarote.

—To nie jest mi po drodze.

—Nie przepuść takiej okazji, panie.

Lanzarote... nazwa tej wyspy kanaryjskiej dziwnie pobrzmiewała w pamięci arystokraty. Skupił się na swojej studenckiej przeszłości i nagle rozjaśniło mu się w głowie. To tam, na jednym z krańców świata schronił się pewien zrujnowany szkocki arystokrata, którego pasjonowała astrologia, egzotyczne kobiety i białe wino.

Tysiąc kilometrów na południe od Europy i sto pięćdziesiąt od afrykańskiego wybrzeża starożytni umieszczali Pola Elizejskie, których mieszkańcy zażywali wiecznego słońca, a amatorzy cudowności lokalizowali tu także Atlantyde!

„Wyspy szczęśliwe” — tak nazywali Kanary marynarze dalekich rejsów. „Wyspa purpury”, mówiono o dziwnej surowości Lanzarote, olbrzymiego pola lawy upstrzonego wulkanami o rozdartych zboczach.

Afrodyta przybiła w Arrecife kosztem tysiąca trudności: silny deszcz, gwałtowny wiatr, niebezpieczne prądy i wąski tor wodny czyniły manewr bardzo trudnym. Porchey stał przy sterze i raz jeszcze uniknął katastrofy. Brazylijski kucharz uciekł w litanie, w której Najświętsza Panienka sąsiadowała z demonami wudu.

Ponura i nieprzyjazna Lanzarote niezbyt odpowiadała wyobrażeniom, jakie starannie wychowany Anglik mógł mieć o raju. Zrzuciwszy kotwicę, Porchey wynajął miejscową barcę, która dowiozła go do nędznego portu, gdzie gnił dwuniasztowy bryk piratów. Obrotna wieża czuwała nad nicością opustoszałego morza, a zardzewiałe armaty gotowe były wystrzelić bezużyteczne kule. W widma korsarzy.

—Gdzie jest ten skarb?

—W stolicy, Teguisse — odparł brazylijski kucharz.

Za zawrotną sumę Porchey wynajął wóz, którym powoził *mag*, miejscowy chłop w słomianym kapeluszu z szerokim rondem, równie rozmowny jak kawałek lawy.

Mieszkańcy wyspy nie wymyślili jeszcze dróg, więc wehi-

kuły, ciągnięte przez muły lub wielbłądy, posuwały się wolno po kamienistym szlaku wśród spustoszonego krajobrazu, ^dzie nie zdołało urosnąć żadne drzewo.

Arystokrata zauważył, że kucharz staje się coraz bardziej nerwowy.

—Niewdzięcznik z ciebie. Zoperowałem cię szczęśliwie, ;i ty chcesz mojej skóry.

—Ja?! Niby czemu...

—Boję się, że bardziej interesuje cię moja sakiewka niż nie wydane jeszcze studium o etruskich wazach.

—Wasza Wysokość... przypisujesz mi zamiary...

—Krótko mówiąc, twoi przyjaciele oczekują mnie za jakimś kaktusem, zdecydowani odebrać mi życie i gwinee.

Twarz Brazylijczyka zzieleniała.

—Dżentelmen zmusiłby cię do mówienia, zanimby cię /likwidował.

—Ty, milordzie, jesteś dżentelmenem!

—Czasami lubię podejrzanego towarzystwo.

Kucharz zeskokczył na ziemię i zaczął uciekać. *Mago* nie zwolnił, obojętny na klótnie cudzoziemców. Porchey nie mógł sam przygotowywać swoich posiłków, będzie więc musiał zatrudnić innego kuchcika, łudząc się, że nie pokryje on własnej niekompetencji nadmiarem przypraw.

Stolica, Teguisse, była nędzną miasteczką, zabudowaną białymi i niskimi domami i przytłoczoną tysiącletnim smem. To nie było miejsce, gdzie Porchey mógłby odkryć jakąś namiętność, która wypaliłaby jego nudę.

Na głównym placu, gdzie starzy wieśniacy drzemali pod wielkimi kapeluszami, królował dom gubernatora. Jakiś mężczyzna w białym ubraniu dyskutował z producentami o jakości lokalnego wina. Mimo tuszy i źle ostrzyżonej brody Porchey rozpoznał w nim kolegę.

—Cieszę się, że cię widzę, Abbott.

—Porchey! A więc przeżyłeś college?

—Jakoś.

—Przyjechałeś, by się tu osiedlić? Dziewczyny są trochę dzikie, ale białe wino doskonałe! Pędy rosną na lawiedają

niezwykły smak! Spróbuj.

Płyn był jasnożółty.

—Przyzwoite — docenił Porchey. — Nie wytrzymuje porównania z wielkim burgundem, ale może pocieszyć w rozpaczliwej sytuacji.

—Nadal jesteś bardzo wymagający... Oczywiście jesteś moim gościem!

Wieczór był przyjemny. Abbott podał pieczoną wołowinę i placek z ryżu.

—Nie jestem nieszczęśliwy. Tu nic się nie dzieje, a ja łagodnie przemijam!

—Masz szczęście, Abbott.

—Znam siebie. Do niczego się nie nadaję i rozwijam tę swoją zaletę. Ty to co innego... Pamiętasz, że kiedyś wyliczyłem układ planet w chwili twoich narodzin.

Abbott wrócił po chwili z plikiem tablic astrologicznych.

—Słońce i Merkury w znaku Raka, Jupiter w znaku Wodnika... przeszłość i przyszłość, tradycja i odkrycie. Jesz-

cze nas zadziwisz, Porchey.

—Oby niebo cię wysłuchało!

Lekko oszołomiony białym winem z Malvoisie, przyszedł lord Carnarvon nie mógł zasnąć. Kiedy jego łóżko się poruszyło, pojął, że nadużył tego doskonałego napoju. Kiedy zaś mury pokoju zadrżały, najpierw zwątpił w umiejętności architekta, a potem wyszedł na balkon.

Księżyc w pełni rozsuwał srebrzysty blask. Z wulkanu w dali dobywał się pióropusz dymu.

Abbott zjawił się na balkonie po lewej.

— Erupcja — oznajmił.

Ziemia nadal drżała. Czerwona światłość wytrysnęła z płonącej góry. Niebawem lava spłynie po pochyłości.

— Wspaniałe - ocenił Abbott. — Cóż jest bardziej podniecającego niż życie u wrót piekieł?

-Tylko przekroczenie tych wrót— odparł Porchey.

ROZDZIAŁ 5

Swoją pierwszą prawdziwą noc egipską Howard Carter przeżył w Beni Hasan. W tej zapomnianej miejscowości w Środkowym Egipcie obecne były jeszcze dusze szlachet-

nych Egipcjan Średniego Państwa, których groby wydrążono na szczycie wznoszącego się nad Nilem skalistego brzegu. W dole był cmentarz muzułmański i ogródki nad rzeką. Na 11 awiastych wysepkach igrały czaple. Powietrze było przezroczyste. Zachód słońca zastał go, gdy kopiował hieroglificzne napisy.

Siedząc na urwisku, wpatrywał się w czerwieniejącą kulę słońca, która szybko chowała się za horyzont. Złoto, purpura i fiolet walczyły ze sobą o zwycięstwo, zanim uległy bezcielesnemu blaskowi gwiazd.

Spokój innego świata ukoił jego serce. Nie było już mgły, chlapy, nawierzchni lśniących w deszczu, smogu ani smutnych pochodów pełnych powagi mężczyzn, którzy spieszyli się zarobić na życie, aby je zmarnować, lecz światło, boska r/eka i zastęły czas.

Odnalazł swoją ziemię. Był panem własnego losu.

—Czy pamiętasz, Howardzie, wyrzuty, jakie robił swoim żołnierzom „Pescennius Niger: „Macie wodę Nilu, a żądacie wina!". Nawet jeśli nie spodobała się rzymskim wojownikom, proponuję, abyś spróbował tego doskonałego napoju.

—Dziękuję, profesorze!

Percy E. Newberry z niepokojem przyglądał się swemu współpracownikowi.

—Masz dziwną minę. Czy coś cię boli?

—Przysłowie mówi: „Kto pił wodę z Nilu, będzie ją pić". Nie pragnę niczego więcej.

Profesor napełnił kieliszki. Na terenie wykopalisk w Beni Hasan był wolny dzień, a więc sposobność upiększenia codzienności. Warunki życia były trudne, ale sypianie na terenie poszukiwań dawało i korzyści: można było przystąpić do pracy zaraz po wschodzie słońca i rysować, nie troszcząc się o nic poza doskonałością. Egipskie rysunki, na pozór takie proste, świadczyły o niezwykłym mistrzostwie, ale Howard Carter nie zamierzał się poddać, nie wyczerpawszy wszystkich swoich możliwości.

— Za dużo pracujesz, Howardzie.

—Profesorze, czy jest coś ważniejszego niż praca?

—Nie traktuj mnie jak głupca. Kończysz jeden dzień pracy i zaczynasz drugi, a niezadowolony z rysowania czy malowania, spędzasz nocę na czytaniu.

—Pasjonuje mnie historia starożytnego Egiptu. Czy to zbrodnia? Mam dobrą pamięć, i to za pana sprawą ukąsiła mnie kaczka z hieroglifów.

—Kto mógłby cię skłonić do rozsądku?

Howard odchylił płat namiotu, w którym jedli śniadanie.

—Ten krajobraz przygląda się nam bardziej niż my jemu. On wchłania mnie z każdą minutą głębiej, żywi, pozwala uświadomić sobie, że śmierć to owoc wieczności.

Te groby żyją, profesorze. Wielbię tych przedstawionych na murach uśmiechniętych zmarłych. Ich oczy nie zamykają się nigdy.

—Bądź ostrożny, Howardzie. Zmieniasz się w starego Egipcjanina. Odrzucenie narodowości brytyjskiej to czyn haniebnny.

Ktoś podążył ścieżką, strącając butami kamienie. Zaniepokojony Newberry wyszedł z namiotu.

— Odważył się — szepnął — on się odważył...

Mężczyzna równym krokiem brnął pod górę. Twarz przysłaniała mu gęsta biała broda, mógł mieć pięćdziesiąt albo sto lat. Suchy, niemal chorobliwie wychudzony i ogorzały, posuwał się jak po zdobytym już terenie.

— Ucieszyłeś się na mój widok, Percy?

Profesor odpowiedział lodowato.

—Któż nie byłby szczęśliwy, mogąc przyjąć sir Williama Flindersa Petrie, największego z egiptologów?

—Przynajmniej raz się nie mylisz. Ten **młody** człowiek o dzikiej twarzy to Howard Carter?

Petrie oglądał go niczym zwierzę przeznaczone na rzeź.

— To mój asystent.

— Już nim nie jest. Od tej chwili jest na mojej służbie.

Howard zacisnął pięści.

— Nie jestem towarem. Pan może jest Petrie, ale ja jestem wolny człowiek, a moim przełożonym jest profesor Newberry.

Sir William przysiadł na kamiennym bloku, twarzą do Nilu i sielskiej wsi Beni Hasan.

—Wolność to współczesne złudzenie, mój chłopcze. Na tym świecie jest tylko jedna rzeczywistość: są ci, co kierują,

i ci, co słuchają. Dziś ja należę do pierwszej kategorii, a ty

do drugiej. Zamierzam nauczyć cię zawodu. Tu nie musisz

się już trudzić.

—A jeśli odeślę pana do diabła?

—Nie będziesz pierwszy. Petrie jest niezniszczalny. Jeśli odmówisz, nasz przyjaciel Newberry będzie musiał wrócić do Anglii z twymi pięknymi rysunkami i tobą na dodatek.

Profesor był wściekły, lecz nie odważył się protestować.

—To obrzydliwy szantaż.

—Czeka mnie ogromna praca i potrzebuję pełnych entuzjazmu i kompetentnych współpracowników. Nie łudź się,

że będziesz miał czas do namysłu. Zaraz wracam na statek.

Albo idziesz ze mną, albo rezygnujesz z Egiptu.

Petrie zaczął schodzić po zboczu ze zręcznością kozy.

Niebawem znikł.

Newberry położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

—Nie masz wyboru, Howardzie. Idź za nim.

—Ale przecież pan...

—Petrie jest lepszy. Dzięki niemu zostaniesz prawdziwym archeologiem.

Anglik nigdy nie płacze, więc aby ukryć łzy, Howard Carter porwał blok rysunkowy i pudło do akwarel, swój jedyny bagaż, i ruszył w dół na złamanie karku.

ROZDZIAŁ 6

Na krótko przed zachodem niebo przybrało kolor sepii. Zasnęły je olbrzymie żółte chmury, tworząc groźną kopułę.

— Wchodźmy szybko do środka i zatkajmy wszystkie otwory — rozkazał Petrie.

Wiatr był szybszy od archeologów. Wiał tak gwałtownie, jakby zbliżał się koniec świata, a towarzyszył mu deszcz

piasku, który wciskał się w najmniejsze szpary. Choć byli już bezpieczni, paliły ich oczy. Sir William zmusił Cartera, by schował głowę pod kołdrę i leżał bez ruchu. Kabina starej łodzi była tak nieuszczelna, że piasek osadzał się na łózkach, meblach i naczyniach.

Po dziesięciu godzinach szaleństwa chamsin ucichł, pozostawiając warstwę białawego pyłu na domach wsi, obok której zacumował Petrie.

Nazajutrz wiatr znad pustyni uruchomił wiry, które zasłoniły słońce i nie pozwoliły im wyjść na zewnątrz.

—Jak długo trwać będzie ten kataklizm?

—Trzy dni, trzy tygodnie albo trzy miesiące, drogi Howardzie. Korzystajmy z tego, by sprawdzić twoją wiedzę.

Sir William poddał go egiptologicznemu egzaminowi, który ujawnił jego braki.

—Być do tego stopnia ignorantem, mój chłopcze, to zakrawa na farsę.

—Nie miałem szczęścia uczyć się na uniwersytet.

—Gwiżdżę na to. Twoją szansą jest to, że jesteś tu, w Egipcie. Ponieważ nic nie wiesz, niczego nie nauczyłeś się koślawo.

Odsłonił mu zasady gramatyki, kazał tłumaczyć proste zdania i wkuć listę słówek. Potem pokazał swoje raporty z badań archeologicznych.

—Egiptolodzy to albo motyle, albo krety, Howardzie. Albo latają z miejsca na miejsce, nic nie widząc, albo są tak zaślepieni, że spędzają dziesięć lat nad jedną skorupą. Ja teraz porządkuję ten bałagan zgromadzony przez stulecia.

Carter poczuł nagle olbrzymi szacunek dla sir Williama, jego niezwykłej wrażliwości wobec zabytków, jego chęci przekazywania swojej wiedzy. Ich charaktery nigdy się nie dopasują, ale wspólna miłość do Egiptu wspomagała dialog, który trwał aż do owego wiosennego dnia, kiedy mistrz odkrył uczniowi Tell el Amarna.

Na tej pustynnej równinie między Nilem a skałami wzniesiono miasto słońca, efemeryczną stolicę heretyka Echnatona. Petrie go nie lubił i uważał za dekadenta.

To rozpaczliwe pustkowie wzruszyło Howarda. Nagle

wyobrazil sobie wielką świątynię bez dachu, biały pałac o ścianach zdobionych freskami, baseny świeżej wody, wolierę pełną egzotycznych ptaków, ujrzał króla i jego małżonkę Nefertiti w srebrzystym rydwanie, okłaskiwanych przez wierny lud, a także ambasadorów z Azji i Nubii składających daniny królewskiej parze.

— Nie ma co marzyć, Howardzie. Rzeczywistość dostarcza zbyt wiele pracy.

Posłuszny i milczący Howard kreślił zarysy domów zburzonych aż do fundamentów. Stosując ściśle techniki sir Williama, nie przestawał marzyć o przeklętym faraonie, którego dzieło zniszczono z takim zapamiętaniem. Mimo oporu akacji i sykomor, mimo kanałów irygacyjnych, pustynia triumfowała. Pozostawiała Nilowi żyzną wstęgę ziemi, ale gdy tylko człowiek ulegał lenistwu, natychmiast atakowała ziemię.

— Czynisz postępy, Howardzie. Ale strzeż się tej świetlistej śmierci, którą nazywają pustynią. Arabowie się jej boją. Wierzą, że pełno tam potworów, złych duchów i nieznanych mocy. Powinieneś ich słuchać.

Petrie spał. Howard sam ruszył na pustynię, na zachód. M usiał zapoznać się z tym dzikim miejscem, przejrzeć jego tajemnicę. Niebawem upał będzie nie do zniesienia, ale tego się nie bał. Na pustyni, wśród morza piasku, w głębi koryta wyschniętej rzeki czekało na niego widmo Echnatona.

Słońce sięgnęło zenitu. Po czterech godzinach marszu dojrzał obozowisko. Uzbrojony w strzelbę Beduin kazał mu Wejść do namiotu szefa.

—Kto ty jesteś?

—Howard Carter. Pracuję na wykopalisku el Amarna.

—Z Petriem?

—Tak.

Szef mówił doskonałą angielszczyznę.

— Petrie... to bardzo skrupulatny uczonec, który nigdy nie pojmie Egiptu. Dla niego wszystko zmienia się w cyfry, miary, obliczenia, inwentarze... Jesteś bardzo młody. Czego izukasz?

—Grobu Echnatona.

—Zdejm buty, słudzy umyją ci nogi. Potem podzielimy się daktylami, pieczonym jagnięciem i napijemy się koziego mleka.

Dostał wielkiego zaszczytu. Sześcioro dzieci złożyło hołd swemu ojcu i w milczeniu stało u jego boku, czekając, by połknął pierwszy kęs, nim same zaczną jeść. Sześć, mający około sześćdziesiątki, zasiadł w pozycji skryby.

—Nie rzucaj się wprost na przeszkodę, Howardzie Carterze. Wybierz okrężną drogę, naucz się tracić czas, wzmocnij

się uporem sprawiedliwych, poddaj zawiłym drogom cierpliwości, a osiągniesz swój cel.

—Czyżbyś ty go znał?

—Nie jest nim Echnaton, którego grób jest niedaleko stąd.

—Zaprowadzisz mnie tam?

—Nie ma po co. Rabusie go zniszczyli. Szukaj jego duchowego syna, który po nim nastąpił i którego ślad ludzie

zgubili. To twoje przeznaczenie, Howardzie Carterze. Odkryć najbardziej bajeczny ze wszystkich skarbów. Ale kto ważyłby się na tyle niebezpieczeństw?

Sześć uniósł wzrok ku przyszłości, którą tylko on mógł dojrzeć.

—Mów dalej — błagał Carter.

—Wróć do zniszczonego miasta i zacznij szukać bez pośpiechu i bez wytchnienia. Spróbuj uchylić zasłonę, ale pamiętaj, że przeklęty jest każdy mijający dzień, jeśli nie dowiedziałeś się w nim czegoś, co zbliża cię do Boga. Tego,

kto szuka podobnej mądrości, Bóg kocha bardziej niż bohatera świętej wojny.

Carter nerwowo przeglądał podręczniki historii egipskiej, które Petrie zostawił do jego dyspozycji. Sir William zaszkodził go w środku nocy.

—Nareszcie wróciłeś... Gdzie się ukrywałeś?

—Kto był synem Echnatona?

—On miał tylko córki.

—Kto był jego następcą? Te książki są **takie** mętne.

—Okres jest mało znany. Chyba całkiem nieznanym król Tutenchamon.

—Czy odkryto jego grób?

—Jeszcze nie.

—Czy może znajdować się obok grobu Echnatona?

—Raczej w Dolinie Królów. Poważne poszlaki pozwalają sądzić, że pod koniec herezji Tutenchamon powrócił do

Teb. Nawet jego imię, które znaczy „żywy symbol Amona”,

dowodzi, że znowu czczył wszechmocnego Amona. Czemu interesują cię te stare teologiczne kłótnie?

—Chcę odkryć grób Tutenchamona.

—Kto ci wbił do głowy taką myśl?

—Przywódca Beduinów z pustyni odsłonił mi moje powołanie.

—Ach, ten stary wariat, co twierdzi, że zna miejsce grobu Echnatona... Ma się za proroka. Bądź pewien jednego: nie sprawdziła się żadna z jego przepowiedni. Zapomnij o jego

proroctwach i wyznacz sobie poważniejsze cele. Wszystkie groby w Dolinie Królów zostały obrabowane przed wiekami.

To miejsce nie może już zainteresować archeologów.

Widząc zmieszanie Howarda, Petrie postanowił go pocieszyć.

—Howardzie, chcę ci zlecić delikatną misję. Mój szwajcarski kolega, Naville, podejmie niebawem pracę w Deir el-Bahari i będzie potrzebował pomocy akwarelisty, by odtwarzać malowidła i reliefy świątyni królowej Hatszepsut.

Carter zgodził się, nie okazując entuzjazmu, choć miał ochotę krzyknąć z radości. Czyż Deir el-Bahari nie leżało na zachodnim brzegu Teb, tuż obok Doliny Królów?

ROZDZIAŁ 7

Odwróciwszy się, Porchey ujrzał na nieskalanym piasku Wschodniej Zatoki odbicie śladów własnych stóp. Wyspa Świętego Marcina, kryjówka piratów i handlarzy, miała lśnące puste plaże, nad którymi latały pelikany. Woda była zielona i czysta, wiatr silny, słońce łagodne... ale przy-

szy lord Carnarvon nie dbał o to. Przybił tu, na granicę oddzielającą Duże i Małe Antyle, nie żeby się kąpać, lecz żeby wzbogacić własną kolekcję osobistości, dodając do niej ostatniego z Arawaksów, pierwszych Indian, jacy tu zamieszkali.

Wyspa Świętego Marcina, odkryta w 1493 roku przez Krzysztofa Kolumba, popadła w zapomnienie, póki w 1629 nie zajęli jej Francuzi, w 1631 Holendrzy, a w 1633 Hiszpanie, przeciwko którym walczył Peter Stuyvesant. Wyspa była własnością i jednych, i drugich w zależności od wojen i walk. Anglicy poprawnie odgrywali swoją rolę, dopóki nie odstąpili najlepszej jej części Holendrom, a uboższej Francuzom.

Porchey przypomniał sobie trasę, którą mu polecił pewien osiedlony na Kanarach Antylczyk: opuściwszy plażę, skierował się ku górze Vernon i przeszedł obok zrujnowanego domu, zjedzonego przez termity. Cyklony i krwawe walki niemal zupełnie zniszczyły mury fortec i najpiękniejsze siedziby, jak gdyby w tym pozornym rajku pokój był niemożliwością.

Arystokrata z zainteresowaniem przeczytał opowieść ojca Ramona Pane, brata kaznodziei z zakonu Świętego Hieronima i towarzysza podróży Kolumba. Wyjaśniał on, w jaki sposób Arawaksowie, zażywając *cohobę*, halucynogenny narkotyk, wchodzili w kontakt z bogami i demonami, które następnie musieli wyrzeźbić w kamieniu lub drewnie. Rzeźby te stawały się istotami niebezpiecznymi. Pod groźbą przekleństwa lub choroby ich twórcy musieli codziennie ofiarowywać im maniok. Otóż ostatni z Arawaksów twierdził, że widział wielkiego boga i że zamknął go w formie, która odślaniała jego prawdziwą naturę. Porchey był lekko podniecony. To, że rozsądnie sceptyczny Brytyjczyk mógłby kontemplować Stwórcę, zasługiwało na to, by zboczyć z drogi.

Za czasów Arawaksów wyspa nie znała **zbrodni**. Mieszkańcy chodzili nadzy i łowili ryby. **Przybycie** Karibsów, pochodzących z amazońskiej dżungli, **położyło** kres tym spokojnym czasom. Ci gwałtownicy i **okrutnicy** wymordowali Arawaksów; żywili się ich mięsem. **Porchey** uznał

len proceder za szokujący i ubolewał nad brakiem elegancji tychże Karibsów, których nazwa, z czasem zmieniona na Karaibów, oznaczała po prostu kanibali. Czy jak się ma szczęście odkryć szczęśliwy lud, koniecznie trzeba go /jeść?

Wedle ogólnej opinii, Arawaksowie zostali unicestwieni. Gdyby się któryś uchował, graniczyłoby to z cudem. Cud... W istocie było to jedyne zjawisko, które interesowało Porcheya. Czy tropiąc cuda w różnych miejscach świata, zdoła je wreszcie spotkać?

Porchey ruszył bardzo wąską ścieżką, obszedł podstawę góry Vernon i zanurzył się w mały lasek palmowy. W przewidzianym miejscu, obok martwego drzewa oplecionego gęstymi lianami, dojrzał chatkę przykrytą dachem z liści palmowych. Przed drzwiami stara Murzynka gotowała ryż w glinianym garnku. Jej domostwo zasłaniały hibiskusy, kroczenie i alemendasy*. Kilka kroków dalej uprawiała zagon patatów i kapusty.

Ponieważ nie było nikogo, by dokonać prezentacji, Porchey sam musiał ujawnić część swojej tożsamości. Wymienianie wszystkich swoich tytułów wydało mu się zbyt bezsensowne.

—Ja — powiedziała stara — nazywam się Mammy.

—Jesteś ostatnią z Arawaksów?

—Wychowałam się na grochówce i nikt dotąd nigdy mnie nie złzył.

—Nie mam takiego zamiaru. Czy nie masz przypadkiem jakiejś rzeźby?

Mammy uśmiechnęła się.

—Ciebie też nabrali! Legenda przyciąga rocznie dwóch lub trzech gości... Kto mógłby zamknąć Boga w idolu?

—Arawaksowie próbowali.

—Wszyscy umarli... Chciałabym zjeść w spokoju.

Porchey uznał zasadność tego pragnienia. Opuścił Mammy i ruszył w kierunku francuskiej stolicy, Marigot. Dzięki pomocy osła i jego właściciela udało mu się tam dotrzeć przed nocą.

* Egzotyczne drzewa o bardzo barwnym listowiu.

Miasto nie przypominało ani Londynu, ani Rzymu. Główną ulicę, jedyną zresztą, otaczały drewniane malowane domy, których solidność pozostawiała wiele do życzenia. Arteria ta prowadziła do oceanu. Po lewej było merostwo, po prawej szkoła i komisariat. Jakiś miejscowy dostojnik sprawił sobie nawet piętro z balkonem.

Porchey przeprowadził skrupulatne dochodzenie, zajrzał do miejscowych archiwów i rozmawiał z władzami. Jego poszukiwanie ostatniego z Arawaksów zakończyło się porażką. Padł ofiarą kłamstwa.

Nazajutrz był obecny na balu, gdzie młode dziewczyny rzucały na ziemię owies, by lepiej się ślizgać w tańcu. Początkowo oczarowany arystokrata szybko się znudził, opuścił zgromadzenie i zasiadł nad wodą. Wiał silny pasatowy wiatr, gnąc kokosowe palmy.

—Czekasz na kogoś? — zapytała wesoła dziewczynka z kwiatem hibiskusa we włosach.

—Może.

—Jak on się nazywa?

—Nie wiem.

—To przyjaciel?

—Tak, znalazłaś właściwe słowa. To przyjaciel. Przyjaciel, do którego miałbym zaufanie, prawdziwy człowiek, zdolny poświęcić się dla jakiegoś ideału.

Dziewczynka gdzieś pobiegła.

Odprowadzając ją wzrokiem, Porchey zastanawiał się, czy ten bezimienny przyjaciel wyłoni się z nieba, wynurzy z oceanu czy z ziemi, czy pochodzić będzie z bliskiego czy dalekiego kraju, a także czy zdoła zamknąć jego zbłąkanie w pełnym zrozumienia spojrzeniu.

ROZDZIAŁ 8

Pociąg ruszył z piekielnym hałasem z **dworca** w Kairze dokładnie o dwudziestą. Podróżni **krzyczeli**, śmiali się, zaczepiali się i biegali z przedziału do **przedziału**. Wbity między opasłego notabla, wspartego na **lasce**, a czarno ubraną matronę z woalem na twarzy, **Carter myślał** o lodo-

watym pożegnaniu Petriego. Sir William uznał, że nauczył go podstaw takiej archeologii, jaką powinno się praktykować. Wyposażony w solidną wiedzę historyczną, umiejąc odcyfrować niektóre teksty hieroglificzne, młodzieniec był /dolny, jego zdaniem, rozpocząć błyskotliwą karierę, której decydującym etapem będzie Deir el-Bahari.

Carter poczuł się sierotą. Najpierw stracił Newberry'ego, a teraz porzucił go Petrie. Czyżby los skazywał go na samotność? A przecież na końcu tej podróży były Teby! Teby i Dolina Królów, którą będzie badać tak długo, aż przekaze mu swoje tajemnice.

Jakaś rodzina spożywała posiłek. Na siedzeniach rozłożono ogórki, liście sałaty, jajka na twardo i opróżniono kilka dzbanków, nie przerywając głośnych rozmów. Nasyciwszy się, ojciec rodziny zdjął papcie, oparł się o torbę i zasnął mimo wrzasków i hałasu. Kiedy trzech drobnych urzędników palących papierosy postanowiło zająć przedział, aby odbyć naradę, Carter musiał się wycofać. Zapach tego tytoniu poraziłby mu płuca. Na szczęście zdołał dotrzeć do platformy.

Samotny wśród gwiazdzistej nocy przeżył najpiękniejszą podróż koleją. Pociąg jechał wolno, więc powiew wiatru był łagodny, a oddychanie przyjemnością. Smakował każdą przebytą milę niby dar niebios. Godziny minęły jak jedna chwilka.

Nagle niebo na wschodzie szcerwieniło. Pośród ognistej wyspy młode słońce wydało zwycięską walkę ciemnościom. Złoto spłynęło na zieleń palm, łany zbóż falowały w poranym wietrze, a Nil się przebudził.

Potem wyłonił się dworzec w Luksorze, zakurzony i zalany łożcem. Pociąg zatrzymał się pod metalowym mostkiem. Pasażerowie, spiesząc się i gestykułując, opuścili wagony. Carter podążył wraz z tym ludzkim strumieniem. Piesi, Wędrowni handlarze, osły, wozy — wszystko to mieszało się |V ruchliwym chaosie. Przyzwyczajając się do hałasu, wślizgł się w obłok piasku, a pewnie i wieczności pochodzącej I wietrzejących kamieni, świątyń i grobowców. Wyzwolony wreszcie z tłumu przystanął przed kuchnią na świeżym powietrzu i zjadł porcję bobu z ryżem. Ten solidny posiłek posłarczy mu energii na cały dzień.

Zapewne powinien był podejść do służącego, który na peronie dworca trzymał wzniesiony do góry afisz z jego nazwiskiem i który zaprowadziłby go do Naville'a, ale nie miał ochoty z kimkolwiek dyskutować. Najpierw musiał porozmawiać z tą ziemią i niebem, z tym światłem zarazem łagodnym i gwałtownym. Nie mógł oderwać wzroku od góry tebańskiej królującej nad zachodnim brzegiem. O tej porze była różowa i błękitna.

Na przystani przywołał felukę. Cenę przejazdu ustalono po długiej dyskusji, w której Carter wykorzystał swoje podstawy arabskiego, i łódka ruszyła po Nilu. Wyprzedziła prom załadowany wieśniakami i zwierzętami, wykorzystała siłę prądu i za szybko osiągnęła przeciwny brzeg. Ta krótka przeprawa była chwilą ogromnego szczęścia, rytuałem powtarzającym tysiące razy w ciągu tysiącleci. Carter przeżył ją z uwielbieniem ucznia wsłuchanego w przesłanie niewidzialnego mistrza, który przemawiał w podmuchach wiatru oczyszczającego biały żagiel.

Lewy brzeg ożywia wielki targ. Sprzedawano tu pszenicę, owies, bób, pistacje, kurczaki w klatkach i tkaniny. Gapie tłoczyli się wokół jakiegoś proroka, który rysował na piasku dziwne znaki. Kilku poganaczy osłów otoczyło Cartera, proponując mu swoje usługi. Wybrał osiołka o sprytnym spojrzeniu i pięknej sierści.

—Gdzie chcecie jechać? — zapytał poganiec.

—Do Doliny Królów.

—To daleko. Będzie drogo.

—Znam dokładnie odległość i ceny. Jeśli chcesz być moim przyjacielem, nie staraj się mnie oszukać.

Przeprowadziwszy błyskawiczny dialog z własnym sumieniem, mężczyzna przychylił się do opinii Cartera. Ruszyli wolnym krokiem ku cudownym wzgórzom, przeszli przez radosną wieś, gdzie rosła pszenica, lucerna, koniczyna, łubin

i bawełna. Obojętnie mijały ich inne osły i dromadery.

Przewodnik zatrzymał się przed kolosami Memnona, dwoma bardzo zniszczonymi królewskimi kolosami.

—To wielka tajemnica — szepnął. — I niebezpieczne duchy. Czasami śpiewają.

—Milczą od czasu, kiedy naprawili je Rzymianie.

— Nie! Trzeba mieć dobre ucho.

Zapamiętał tę lekcję. Z Petriem przestudiował pewne „Mądrości” Starego Państwa, gdzie stary skryba zapewniał, że słuchanie jest kluczem inteligencji. Czyż Egipcjanie nie mówili o uszach „żywe”?

Podążając dalej drogą, zagłębili się w wieś Gurna. Przed ziemiankami bawiły się brudne, na wpół nagie dzieci. Niektóre uśmiechały się do niego, inne uciekły. Czuł, że za uprzejmymi twarzami fellahów kryją się tajemnice, które lepiej pozostawić ciemnościom piwnic lub zakamarkom gór. Ale jego praca polegać będzie na drażnieniu, szukaniu i odsłanianiu. Minęli świątynię Setiego I zarośniętą trawą i pozostawioną stadku kóz i wkroczyli na drogę prowadzącą ku grobom.

Uprawy nagle zniknęły. Nagle też zaczęła się pustynia. Piasek, upał i jałowość zwalczyły wszelką obecność ludzką, zwierzęcą i roślinną. Królowały tu absolutnie minerały, celebrując monumentalne śluby ze słońcem. Carter nie widział wcześniej nic, co dałoby się porównać z tym światem, nad którym wznosił się podobny do piramidy szczyt Zachodu. W tej olśniewającej chwili pojął, że spędzi tu najlepsze chwile życia.

Światło paliło mu oczy. Osiołek zwolnił kroku, przeciskając się między wapiennymi murami. Wkraczał w apokaliptyczną krainę, która była jakby skupiskiem surowców wykorzystanych do stworzenia świata. Krok po kroku zagłębiał się w rozpalony wąwóz. Tu i ówdzie widać było poprzecinane jarami stoki, ślady gwałtownych deszczów. Każdy kamień nasycony był pamięcią. Czyż nie one były Świadkami pogrzebowych procesji, które niegdyś podążały tą samą drogą?

Zsiadł z osiołka. Biedny kłapouch i tak znosił go za długo. Nadeszła pora przekroczenia bram Doliny Królów, szczyt w czasie i przestrzeni, gdzie chwały bogów strzegła najbardziej tajemnicza siła.

Pustynia pustyń, absolutna samotność, bezkresna cisza...

Jak opisać to miejsce prawdy, gdzie niestosowna była wszelka ludzka działalność? Czuł, że dusze zmarłych królów czuwają nad ich siedzibami.

Mówiono, że żaden grób nie ostał się przed złodziejami. Nie wierząc w to, przeszedł od grobowca do grobowca. Niestety, wszystkie obrabowano i opróżniono ze sprzętów i skarbów.

W czasach zwycięstwa chrystianizmu grobowce stały się celami mnichów, potem, wzgardzone przez nowych muzułmańskich najeźdźców, były schronieniem szakali i nietoperzy, których obecnie zastąpili zdziwieni lub spieszący się turyści.

Zgodnie ze zwyczajem zwiedził zabytki z płaskorzeźbami i cudownymi malowidłami, wszedł pod ziemię i wrócił do światła, pokonał zbocza, przebiegł dróżki, nasycił oczy tą wizją zaświatów, które ludzka ręka wykuła w kamieniu.

Kiedy otuliły go promienie zachodzącego słońca, zmęczenie znikło. Góra Zachodu nabrała lekkości, olbrzymie bloki jakby straciły ciężar, ostatnie złote błyski dnia połączyły się ze srebrzystą jasnością ziemi. Wdrapał się aż na przełęcz wznoszącą się nad doliną, usiadł na płaskim kamieniu i przypomniał sobie wypowiedziane właśnie tu słowa Volneya: *Wszystko wokół mnie mówiło, że człowiek może stać się czymś tylko dzięki swojej duszy: jest królem dzięki myśli, słabym atomem dzięki powłoce, jedynie nadzieja innego życia i poczucie niebiańskiego pochodzenia może uczynić go zwycięzcą w nieprzerwanej walce z nędzą istnienia... te hieroglify, te figury odnaleźć można w całej historii ludzkiej wiedzy: kapłani Egiptu powierzyli je otchłaniom dlatego tylko, by je ocalić przed wstrząsami globu. Wydawało się, że kieruje mną światło cudownej lampy w chwili dopuszczenia do jakiejś wielkiej tajemnicy.*

ROZDZIAŁ 9

Jego sylwetka odcinała się w świetle księżyca. Był wysoki i dobrze zbudowany, turban na głowie, galabija, pistolet u pasa.

— Pan nie ma prawa przebywać tu nocą — powiedział po angielsku.

—Nazywam się Howard Carter i jestem archeologiem.

—Ja się nazywam Ahmed Girigar i należę do służb bezpieczeństwa.

—Nie jestem złodziejem.

—To pana trzeba ochraniać, panie Carter. Nie zdaje pan sobie sprawy z niebezpieczeństw?

— Nie widzę innych prócz głupoty i niezyczliwości.

Ahmed Girigar przysiadł obok niego.

—*B'ism'illah-ma'sha'llah*. Niechaj Bóg odwróci zło — rzekł z powagą. — Tamci wrogowie są niebezpieczni, ale nie

należy lekceważyć band rabusiów mieszkających na wzgórzach Gurńa. Wymuszają okupy od chłopów i grabią cudzoziemców.

—Nie czuję się cudzoziemcem. Ta dolina jest moja.

—Czyżby otrzymał pan koncesję?

Koncesja... Magiczne słowo, które oznaczało, że ma prawo prowadzić tu wykopaliska, gdzie tylko zechce.

— Jestem tylko asystentem Naville'a.

— Szwajcara, który pracuje w Deir el-Bahari?

Zdziwił się.

—Wygląda na to, że pan zna doskonale całą kastę archeologów.

—Mój ojciec był *reisem*. Idę jego śladem i chcę, jak on, kierować ekipami robotników szukających skarbów. Może

spotkam takiego, co tak pokocha Dolinę Królów, że poświęci jej życie. Jeśli potrafi ją obłaskawić, ona do niego przemówi.

— Czytałem prace Belzoniego.

Ahmed Girigar uśmiechnął się.

—Dziwny badacz... gigant ożywiony wściekłą pasją! Marzył o głośnych wyczynach i wyłamywał drzwi grobow-

ców młotami. Nie brzydził się nawet dynamitem.

—Po Champollionie on jeden porządnie przebadał dolinę. Umiem na pamięć jego konkluzję: „To moja ostateczna

opinia: po moich pracach nie ma już ani jednego grobu do odkrycia”.

Carter grał rolę adwokata diabła w nadziei, że usłyszy jakieś słowa nadziei. Ahmed Girigar go nie zawiódł.

— Nazbyt pospieszna opinia spieszącego się człowieka.

—Taki pionier jak on nie porzucał jednak łupu dla mirażu.

—Zapewne... ale brakło mu cierpliwości. Dolina została zraniona, poniżona. Obecnie się ukrywa i milczy. Tylko człowiek skrupulatny, zawzięty aż do uporu może unieść zasłonę czasu i piachu, którym zakryła swoją tajemnicę. Nas nikt nie słucha, bo jesteśmy fellahami, biedakami bez wykształcenia. Ale my codziennie przebiegamy po tych ścieżkach i słuchamy tych kamieni. Teraz, panie Carter, mu-

si pan odejść. Inaczej będę musiał spisać protokół w związku

z nielegalnym pobylem.

—Spotkamy się jeszcze.

—Jeśli Allah zechce.

Ahmed Girigar patrzył na oddalającego się młodego Anglika. Skłonił się, a prostując, zbliżył wyciągniętą rękę do ust i czoła. Pozdrowiał tak ważną osobistość, która jeszcze nie znała wielkości swego powołania.

Świątynia w Deir el-Bahari, „cud cudów”, przytykała tyłem do zalanej słońcem skały. Przed tarasową budowlą gorąca pustynia zastąpiła sady, baseny czystej wody i plantacje pachnących drzew, które królowa Hatszepsut przywiozła z cudownego kraju Puntu. Carter skierował się do portyku Anubisa, boga, który wprowadzał zmarłych na piękne drogi zaświatów. Tam pracował jego nowy szef.

Powitanie Naville'a nie było szczególnie wylewne. Sztwywny w swoim kolonialnym ubraniu przywitał go chłodno.

—Czyżbyś się spóźnił na pociąg?

—Nie, proszę pana.

—A może mój sługa nie dość wysoko trzymał napis z twoim nazwiskiem?

—Nie, proszę pana.

—W takim razie czemu do niego nie podszedłeś?

—Miałem coś pilnego do załatwienia. Czy mógłbym zabrać się do pracy?

Naville wskazał mu płaskorzeźby.

— Te nieporównane arcydzieła wyryła sprawna ręka artysty tak lekko, że czas niebawem je zatrze... Musimy je

opublikować, aby pozostały w pamięci ludzkości. Carter, to wszystko trzeba będzie narysować, wszystko namalować. Praca godna Rzymianina.

— Chyba raczej Egipcjanina?

Uśmiechnął się i lody pękły.

—Najlepszą techniką będzie akwarela. Odtworzyć trzeba także teksty.

—Pod warunkiem, że odcyfrujemy je wspólnie. Chcę się uczyć.

Uścisnęli sobie dłonie. Dla Anglika i Szwajcara ta demonstracja serdeczności była niemal nieprzyzwyczajoną.

Nad Luksorem zapadał zmrok. Klarnety towarzyszyły melancholijnym śpiewom, do brzegu przybijał ostatni prom, zapalały się lampki kawiarni. Na tarasie Winter Pałace Carter

popijał piwo w towarzystwie Naville'a.

— Czy zechciałbyś mi wyjaśnić, jaka to „przeszkoda” opóźniła twój przyjazd?

Szwajcarski archeolog wydał mu się człowiekiem honoru. Nie tak surowy jak Newberry, mniej wyniosły niż Petrie, nie był chyba doktrynerem. Carter zaufał mu.

—Od kilku miesięcy prowadzę notatki dotyczące Doliny Królów. Mam już dwa duże zeszyty. Zapisane jest tam każde

odkrycie, czy chodzi o grób, czy o mumię, czy o zwykłą wazę. Daleko mi jeszcze do końca, ale chcę wiedzieć wszyst-

ko o wykopaliskach.

—Po co? Belzoni przebadał już wszystko do głębi! Boleję nad jego metodami: rozwalać stare drzwi albo strzelać do konkurentów to nie najlepsze naukowe metody. Ale w koń-

cu... W czasach, kiedy zabijano się wzajemnie, żeby skraść

skarabeusza, on dokonał jednak wielkiej pracy.

—Podziwiam go, podobnie jak pan. On, tak jak ja, pochodził ze skromnej rodziny i wszystko poświęcił swojej

pasji. Ale ruszył prosto przed siebie, nie oglądając się na niezliczone szczegóły, które mogły ujawnić istnienie innych

grobow.

—Muszę cię rozczarować, Howardzie. Opinie Belzoniego potwierdzili rozważni i skrupulatni uczeni, jak choćby

Nie-

41

miec Lepsius. Odkopał tylko kilka skromnych szczątków i ostatecznie porzucono badanie Doliny Królów.

—To niesamowite! Czy pan też uważa, że wszyscy faraonowie osiemnastej i dziewiętnastej dynastii są tutaj pochowani?

—To możliwe.

—Przyzna pan jednak, że znaczna ich liczba nie stawiała się na apel!

—To niepokojący argument. O którym z władców myślisz?

— Jest ich z tuzin... a myślę zwłaszcza o Tutenchamonie. Twarz Naville'a wyrażała rozczarowanie.

—Ten faraonek bez znaczenia? Jego panowanie było takie krótkie i nijakie... Moim zdaniem pochowano go gdzie

indziej, albo spalono jak Echnatona. Ten młody monarcha był nazbyt związany z herezją.

—A czy nie koronowano go w Karnaku, jak wszystkich wielkich królów?

Pytanie zakłopotало nieco Szwajcara.

—Być może...

—Panował prawie dziesięć lat — dodał podniecony Carter — a my nic o nim nie wiemy, jakby miał pozostać najbardziej tajemniczym faraonem w historii. Żaden dotyczący go przedmiot nie trafił jeszcze na rynek starożytności.

— Przeczuwam pochopny wniosek: nienaruszony grób.

Oczy Cartera załśniły wymownym blaskiem.

— Młodość jest szalona, to jeden z jej uroków... ale ty, Howardzie, ty musisz robić poważną karierę. Pomyśl najpierw o swojej reputacji. Nie jesteś ani uczonym z dobrej rodziny, ani wystarczająco bogatym arystokratą, by otrzymać koncesję w Dolinie Królów. Zapomnij o tym.

ROZDZIAŁ 10

Na zakończenie trwających kilka lat podróży wicehrabia Porchester i przyszły lord Carnarvon wspominał swoje przygody w towarzystwie dawnego dżokeja, który dwukrotnie zajął trzecie miejsce na derby w Epsom. Rozmowa toczyła

się w głębi ponurej tawerny w Konstantynopolu, z dala od niedyskretnych uszu. Bardzo zdenerwowany dżokej wciąż się odwracał.

—Kto panu wskazał to miejsce?

—Pewien genueński pirat. Zapewnił mnie, że pan jest właściwym człowiekiem.

—Może... Arystokrata?

—Trudno być nim bardziej, mój dzielny. Taka jest prawda i nic na to nie poradzę.

—Więc drogo pan za to zapłaci.

—Jestem przyzwyczajony. W zamian wymagam jednak nienagannej usługi.

Porchey, w mundurze kapitana jachtu, popijał kawę po turecku. Były dżokej koił nerwy alkoholem z róży.

—Kiedy chce pan spotkać „przekłętego Abdula”?

—Jak najszybciej.

—W tym tygodniu jest w mieście, ale bardzo zajęty. Dlaczego chce się pan z nim spotkać?

—Żeby go zobaczyć.

—Słucham...

—Czy nie jest największym bandytą Bosforu, genialnym złodziejem i znakomitym strategiem?

—To prawda, ale...

—Dowiedz się zatem, mój drogi, że kolekcjonuję spotkania z niezwyklejmi osobnikami z najróżniejszych rejestrów.

Po tylu podróżach wydaje mi się, że lepiej znam naszą starą

planetę. Afryka Południowa bawiła mnie przez kilka dni, Japonia tydzień, Francja jeden wieczór, Stany Zjednoczone

cały miesiąc. Obecnie geografia już mnie znużyła. Szukam

towarzystwa ludzi jak najdalszych mojej kondycji, na przykład takich jak pan. Nie wyobraża pan sobie, jak zarozumiali

i nudni są arystokraci. Jeśli zaś idzie o wielkich tego świata,

których zgodnie z życzeniem mojej zmarłej matki powinie-

niem widywać, tylko im kłamstwa w głowie. Zresztą podob-

nie jak tobie.

—Mnie? Dlaczego...

—Bo nie znasz „przekłętego Abdula”, tylko próbujesz

nieuczciwie wyłudzić ode mnie pieniądze.
—To nieprawda! Jestem jego łącznikiem.

— W takim razie przekaż mu, że spotkam się z nim o północy na południowym cyplu starego portu, by uzupełnić moją galerię portretów.

Potomek Carnarvonów wstał, nie pozdrowił swego rozmówcy i wyszedł z tawerny, pogwizdując starą walijską piosenkę.

O określonej porze i w ustalonym miejscu Porchey dojrzał zbliżającą się łódź, a w niej dwóch mężczyzn, którzy wiosłowali równo i cicho. Pomyślał o swoim ojcu, który czekał na jego powrót w zamku Highclere. Stary lord wyrzucał synowi bezustanne wyjazdy i powroty, przesadne zamiłowanie do podróży i ten nieznośny zwyczaj pojawiania się i znikania bez zapowiedzi. Porchey przyznawał, że jego zachowanie nie przystoi przyszłemu parowi, właścicielowi jednej z najszacowniejszych ziemskich majątności Anglii. Ale jak inaczej ukoić niecierpliwość życia i bezkresną nudę, która dręczyła jego duszę? Myślał, że pochłanianiem przestrzeni zaspokoi swój głód, a zdołał jedynie pobudzić splin. Jego istnienie było puste i niepotrzebne. Nie wypełniły go morza i oceany. Może jakaś istota ludzka złagodziłaby jego niepokoje, otwierając nieoczekiwaną drogę. Czy tym prorokiem miał być „przeklęty Abdul”?

Obaj marynarze prezentowali gęby zgoła podejrżane. Brodaci, źle ogoleni, z tłustymi włosami i w brudnych ubraniach zachęcili go, by wsiadł do ich zniszczonej łodzi. Rozsądny człowiek zawahałby się, Porchey podjął ryzyko.

Smrodliwe zapachy unosiły się nad morską wodą. Turcy przyspieszali, zaciskając dłonie na wiosłach.

—Dokąd płyniemy?

—Tam, gdzie płyniemy — odparł starszy kiepską angielszczyzną.

—Więc zobaczę „przeklętego Abdula”?

Brodaty roześmiał się.

—To by mnie zdziwiło.

—Skąd taki sceptycyzm?

— Bo Abdul jest daleko stąd. Nareszcie go schwytali. Wreszcie on padł łupem.

— To niewątpliwie nowy fakt, który zmienia sytuację. Najlepszym rozwiązaniem będzie więc powrót do portu.

Łódź zatrzymała się.

—O tym nie ma mowy.

—Mylisz się, przyjacielu.

—Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

—To mnie właściwie cieszy.

—Jesteś bogaty...

—To prawda.

—Masz przy sobie znaczną sumę pieniędzy.

—Powinna wystarczyć na zakup waszego pięknego statku.

—Niestety, książę, mamy inne zamiary.

—Nazywajcie mnie wicehrabią.

—Ta fortuna jest w torbie, która leży u twoich stóp?

—Właśnie.

—Dawaj!

—A jeśli odmówię?

—Utoniesz.

—To straszny los dla doświadczonego marynarza... A jeśli się zgodzę?

—Dopłyniesz do nabrzeża i nie będziesz musiał się kąpać.

—Zapominasz, mój drogi, że dobry kapitan nie umie pływać i zostaje na pokładzie aż do ostatniej chwili.

Złodziej zdenerwował się.

—Otwórz torbę.

—Obrabowanie uczciwego podróżnego to niegodne zajęcie. Na waszym miejscu zrezygnowałbym.

—Rób, co mówię!

Wicehrabia wyjął z torby wspaniałą, zdobioną srebrem pistolet i skierował go na napastników.

— Muszę was ostrzec: jestem jednym z sześciu najlepszych Strzelców Zjednoczonego Królestwa. Gdybym więcej trenował, zająłbym pierwsze miejsce.

Turcy natychmiast zniknęli w mętnej wodzie.

— Szkoda — westchnął arystokrata. — Straciłem okazję, by się doskonalić.

ROZDZIAŁ 11

Carter co dzień myślał o Dolinie Królów, tak bliskiej i tak dalekiej. Deir el-Bahari nie pozwalało mu wypoczywać. Nie mógł puścić wodzy fantazji: każda akwarela musiała dokładnie oddawać scenę ofiarowania, płynący po Nilu statek czy też pokrytą hieroglifami kolumnę. Nie malował dla własnej przyjemności, lecz aby przekazać przyszłym pokole-

niom wspaniałość świątyni, gdzie królowała Hathor o magicznym uśmiechu. Wskreszenie na papierze twarzy bogini było dla niego tak silnym wzruszeniem, że gdy zakończył dzieło, drżała mu ręka. Niezdolny pracować dalej poprosił Naville'a, żeby mu pozwolił opuścić miejsce pracy na kilka godzin.

A gdzie wypocząć, jeśli nie w świątyni Luksoru, której kolumny, najwyższe w Egipcie, wznosiły duszę ku niebu? Carter wszedł więc na prom wieśniaków, gdzie jak zwykle panował radosny tumult. Nikt nie mógłby wyjaśnić, jak na tak małej przestrzeni mieściło się tyle ludzi, zwierząt i towarów. Kobiety korzystały z przeprawy, by się spotkać i porozmawiać. Czy te dobre kobiety muzułmańskie wiedziały, że modę na czarne sukienki wylansowała egipska chrześcijanka w pierwszych wiekach naszej ery, by upamiętnić śmierć Chrystusa?

Kiedy ożywione i nieożywione istoty zajęły już miejsca na pokładzie, tak że nie można było przesunąć się choćby o cal, prom ruszył. Posuwał się ze zrównoważoną szybkością, bo jak mówi Pismo, pośpiech pochodzi od diabła.

Zobaczył ją na środku rzeki.

Około dwudziestoletnia, ubrana w długą czerwoną suknię, z naszyjnikiem z lapis-lazuli na szyi, bransoletką na prawym przegubie, miała delikatne rysy twarzy, długie czarne włosy i zielone oczy. Brzegi powiek podkreślone były czarną kreską. Miała pomalowane paznokcie u rąk i stóp w sandałkach. Rozdzielał ich jakiś wieśniak o wydatnym brzuchu, spieszący na nabrzeże, aby sprzedać ładunek cebuli i bobu.

— Nazywam się Howard Carter — oznajmił głosem, który miał być zdecydowany. — Proszę wybaczyć, że zwracam się do pani tak śmiało, ale pani jest podobna do bogini

Hathor, którą właśnie malowałem w Deir el-Bahari. To... to niezwykle spotkać żywą boginię.

Zmieszała się nieco, ale odpowiedziała.

—Szanowny panie, nigdy nie należy wysławiać kobiety w przesadnych słowach. Mogłoby to przyciągnąć na nią złe

spojrzenie i urazić jej męża.

—Pani jest zamężna?

—Jeszcze nie. A czy pan jest archeologiem?

—Przygotowuję publikację na temat świątyni Deir el-Bahari.

—Jest wspaniała. Często opowiadam o niej moim uczniom.

—Pani jest nauczycielką?

—Uczę na ochotnika w mojej wsi. Czasem bywam też pielęgniarką, a okazjonalnie również przewodnikiem wy-cieczek.

—Stąd ten doskonały angielski.

—A pan mówi po arabsku?

Spróbował kilku uprzejmościowych zdań, zaczynając od niezbędnej formułki „W imię jasnego i miłosiernego Boga”, która zaczynała każde przemówienie. Zachwyił go jej uśmiech.

—Wcale nieźle... Trzeba pracować dalej.

—Zechciałaby pani takiego ucznia?

Prom zwolnił, co spowodowało poruszenie w tłumie. Każdy szykował się wysiadać z niezbyt orientalną niecierpliwością. Zrozpaczony na myśl, że ją zgubi, zaczął się rozpychać i jako jeden z pierwszych znalazł się na nabrzeżu. Dojrzawszy ją, stanął u jej boku.

—Czy mogę panią odprowadzić?

—Wracam do domu.

—A gdybyśmy wynajęli powóz? Pokazałaby mi pani okolicę i swoją wieś. Egipska gościnność jest przysłowiowa,

więc nie może mi pani odmówić.

Wpadłszy w pułapkę, zgodziła się wsiąść do błyszczącego powozu. Wybrał zadbanego i zdrowego konia, który galopował bez trudu. Szybko opuścili miasteczko i wjechali w odwieczny świat pól i kanałów irygacyjnych, niezmiennych od tysiącleci. Milczała podczas jazdy.

Na skraju wioski kazała woźnicy przystanąć.

—Mam na imię Raifa. Wypije pan ze mną herbatę czy wraca do miasta?

—Decyzja należy do pani.

Ruszył za nią. Przeszli między klepiskiem na zbiory a publicznym piecem, gdzie kobiety piekły okrągłe chleby, inne czerpały wodę z pobliskiej studni. Obserwowały ich bezpieczeństwa, niezbyt życzliwe psy. Ukryta wśród palm wioska Raify zabudowana była niskimi domami z gliny i nie miała ani elektryczności, ani bieżącej wody. Cegły z łąjna, ułożone na dachach plecionych z palmowych liści, służyły jako opał. Wkroczyli w wąskie i zakurzone uliczki tworzące prawdziwy labirynt. Przed meczetem, którego minaret wystawał ponad zbitą masą domostw, mężczyźni odmawiali różaniec.

Raifa mieszkała w najładniejszym domu, tuż obok domu sołtysa. Na pomalowanych na niebiesko drzwiach wisiała końska podkowa i rysunek ręki z Fatimy, która oddalać miała złe duchy. Otoczyło ich kilkanaścioro dzieci. Dziewczynki bawiły się szmacianymi lalkami, chłopcy popychali się nawzajem. Zwabione tym zgromadzeniem koźleta żebrały o jedzenie. Raifa uspokoiła cały ten światek i otworzyła drzwi do swego królestwa.

W pierwszym pomieszczeniu, z glinianym klepiskiem, spał osioł. Stara bezzębna kobieta w czarnej sukni ugniatała ciasto. Przerażona widokiem człowieka Zachodu, zarzuciła na twarz czarną chustę, zostawiając tylko szparę na oczy. Raifa kazała jej przygotować herbatę i poprosiła Howarda, aby wszedł do drugiego, dużego pokoju o kafelkowanej podłodze.

—Proszę usiąść, panie Carter.

—Pani mieszka sama?

—Z bratem, Gamalem. Jest właścicielem ziemskim i poborcą podatkowym.

—Głos pani posmutniał, gdy wymówiła pani jego imię.

—Bardzo go kocham, ale... bywa gwałtowny. Musi być surowy i chłostać opieszalych płatników. Gamal jest bardzo

przywiązany do tradycji i nie doceniłby pańskiej obecności

tutaj. Ludzie we wsi uważają, że jestem zbyt wolną kobietą.

Na szczęście korzystam z poparcia sołtysa, którego wyleczyłam z infekcji. Tyle tu nieszczęścia i chorych... Obowiązkiem kobiety jest pomagać nieszczęśliwym.

Stara służąca przyniosła herbatę i ciasteczka z miodem. Nadszedł też młody przysadzisty mężczyzna o bardzo ciemnej skórze, czarnych i krzaczastych brwiach, które łączyły się ze sobą, tworząc niepokojącą barierę. W ręce trzymał bat.

—Wyjdź stąd. Nie masz prawa przebywać sam z moją siostrą.

—Byłoby obelgą nie odpowiedzieć na jej zaproszenie. Nazywam się Carter i pozdrawiam pana. Proszę mi pozwolić się pożegnać.

Obojętny na wściekłość Gamala Carter odstawił szklanę z miętową herbatą, wstał i opuścił pokój.

Na progu drogę zagroziła mu kobra.

— Proszę się nie bać — uspokoiła go Raifa. — Ona mieszka u nas i przyszła prosić o mleko.

Odwróciła się w stronę brata.

— Nasz wąż pokazuje się tylko prawdziwym przyjaciołom. To cię powinno uspokoić, Gamalu.

Kiedy Carter opuszczał wioskę, zakwefione kobiety wyraziły swoją radość długą litanią „jujuju”, którą wykrzykiwały, uderzając językiem o podniebienie.

Kilka dni później Carter skierował swoje kroki ku Ramesseum, odwiecznej świątyni Ramzesa II. Budowla była bardzo zniszczona. Na wielkim dziedzińcu przed dawną salą kolumnową leżał na ziemi największy z kiedykolwiek wyrzeźbionych kolosów. Kiedy jeszcze stał nienaruszony, ważył tysiąc ton. Fanatyzm i głupota w końcu zdołały go przewrócić i prawie unicestwić. Jego twarz, oświetlona czerwonożłotym kolorem zachodzącego słońca, nadal wyrażała zdrową siłę.

Paśło się tam stadko czarnych i białych kóz. Carter prześliznął się między rozbitymi blokami kamienia i zaroślami lamaryszków, starając się unikać kłujących traw, i zasiadł pod akacją kwitnącą wśród ruin.

Od spotkania z Raifą wyrzucił dziesiątki nieudanych akwarel. Był zagubiony, nie mógł zapomnieć o młodej kobiecie, a nie znał nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Marzył, by znów ją ujrzeć, ale gdyby jej brat złożył skargę, Naville musiałby go zwolnić. Nie znosił konfliktów i myślał tylko o publikacji „swojej” świątyni. Mimo to Carter gotów był podjąć ryzyko.

Podszedł do niego stróż tego miejsca z kijem w ręku.

— Bądź ostrożny. Węże nie są tu rzadkością.

Twarz miał pomarszczoną, bez wieku, ruchy powolne, przysiadł na pokrytym hieroglifami kamiennym bloku, patrząc w stronę zachodzącego słońca.

—i Czy nie szukasz grobu nieznanego króla?

—Kto ci to powiedział?

—Tu często wieje wiatr, a ja mam bardzo czuły słuch.

—Słyszałeś, żeby mówiono o przedmiotach podpisanych imieniem Tutenchamona?

—Nie mają ich ani handlarze, ani rabusie. To zresztą oczywiste... Czy wielki Ramzes nie zniszczył jego świątyni

i nie zrabował grobu, aby zatrzeć wszystkie ślady tej przekłętej epoki?

Przeraziły go te stwierdzenia. Zdanie tego *gaffira* liczyło się bardziej niż opinie egiptologów.

— Panie Carter, idź pan swoją drogą i nie przejmuj się ani jednymi, ani drugimi. Nie zmieniaj się ani w rabusia, ani w człowieka oschłego. Gdybyś nie był Anglikiem, dałbym ci

talizman, żeby cię chronił od nieprzyjaciół, co w cieniu gotują się, by ci zaszkodzić. Ale Anglicy i tak nie wierzą w Boga.

ROZDZIAŁ 12

—Niech Bóg ma cię w swojej opiece, synu. Ci dwaj bandyci mogli cię zamordować.

—Przezornie jest wierzyć w Niego od czasu do czasu — przyznał Porchey.

—Skąd wracasz tym razem?

—Ze Stambułu.

—Spotkałeś jakieś ważne osobistości?

— Miałem rozmawiać z „przeklętym Abdulem”, ale nie doszło do tego spotkania.

Stary lord Carnarvon wznosił oczy do nieba.

—Porchey, Porchey! Kiedy wreszcie przestaniesz fruwać po świecie?

—Kiedy świat przestanie się kręcić bez sensu. Odpocznij, ojcze. Widzę, że jesteś zmęczony.

Porchey wezwał lokaja, by dołożył do ognia na kominku w wielkim salonie, potem podał ojcu szklaneczkę whisky i dopiłnował, by usiadł wygodnie w skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

—Od śmierci matki bardzo się martwię o twoją przyszłość. Czego ty szukasz, synu?

—Sam nie wiem.

—A te wszystkie podróże nie dostarczyły ci odpowiedzi?

—Niczego istotnego, tylko anegdot. Każdy może pływać po oceanach i przemierzać kontynenty. To, co uważałem za

wyczyn, było jeszcze jednym banałem. Czy otrzymałeś nowe książki historyczne?

—Te nudziarskie podręczniki z British Museum? Ułożyłem ich stos na twoim biurku.

—Jesteś najlepszym z ojców.

—Co byś powiedział na partyjkę szachów?

—Chętnie, ale po twojej sjeście.

Między dwoma ulewami Porchey spacerował po olbrzymim parku Highclere. Zamek był surowy. Masywne prostokątne i zębate wieże nadawały mu wygląd średniowiecznej fortecy, skupionej na przeszłości i tradycji. Arystokrata doceniał jej wyniosłość, ale jeszcze bardziej urok trawników, doskonale utrzymywanych przez armię ogrodników. Liczna wierna i oddana służba domowa czuwała nad całością posiadłości. Służba u Carnarvonów, w jednej z najpiękniejszych posiadłości Anglii, przechodząca z ojca na syna, uchodziła za zaszczyt.

Porchey odpoczywał, spacerując godzinami po swoich ziemiach w otoczeniu psów myśliwskich. Medytował pod libańskimi cedrami, obchodził jezioro, nad którym wznosił się belweder z białego marmuru, w poszukiwaniu zwierzyny

zapuszczał się w gęstwą głogów lub wdrapywał na zarośnięte dębami albo bukami wzgórze. Highclere to była kraina, gdzie nie docierały konwulsje czasu ani ludzkich społeczności. Nikt spośród brytyjskiej arystokracji nie pojmował, czemu przyszły hrabia Carnarvon nie pędzi szczęśliwych dni w tym raju.

Porchey wrócił już po zmierzchu, kazał nakarmić psy i schronił się w swojej bibliotece, jednej z największych i najlepiej zaopatrzonych w Zjednoczonym Królestwie. Było tu wszystko, co napisano o historii starożytnej. Rzuciwszy rozbawionym okiem na dwie dziwaczne relikwie: biurko i fotel, którego używał Napoleon I podczas przymusowego pobytu na Elbie, wicehrabia zaważał się, czy tam usiąść. Szacunek dla wroga kazał mu zadowolnić się powszedniejszym meblem, zanim pochylił się nad rozprawą poświęconą wschodniej ceramice.

Ojciec otworzył drzwi do biblioteki.

—Czyżbyś o mnie zapomniał?

—Wybacz.

—Lepiej byłoby, gdybyś raczej studiował finanse i lokaty.

—Jak mógłbym ci dorównać w tej dziedzinie?

—Niebawem, synu, mnie już tu nie będzie.

—Bajki! Jesteś silny jak dąb.

—Starzeję się, Porchey. Powinieneś mieć to na uwadze.

Partię szachów rozegrano przed wielkim kominkiem.

Gę-

sta mgła otaczała wieże zamku. Lord Carnarvon kazał podać butelkę Dom Perignon i tosty z kawiozem, prezentem od rosyjskiego ministra. Jego syn starał się skontrolować klasyczne sycylijskie otwarcie.

—Robisz postępy.

—W podróży mam czas studiować najlepsze rozprawy.

—Powinniśmy porozmawiać serio.

—Jak sobie życzysz.

Porchey z niepokojem stwierdził, że ojciec słabnie. Dawniej używałby gońca agresywniej.

—Jak długo zostaniesz w Highclere?

—To poważne pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć. To zależy od wilgoci, atmosfery, humoru i myśli, która spadnie mi do głowy...

—Wybacz, ale wymagam czegoś więcej. Czy masz jakiś precyzyjny plan?

—W gruncie rzeczy tak.

—Jaki?

—Wolałbym nie mówić.

—Ja nalegam, Porchey.

—A więc... może się to wydać dziwne, ale słabo znam Włochy, zwłaszcza południowe. Neapol to bardzo pociągające miasto.

—Neapol! Siedlisko złodziei i morderców.

—No właśnie... Chciałbym spotkać szefa mafii.

—Porchey! Czy uświadamiasz sobie...

—Doskonale, ojcze. Nie zagraża mi żadne niebezpieczeństwo, bo chodzi tylko o moją kolekcję portretów. Nie zamierzam prowadzić interesów.

Stary lord przewrócił swego króla.

—Rezygnuję z tego, by cię zrozumieć, i proszę tylko o jedną łaskę: zapoznaj się dobrze z funkcjonowaniem tego

majątku. To będzie największa radość dla starca.

—Przyrzekam ci to. Highclere pozostanie posiadłością Carnarvonów i najpiękniejszym majątkiem kraju.

—Chwała Bogu, mój synu.

Gdy tylko ojciec udał się na spoczynek, Porchey przejrzał leżące na biurku dokumenty administracyjne i finansowe. Jedna noc wystarczyła mu, żeby przyswoić sobie istotne problemy i zorientować się, że rodzinna fortuna zarządzana jest z największą powagą. Dlatego nazajutrz wyruszył do Neapolu.

ROZDZIAŁ 13

Za zniszczoną fasadą domu w Gurna kryło się wyłożone wapiennymi płytami patio ze studnią na środku. Po bokach stały drewniane ławki i kufry pokryte tkaniną. Siedząc w olśniewającej białej galabii na fotelu o niskim oparciu, pan tego miejsca przyglądał się Carterowi z ciekawością nie pozbawioną okrucieństwa. Turban zasłaniał mu pół czoła, a wąskie wargi kontrastowały z grubym podbródkiem. Car-

ter przeczuł w nim człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, które nie podlegały dyskusji.

Naville odradzał mu odwiedzić u szefa klanu Adb el-Rasul, moźnej mafii tebańskiej, która od dziesiątków lat rabowała grobowce, wymuszała okupy od nieostroźnych podróżnych i nie wahała się likwidować niewygodnych przeciwników. A przecież to właśnie szwajcarski archeolog spro-

wokował inicjatywę Cartera, bo długo opowiadał mu o zdarzeniach, jakie miały miejsce w Deir el-Bahari w 1881 roku. Odnaleziono wówczas czterdzieści królewskich mumii wewnątrz grobowca wykutego w skale! Prawdziwymi „archeologami” byli członkowie rodziny Abd el-Rasul. Dostali się oni do kryjówki kilka lat wcześniej, zdecydowani z jak największym zyskiem upłynnić swoje znalezisko. Amulety i klejnoty funkcjonowały na rynku starożytności najpierw w małej ilości, a potem tak liczne, że przyciągnęły uwagę policji.

Wszystko to potwierdził jeden z członków klanu, poddany szczegółowemu przesłuchaniu przez francuskiego erudyte Maspero. Uratowane mumie królewskie popłynęły statkiem do Kairu, oklaskiwane przez fellahów zgromadzonych wzdłuż Nilu.

Ponieważ umysł młodego badacza dręczyła niepokojąca hipoteza, stawiał on czoło jednemu z najniebezpieczniejszych bandytów Egiptu.

— Czterdzieści królewskich mumii osiemnastej i dziewiętnastej dynastii... to chyba był skarb?

Abd el-Rasul przytaknął.

—Milczał pan przez sześć lat.

—Złożyliśmy przysięgę, panie Carter, i zachęcono nas do tego. Opiekę gwarantował nam Mustafa Aga Ajat, agent

konsularny Anglii, Rosji i Belgii. Niestety, to był kłamca i uzurpator! Przez niego straciliśmy dużo pieniędzy. Kiedy

mumie wyjęto z grobowca, miałem ochotę zaatakować kon-

dukt... ale było za dużo policjantów, a niektórzy umieli strzelać. *Malesz!*

Słowo to można tłumaczyć: „tak to już jest, to musiało się zdarzyć, nic na to nie poradzisz”. To było słowo-talizman, które — przez brak działania — rozwiązywało nawet najbardziej delikatne problemy.

—Muszę panu zadać jeszcze jedno pytanie.

Abd el-Rasul zmarszczył brwi.

—Policjant?

—Archeolog.

—Tak mi właśnie mówiono i to mi się niezbyt podoba.

Kto pana przysłał?

—Nikt.

—Europejczyk zawsze jest czyimś pracownikiem.

—Moim szefem jest Edouard Naville.

—Tego to ja się nie boję. On unika grzebania w piasku. A ty?

— Ja rysuję i maluję.

To uspokoiło złodzieja.

—Gdy pan znalazł te mumie, nie zamierzał pan ich sprzedać?

—Ciało mumii ma teraz mniejsze wzięcie. Zresztą od czasu założenia dynastii Abd el-Rasulów, czyli od siedmiuset

lat, wolimy złoto.

—Czterdzieści mumii w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, gdy je odkryto, czterdzieści w tysiąc osiemset osiem-

dziesiątym pierwszym, kiedy na miejsce kryjówki przybył Maspero. To zbyt piękne. Żadna nie zniknęła...

—Żadna.

Z urażonej miny gospodarza (okazał się nie najlepszym złodziejem) Carter odczytał, że mówi on prawdę. Jego spojrzenie nagle stało się okrutne.

— Ostrzegłem pana, panie Carter, niech pan nie próbuje innej działalności. A zwłaszcza niech się pan nie bawi w poszukiwacza skarbów. Taka nieostrożność mogłaby panu przysporzyć wiele kłopotów.

Pogróżka nie zrobiła wrażenia na Carterze, ogarniętym cudowną nadzieją. Może mumia Tutenchamona nadal śpi w swoim wciąż nienaruszonym grobowcu?

Kręte ścieżki obwodziły dywany koniczyny i ciemne pola bobu. *Sakiehs* * regularnie jęczały, sploty jaśminu przysła-

* Rodzaj hydraulicznego koła.

niały słońce. Pod palmami osły szukały odrobiny świeżości. Raifa i Howard kryli się przed zbyt ostrymi promieniami słońca w lasku sykomorowym i wpatrywali w ozłoconą słońcem zieleni wsi.

Gamała wezwał do Kiny jego hierarchiczny przełożony. Młoda kobieta skorzystała z nieobecności brata, by przebyć Nil i spotkać się z Carterem w Deir el-Bahari. Ponieważ Naville pojechał do Kairu, by rozwiązać jakieś administracyjne problemy, Howard mógł z nią spokojnie spacerować.

Raifa opowiadała o biedzie współziomków, o epidemiach, które zabierały najsłabsze dzieci, o endemicznej chorobie motyliczej, na którą zapadało tylu wieśniaków. Oburzała się na dzień pracy młodego chłopca: koraniczna szkoła, gdzie uczył się świętej księgi, praca w polu, gdzie prowadził woły, zbyt skromny posiłek złożony z sera i słodkiego ciasta, za krótki czas spania. Raifa marzyła o szkołach białych i szczęśliwych dzieciach. Carter nie polecał jej Anglii. Raifa była przerażona, gdy się dowiedziała, że dziesięcioletni chłopcy umierają tam z wyczerpania w kopalniach węgla.

Wyznał jej swoje coraz wyraźniejsze upodobanie do powolnego życia niezmiennej przyrody, gdzie władcą absolutnym było światło. Nauczył się odkładać pędzelki i przyglądać polującym ptakom, stadom bydła o zakrzywionych rogach, posuwającym się po zakurzonych drogach, kobietom, które nosiły na głowach dzbany z wodą. Rozpoznawał brunatne puszczyki i sowy o szerokich skrzydłach, latające także w dzień.

Raifa zmuszała go, by mówił po arabsku, i poprawiała jego błędy. Któregoś wieczora podczas tego zbyt krótkiego tygodnia zabrała go na herbatę do pewnej fermy, gdzie jakiś jej znajomy próbował malować akwarele. Wyszedł po nich z dwoma psami na skraj pustyni, dostojny w długiej białej szacie i z kijem w rękę. Zaprosił ich do domu z gliny, obok którego, między trzciniowymi matami, urządził sobie pracownię.

Zawsze pełny dzbanek z herbatą stał na palenisku na świeżym powietrzu. Jego żona przygotowywała ciasteczka z miodem, uwielbiane przez psy. Malarz przedstawił Cartera niezliczonym znajomym: wieśniakom, poganiaczom osłów,

strażnikom grobów, obwoźnym sprzedawcom, urzędnikom, a nawet policjantom. Szybko wrósł w społeczność Gurna i zachodniego brzegu Tebów. Bliski skromnym ludziom dzielił ich radości i troski.

Horyzont zabarwił się na pomarańczowo i fioletowo. Nil był srebrny. Dzikie kaczkę towarzyszyły łodziom, które wracały do brzegu. To był pierwszy zachód słońca u jej boku.

Święta góra stroiła się w różowe i błękitne fałdy, w których pozostanie aż do świtu. Lekki wiaterek ożywiał palmy. Zgodnie z obyczajem, strażnicy pól rozpoczynali swoje czuwanie.

Siedząc nad brzegiem rzeki, czekali, aż wzejdą gwiazdy. Carter rozpoznał Wielką Niedźwiedzicę, gwiazdy okołobiegunowe i Gwiazdę Polarną.

—Dobrze mówisz po arabsku, Howardzie. Poradzisz sobie beze mnie.

—To niemożliwe, uciekają mi subtelności.

—Gamal wraca dziś w nocy.

Nie śmiał jej zatrzymywać. Słowa wydały mu się zbyt-
ne. Ucałował jej rękę, ona splonęła się i uciekła.

Łódka przewiozła ją na brzeg żywych. On pozostał na brzegu martwych. Było tak ciepło, że postanowił spać na dworze, u stóp świątyni Deir el-Bahari, by rozpocząć pracę zaraz po wschodzie słońca. W głębi pełnego jaskiń pustynnego wzgórza znalazł zrabowany grób, który posłużył mu za pokój.

Z dala od świata marzył o szczęściu.

ROZDZIAŁ 14

Telegram dotarł do Porcheya w Neapolu, nazajutrz po spotkaniu z szefem mafii, które go rozczarowało.

Proszę jak najszybciej wracać do Highclere. Pański ojciec jest umierający.

Rządca

Już zapomniał o włoskich przygodach... Nie tracąc ani chwili, Porchey przebył Europę.

Zamek tonął w potokach wody. Otulony w nieprzemakalny płaszcz podbity futrem Porchey wszedł do głównego hallu w stylu neogotyckim, gdzie zebrała się służba.

Rządca podszedł do niego.

—Panie hrabio... jak panu powiedzieć...

—Kiedy to się stało?

—Pański ojciec zmarł zeszłej nocy we śnie. Wcześniej otrzymał ostatnie namaszczenie i raz jeszcze przeczytał swój

testament. W imieniu całego personelu składam nasze naj-

szczerze wyrazy współczucia i pragnę zapewnić o naszej niezmiennej wierności rodzinie.

—Gdzie on leży?

—W swoim pokoju.

Porchey spędził noc przy zwłokach ojca. Trzeba było tej śmierci, by przerwać jego włączyć i skłonić do osiedlenia się w Highclere, które odtąd stanie się celem jego zabiegów. Czując się osierocony, pozbawiony rad, których nie słuchał, ale które go uspokajały, teraz płakał. Nie nad sobą, nie nad straconą okazją nauczenia się czegoś od doświadczonego człowieka, ale nad tymi zbyt rzadkimi chwilami, kiedy to ojciec i syn rozumieli, że pochodzą z jednego pnia i wyciosani są z tego samego drewna.

Porchey także zmarł.

Uroczystości żałobne, pogrzeb, okolicznościowe stroje i mimika, smutny pochód członków rodziny i przyjaciół... Piąty hrabia Carnarvon podporządkował się z godnością wymaganiom ceremoniału. Choć był młody, arystokracja uznała, iż jest zdolny do wykonywania swoich obowiązków.

Mając dwadzieścia trzy lata, George Herbert stał się bardzo zamożnym arystokratą, właścicielem majątku liczącego 36 tysięcy akrów ziemi.

Bardziej doświadczony przez śmierć ojca, niż chciał to pokazać, przeżył w samotności długi miesiąc, spacerując z psami, jeżdżąc na koniach, polując na lisy i uważnie czytając finansowe i administracyjne dokumenty. Studia te

oświeciły go co do niezwyklej roli, jaką stary lord odgrywał w polityce kraju. Nie zdziwił się więc, gdy otrzymał list z prośbą o spotkanie od członka gabinetu premiera Jego Królewskiej Mości.

Wysłannik był mężczyzną surowym, około czterdziestoletnim. Ciemne ubranie w paski, siwiejące bokobrody i lodowata twarz pozbawiona wszelkiego wyrazu nadały mu wyraz szacowności, niezbędny dla wzorowej kariery.

—Pragnę pana powiadomić, lordzie Carnarvon, że w tych smutnych okolicznościach rząd i ja sam doceniamy

pański gest. Przyjęlibyśmy nawet pańską odmowę.

—Powtórzylibyście atak wielokrotnie... więc lepiej od razu utworzyć ten czarodziejski worek.

Określenie oburzyło emisariusza, ale wrodzony zmysł dyplomacji kazał mu przejść nad tym do porządku.

—Pański ojciec był członkiem gabinetu Disraeliego, w którym wyróżnił się jako nieposzlakowany polityk. Bardzo sumienny, nawet o włos nie zszedł z drogi obowiązku.

—Zgódźmy się, że to nadzwyczajne. A na dodatek prawdziwe. Bardzo się cieszę, że Anglia docenia zasługi jednego

ze swych najlojalniejszych synów.

—Niestety, ten wybitny sługa państwa nie żyje. Ale państwo istnieje nadal.

—W to nie wątpię.

—Dziękuję za zrozumienie, lordzie Carnarvon. Pańska dojrzałość budzi mój podziw.

— Mój także. To zapewne zasługa moich podróży.

Emisariusz dystygowanie zakaszał.

—Oto właśnie jeden z powodów mojej wizyty. Biorąc pod uwagę pańską nową pozycję i odpowiedzialność, jaką pan przyjął z dnia na dzień, może lepiej byłoby...

—Żebym osiadł na miejscu? Na to proszę zbytnio nie liczyć.

—Nikt pana o to nie prosi.

Zaintrygowało to arystokratę. Zainteresował się rozmową.

— Pański ojciec był jednym z filarów najlepszego towa-

rzystwa. Pilnował porządku i moralności, zachęcał do działań rządu i czynnie uczestniczył w budowie państwa. Mam nadzieję, że pan nie zdradzi jego pamięci i będzie kontynuować jego dzieło.

— O ile rząd nie zawiedzie mojego zaufania. Czemu potomkowie Carnarvonów mieliby się od tego uchylać?

Emisariusz stłumił westchnienie ulgi.

—Pan bardzo różni się od ojca. On kochał swoją posiadłość, angielską wieś i Londyn. Pan natomiast afiszuje zami-

łowanie do egzotyki. Wedle informacji, jakie do nas dotarły,

kilkakrotnie opłynął pan świat i spotykał się z... najróżniej-

szymi osobistościami.

—Czyżby mnie śledzono?

—Od czasu do czasu obserwowano, jak każdego człowieka z przyszłością.

—I jakie stąd wnioski?

—Że jest pan odważny, przenikliwy i dobrze sobie radzi w najbardziej ryzykownych sytuacjach.

—Nadmiar komplementów to zapowiedź klęski.

—Ponieważ, jak przypuszczamy, znowu wyruszy pan ku dalekim łądom, czy zgodziłby się pan być użyteczny dla Anglii?

—To doprawdy dziwaczna sugestia.

—Do pana należy wybór celu, jaki mu odpowiada. My nie zamierzamy go narzucać. Władze byłyby zaszczycone,

poznając pańską opinię o krajach, które pan odwiedza. Te cenne informacje pomogłyby im w utrzymaniu pokoju.

Takie

widzenie jak pańskie jest wręcz niezbędne.

—Podzielał opinię w tym ostatnim punkcie. Czy mogę wybierać, jeśli idzie o pozostałe?

Emisariusz znów zakaszał.

—Oczywiście, lordzie Carnarvon, oczywiście... Ale czy można wątpić w pański patriotyzm?

—Jest pan wcieleniem taktu. Zaraz wezwę kogoś, by pana odprowadził.

—Czy brytyjskie imperium może na pana liczyć?

—Jak mówił Szekspir, miarka za miarkę.

ROZDZIAŁ 15

Cartera ogarnęły straszliwe wątpliwości. Czy przypadkiem w „przydziale” Abd el-Rasula nie znajduje się źle zidentyfikowana mumia Tutenchamona? Natychmiast zapytał Naville’a i wydobył z niego prawdę. Królewska skrytka była jedynie skromnym grobowcem o niskim suficie. Mumie, wrzucone tam w pośpiechu, były niestarannie zapakowane. Niektóre kilkakrotnie zmieniały kryjówki. Oczywiście zdecydowane działania ich wybawców zapewniły im rzeczywisty sukces, bo najwięksi faraonowie uniknęli destrukcji. Cartera przeraziła jednak „archeologiczna” opowieść o tym odkryciu.

W ciągu dwóch dni urzędnicy Urzędu do spraw Zabytków opróżnili grobowiec, nie dokonując spisu i nie notując pozycji cennych zwłok, pospiesznie przewiezionych następnie statkiem! Może podczas tej niezwyklej przeprowadzki pomylono ich tożsamość.

Naville pojął, że upór Cartera zwycięży. Pozwolił mu na tygodniowy pobyt w Kairze i wręczył list polecający.

Ci, co nazywali muzeum w Kairze „jaskinią Ali Baby”, niezbyt się mylili. Gromadzono tu skarby wydobyte z egipskiej ziemi: sarkofagi, posągi, figurki rytualne, stele i wiele innych przedmiotów, z których każdy zasługiwał na uważne przestudiowanie. Przebiegając zakurzone galerie, Carter odkrywał arcydzieło za arcydziełem. Ile trzeba by lat, aby je odnowić i stworzyć godne ich piękna otoczenie! Manette’a tva pewno uszczęśliwiła tak wielka przestrzeń, zwłaszcza że wprost dusił się w małym muzeum Bulaą, ale cztery tysiące lat historii zasługiwało na coś lepszego.

Bardzo podniecony Carter zapanował jednak nad własnym językiem, gdy stanął przed jedynym przedstawicielem administracji muzeum. Potraktowano go życzliwie, zapoznawszy się z listem szefa.

— Chce pan obejrzeć mumie ze skrytki w Deir el-Bahari...

niech prostszego. Sala jest dostępna dla publiczności.

—Wolałbym być sam.
—Mógłby pan zostać po zamknięciu. No, powiedzmy... godzinę.
—To za mało.
—Czy mógłbym znać powód pańskich starań?
—Boję się, że powstał tam nieład i pomieszano eksponaty.
Urzędnik wznosił ręce ku niebu.
—Nie jest pan pierwszy! Okoliczności tego znaleziska były nieco... szalone. Wielu zainteresowanych uczonych przeprowadziło skrupulatne badanie mumii. Może pan być spokojny. Wszystkie zostały zidentyfikowane z całkowitą pewnością.
—A czy Tutenchamon był wśród ocalałych?
—Nie znam tego faraona.
—Dysponuje pan dokumentami na temat wykopalisk w Dolinie Królów?
—Są notatniki i dzienniki prowadzone przez archeologów od osiemnastego wieku... Było ich ponad pięćdziesiąt.
—Dzisiaj jedno jest pewne: Dolina Królów nie kryje już żadnych tajemnic.
—Jestem innego zdania.
—Szkoda. Zapomina pan, że zawodowi złodzieje z Gurna stanowili ostrą konkurencję dla poszukiwaczy i uczonych.
Nie umknął im żaden skarb. Jeśli mimo to pragnie pan przejrzeć nasze archiwa...
—Właśnie to jest moim zamiarem.

Pokonawszy monumentalne schody, Carter z szacunkiem wkroczył do sali, gdzie spoczywały wieczne szczątki królów Nowego Państwa. Puste i milczące zdawały się nieprzyjazne obecności profanów. Carter miał ochotę zakryć bandażami te pozbawione ciała trupy, umieścić je w sarkofagach i ustrzec przed niezdrową ciekawością ironicznej lub przerażonej publiki.

Dwie twarze zachowały niezwykłą siłę: oblicze Setiego I, budowniczego świątyni Abydos, oraz Ramzesa II. Obaj zakotwiczeni w przeobrażeniu, którego sami byli dowodem.

Każdy, kto się nad nimi zamyślił, wiedział, że Egipt żyje poza czasem.

Ogłędziny królewskich mumii potwierdziły to, co mówił urzędnik. Nie odkryto mumii Tutenchamona.

Ani grobu, ani mumii. Czyżby Tutenchamon był tylko mirażem?

Carter przejrzał archiwa muzeum i wynotował szczegóły dotyczące prac dokonanych przez poszukiwaczy, ale nie znalazł żadnej wskazówki o tym królu ani o miejscu jego ostatniego domostwa. Żadnych wieści, plotek ani fałszywych pogłosek. Jakby nigdy nie istniał. Milczenie to z jednej strony go niepokoiło, z drugiej jednak umacniało jego nadzieje.

Koledzy bawiący przejazdem w Kairze dziwili się, widząc, jak Carter pracuje dniami i nocami. Jeden z nich zaprosił go na obiad. Chłodno odrzucił tę propozycję. Wystarczyła mu woda, podpłomyk i trochę owoców. Prawdziwym pożywieniem dla niego była ta dokumentacja, której nikt starannie nie przejrzał.

Przed południem ostatniego dnia kairskiej wyprawy jego trud został nagrodzony. Jakiś anonimowy archeolog poświęcił ręcznie napisaną rozprawkę pieczęci królewskiej nekropoli, która przedstawiała szakala Anubisa umieszczonego ponad dziewięcioma klęczącymi i spętanymi postaciami. Tak Egipt symbolizował zwycięstwo wiedzy nad siłami zła. Te siły, spętane i niezdolne do działania, oddawały hołd bogu, który otwierał drzwi zaświatów i prowadził wtajemniczonych ku światłości. Dlatego też pieczęć tę kładziono na wejściach do grobów Doliny Królów i nigdzie indziej. Czy któregoś dnia spotka go szczęście i jej dotknie?

Obraz ten na zawsze wrył mu się w pamięć. Czytał dalej, zastanawiając się nad ciekawym zjawiskiem. Niektóre grobowce były wyraźnie widoczne, oznaczone majestatycznym portalem. Inne zostały zamknięte i ukryte za nasypem, jakby chciano je uczynić niedostępnymi. Jeśli istniał gdzieś grób Tutenchamona, na pewno należeć będzie do drugiej katego-

rii. Prawdopodobnie więc trzeba będzie odrzucić tony piasku, by go odsłonić.

Do rozprawy dołączony był dokument. Początek papirusu mówił o napaści Seta na brata, Ozyrysa, a potem poruszał złowrogi temat: serię klątw, które dotkną tych, co zgwałcą królewskie grobowce!

Kilkakrotnie tłumaczył te hieroglify. Lękając się błędów, skonsultował się z dwoma konserwatorami i niemieckim attache naukowym na stażu w muzeum. Wszyscy trzej potwierdzili jego interpretację. Może posługując się numerem papirusu, udałoby się odnaleźć jego inny fragment i zdobyć dalszy ciąg tekstu...

Carter powinien był wrócić do Teb i podjąć pracę, ale był zbyt podniecony. Uzyskał pozwolenie na dalsze poszukiwania w zbiorach muzeum, gdzie drzemały cudowne dzieła, które być może nigdy już nie wyłonią się z mroków i zapomnienia.

Po wielu bezowocnych próbach znów pobłogosławili go bogowie Egiptu. Trzymał w ręce drugą część papirusu, oznaczoną tym samym numerem, z dopiskiem *bis*. Rozdzielenie tych dwóch fragmentów wydawało się dziwne. W gruncie rzeczy podobne wypadki były bardzo częste. Po co zajmować się tak skromnymi śladami?

Tekst dał się odczytać bez wielkiego trudu:

Ja sam doglądałem budowy grobowca Jego Królewskiej Wysokości w ukryciu przed wszelkimi oczyma i uszami. Nikt go nie widział, nikt o nim nie słyszał. Czuwałem pilnie, aby wykonać jak najdoskonalsze dzieło. Przewyższa ono dzieła przodków i będzie się o nim mówić, kiedy już przeminę.

Podniecenie Cartera sięgało szczytu. Czy nie chodziło tu o oficjalny akt dotyczący konstrukcji grobowca Tutenchamona, do którego nie można się włamać, bo zabezpieczono go dodatkowymi blokami kamienia, otaczając tajemnicą starannie zachowaną przez wieki?

Do rozszyfrowania pozostało już tylko kilka znaków: imię króla oraz budowniczego jego grobu.

Drżąc i ociekając potem, Carter zamknął oczy i starał się oddychać głęboko. Wzruszenie wydało mu się niegodne uczonego. Pełen gniewu odważył się na spotkanie z rzeczywistością.

Rozczarowanie było straszliwe.

Twórca dzieła nazywał się Ineni, faraon Totmes I, monarcha, który jako pierwszy wybrał Dolinę Królów na miejsce swego wiecznego spoczynku, aby uchronić je przed rabusiami. Władca ten zapoczątkował tradycję, której przestrzegali jego następcy z XVIII, XIX i XX dynastii. Dzięki Totmesowi dzika okolica na zachodnim brzegu zyskała uniwersalną sławę.

Tutenchamon pozostał niedostępny.

ROZDZIAŁ 16

—Anglicy to potwory! — powiedziała ze złością Raifa.

Howard Carter łagodnie ujął jej rękę.

—Nie wszyscy.

—Owszem, wszyscy.

—Ja także?

— Ty jesteś już tylko pół-Anglikiem! Przemawiam do twojej egipskiej połowy.

Siedząc nad brzegiem kanału, przyglądali się kąpeli bawołów, które taplały się w wodzie. Nagie dzieci pływały obok, dla zabawy wdrapując się na grzbiety zwierząt i nurkując.

Abbas II Hilmi objął właśnie sukcesję po swoim ojcu, kedywie* Taufiku, i stanął na czele kraju. Ojciec, kiepski ekonomista, tak bardzo zadłużył kraj, że poddał go kontroli obcych mocarstw, a zwłaszcza Anglii, która bez trudu odsunęła Francję, gotową dyskutować, ale niezdolną do działań. Abbas II Hilmi, sprzyjający nacjonalistom, wkroczył na drogę emancypacji. Angielski konsul generalny pospiesznie stłumił w zarodku te zachcianki, ku wielkiemu oburzeniu Raify i Egipcjan, przekonanych, że ich ojczyzna musi wyzwoić się spod obcego jarzma.

* Tytuł władcy Egiptu w tych czasach.

—Jesteśmy potrzebni Egipcjom, Raifo. Dobrze o tym wiesz.

—Nie chcę tego rozumieć i zabraniam ci głosić takie poglądy.

Z oburzeniem było jej do twarzy. Howard nie miał ochoty rozmawiać o polityce. Był zachwycony, patrząc na nią, łagodną czy gniewną. Miesiąc po powrocie do Deir el-Bahari, kiedy to Naville zagroził mu zwolnieniem, jeśli nadal będzie opuszczać teren wykopalisk, Raifa wymknęła się ze swojej wioski, korzystając z okazji, że brat zajęty był poborem podatków w odległych wsiach. Przez tydzień mogli się widywać rano i wieczorem w cieniu palmy ukrytej wśród sykomor lub w trzciniowej chatce na granicy pól. Mieliby dużo czasu dla siebie, gdyby nie to, że kedyw wpadł na głupi

pomysł i umarł.

—Trzeba wyrzucić Anglików. Ci najeźdźcy są winni nędzy mojego ludu.

—Egipt zrujnowali Turcy — przypomniał zirytowany Carter.

—Europa zmieniła nasz sposób życia. Nie powinniśmy się byli nigdy zgodzić na przekopanie Kanału Sueskiego.

—Anglia była temu przeciwna.

—Bo bała się stracić kontrolę nad drogą do Indii! Nie przejmowała się nędzą ludu... liczyły się tylko jej interesy ekonomiczne.

—Przesadzasz, Raifo. Otwierając się na Europę, Egipt rozpoczął rewolucję agrarną. Kraj nie jest już uzależniony od wylewu, aby przeżyć, bo stosuje trwałe nawodnienie.

—A czy to postęp pędzić nieustannie fellahów do pracy, zmieniać ich w niewolników? Z powodu tego sławnego nawadniania pasożyt, który przekazuje chorobę motyliczą,

rozmnożył się w kanałach, gdzie wieśniacy się kąpią, piorą

bieliznę i myją naczynia. Dawniej woda była czysta. Dzisiaj

przynosi im śmierć! Larwy atakują wątrobę i śledzionę, wyniszczają organizm. Potem pojawia się krew w moczu i następuje agonia! Czemu mielibyśmy kochać tych, co zaszczepili nam tę truciznę?

—A dlaczego ty mnie kochasz?

Przeraziła go brutalność tego pytania. Ledwie je postawił, już tego żałował. Ona zaraz wstanie, ucieknie i zniknie na zawsze. Newberry, Petrie i Naville ostrzegali go przed jego własnym impulsywnym usposobieniem, ale to nic nie dało.

Raifa nie wyrwała jednak ręki.

—Wybacz mi — powiedział.

—Jaki błąd popełniłeś, Howardzie?

—Nie powinienem być taki bezwzględny.

—Żale i wyrzuty sumienia nie pasują do ciebie. Czyżby ci brakło szczerości?

Znów miał ochotę wybuchnąć, ale rozbroił go jej uśmiech.

—Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie rozbroił.

—Bo jeszcze nikt się w tobie nie zakochał.

Ich palce splotły się. Nie wiedział, co powiedzieć ani co zrobić. Jak wyznać namiętność młodej arabskiej kobiecie, jaki gest wykonać? Instykt byłby mu podszepnął, jak się zachować wobec młodej lady. Tu, nad brzegiem Nilu, w je-siennym słońcu, o sto kroków od kąpiącej się czeredy dzie-ciaków jego wiedza archeologiczna niezbyt była przydatna.

—Chciałbym namalować twój portret.

—Koran tego zabrania. Musiałabym zasłonić twarz. Zachowaj mnie w sercu, ale nie utrwalaj moich rysów.

—To byłabyś inna ty.

—Odmawiam. Stworzyłbyś złego ducha.

Po południu spacerowali po pustych polach. Raifa wspo-minała ojca, bardzo wcześniej zmarłego rolnika. Howard opisywał jej wieś w Norfolku.

Krótko przed zachodem słońca zatrzymali się przy szadu-fie *. Raifa wylała na zakurzone nogi zawartość garnka i za-uważyła, że kolor henny zmył się częściowo. Bojąc się, że utraci czystość i padnie łupem błakających się duchów, zaciąg-nęła Howarda w stronę domów i wywołała jakąś starą kobietę, która dysponowała tą cenną masą. Owalne liście rosnącego w krajach tropikalnych krzewu turecznicy rodziły kiście kwia-tów podobnych do bzu. Zmielone i wysuszone na puder, stawały się kosmetykiem i magicznym zabezpieczeniem.

Przykucnięta, z kolanami pod brodą, Raifa malowała

* Urządzenie do nawadniania.

sobie paznokcie u nóg. Patrząc na nią, Howard miał wrażenie, że kradnie jej kilka chwil intymności.

Nagle odwróciła wzrok.

Przerażona wstała i oparła się o mur glinianego domu. W łomocie końskich kopyt i chmurze kurzu Gamal zniechęcony między nią a Carterem. U pasa miał *kurbasz*, bat ze skóry hipopotama.

—Zabroniłem ci widywania mojej siostry.

—Raifa nie jest niewolnicą.

—Ty angielski psie! Myślisz, że możesz ją zhańbić?

Koń stanął dęba. Carter nawet nie drgnął.

—Szanuję twoją siostrę. Lubimy ze sobą rozmawiać.

Tamten chwycił bat i strzelił z niego kilka razy.

—Po batach, jakie ci spuszcze, już nie będziesz miał ochoty na rozmowy.

—Tylko tchórz rzuca się z batem na bezbronного człowieka. Jeśli masz dosyć odwagi, walczy na pięści.

Gamal odrzucił bat i zeskoczył na ziemię.

Wyższy i szerszy w ramionach od Cartera, nie wiedział, że mały angielski wieśniak doskonali się w boksie ledwie nauczył się chodzić. Howard nauczył się jego zasad na własnej skórze i przeciwiczył szeroką gamę dozwolonych i niedozwolonych ciosów. Gamal zaatakował go tylko siłą pogardy i to był błąd. Dobrze przeprowadzony atak nie trwa długo: dwa ciosy, jeden w brodę, drugi w splot słoneczny i Egipcjanin był *groggy*, na kolanach.

Carter wyciągnął do niego rękę.

—To idiotyczne. Zostańmy przyjaciółmi.

Tamten splunął.

—Niechaj spadnie na ciebie nienawiść Proroka!

Zgięty wpół z bólu Gamal zdołał wdrapać się na konia i odjechał.

Raifa wybuchnęła szlochem.

ROZDZIAŁ 17

Carnarvon przeczytał powtórnie artykuł w *Timesie* poświęcony Sudanowi. Najlepiej poinformowani obserwatorzy

przepowiadali poważne niepokoje i przypominali olśniewające działania Kitchenera, jedyne go żołnierza zdolnego przywrócić trwały pokój. Lord nie umiałby wyjaśnić, dlaczego ten tupot żołnierskich butów zaniepokoił go bardziej niż zazwyczaj. Choć się przed tym bronił, padł ofiarą proroczych wizji. „Sudan” i „krew” brzmiały mu dzisiaj jak terminy nierozłączne.

W początkach wspaniałego lata 1895 roku takie myśli wydawały się niestosowne. Za kilka godzin bogaty dwudziestodwuletni arystokrata świętować będzie urodziny, pojmując za żonę miss Alminę Wombwell, młodą i delikatną osobkę podobną do modelek Greuze'a. Pamiętny to był dzień, dwudziesty ósmy czerwca, który widział wspaniałą ceremonię w kościele Świętej Małgorzaty w Westminsterze, a potem wysoce konwencjonalny bankiet w Lansdowne House. Almina, czuła i wzruszająca w sukni z różowego tiulu, ozdobionej szafirami i diamentami, jawiła się jako rodzaj ekspiacyjnej ofiary złożonej nareszcie usatkwowanemu obieżyświatowi.

„Nadszedł wiek rozsądku”, szeptano wokół Carnarvona. Inni osiągnęli go z mniejszym szczęściem. On utytułowany, bogaty i wykształcony; ona inteligentna, łagodna i piękna. Byli idealną parą, skazaną na pewny sukces, dodatkowo wzbogacony dwójką lub trójką dzieci, które będą dumą rodziców.

Z jednej strony lord doceniał sytuację, z drugiej — nienawidził jej. W przeciwieństwie do tylu innych ludzi nie odczuwał żadnego niepokoju o jutro i powinien był się sycić doskonałym szczęściem. Nie opuszczało go jednak zamilowanie do wielkich przestrzeni. Podróże nie budziły w Alminie żadnej ciekawości. Zamek Highclere był światem zdolnym wypełnić całe życie. Pragnęła mieć syna i córkę, dzieci chciała wychowywać w spokoju, zapewnić im tradycyjną edukację i jak najlepiej zajmować się swym niezwykłym mężem.

Choć tego nie wyznała, Carnarvon był pewny, że narzeczona zamierza go zmienić i uwolnić od tych stanów wewnętrznej pustki i zbyteczności, w jakie niekiedy popadał. Rola ojca miała być decydującym etapem tego procesu.

Żałował szczęśliwych czasów, kiedy Porchey działał zgodnie ze swoją fantazją: spędzał dwa miesiące na morzu, czekając na burzę, rozmawiał z bandytami w podejrzanym barze na końcu świata i gubił się w nieznanym. Czy uzasadnieniem włóczęgi nie była sama włóczęga? Ale Porchey zniknął, ustępując miejsca George'owi Herbertowi, piątemu lordowi Carnarvon.

Lokaj podał mu smoking.

— Pan hrabia powinien zwrócić uwagę na godzinę. Spóźnienie byłoby czymś godnym pożałowania.

— Godnym pożałowania dla kogo?

Lokaj skłonił się i wyszedł.

— Godnym pożałowania — powtórzył zamyślony Carnarvon. — A jeśli nie jestem stworzony do małżeństwa?

Chwile spędzone u boku Alminy wyłoniły się z jego pamięci. Rzeczywiście był w niej zakochany i nie żenił się pod przymusem. A przecież miał ochotę uciec, wskoczyć na pokład byle statku i pożegnać się z Anglią.

Przemówiła do niego jednak dusza ojca.

Taka typowa dla Porcheya ucieczka nie była godna Carnarvona. Czyż jego zwątpienie nie żywiło się egoizmem, przywiązaniem do własnej tylko osoby, własnych radości i własnych smutków? Z nicości, w jakiej się nurzał, wydobędą go żona i dzieci.

Lord Carnarvon wstąpi na właściwą drogę, gdy będzie musiał zajmować się losem innych i pomyślnością swojego majątku.

Niezbyt to zachęcająca perspektywa. Wolałby poślubić Alminę na szczycie fali, na stoku wulkanu lub w głębi zagubionej doliny Nowego Świata, gdzie świadkami byłiby nadzy Indianie.

Obleżony zewsząd hrabia podjął honorową walkę. Wzgardził smokingiem, włożył marynarkę z błękitnej serży, a na głowę słomkowy kapelusz.

Zdumiony lokaj wymamrotał kilka niezrozumiałych słów od progu pokoju.

—Czyżbyś stracił mowę, przyjacielu? Bądź szczery, jeśli coś cię razi.

—Pan hrabia... pan hrabia ma przekrzywiony kapelusz.

Carnarvon przyjrzał się sobie w lustrze.

— Rzeczywiście. Proszę mi przypomnieć o podwyżce. Gdyby nie twoja roztropna interwencja, wywołałbym skandal.

Wszyscy domownicy domu czekali niecierpliwie na szczęśliwe wydarzenie. Lady Carnarvon poczęła — niewątpliwie męskiego — potomka. Już po pierwszych bólach akuszer i położne przybiegły do zamku Highclere.

W bibliotece hrabia czytał pracę zatytułowaną *Martwa ziemia* Andre Chevrillona. Po powrocie z Egiptu napisał on na temat Doliny Królów: *Inni faraonowie śpią jeszcze w głębi góry, w podziemnych grobowcach, których człowiek nigdy nie zakłócił od czasu, gdy zamknięto ich odrzwia. Śpią pod strażą bogów*. Piękny literacki efekt i archeologiczny absurd. Od dawna wiadomo, że to złowrogie miejsce zwróciło już wszystkie mumie i wszystkie skarby złodziejom albo egiptologom. Ten Chevrillon, jak wielu Francuzów, miał zbyt romantyczną duszę.

Z korytarza dobiegły go kroki akuszerza.

Carnarvon przerwał lekturę.

— Gratulacje, milordzie. Ma pan syna.

— Dam mu na imię Henry, będzie bardzo długo żył i zostanie szóstym hrabią Carnarvon.

— Niech Bóg pana wysłucha.

Ucałowawszy Alminę i syna, Carnarvon udał się do Londynu. Oczekiwano go w Foreign Office *, w banku i w dwóch biurach w City. Zlekceważył jednak te straszliwie banalne spotkania i spędził kilka godzin w pewnym hangarze na północnych przedmieściach w towarzystwie ekipy mechaników. Hałas silników był tak wielki, że ledwie można było rozmawiać.

Ta przykra niedogodność nie przeszkadzała jednak hrabiemu, który odkrył nową namiętność: automobil.

* Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

ROZDZIAŁ 18

Podczas gdy Kitchener, zwyciężywszy w Omdurmanie * kalifa Abdullaha, zdołał odzyskać Sudan i zmusić francuskiego dowódcę Marchanda do odstąpienia go Anglii, Carter rozmyślał nad planem usytuowania grobowców w Dolinie Królów. Co miały one wspólnego? Drzwi wejściowe, korytarz wiodący w głąb, przedsionek i komorę grobową z sarkofagiem. Czasem była też studnia, zbierająca wodę opadową, symbolizująca zarazem pierwotny ocean i grób Ozyrysa. Na ścianach reliefy i malowidła przywoływały kolejne etapy zmartwychwstania faraona i przemiany jego duszy.

Niestety, wymiary tych grobowców były bardzo różne, od kilku aż do stu metrów! W tych warunkach nie sposób było przewidzieć, jaki może być grobowiec Tutenchamona. Ponadto było pewne, że nieśmiertelność faraona zależy od dwóch elementów: świątyni i grobowca. Ale świątynia Tutenchamona znikła, jeśli kiedykolwiek istniała.

Piątek był w Egipcie dniem wypoczynku dla wszystkich, z wyjątkiem Howarda Cartera. Uwolniony na kilka godzin od swoich zajęć w Deir el-Bahari, przeznaczał ten zbyt krótki czas na uzupełnianie notatek dotyczących doliny. Postanowił porównywać wszystko, co kiedykolwiek na ten temat napisano lub powiedziano.

Wiosna była w pełni. Kwitły drzewa pomarańczowe, wiciokrzewy i jaśminy, a także pola lucerny i bobu. Upał narastał, cień się kurczył, kurz poszerzał swoje królestwo. Zmęczony Carter odsunął papiery i wybrał się na spacer wzdłuż Nilu.

Od pięciu miesięcy nie widział Raify. Próba rozmowy naraziłaby ją na niebezpieczeństwo. Wciąż o niej myślał i ostatkiem sił walczył z zamiarem wyrwania jej bratu.

I nagle stanęła przy nim. W pierwszej chwili jej nie poznał, bo ubrana była w ostro błękitną suknię, a włosy ukryła pod białą chustą, zasłaniającą pół czoła. Zanim się odezwała, zdradził ją chód.

* Miejscowość w Sudanie.

—Raifa... czemu podjęłaś takie ryzyko?

—Mój brat awansował. Dostał nominację w Asuanie. Howardzie, dziś jest pierwszy dzień wiosny i święto *Cham*

en-nessim, „zapachu morskiej bryzy”. Nie ma lepszej chwili

na spotkanie lub odnalezienie się, jeśli gotów jesteś zapomnieć o pracy.

—Ten ważny temat wymaga namysłu.

Zachwycił go jej uśmiech.

—Przyniosłam ci turban i galabiję.

—Ten strój wydaje mi się niezbyt brytyjski.

— Ale jest bardzo wygodny, gdy się pragnie utonąć w tłumie i przejść niepostrzeżenie. A zresztą... chcę sprawdzić, czy niejaki Howard Carter zechce zmienić swój wygląd, aby dowieść mi swoich uczuć.

Na szczęście w okolicy nie było żadnego zwierciadła, więc nie widział swego dziwnego stroju.

Cham en-nessim budził powszechny zapach. Mieszkańcy miast zalali wsie, całe rodziny wyszły na drogi i rozsiadły się nad brzegami Nilu. Chłopcy i dziewczynki z dumą obnosili nowe kolorowe ubranka i sukienki. Dzieci wchodziły przez otwarte drzwi do domów i w zamian za malowane kolorowane jajka na twardo dostawały gołębia, solone ryby albo pomarańcze. Największe powodzenie mieli sprzedawcy jaśminu i róż. W powietrzu unosił się zapach zaręczyn.

Raifa była czarodziejką. Dzięki niej niemal zapomniał o Dolinie Królów. Zagubiony w radosnym tłumie i szczęśliwy jak dziecko Howard Carter, pozbywszy się zwykłej podejrzliwości, podążał za uroczą przewodniczką. Przypomniała mu, że w odległej przeszłości kraj ten był miejscem uciech i zabaw, gdzie każdy cieszył się życiem.

Kiedy mieszkańcy miasta wyruszyli z powrotem do domów, Raifa nie zwróciła mu wolności, ale zaprowadziła aż do swojej wioski, gdzie wśród zapadającej nocy błyszczało kilka lampionów. Zmęczone dzieci już spały. Weszli do cichego domu.

— Zaczekaj tu na mnie — rozkazała, zostawiając go w miłym pokoju o białych i zielonych ścianach.

Carter poczuł nagle ucisk w gardle. Wprowadziła go do

swoich prywatnych apartamentów, co było poważnym naruszeniem lokalnej moralności. Jak wydostać się z tej pułapki? Nie widząc wyjścia z sytuacji, cierpliwie czekał.

Znów go zdumiała.

Niemal naga, bosa, ubrana tylko w spódnicę do kolan i złote bolero odsłaniające brzuch, trzymała w prawej ręce *darabukę*, tamburyn w kształcie wazy, której dno pokryte było skórą. Pachnąca jaśminem, hamując gorące pożądanie, wyrażała swoją młodość i urodę, wykonując dla niego taniec brzucha, spadek po wyrafinowanej sztuce, która przybyła jedwabnym szlakiem. Bardzo wolno, początkowo prawie niedostrzegalnymi ruchami zataczała koła wokół niewidzialnej osi. Ciało Raify, smukłe i szczupłe odgrywało subtelne wariacje. Łydki nadały rytm, piersi się ożywiły, biodra zadrgały.

Ani na chwilę nie spuściła z niego wzroku, podczas gdy on nie wiedział, co zrobić z oczyma. Ten widok go rozpałił, ale nie zdołał wyznaczyć jej własnej namiętności. Raifa rozpięła

bolero, które spadło na ziemię, i zbliżyła się do niego zmysłowym krokiem. Odrzuciła tamburyn, wzięła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

Powinien był ją odepchnąć, przekonać, że to szaleństwo, nie godzić się na tę przygodę bez wyjścia... ale Raifa była kusząca, miała pachnącą skórę, jej pragnienie było namiętne. Zsunęła spódnicę z bioder. On, niezgrabny, jakby stężał. Pomogła mu, kołysząc biodrami. Naga tańczyła dalej i wciągnęła go w wir pocałunków i pieszczot. Tonąc w jej długich czarnych włosach, pijany zielenią jej oczu, ofiarował jej miłość podobną do wylewu Nilu, który występował z brzegów.

ROZDZIAŁ 19

Tego ranka, dziewiątego marca 1898 roku, Howarda Cartera wyrwała z objęć Raify plotka, która olbrzymiała, przechodząc ze wsi do wsi, aż znalazła się na wszystkich ustach. Podnieconym głosem wioskowy pisarz wyjaśniał gapiom, jak francuski archeolog Victor Loret odkrył właśnie

w Dolinie Królów nienaruszony grób, zawierający sarkofag nieznanego króla.

Okno było zasłonięte firanką, lecz otwarte i Carterowi nie umknęło żadne słowo. Jego młoda kochanka, uśmiechająca się w półśnie, zajęta była innymi rojeniami.

—Gdzie idziesz, Howardzie? Dopiero świta.

—Słońce jest już wysoko, Raifo. Spaliśmy bardzo długo.

—Spaliśmy?

Ucałował ją czule.

—Czy pozwolisz mi odwiedzić pewną mumię?

Ledwie się od niej oddalił, wesołość znikła. Wstrząsnęła nim ta wiadomość. Kiedy dwunastego lutego tenże sam Loret dotarł do pustego sarkofagu egipskiego faraona, Tot-mesa III, Cartera ogarnęło jakieś przeczucie. Ten Francuz mógł prowadzić wykopaliska w dolinie! Co więcej, szczęście zdawało mu się sprzyjać... Czy przypadkiem nie natrafił na grobowiec Tutenchamona?

Kiedy Carter zjawił się na miejscu znaleziska, którego pilnowało około tuzina *gaffirów*, Loret wyruszył już do Luksoru. Anglik chciał go zapytać o szczegóły cudu, który wyrwał ciemnościom. Ponieważ go nie zastał, pozostało mu tylko przekonać cerberów, by pozwolili mu wejść do kryjącej skarb jaskini.

Wszyscy oni znali Cartera, więc zadanie okazało się łatwe i szybko uzyskał ich zgodę. Pokonawszy szczyrbę wybitą w zamurowanych drzwiach, ruszył dalej w świetle latarki. Światło było tak słabe, że omal nie wpadł w szeroką i głęboką studnię. Musiał wyjść na zewnątrz i poprosić o drabinę. Położywszy ją na wielkiej dziurze, uzyskał rodzaj kładki, która pozwoliła mu pokonać przeszkodę. Niecierpliw po-suwał się szybko ku komnacie sarkofagu.

Sarkofag znajdował się na swoim miejscu.

Pełen uszanowania podszedł bliżej, przerażony możliwością spotkania z faraonem, który prześladował go, odkąd przybył na ziemię bogów.

Król spoczywał wewnątrz sarkofagu. Na jego głowie leżał bukiet kwiatów, u stóp wieniec z liści. Był to pierwszy

przypadek, że jakiś poszukiwacz wskrzeszał egipskiego monarchę w miejscu, gdzie ten żył w wieczności dzięki rytuałom.

A odkrywcą nie był Howard Carter.

Zamknawszy oczy i szybko oddychając, próbował się skupić. Po co oddać chwilę, w której przyjdzie mu odczytać inskrypcje i poznać imię faraona? Nigdy nie uciekał przed rzeczywistością. Ponieważ marzenie przysło, chciał przynajmniej oddać hołd Tutenchamonowi.

Zbliżył latarkę do sarkofagu i odszukał fatalną inskrypcję. Przeczytał „Amon”... ale nie Tutenchamon! Mumia, sarkofag i grobowiec należały do Amenhotepa II, władcy, którego rozslawiły wyczyny w strzelaniu z łuku i wiosłowaniu!

Uspokojony i uradowany jak chłopiec, który zwyciężył w grze, dłuższy czas siedział na zakurzonej posadzce grobowca. Klęska zmieniała się w zwycięstwo. Loret dowiedział, że w dolinie były jeszcze nienaruszone grobowce... Carter czuł i wiedział, że wśród nich jest też grobowiec Tutenchamona!

Latarka oświetliła wejście do innej komnaty. Wewnątrz było aż dziewięć królewskich mumii! Znowu ogarnął go niepokój. Czyjego król nie jest przypadkiem jednym z mieszkańców tej nowej kryjówki?

Każda z szacownych relikwii zdradziła mu swoje imię. Na szczęście nie było wśród nich Tutenchamona!

Posunawszy bardzo prace w Deir el-Bahari, Carter spędzał swój wolny czas, badając osadę Deir el-Medina, tuż obok Doliny Królów. W tej wiosce żyli ongiś rzemieślnicy, którzy w największej tajemnicy budowali i ozdabiali królewskie grobowce. Społeczność ta korzystała ze szczególnego statusu prawnego i podporządkowana była bezpośrednio wezyrowi, premierowi faraona.

Co zostało z Deir el-Mediny? Świątynia, fundamenty domów i zarysy ulic, a także groby kamieniarzy, malarzy i rysowników. Z olbrzymiej fosy wydobyto tysiące kawałów wapienia, który służył czeladnikom do wstępnych prac rzeźbiarskich.

Przechodząc przez główny plac wsi, obok studni, do której kobiety chodziły po wodę, Carter wyobrażał sobie, jakie ożywienie panowało tu trzy i pół tysiąca lat temu. Rzemieślnicy opuszczali tę przystań spokoju, otoczoną samotnością i obszarami pustynnymi, gdzie krążyły hieny, by drogą wzdłuż przełęczy dotrzeć do Doliny Królów. Pracownicy kamieniołomów, kamieniarze, malarze, rzeźbiarze i rysownicy w połowie drogi chętnie odpoczywali w prostych chatkach, zanim wrócili do domów, na „plac prawdy”, zgodnie z egipską nazwą Deir el-Medina.

Wysokie pionowe ściany, skały, piasek, milczący amfiteatr czyniły to miejsce surowym. W ciepłym powietrzu unosił się jeszcze zapach budowniczych. Z dala od ludzi swoich czasów, Carter czuł się bliski tym istotom, których dusze przetrwały dzięki doskonałości ich dzieł. Jeden z nich wydrążył grobowiec Tutenchamona. Może wykuł także jakiś tekst lub zostawił jakąś wskazówkę, która mogłaby naprowadzić go na właściwą drogę? Oto dlatego od kilku miesięcy badał każdą powierzchnię i każdy kamień.

Gdy opuszczał grobowiec majstra Sennedzema, który na ściennym malowidle żął wraz z małżonką zboże w rajach zaświatów, natknął się na małego korpulentnego mężczyznę, wąsatego i łysego, o pulchnych dłoniach i twardym spojrzeniu zza okrągłych szkieł okularów. Ubrany był z europejska z rzucającą się w oczy elegancją.

—Howard Carter?

—Nie mam przyjemności znać pana.

—Gaston Maspero, dyrektor nowego Urzędu do spraw Zabytków.

Carterowi wypadł z rąk ołówek i blok rysunkowy. Zupełnie nieoczekiwanie spotykał papieża egiptologii, odkrywcę *Tekstów Piramid*, badacza Abydos, Sakkary, Karnaku, Edfu, detektywa, który ujawnił kryjówkę Deir el-Bahari, autora *Historii dawnych ludów klasycznego Wschodu*, profesora paryskiego College de France (został nim w wieku dwudziestu siedmiu lat), słowem erudyte, któremu oddawali cześć badacze całego świata.

Nie mieli racji. Choć długi czas kierował stałą misją

w Kairze, Maspero opuścił Egipt, by pokierować własną karierą. On, Carter, nigdy stąd nie wyjedzie.

—A więc pan wrócił... Na jak długo?

—Drogi panie, z moich pięćdziesięciu trzech lat życia i czterdziestu lat egiptologii jest jeden pożytek: znajomość ludzi i tego terenu. Dzisiaj mam władzę, jakiej przedtem mi

odmawiano, i nie pozwolę się jej pozbawić.

—Gratuluje nominacji, panie dyrektorze.

Stojąc w rozkroku z założonymi z tyłu rękoma, Carter musiał przypominać studenta czekającego na wyrok egzaminatorów.

Maspero zdjął okulary i przecierał szkła cienką chusteczką.

—Sytuacja nie jest jednak łatwa. Kitchener i Anglia położyli łapę na Sudanie, a Mustafa Kamil i Partia Narodo-

wa żądają wycofania się Anglików.

—To zwykła prowokacja pozbawiona przyszłości.

—Egipt liczy dziś siedem milionów mieszkańców w porównaniu z trzema w roku tysiąc osiemset dwudziestym. Rodziny płodzą coraz więcej dzieci, aby je posyłać do pracy

na polach bawełny. Jutro staną się one patriotami i będą żądać niepodległości.

—Czyżby gniewał się pan na Anglię?

—Przeciwnie! Żeby nic przed panem nie ukryć, właśnie brytyjski konsul generalny, lord Cromer, bardzo popierał moją nominację.

—Więc Loret...

—Mój poprzednik, choć Francuz, był kiepskim archeologiem. Oczywiście bardzo się starał i dokonał kilku interesujących odkryć.

—Czy właśnie nie odsłonił grobowca Totmesa Pierwszego, najstarszego w dolinie?

Maspero skwitował ten argument machnięciem ręki.

—Loret szuka szybko, niczego nie fotografuje, prowadzi nieczytelne zapiski. Ale są i ważniejsze sprawy, panie Carter. „Groby Loreta" są otwarte. Każdy może tam wejść. Odwiedza je mnóstwo ludzi. Zbyt wielu. Podobno niektóre przedmioty zaginęły podczas nielegalnych transakcji. Angielscy i niemieccy archeolodzy użyli terminu „przemyt" i bardzo

krytykowali Loreta wobec władz. Dlatego odwołano się do mnie. Ponieważ przyjęto moje warunki moralne, finansowe i materialne, biorę sprawy w swoje ręce, nawet jeśli mój rodak jest niesprawiedliwie oskarżany.

—„Sprawy”... Chce pan powiedzieć: wszystkie miejsca?

—Wszystkie miejsca, podzielone na pięć administracyjnych okręgów, które będą zarządzane z wielką starannością

przez pięciu inspektorów generalnych, wspomaganych przez

inspektorów lokalnych i zwiększoną liczbę strażników. Sto-

warzyszenia naukowe, instytuty i zamożni ludzie otrzymy-

wać będą pozwolenie na prowadzenie wykopalisk, jeśli uznam je za właściwe w porozumieniu z

międzynarodowym

komitetem konsultacyjnym.

—Konsultacyjnym...

—Dobrze łapie pan niuanse. Władzą wykonawczą, jedyną, która się liczy, jestem ja. Już był czas przywrócić porządek w tym bałaganie. Ile pan ma lat, Carter?

—Dwadzieścia sześć.

—Od jak dawna pracuje pan w Egipcie?

—Niebawem będzie dziewięć.

—Mówi pan po arabsku?

—Kilkoma dialektami.

Maspero, nareszcie usatysfakcjonowany czystością swoich szkielec, włożył okulary.

—Więc plotki, które o panu krążą, są prawdziwe. Niektórzy twierdzą także, że region Teb nie ma dla pana tajemnic.

—To, niestety, przesadzona opinia. Chciałbym, żeby była prawdziwa.

—A na dodatek skromny... ale to panu przejdzie. Panie Carter, mianuję pana inspektorem generalnym Górnego Egiptu i Nubii. Jego zadaniem jest opieka nad zabytkami. Pańska siedziba administracyjna będzie w Luksorze. Oczy-

wicie wymagam regularnych raportów.

Gaston Maspero udał, że odchodzi, ale przystanął i odwrócił się.

— Ach, byłbym zapomniał... Człowiek na pańskim stanowisku musi być dużo lepiej ubrany. Ma pan niemilgą

skłonność do ześlizgiwania się w stronę tubylczej mody. Trzeba to natychmiast poprawić, bo funkcję obejmuje pan od dzisiaj.

ROZDZIAŁ 20

Lord Carnarvon był najszcześniejszym z ludzi. Mając trzydzieści cztery lata, był bogatym, cenionym i fetowanym arystokratą, niebawem ojcem drugiego dziecka. Zręcznie administrując, obserwował, jak rosły jego rachunki bankowe, i nie wiedział co to kłopoty codzienności. Chętnie opowiadał, że życie to rodzaj sportu, w którym zwycięża zręczniejszy, jeśli potrafi docenić zarówno obraz mistrza, jak wygląd konia wyścigowego. Wyłowienie antycznego przedmiotu z brązu w jaskini antykwariusza podniecało go w równej mierze, co tradycyjnie przeprowadzone polowanie na lisa.

Członek Jockey Club Carnarvon spędzał długie dni, zajmując się jedną z najwytworniejszych angielskich stajni wyścigowych. Z czasem jednak zwycięzcę licznych wyścigów zaczął nudzić ten nadmiar sukcesów. Samoświadomość odzyskiwała swoje prawa. Szczęśliwy był tylko na zewnątrz. Jeszcze udawało mu się zatonać w jakiejś namiętności, ale gdy tylko ta słabła, ogarniała go nuda.

Automobil, szybkość, uderzający w twarz pęd powietrza, mile przesuwające się pod kołami, piękne proste linie, jakich dostarczał akcelerator, zakręty ujawniające mistrzostwo pilotującego... oto jego nowe upojenia. We Francji kupił pierwsze bolidy, zanim jeszcze zainteresowała się nimi Anglia. Podczas pierwszej przejażdżki wyprzedzać go musiał pieszy niosący czerwony sztandar. W roku rozpoczynającym dwudziesty wiek mechanika szybko się rozwijała, zmuszając właściciela Highclere do częstych zmian wozów. Zawsze rozsądny, choć uwielbiający ryzyko Carnarvon zapewnił sobie usługi zawodowego kierowcy, Edwarda Trotmana, z którym dzielił się prowadzeniem wozów. Gdy czuł się zmęczony, unikał kierownicy.

Tego ranka, na niemieckiej drodze prowadzącej do Schwal-

bach, gdzie miał się spotkać z żoną, arystokrata był w doskonałej formie. Siedzący obok niego szofer miał ostry katar.

—Wyleczy cię świeże powietrze, Edwardzie. Żaden zarazek mu się nie oprze.

—Oby tak było, milordzie. Oczy mi łzawią i nie czuję się na siłach prowadzić. Ale pan przecież bardzo późno się położył.

—Przyjęcie było śmiertelnie nudne. Jakiś wiedeński profesor przedstawiał teorię niejakiego Freuda, autora niedawno wydanej książki o interpretacji snów. To jest nie tylko niedorzeczne, ale także szkodliwe. Jeśli część uniwersyteckich idiotów albo ludzi łatwowiernych propaguje takie teorie, rozprzestrzenia się one jak dżuma, której świat pozbędzie się z trudem. Ten Freud to prawdziwy koszmarnik.

—Proszę uważać, milordzie. Ta droga składa się z samych zakrętów.

—Masz rację, Edwardzie, uważam. Zakręty to przyczyna wszystkich znanych dotąd wypadków. Czy wiesz, co mi zaproponował pewien turecki miliarder? Żebym kupił pola

bawełny w Egipcie! Ponoć właściciele ziemscy zbijają tam fortuny, zakładają olbrzymie majątki kosztem drobnych rolników, których doprowadzają do nędzy lub zmuszają do

opuszczenia małego kawałka ziemi i tłoczenia się w Kairze.

Nasza epoka wariuje, żyjemy na kotle czarownic. On nam w końcu wybuchnie prosto w twarz.

Edward Trotman kichnął. Katar tak dalece zakorkował mu umysł, że był daleki od wszelkich planetarnych wizji. Carnarvon skupił się na prowadzeniu. Szosa była śliska od mgieł i opadów. Nie mógł jednak zapomnieć o niedawnej rozmowie z nowym wysłannikiem brytyjskiego rządu. Proponowano mu już nie rolę dobrowolnego agenta, lecz oficjalnego specjalisty od spraw Wschodu i rozpoczęcie obiecującej kariery politycznej. Ministerstwo Spraw Zagranicznych potrzebowało kogoś takiego jak on. Może zmieni się to w nową

namiętność, gdy już znudzi mu się automobil.

Carnarvon z przesadną szybkością minął szczyt wzgórza. Edwarda Trotmana wyrzuciło z jego siedzenia i uczył się ramienia lorda, by odzyskać równowagę.

—Proszę wybaczyć, milordzie.

—To ja powinien cię przeprosić, Edwardzie. Zwalniam.

Kolejne wiraje zmusiły kierowcę do ostrożności. Wreszcie długa prosta pozwoliła mu wyzwolić energię silnika.

— Ten wóz się wlecze, należałoby...

Nie skończył zdania. Z polnej między wyjechały dwa wozy ciągnięte przez woły i przecięły szosę, nie bacząc na sunącą nią automobil. Nie mając już wystarczającej drogi hamowania, Carnarvon skręcił, wypadł z drogi i wjechał na wzgórze. Jedna z opon pękła. Trotmana na szczęście wyrzuciło na zewnątrz, ale pojazd, wpadając w błotnisty rów, przewrócił się na Carnarvona.

Trotman zawdzięczał ocalenie grubemu płaszczowi, który zamortyzował uderzenie. Nie zajmując się ewentualnymi własnymi ranami, podbiegł ratować szefa. Z przerażeniem stwierdził, że głowa Carnarvona tkwi w błocie. Sam nie mógł ruszyć wozu i wyrwać hrabiego od śmierci w bagnie.

Krzycząc, ruszył przed siebie. Wieśniacy, którzy spowodowali wypadek, znieruchomieli na środku drogi.

—Chodźcie szybko! Potrzebuję pomocy.

Dwóch uciekło.

—Jeśli nie przyjdziecie, oskarżę was o zbrodnię!

Niemcy nie rozumieli, co mówi Anglik, ale groźny ton sprawił, że podeszli bliżej.

Twarz Carnarvona była nie do poznania. Trotman wyrwał wiadro z wodą jednemu z wieśniaków i wylał jej trochę na nos i wargi ofiary wypadku, zmywając błoto. Potem nakazał Niemcom popchnąć auto. Ponieważ chłopci opierali się, rozwścieczony Trotman chwycił jednego z nich za kołnierz i zmusił do pomocy. Przyłączył się do nich drugi, a trzeci, pojmując nareszcie powagę sytuacji, pobiegł po pomoc.

Pojazd był ciężki. Zrazu w ogóle nie mogli go ruszyć. Pod wpływem rozjuszonego Anglika wieśniacy wyteżyli ostatnie siły. Wreszcie metalowy szkielet drgnął.

— Pchajcie, na świętego Jerzego!

Carnarvon został uwolniony, ale już nie oddychał. Chwycając go pod ramiona, Trotman wydobył go spod jego całunu.

— Niech pan coś powie, milordzie. Błagam, chociaż słówko! Błagam!

Szofer ułożył swego pana na wzgórzu.

— Wody, jeszcze wody... *Wasser, bitte!*

Trotman wylał zawartość wiadra na głowę Carnarvona. Lodowata ciecz wywołała pewną reakcję. Powieki hrabiego uniosły się, wargi zadrżały i odzyskał przytomność.

— Żyje! Mój pan żyje!

Carnarvon miał błędny wzrok, ale bardzo słabym głosem zdołał zadać pytanie, które zdumiało szofera:

— Czy zabiłem kogoś?

Trotman nie zdążył odpowiedzieć, bo hrabia stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 21

Ubranie w prążki z kamizelką, motylek w groszki i biała chusteczka w kieszeni, kapelusz z szerokim rondem i czarna wstążką, cygarniczka oraz białe płócienne buty — Howard Carter upodobił się do prawdziwego inspektora, który spełnia wymagania najlepszej brytyjskiej tradycji oraz Gastona Maspero.

Tak ubrany bez trudu narzucał swoją władzę na terenach różnych wykopalisk, za które odpowiadał.

Był zadowolony z tego awansu. Biegał od Edfu do Kom Ombo, od Abu-Simbel do Luksoru, od Bl-Kab do Hermon-tis. Jak nie zachwycać się tą liczbą świątyń, płaskorzeźb i posągów, które trzeba chronić, jak nie mieć ochoty na odrzucanie ton piasku, by odsłonić nowe monumenty? Włas-

ne myśli prowadziły go jednak zawsze do Doliny Królów, znajdującej się teraz pod jego kontrolą. Niestety, nie mógł poświęcać jej całego czasu. Nie zgodziłby się na to Maspero, niezbyt zainteresowany miejscem uznanym za wyczerpane.

Wykorzystując argument odkryć Loreta, Carter zdołał jednak wzbudzić zainteresowanie szefa, który przystał na rutynowe odwiedziny doliny.

— Czy grobowiec królowej Hatszepsut nie jest pasjonujący?

— Owszem, ciekawy, ale pusty. Grobowiec bez przed-

miotów i skarbu... to jak stara uwodzicielka, zwiędła i bez wdzięku.

—Jestem przekonany, że są tu jeszcze ukryte cuda.

—To marzenia, Carter. Dolina jest już tylko pustką.

—Chciałbym pokierować wielkimi wykopaliskami.

—Urząd do spraw Zabytków jest biedny — zaoponował Maspero. — Mój budżet jest już zatwierdzony. Fundusze przydzielono na utrzymanie znanych zabytków.

—Jestem pewien...

—Wystarczy. Jeśli pan chce prowadzić wykopaliska, musi się pan wzbogacić, a potem zatrudnić setkę robotników

i wydać kilka tysięcy funtów szterlingów. Może pan to zrobić?

Wściekły Carter zagryzł wargi.

—Moją jedyną fortuną jest pensja, którą mi pan wypłaca.

—To niech pan ją przynajmniej zachowa i zapomni o tym złowrogim miejscu. Dolina jest martwa. Niech się pan tam nie zagrzebie.

Rankiem Luksor ma zapach kawy i jaśminu. W świetlistej ciszy różowa góra na zachodnim brzegu i świat bogów miesza się ze światem ludzi. Wschodzące słońce zastało Cartera u stóp małego meczetu, otoczonego krzakami róż i hibiskusów. Wewnątrz jakiś starzec czytał Koran. Ptaki piły wodę z korytka umieszczonego przed ozdobionym marmurem i mozaikami wejściem.

Ubrana po europejsku Raifa zatrzymała się metr przed kochankiem.

—Czemu właśnie tutaj wyznaczyłaś mi spotkanie?

—Jest pan imponujący, panie inspektorze. Wołałam cię w skromniejszym stroju, ale i do tego się przyzwyczaję.

—Nie mam wyboru.

—Czyżbyś chciał mnie poświęcić na rzecz swoich nowych funkcji?

—Raifo... — Na środku ulicy nie mógł wziąć ją w ramiona i przytulić. — Musisz mnie torturować?

—A nie zasługujesz na to? Mój brat mieszka w Keni, ty zrobiłeś się kimś ważnym, oboje jesteśmy wolni, a w ogóle

się nie widujemy. Howardzie, jeśli twoją kochanką stała się praca, oddałę ją. Kocham cię i chcę cię poślubić.

Nie zdziwił go ten zamiar. Trochę się go lękał, ale zarazem pragnął.

—Ty jesteś Egipcjanką, ja Anglikiem.

—Istnieje rozwiązanie: przejdź na islam. Spójrz na ten meczet. Uosabia pokój i pogodę ducha.

—To prawda, ale...

—Musisz dopełnić tylko pięciu zobowiązań: wyznanie wiary w jedyne Boga, codzienne modlitwy, miłosierdzie, post i pielgrzymka do Mekki. Przystajesz na to, Howardzie?

W jej oczach błysnęła szalona nadzieja.

—Muszę się zastanowić.

—Rozumiem, Howardzie. Bóg jest największy, sławię jego doskonałość. Na pewno cię oświeci.

—Pragnę tego.

Gaston Maspero uderzył pięścią w biurko.

—To prawdziwy skandal, panie Carter! Chcę znać prawdę.

—Czy nie jest pan zadowolony z moich raportów, panie dyrektorze?

—Są precyzyjne, treściwe i coraz lepsze. Jeśli tak będzie nadal, niebawem stanie się pan najlepszym z moich inspektorów.

—Okazę się godny pańskiego zaufania.

—Pod warunkiem, że położysz pan kres swoim wybrykom!

—Całe życie poświęcam pracy.

—Bardzo bym tego chciał! Jest pan człowiekiem młodym, pełnym ognia... Życie w samotności byłoby błędem. Luksor

pełen jest uroczych Europejek, z którymi mógłby się pan spotykać...

—Moja praca...

Twarz Maspero stała się purpurowa.

—Ale ona nie przeszkadza panu odwiedzać niejkiej Raify!

Carter, równie czerwony jak jego rozmówca, nie cofnął się przed atakiem.

—Kto mnie zdradził?

—Przecież wszyscy o tym wiedzą! W małym europejskim światku Luksoru stał się pan i pośmiewiskiem, i hańbą... Tym bardziej że ten nieszczęsny projekt prowadzi wprost do upodlenia.

—Do czego to aluzja?

—Nie udawaj pan osła! Pańska „narzeczona” rozpowiada wszędzie, że jest pan zdecydowany przejść na islam.

Wyprostowany, ze skupionym wzrokiem, Carter i temu stawiał czoło.

—Taka jest cena małżeństwa.

—Nie będzie małżeństwa. Pańskie przejście na islam byłoby największą niedorzecznością. Muzułmanie pana nie

zaakceptują, a Europejczycy odrzucają. Tę kobietę zmuszą, by pana opuściła, a pan straci pracę... co mówię, powołanie!

Posłuchaj mnie, Howardzie: religie demoralizują człowieka.

Wyrzucono mnie z Ecole Normale Superieure, bo stanąłem

po stronie Sainte-Beuve'a, wolnej myśli i wolnych egzami-

nów. Potem znów mnie tam przyjęto i nie przestałem walczyć

o to, by uwolnić naukę od duszącego ją jarzma wierzeń. Nie

pograżaj się z powodu szaleństw młodości!

—Raifa pragnie uczynić nasz związek oficjalnym. Pomogła mi poznać ten kraj, jego język i zwyczaje. W znacznej

mierze jej właśnie zawdzięczam sukces.

—Niepoprawny romantyzm! Człowiek zawdzięcza powodzenie tylko własnemu talentowi i własnym zdolnościom jak najlepszemu wykorzystania okoliczności. Już cię dobrze poznałem, mój chłopcze. Jeśli ci się uda, nikt ci nie

będzie za to wdzięczny. Twój nieustępliwy charakter i iry-

tujące przywiązanie do ścisłości budzić będą tylko zazdrość i zawiść.

—*Mektub.*

Ten duch muzułmańskiego fatalizmu nie rozbawił Maspero.

—To zakończona historia.

—Myślę, że nie, panie dyrektorze. Zdradzić miłość kobiety to rzecz niegodna, na którą nie mogę przystać.

Spojrzenie za okrągłymi szklami okularów stało się lodowate.

— Pierwszą zaletą uczonego jest zgoda na rzeczywistość.

Nie zna pan zresztą najważniejszego faktu: brat Raify wrócił właśnie do Luksoru. Jego siostra przysłała mi list, w którym prosi o interwencję w określonym kierunku: żeby ją pan przestał niepokoić. Inaczej jej brat złoży skargę.

—Chcę przeczytać ten dokument.

Maspero podał mu list.

—Ten tekst został napisany pod przymusem... to jasne!

— Nieważne. Kładzie on kres niewłaściwemu związkowi. Teraz, panie inspektorze, proszę wracać do pracy. Zabytki potrzebują pana. One będą trwać znacznie dłużej niż ta Egipcjanka.

ROZDZIAŁ 22

— Chcę znać prawdę — zażądał lord Carnarvon.

Chirurg zawahał się.

—Uratowano pana, panie hrabio. Czy to nie najważniejsze?

—Nie. Wydaje mi się, że nie straciłem zimnej krwi, i pragnę, aby pan ją też zachował.

Carnarvon raz jeszcze przeżywał chwilę, gdy w obozowisku w pobliżu miejsca wypadku znowu otworzył oczy w obecności małżonki, szofera i kilku lekarzy. Niestety, jego widzenie było nieostre. Kilka minut później wszystko pokrył czarny woal.

—Czy jestem nieodwracalnie ślepy?

—Nie sędzę, panie hrabio.

—Moje rany?

—Poparzone nogi, złamania szczęk, wciśnięta klatka piersiowa, najróżniejsze wstrząsy i kontuzje. Ciężkie.

—W jakim stopniu?

—Niebagatelnym.

—Kiedy będę mógł chodzić?

—Za dwa czy trzy miesiące... Ale o lasce.

—Biegać?

—Z tego trzeba będzie zrezygnować.

Carnarvon nie będzie już pływał i nie wypłynie na oceany w poszukiwaniu nieosiągalnej wolności.

- Czuję okropny ból w rękach.
—Są zwichnięte. Ale odzyska pan pełną sprawność.
Jednak...
—Proszę mówić dalej.
—Wymagać to będzie kilku operacji. Potrzebna jest panu odwaga i cierpliwość, panie hrabio.

Park Highclere zieleniał w słabym wiosennym słońcu. Carnarvon próbował grać w golfa, codziennie przedłużając wytyczoną drogę. Odkąd odzyskał zdolność widzenia, łatwiej walczył z przeciwnościami. Zirytowany brakiem energii wrócił do zamku.

Na progu oczekiwała go Almina.

—Nie rezygnuj, kochany. Trzeba żyć. Dla mnie, dla syna i naszej nowo narodzonej córki.

—Jestem zmęczony.

—Rehabilitacja będzie długa. Twój lekarz...

—To kłamca, jak wszyscy lekarze. Moja rehabilitacja nie skończy się nigdy. Będę cierpieł do końca moich dni.

Almina czule spojrzała na męża i ucałowała jego rękę.

—Może masz rację, ale dla mnie to nieważne.

—Czy można kochać kalekę?

—Nie jesteś kaleką.

—Nawet twoja czułość nie zmieni rzeczywistości. Chodzę z trudem, męczą mnie śmieszne wysiłki, moja przeszłość była ciągiem absurdów, a nie mam już przyszłości. Nie sądzisz, że to smutny bilans?

—Ale niedokładny, milordzie. Zebranych doświadczeń nie da się zastąpić, rodzina cię uwielbia, a twoje pierwsze fotografie dowodzą prawdziwego talentu.

Carnarvon ożywił się.

—Naprawdę są udane?

—Sam musisz to stwierdzić.

Najszybciej jak mógł Carnarvon udał się do ciemni urządzonych w jednym ze skrzydeł zamku. Jego nowa pasja, fotografia, wymagała dokładności, do której sam sobie wydawał się niezdolny. Po pierwszych niezbyt udanych próbach wahał się, czy próbować dalej. Ostatnią serię uznał

za poprawną: wyrazistość, kadrowanie, kompozycja czyniły nieśmiertelnym park Highclere.

— Zatem będziemy fotografować — mruknął pod nosem.

Listy napływały z całego świata. Oficjalne organizacje i koła amatorów gratulowały mu tych zdjęć i sławiły go w całej Anglii. Jutro Carnarvon będzie fotografem o uznanym talencie.

— Milordzie, ma pan spotkanie.

Carnarvon zawahał się. Nie powinien był przystać na tę wizytę. Gościa przyjął w bibliotece, siedząc na fotelu Napoleona I. Mężczyzna w czarnym ubraniu pozdrowił pana zamku.

—Czyżby Londyn pamiętał jeszcze o arystokracji po wypadku?

—Doskonale powraca pan do zdrowia, hrabio. Pańskie nieszczęścia to już przeszłość. Większość członków rządu czeka na pańskie wejście do polityki.

Carnarvon wstał i wyrecytował prawie pięćdziesiąt wersów z *Makbeta*. Jego rozmówca trwał nieporuszony.

—Doceniam Szekspira, ale...

—Czy pan uważnie mnie słuchał?

—Mam nadzieję.

—W takim razie musiał pan zauważyć.

—Nie rozumiem.

Carnarvon odwrócił się plecami do wysłannika rządu.

—Pańska dyskrecja przynosi panu zaszczyt, ale jest zbyt cenna. Następstwem rany mojej szczęki jest wada wymowy, którą mogą znieść jedynie moi bliscy. Czy pan wyobraża sobie mnie, jak wygłaszam przemówienie, wywołując wybuchy śmiechu? Humoryści natychmiast zaczę-

liby ze mnie drwić i cała moja kariera zakończyłaby się na samym wstępie.

—Myli się pan, hrabio. Ta wada istnieje tylko w pańskiej wyobraźni.

—Nie należy schlebiać poniżonemu człowiekowi.

—Pan nim nie jest. Pańska odwaga wzbudziła ogólny

podziw. Człowiek pańskiej klasy stanie się
pierwszorzędnym
przywódcą.

—Akceptuję niepowodzenie, ale nie śmieszność.

—Niech pan pozwoli przedstawić sobie plan, który moi
przyjaciele i ja sam przygotowaliśmy na pańskie wybory.

—Zbyteczne. Nie pragnę żadnego mandatu.

—To bez sensu! Przecież nie zakopie się pan tutaj i...

—Mój los nie należy do rządu Jego Królewskiej Mości.

Nasze spotkanie jest skończone.

Być niepotrzebnym i stać się jeszcze mniej potrzebnym...
Carnarvon wracał do tej myśli, której nie mogła odegnąć
ani tkliwość dzieci, ani miłość małżonki, ani oddanie służby.
Cierpiał na straszliwe bóle głowy, a spokój odnajdywał
jedynie w sercu swego majątku, pod libańskimi cedrami.
Tak trudno mu się było skupić, że często musiał przerywać
czytanie lub zajęcia fotografa. Podczas posiłków zapadał
w niekończące się milczenie, jakby nieobecny był nie tylko
w rozmowie, ale w samym sobie.

Mając trzydzieści cztery lata, błyskotliwy lord Carnarvon
był człowiekiem skończonym. Im bardziej mu pomagano,
tym bardziej sobą gardził. Uzależnienie od czułości bliskich
albo od zwykłej laski stawało się dla niego piekłem. Gdyby
samobójstwo nie było tak strasliwym wykroczeniem prze-
ciwko smakowi, byłby je popełnił.

Najlepszymi terapeutami okazały się jego psy. Wierne
w danej chwili i zawsze, uważne na najdrobniejszy gest,
żądały od niego tylko obecności i długich spacerów u jego
boku. Nauczył się znosić własne cierpienia i już nie żałował
utraconego zdrowia. Życie przestało być takie szare, a roz-
pacz taka gęsta. Ale jak zaprzeczyć, że horyzont się skurczył?
Awanturnik czuł jednak, że w niebie otworzy się jakaś
brama, pojawi się inna droga. I do tego powinien zacząć się
przygotowywać.

ROZDZIAŁ 23

Biuro Cartera w Gurna ani duże, ani luksusowe, i tak było niezwykłym sukcesem. Dawało możliwość ustalenia planu poszukiwań w ciągu kilku lat, planu, w który włączona była jego ukochana Dolina Królów.

W głębi prostokątnego lokalu, gdzie królowały dwa wentylatory, przyjmował niewielu interesantów, wolał bowiem uczone prace od nieznośnych petentów. Swoim trzem pracownikom, pochodzącym z sąsiedniej miejscowości, nakazał

odsyłać natrętów. Dlatego też ławki ustawione pod dwoma długimi murami najczęściej były puste.

Jakże łatwo było przeszukiwać dolinę z pomocą mapy i ołówka! Carter miał ochotę kopać w dziesięciu różnych miejscach i przewidywał zatrudnienie kilkuset robotników, których radosne śpiewy poprzedzałyby odkrycie. Niestety, brakło mu tych tysięcy funtów szterlingów, bez których nie można było rozpocząć pracy.

—Dwaj pańscy rodacy pragną się z panem spotkać, panie inspektorze.

—Jak się nazywają?

—Odmawiają podania nazwisk i twierdzą, że są w posiadaniu informacji, które niezwykle pana zainteresują.

Ciekawość kazała mu ich przyjąć. Obaj Anglicy byli dojrzałymi mężczyznami o pooranych zmarszczkami twarzach. Gotów był przysiąc, że to bracia.

—Rezydujemy w Luksorze — oświadczył pierwszy — i zafascynowała nas Dolina Królów. Dlatego chcielibyśmy

uzyskać pozwolenia na prowadzenie poszukiwań.

—Panowie wspominaliście o jakichś informacjach...

—Najpierw pozwolenie.

— Jesteście archeologami?

Teraz wkroczył drugi.

—Pracowaliśmy z Loretem. To powinno panu wystarczyć.

—A nie organizujecie przypadkiem pokątnego handlu starożytnościami?

—To nie jest nielegalne.

—Obecnie już jest. Jako inspektor tego regionu potępiam

podobne praktyki i doprowadzę do skazania tych, co je uprawiają.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i chcieli się wycofywać.

—Nie odchodźcie tak szybko, panowie. Jakie to informacje?

—Pomyliliśmy się. Myśleliśmy...

— Albo zaczniecie mówić, albo zostaniecie oskarżeni.

Zatrzymali się.

— Pomogę wam, panowie. Skoro pragniecie uzyskać pozwolenie na prowadzenie wykopalisk, widać znacie już miejsce, w którym należy zacząć kopać. Przypuszczam, że Loret odnalazł wejście do jakiegoś grobowca. Dowiedział się o swoim zwolnieniu, wołał je zasypać.

Żaden nie zaprotestował. Uwaga Cartera była trafna.

— Oto mapa Doliny Królów. Proszę wskazać to miejsce i wyjść.

Liczni robotnicy zebrali się u wejścia do doliny, tknięci jakimś przecuciem. Kierowani odwiecznym instynktem mobilizowali się, gdy coś się miało wydarzyć.

—Poszukajcie szefa strażników — rozkazał Carter.

Przepychając się przez tłum, podszedł *reis*.

—Ahmed Girigar! Awansowałeś.

—Tak jak i pan, panie Carter. Bardzo się cieszę, że mogę z panem pracować.

—Ja też.

—Kiedy zaczynamy?

— Zaraz. Potrzebuję ludzi z doświadczeniem.

Ahmed Girigar wybrał najlepszych. Spokojnie wydał polecenia, które natychmiast wykonano.

Ruszyli w stronę skał. Carter szedł na czele, chcąc jak najszybciej dotrzeć do nieznanego grobowca.

Praca była szybka i łatwa. Mało wielkich kamiennych bloków, tylko żwir, piasek i... wnęka! Otwierała się na dosyć

szerokie schody w doskonałym stanie. Nie było żadnego napisu z nazwiskiem właściciela. Ledwie Carter wkroczył do

prostego i wysokiego korytarza — a za nim Ahmed Girigar — zorientował się, że grobowiec został zrabowany. Owiał

na komnata grobowa była dziełem wybitnym, choć pozbawiony wszelkich inskrypcji sarkofag nie został ukończony.

Carter przykląkł i podniósł z ziemi rozetkę.

— Popatrz, Ahmedzie. Ona pochodzi ze złotego wisiorka inkrustowanego szlachetnymi kamieniami. Boginie, które malowałem w Deir el-Bahari, miały podobne.

Grobowiec ten, jak wiele innych, musiał zawierać bajeczne bogactwa. Pozostało jedynie kilka skromnych relikwii z nazwiskiem burmistrza Teb, Sennefera i jego małżonki. Carter oznaczył numerem 42 ich ostatnie domostwo.

Dwaj uczeni delektowali się pieczonymi gołąbkami w typowej restauracji w Luksorze. Pierwszy był Francuzem, drugi Anglikiem. Zarówno dla jednego jak i dla drugiego egiptologia w terenie stanowiła tylko etap. Kariery miały ich doprowadzić do stanowisk profesorów w Paryżu i Londynie, z dala od kraju, którego nie lubili.

— Czytał pan ostatni tom *Roczników* Urzędu do spraw Zabytków? — zapytał Francuz.

— Ten Carter, choć mój rodak, zaczyna mnie irytować.

— Nie tylko pana. Zniechęca do siebie wspólnotę uczonych. Cóż za niestosowny pomysł... Publikować ten grobowiec numer czterdzieści dwa, w którym nie ma najmniejszego skarbu!

— Jeśli mu się na to pozwoli, będzie pisał raporty na temat zrabowanych grobowców i najmniejszych nawet dziur

w dolinie. Ośmieszają poprzedników, a kolegów stawia w fał-

szywej sytuacji. Te plany, zestawienia, szkice! Jakbyśmy nie

mieli innych zajęć... Carter chciałby nas przygnieść ciężarem

zbytecznej pracy. Jest ambitny, mściwy i przesadny. Pewnie

dlatego, że pochodzi z uboższego środowiska.

— Drogi kolego, nie pozwolimy, by nam szkodził.

— Na szczęście możemy zawrzeć przymierze: albo Carter się podda, albo go zdepczemy.

Carter miał świadomość, że narusza zwyczaje bandy leni

i nieudaczników, dla których Egipt i egiptologia były tylko

snobistyczną przyjemnością. Kto szuka prawdy przeszłości, musi jej poświęcić tyleż trudu, co obserwacji teraźniejszości i przygotowaniu przyszłości.

Miesiąc po odkryciu grobu 42 Ahmed Girigar poprosił go o spotkanie z dala od zbyt ciekawych uszu. Zamknąwszy swoje biuro, Carter spotkał się z nim w pustynnym parowie, którym podczas burz płynął potok.

—Czterech robotników pracujących dla Loreta przyznało się do próby kradzieży.

—W którym grobowcu?

—Nieznany i zasypany przez Francuza, tak jak czterdziesty drugi. Czterej mężczyźni próbowali się tam dostać,

ale przeszkodził im *affrit*. To bardzo agresywny duch, który wykręcił im szyje i omal nie zadusił.

—Czy wskazali położenie grobu?

—Właśnie tam pana prowadzę.

Reis zawiódł Cartera do małego jaru nieopodal grobowca Ramzesa XI. Pokazał mu wgłębienie w piasku, w którym leżały odpryski kamienia.

— Wezwij robotników i zacznijmy kopać.

Piętnaście stóp pod kamiennymi odłamkami odsłonięto studnię. W głębi nienaruszone drzwi!

Ahmed Girigar dostrzegł entuzjazm Howarda Cartera.

— Niech się pan nie cieszy na zapas. Loret już tam był.

Zaniepokojony Carter zsunął się do wnętrza. Na suficie dojrzał gniazda ziemnych os, typowych dla od dawna już splądrowanych tebańskich grobów.

Dwie drewniane trumny, pokryte białą żywicą, i trzecia, też biała, ale zawierająca mumię, należały do śpiewaków świątyni Karnaku. Pośród wąskich opasek liście mimozy, lotosu i persei. Ani śladu Tutenchamona.

ROZDZIAŁ 24

— Panie inspektorze, szybko! To ważne, bardzo ważne!

Gaffir był wstrząśnięty. W grobowcu Setiego I, najpiękniejszym i największym w całej dolinie, zawałiła się kolumna.

Carter udał się tam, aby stwierdzić szkody i podjąć najpilniejsze działania. Kolejny raz olśniła go ta Kaplica Sykstyńska starożytnego Egiptu. Wspaniałość malowideł, które wyglądały tak, jakby ukończono je wczoraj, doskonałość hieroglifów, opowiadających o niebezpiecznej podróży słoń-

ca po podziemnym świecie, oraz siła wyrazu bóstw wspomagających faraona przy ponownym narodzeniu — wszystko to wywoływało silne wzruszenie. Często przychodził tu medytować przed posągiem Nut, bogini nieba, olbrzymiej kobiety z ciałem okrytym gwiazdami. Wieczorem połykała ona gwiazdę dzienną, którą rodziła każdego poranka.

Carter nie mógł jednak poświęcić się badaniu tych niezrównanych fresków. Musiał podeprzeć zawaloną część kolumny drewnianymi stemplami, zamknąć dla publiczności grobowiec i jak najszybciej udać się do Maspero.

Znużony miastem dyrektor Urzędu do spraw Zabytków założył swoją kwaterę na statku o nazwie *Miriam*. Dzięki temu, wzorem starożytnych, mógł się spokojnie przemieszczać Nilem z miejsca na miejsce. Maspero, którego malutkie biuro zawalone było stosami dokumentów, był w złym humorze.

—Co się dzieje w dolinie? Podobno grobowiec Setiego Pierwszego jest w połowie zniszczony!

—Plotka nieco wyolbrzymiła to zdarzenie, ale sprawa jest poważna: zawaliła się jedna z kolumn. Prace naprawcze są w toku.

—A turyści?

—Wstrzymano zwiedzanie.

Odchylony do tyłu Maspero huśtał się w fotelu.

— Ach, ci turyści! Cóż to za rasa... Dwa tysiące ludzi rocznie w dolinie, prawdziwa kolonia zamieszkująca Luksor od grudnia do kwietnia, gaduły, szaleńcy i chorzy, którzy przyjeżdżają tu zażywać słońca i niszczyć zabytki!

Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków przyjął nieco dostrajniejszą postawę i spokojnie wpatrywał się w swego inspektora.

—To ty tak uważasz, Carter. To nie twoja opinia?

—Nic dodać, nic ująć. Ci ludzie myślą tylko o paradowaniu po luksusowych hotelach, flirtach i wymienianiu

wizytówek. Chodzą z przyjęcia na przyjęcie, grają w tenisa albo w brydża, wciąż wymyślają jakieś rozrywki. Niestety, w ich rozkładzie zajęć jest też obowiązkowy piknik w Dolinie Królów i zwiedzanie grobowców. Nie budzi to w nich cienia zainteresowania ani szacunku. Ich przewodnicy brudzą ściany dymem z żagwi, a każdy zwiedzający musi dotknąć płaskorzeźb. Konieczne są drastyczne ograniczenia, panie dyrektorze, jeśli chce pan zachować te bezcenne skarby.

—Czyżby pan w to wątpił?

—Więc działajmy.

—Działać, działać! Łatwo powiedzieć! Chce pan zakazać turystom dostępu do doliny?

—Czemu nie? Choćby na czas prowadzenia wykopalisk.

—Carter, dolina jest przeszukana.

—Czy odkrycie grobu czterdzieści dwa i grobowca trzech śpiewaków Amona, który na mojej liście ma numer czterdzieści cztery, nie dowodzi czegoś przeciwnego?

Argument ten zachwiał nieco pewnością Maspero, ale dyrektor szybko odzyskał kontenans.

—Służące jako magazyny zrabowane grobowce bez żadnych pięknych przedmiotów... to bardzo skromne znaleziska.

One interesują tylko takiego pasjonata jak pan! Niech pan sobie wbije do głowy, że tędy przeszły setki rabusiów i że zostawili tylko okruchy. Co pan proponuje dla najczęściej odwiedzanych grobowców Doliny Królów?

—Należy wybudować wokół nich murki, by zabezpieczyć wejścia przed lawinami kamieni i spływającą wodą, wytyczyć

szlaki, kierować na nie tłum zwiedzających i założyć balust-

rady w grobowcach, żeby nie kleili się do ścian.

Maspero otworzył teczkę z dokumentami.

—Hmm... to jest do zrobienia. Mój budżet pozwala na to.

—To nie wszystko. Pozostaje najistotniejsze.

—Najistotniejsze poczeka. Ja już nie mam pieniędzy.

—Ale przecież trzeba walczyć z sadzą.

—Jak?

—Korzystając z elektryczności w najważniejszych grobowcach.

—Elektryczności? A kto jej panu dostarczy?

- Generator w Dolinie Królów.
Zirytowany Maspero złamał ołówek.
—Ty, Carter, jesteś rewolucjonistą. Daj mi pracować w spokoju.
—Czy uzyskam coś, panie dyrektorze?
—Nie nalegaj.

Gdy wieść się rozeszła, zaczęli napływać turyści. Dzięki światłu elektrycznemu można było wreszcie podziwiać całość płaskorzeźb. Carter nie odsyłał z kwitkiem masy ciekawych, ale usunięcie pochodni i ustawienie balustrad zapewniło bezpieczeństwo zabytkom. Na kilka godzin musiał zmieniać się w nadzorcę galerników i uspokajać podnieconych, którzy wykrzykiwali swoją radość, widząc, jak postępowo wślizguje się do Doliny Królów.

Wraz z nocą wracał spokój. Siedząc na jednym ze wzgórz wznoszących się nad królewskimi grobowcami, Carter rozkoszował się samotnością i chwilami łaski, kiedy wydawało mu się, że obcuje z duszami królów, którzy zwyciężyli śmierć.

Strażnicy nie ryzykowali spacerów w ciemnościach doliny pełnej demonów, które przyprawiały o szaleństwo, odbierały wzrok i mowę. Nie znali hieroglificznych formułek zdolnych je unicestwić. Czasem ocierała się o niego jakaś sowa lub nietoperz, a lis zbiegał po zboczu w poszukiwaniu łupu.

Nadzieja Cartera rosła. Z braku graffiti w grobowcach Carter wnioskował, że żaden grecki ani rzymski podróżnik nie zwiedził grobów nr 42 i 44, zamkniętych od czasu starożytności. A zatem pod piaskiem ukryte były jeszcze i inne ważne grobowce. Ograniczono się do paru pospiesznych poszukiwań, zadowolono spektakularnymi wynikami, po czym arbitralnie uznano, że dolina umilkła na zawsze.

Przyglądając się jej z uwagą, dostrzegł, że w tym wyniosłym krajobrazie nie było niemal nic naturalnego. Tu dziesięć metrów odłamków wapienia, tam poprzewracane skały i drogi uporządkowane przed budowniczych, gdzie indziej

ogromne zwały ziemi, ślady po współczesnych poszukiwaczach... Ale czy tych olbrzymich skał, tej wznoszącej się nad wszystkim piramidy nie obrobiła ludzka ręka?

Ile ton trzeba by przemieścić, zanim ukazałyby się portal nienaruszonego królewskiego grobowca, który być może istnieje tylko w jego imaginacji? Szarpały nim te wątpliwości. Nie był jeszcze godny Doliny Królów.

ROZDZIAŁ 25

Golf, fotografia, spacer z żoną i dziećmi, długie sjesty, a po południu czytanie w bibliotece Highclere... Życie, jakie lord Carnarvon prowadził na zamku, ciążyło mu z każdym dniem bardziej. Wbrew zapewnieniom lekarzy następstwa wypadku wciąż dawały o sobie znać. Bolała go szczęka i plecy, utykał i cierpiał na bezsenność.

Almina nadal była łagodna i cierpliwa, choć jej mąż miał coraz gorszy humor. Już nie dowcipkował, nie bawił się z synem i córką, milczał całymi godzinami. Młoda kobieta skorzystała z promieni słońca, które rozjaśniały park, by otworzyć przed nim serce.

— Jesteś tu jak w więzieniu, kochanie.

— Zaczynam nienawidzić sam siebie, Almino.

— Z powodu swoich ran?

— Człowiek pomniejszony nie zasługuje na życie.

— Wygłaszasz absurdalne tezy.

— Jestem kaleką.

— Upierasz się.

— Odważyłabyś się twierdzić, że mógłbym jeszcze dowodzić jachtem, prowadzić samochód wyścigowy albo powalić jarmarcznego siłacza?

— Ten rodzaj wyczynów jest bez sensu. Sporo mniej lub bardziej przeciętnych ludzi zdoła ich dokonać. Ale być piątym lordem Carnarvon to fascynujące zadanie. Nie sądzisz?

Carnarvon wpatrywał się w słońce, które go oślepiło.

— Odzyskałeś w pełni wzrok. To uleczenie powinno cię zachęcić do walki. Carnarvonowie zawsze podejmowali

wyzwania z niezwykłą i godną naśladowania odwagą. Czyżbyś był wyjątkiem od reguły?

George Herbert spuścił głowę. Żona, wyraźnie wzruszona, zbliżyła się do niego.

—Wybacz. Nie chciałam cię urazić.

—Masz rację. Zachowuję się jak tchórz.

—Nie bądź niesprawiedliwy wobec siebie i pamiętaj, że ja cię podziwiam.

Lord Carnarvon odwrócił się do niej.

—Gdyby nie ty, byłbym zrezygnował.

—Jeśli moja obecność może przyspieszyć twoje wyleczenie, nie wahaj się jej nadużywać.

—Potrzebuję samotności, Almino. W niej odzyskuję siły.

—Uszanuję twoją skłonność, pod warunkiem że dotrzymasz obietnicy i poprawisz swoje wyniki w grze w golfa.

Mimo niekiedy bardzo silnych bólów Carnarvon zmuszał się do posługiwania się kijami i pokonywania długich dystansów między jednym a drugim dołkiem. Ta surowa asceza przyniosła efekty: ponure myśli gdzieś odpłynęły. Osiąganie nawet względnej mobilności stawało się podniecającym celem. Przyjemność z gry i dobre wyniki okraszały wysiłek.

Tym razem jednak widok zbliżającego się ku niemu wysłannika rządu prawdziwie go zdumiał.

—Moje gratulacje, lordzie Carnarvonie. Stał się pan doskonałym graczem w golfa.

—Zbyt nerwowe podchodzenie i brak precyzji w uderzaniu. Ale nie tracę nadziei.

—Taki piękny dzień zachęca do planów na przyszłość.

—Moja przyszłość jest już poza mną.

—Niech pan pozwoli, że będę innego zdania. Nawet jeśli pan zrezygnuje z kariery politycznej w pełnym blasku, istnieje wiele innych sposobów, by służyć krajowi. Czy nie moglibyśmy przywołać pańskich wspomnień ze Wschodu?

—Wolałby pan zapewne moje analizy polityczne.

—Przed podjęciem decyzji ministerstwo konsultuje się

z najlepszymi ekspertami. Sekretarz stanu pragnie zjeść z panem lunch.

Przed wypadkiem Carnarvon odpowiedziałby na to iro- niczną uwagą. Obecnie to zaproszenie było dla niego roz- rywką.

Kiedy mąż zgodził się poprowadzić polowanie na lisa i pozwolił jej wydać wielki obiad w Highclere, Almina wiedziała już, że piąty hrabia Carnarvon odzyskał swoją pozycję i chęć do życia. Wprawdzie uparł się nie wkładać smokinga i wystąpił w swojej ulubionej marynarce z błękit- nego płótna, ale ze zwykłą swadą rzucał dowcipami i cierp- kimi uwagami.

— Gdyby nie był pan jednym z najbogatszych arysto- kratów królestwa, kim chciałby pan być? — zapytała pewna baronowa.

Carnarvon nie zastanawiał się długo.

— Kimś takim jak Schliemann.

— Malarz czy dżokej?

— Ani jedno, ani drugie. Archeolog.

— Cóż za okropny zawód! Pył, upał, pot... A co odkrył ten pański Schliemann?

— Troję.

— Miasto Homera, tak?

— Można tak rzec.

— Czy byłby pan zdolny odkryć ukryte pod piaskami całe miasto, pełne złota?

— Rzykując, że panią zawiodę, pani baronowo: chyba nie. Pani pytanie było tylko grą, a moja odpowiedź ma- rzeniem.

Mąż spóźnił się na kolację. Po dłuższym oczekiwaniu lady Almina zaczęła się niepokoić. Ponieważ lokaj lorda Carnarvona miał właśnie wolny wieczór, sama musiała udać się do biblioteki.

— Zapomniałeś która godzina?

— Boję się, że tak.

—A cóż jest tego powodem?
—Gruba książka pewnego Francuza o starożytnym Egipcie.
—Jak się nazywa ten natrętny autor?
—Gaston Maspero.
—Zamierzasz go zaprosić do Highclere?
—On mieszka w Egipcie.
—Okropność! To musi być nie do zniesienia... Zima ponoć jest przyjemna, ale inne pory roku to kanikuła. Jaką trzeba mieć kondycję, żeby znosić taki nieludzki klimat?
—Nie wiem, Almino. Nie znam Egiptu.
—Przecież opłynąłeś świat kilka razy.
Carnarvon zamknął książkę i wstał.
—Jakiś zły duch oddalił mnie od tego magicznego kraju.
—„Zły duch”, „magia”... czyżbyś stał się przesądny?
Hrabia podał ramię małżonce. Wolnym krokiem ruszyli korytarzem ku jadalni.
—Nasz świat jest bardziej tajemniczy, niż się wydaje. Przenikają go tajemne siły, choć nasze oczy ich nie dostrzegają. Egipcjanie badali je w podobny sposób jak nasi uczeni.
—Ta książka jest okropna! Nie tylko się przez nią spóźniłeś, ale jeszcze sprowadziła na ciebie dziwaczne myśli. Zapomnij o tym Maspero, o Egipcie i jego demonach i chodź skosztować łososia, którego przygotował twój kucharz.
Myśląc o czym innym, hrabia wypełnił swoje obowiązki.

ROZDZIAŁ 26

—Carter — oznajmił zdecydowanie Maspero — musimy przeprowadzić prestiżową sprawę, która zapewni Urzędowi do spraw Zabytków wspaniałą reputację. Nowe muzeum w Kairze zgromadzi istniejące w Egipcie zbiory. Przygotowując ogólny katalog, przyczynimy się do inwentaryzacji wszystkich obiektów, od najmniejszej statuetki po kolosa.
—To mistrzowski program.
— Dzięki za zachętę. Katalog to najistotniejsza sprawa! Carter nie podzielał tej opinii. W takim kraju jak Egipt

najważniejsze było prowadzenie wykopalisk i odkrycia. Gas-

ton Maspero obstawał jednak przy swoim.

— Jako inspektorowi regionu tebańskiego powierzam ci dwa pierwszorzędne zadania: pierwsze polegać będzie na konwojowaniu do Muzeum Kairskiego królewskich mumii ukrytych w grobowcu Amenhotepa Drugiego.

— Staną się więc częścią zbiorów.

Ta uwaga zirytowała dyrektora.

— Czyżbyś był niezadowolony z mojej decyzji?

— A drugie zadanie?

— Na rynku starożytności prawdziwy król ma ogromną wartość. Ponieważ Amenhotep Drugi spoczywał w swoim oryginalnym sarkofagu, pańskim zadaniem będzie włożenie go tam z powrotem. Turyści będą mogli podziwiać prawdziwego faraona w jego prawdziwym grobowcu.

Zaskoczony Carter aż się zająknął.

— Pan... pan mi sprawił ogromną radość!

Maspero mruknął coś i znów utonął w papierach.

— Niech się pan pośpieszy. Nawet mumie nie lubią czekać.

Pochówek Amenhotepa II, nieustraszonego króla o silnym ramieniu, był chwilą szczęścia, które rozjaśniło wczesną karierę archeologa Howarda Cartera. Jasnoblękitne i łagodnie świetliste niebo nad doliną zachęcało do kontemplacji. Wspomagany przez Ahmeda Girigara i kilku strażników, Carter przeszedł w milczeniu tą samą drogą, którą przebył faraon trzy i pół tysiąca lat wcześniej.

Z powagą i szacunkiem nieśli jednego ze swych przodków, istotę zarazem bliską i daleką, człowieka i boga. Ich pochód wznosił w górę obłok drobnego kurzu, który porywał północny wiatr. Aż do drzwi grobowca nikt nie wypowiedział żadnego słowa. Może strażnicy recytowali w myśli mużmańskie modlitwy. Carter rozmyślał o rytuale otwarcia ust, który pozwalał odżyć zmarłemu i przywracał mu zdolność posługiwania się słowem.

Milcząca procesja wkroczyła w noc grobu. Krok spowolniał, oczy przyzwyczyli się do ciemności. Aby uniknąć

czarnej sadzy, Carter pozwolił użyć jednej tylko pochodni, przygotowanej wedle starych przepisów, ze szmaty nasyczonej olejem sezamowym.

Kiedy złożyli trumnę w jej sarkofagu, z trudem powstrzymał łzy. Celebrując ten pogrzeb poza czasem, miał wrażenie, że spełnia sprawiedliwy czyn.

Długo po zakończeniu ceremonii sam w ciemności marzył o wspaniałościach czasu, kiedy śmierć była światłością.

W starym pałacyku, niedaleko świątyni w Luksorze, mieścił się jeden z ostatnich haremów w Egipcie. Dawniej, wypełniony lubieżnymi kobietami, był przedmiotem uważnej troski miejscowego potentata, dziś obiekt ten popadł w ruinę. Farba muszaraby złuszczyła się, a stiuki były zniszczone.

Howard pchnął drzwi na zardzewiałych zawiasach, przekonany, że natknie się na uzbrojonego w kij eunucha. Został jednak tylko kilku osobników palących haszysz. Ohydny zapach smażonej cebuli dowodził jednak, że ci niezbyt godni goście także tu gotowali.

Czemu Raifa wyznaczyła mu spotkanie w tak ohydnych miejscu? Raz jeszcze przeczytał bilecik, który przyniósł mu jakiś mały chłopiec. Nie było żadnych wątpliwości. Próbował pytać tutejszych lokatorów, ale przytłumieni narkotykiem nie odpowiadali. Zirytowany już chciał wyjść, gdy nagle w drzwiach stanęła Raifa.

Jej jasnozielone oczy, łagodna twarz i pełen elegancji wygląd uwięziły go w sieci wdzięku. Upadły harem zmienił się w cudowny, pełen złocień pałac.

— Chodź — powiedziała, biorąc go za rękę.

Weszli na pierwsze piętro niemal biegiem.

Zaciągnęła go do pokoju o ścianach pokrytych czerwonym aksamitem, gdzie królowało łoże z baldachimem, oświetlone właśnie promieniem słońca, które wniknęło przez muszaraby.

— Nikt nie będzie nam przeszkadzał. Gamal nie zna tego miejsca.

— Kocham cię, Raifo.

— Dowiedz tego, Howardzie.

Jej wyzwanie wymagało szybkiej repliki. Raifa nie opierała się długo.

Na polecenie Maspero Carter musiał przeprowadzić inspekcję na południu prowincji tebańskiej i oznaczyć tam zabytki archeologiczne. Ta wymagająca dokładności praca oddaliła go od doliny i Raify.

Miesiąc po rozpoczęciu tej misji otrzymał depeszę. Dyrektor prosił, by pozostawił wszystko i natychmiast wracał do Luksoru.

Maspero przyjął go na swoim statku, nie tracąc nawet chwili na powitanie.

— Sprawa jest poważna. Włamano się do grobowca Amenhotepa, rozbito drzwi, uszkodzono mumię.

Oburzenie odebrało Carterowi mowę.

— Pierwsi rabusie dwudziestego wieku... to niesamowite! Kto był tak podły, żeby sprofanować te czcigodne *zwłoki*? Oczywiście wezwałem policję. Śledztwo było szybkie, ale nic

nie przyniosło; strażnik niczego nie widział, nie ma żadnego

świadka, żadnych plotek, żadnego tropu. Howardzie, musi się pan zająć mumią i naprawić zniszczenia.

— Winny...

— Niech pan o nim zapomni, nie zdołamy go zidentyfikować. Już i tak zostaliśmy wystarczająco ośmieszeni.

Nawet jeśli okoliczności były przerażające, dramat ten pozwolił Carterowi powrócić do doliny. Zanim jeszcze przekroczył jej granice, postanowił przeprowadzić nowe śledztwo.

Wiosna wypłoszyła turystów, którzy lękali się upałów przytłaczających na otoczonej górami pustyni. Nieliczni zwiedzający tłoczyli się przed wejściem do grobowca, który padł ofiarą złodziei, jakby czekali tam na nowy dramat. Wspomagany przez Ahmeda Girigara Carter zdołał ich odsunąć i swobodnie obejrzeć miejsce zbrodni.

Żelazne drzwi założone przez Urząd do spraw Zabytków wylamano za pomocą łatwego do ustalenia narzędzia: dużych cęgów.

—Kto ma takie w Gurna?

—Kowal — odparł *reis*.

Przepytali rzemieślnika, który zapewnił, że go okradziono, ale skłamał, twierdząc, że nie wie, kto jest złodziejem. Carter wrócił do grobowca i pod okiem zdumionego Ahmeda Girigara zdjął gipsowe odciski wielce podejrzaných stóp.

—Znasz kogoś, kto umiałby je zidentyfikować?

—Poganiacz wielbłądów. Przebiega szlaki pustyni od młodości i odpoczywa w Gurna między dwoma podróżami.

Badanie śladów to jego ulubiona rozrywka, obojętnie czy chodzi o zwierzęta, czy o ludzi.

Ekspert go nie zawiódł. Jego diagnoza była kategoryczna. Gdyby chciał ją sprawdzić, wystarczyłby spacer przed domem rodziny Abd el-Rasul. Carter nie wahał się. Jego dochodzenie zasiało niepokój pośród członków klanu. Zachęcono go, aby pokazał odciski jego szefowi.

—Panie Carter, a czemu służy ten wybieg?

—Wykazaniu, że to ty stałeś na czele bandy rabusiów, którzy sprofanowali grobowiec Amenhotepa Drugiego. Dla-

tego wszyscy świadkowie milczą, nie wyłączając współlnika, którym był strażnik.

Twarz Abd el-Rasula stężała.

— Niech pan się nie upiera. Nic pan nie uzyska.

Tego samego wieczora, zaraz po modlitwie, Carter powrócił wraz z oddziałem policjantów, którzy dokonali starannego przeszukania. Jego wyniki przekroczyły wszelkie oczekiwania: naszyjniki, rytualne figurki, bandażę mumii, fragmenty płaskorzeźb pocięte piłą i pochodzące z kilku różnych grobowców — wszystko to świadczyło o winie klanu.

Abd el-Rasul nie zaprzeczał.

Proces odbył się kilka dni później. Sala sądu w Luksorze była pełna. Przewodniczący składu przesłuchiwał długo Cartera. Stawił się on jako świadek i opisał etapy śledztwa, które doprowadziło do winnego.

— Gdzie są dowody, panie Carter?

—W rękach policji, Wysoki Sądzie.

—Pan się myli.

—Byłem świadkiem, Wysoki Sądzie... W piwnicy Abd el-Rasula znaleziono wiele archeologicznych eksponatów.

—To nie jest prawda. Protokoły o tym nie wspominają.

—Wysoki Sądzie...

—Ze względu na brak dowodów, sąd uznaje Abd el-Rasula za niewinnego.

Maspero i Carter ponownie umieścili ciało Amenhotepa II w jego sarkofagu. Odtąd zwiedzający, stojąc nad sarkofagiem, będą mogli kontemplować faraona w jego hierarchicznej pozycji, gotowego do podróży do innego świata.

—Niech pan nie będzie rozczarowany, Howardzie. Nikt nigdy nie zdołał wsadzić członków tego klanu do więzienia

i nikomu się to nie uda.

—Nie mogę znieść niesprawiedliwości.

—Niech pan zastosuje lepszą strategię.

—Co pan chce przez to powiedzieć?

—Kiedy nie można zniszczyć przeciwnika, lepiej się z nim sprzymierzyć.

ROZDZIAŁ 27

Highclere stawało się jednym z ośrodków brytyjskiego życia kulturalnego. Rozgniewany faktem, że nie dość szybko odzyskuje zdrowie, a nie może już podejmować długich podróży po świecie, lord Carnarvon w roku 1902, kiedy to *Peleas i Melizanda* Claude'a Debussy'ego zrewolucjonizował muzykę, zapraszał do swego stołu artystów, pisarzy i historyków. Lady Carnarvon nalegała, by okazać gościnność także politykom, finansistom i notablom, dla których spotkanie z ostrym umysłem pana domu byłoby podniecające.

Pewien emerytowany pułkownik, wielki amator dzicyzny i militarnego geniuszu, jął wychwalać brytyjskie podboje.

—Jesteśmy gwarantami światowego pokoju, Gdy nie walczymy o jego zachowanie, budujemy. I tak w Egipcie...

—Czyżbyśmy wznieśli nową piramidę? — zapytał Carnarvon.

—Zbudowaliśmy coś znacznie lepszego! Zaporę.

—W Asuanie?

—To dzieło sztuki zapewniło dobrobyt ludności.

—Nie jestem tego pewien.

Oburzony pułkownik odłożył widelec.

—Jak pan może w to wątpić?

—Zmuszając Egipt, aby przeszedł od naturalnego cyklu wylewu do trwałej irygacji, brutalnie zmieniliśmy tysiącletnie

przyzwyczajenia, zastępując je technikami, które są źle ro-

zumiane i źle wykorzystywane.

—Postęp, lordzie Carnarvon, postęp!

—Naprawdę sądzi pan, że mamy do czynienia z postępek ludzkości? Uważa pan, że odrażające dzielnice Lon-

dynu stanowią postęp wobec świątyń starożytności, a nasi myśliciele przewyższają Platona, Lao-tse i Budę, czy nawet

budowniczego wielkiej piramidy?

Pułkownik poprawił swój sztywny kołnierzyk koszuli.

— To są opinie... rewolucyjne.

Lady Almina skierowała rozmowę na inny temat, wspominając o przedstawieniu *Snu nocy letniej* w wykonaniu Royal Shakespeare Company, która raz jeszcze okazała się godna swojej sławy.

Kiedy po wyjściu gości zasiadła u boku męża przed płonącym kominkiem wielkiego salonu, uznała, że pora interweniować.

—Nie sądzisz, że posunąłeś się za daleko?

—Świat jest absurdalny, kochanie, a Anglia bredzi.

—Czy nie jest ona sercem niezwykłego imperium, które gwarantuje równowagę ludów?

—Już nie na długo.

—Co przez to rozumiesz?

—Przyszłość interesuje mnie w równej mierze co przeszłość. Podczas tej niekończącej się rekonwalescencji mam czas

czytać prasę i rozprawy specjalistów. Imperium pęka, Almino.

Jutro się rozpadnie. Kolonie zażądają niepodległości.

—Nasza armia zmusi do milczenia sprawców niepokojów.

—Niestety, spróbuje tego!

—Niestety?

—Przeciwstawianie się rzece, której wody nieustannie wzbierają, to idiotyzm. Należałoby je raczej kanalizować. Ale politycy myślą tylko o bieżących interesach. Jak zwykle

uświadomią sobie, jaka jest rzeczywistość, gdy będzie już za późno.

Carnarvon dołożył polano do paleniska, w którym języki ognia tworzyły balet wciąż odnawiających się figur.

—Masz okropne poglądy, kochanie. I kiepski nastrój.

—Przeciwnie.

—Ale ty... ty nie zechcesz stanąć na czele partii opozycyjnej?

Hrabia czule przytulił do siebie żonę.

—Anglia jest małą wyspą, która uważa się za kontynent. Sama wiesz, że nie znoszę małostkowości i nigdy jej nie ulegnę.

—To mnie nie uspokaja. Czyżbyś miał jakiś projekt...

—Szalony? Jeszcze nie. Stan zdrowia nie pozwala mi rozmyślać o nowej samotnej podróży dookoła świata, ale nie mogę już dłużej trwać w bezruchu, niby stojąca woda.

—Jak możesz tak mówić? Pomyśl o swoich dzieciach, o posiadłościach i wreszcie o mnie.

—Almino, jestem szczęśliwy i zarazem nieszczęśliwy. Oto mój dramat. Kocham cię, kocham mego syna i córkę. Kocham też tę ziemię... Ale jest we mnie także inna miłość, której nie umiem nazwać i która mnie zadusi, jeśli nie zdołam

jej wyrazić.

—Tak trudno cię zrozumieć, kochany.

—To prawda. Dla mnie samego to nadludzkie zadanie.

Almina przytuliła się do męża.

—Obiecuj mi, że nie opuścisz Highclere.

—Nigdy żaden Carnarvon nie popełnił krzywoprzysięstwa.

Almina z trudem powstrzymała łzy. Można walczyć ze zdecydowanym wrogiem, czy jest nim kochanka, czy ambicja, ale nie z niewidzialną obecnością, która toczyła duszę

George'a Herberta. Podobnie jak on czuła, że nieprzewidziane wydarzenia odmienia spokojne istnienie, którego czepiała się z całych sił.

Usnęła w jego objęciach.

Hrabia nadal czuwał, marząc o dalekich horyzontach, które na zawsze utracił przez ten przekłety wypadek. Utonął w rodzinnym komforcie bez żadnych ubocznych myśli — pragnął zapomnieć o przygodzie. Przenikliwość umysłu kazała mu jednak przyznać się do porażki. Odpowiedź, jedyna, jakiej oczekiwał od życia, nadal mu umykała. Jaki los został mu przeznaczony?

ROZDZIAŁ 28

— Odmawiam.

Maspero aż poczerwieniał ze złości.

—Carter, nie ma pan czego odmawiać! To ja kieruję urzędem i ja decyduję!

—Jako inspektor tebańskiego regionu uważam, że mam coś do powiedzenia.

— Masz słuchać moich rozkazów, to wszystko!

Tweedowa marynarka, flanelowe spodnie, wykrochmalona koszula i muszka w kropki przydawały Carterowi wystarczającej pewności siebie, aby oprzeć się dyrektorowi Maspero. W wieku dwudziestu dziewięciu lat stał się osobistością Luksoru i już nie zachowywał się jak przerażony chłopiec.

— Nawet wtedy, kiedy pan się myli?

Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków wstał, obszedł, lodowaty, swoje biurko i stanął przed nim twarzą w twarz.

— Proszę to wyjaśnić, panie Carter.

—Jako naukowiec uważa pan, że prowadzenie wykopalisk w Dolinie Królów jest zbyteczne.

—Tak.

—Dlaczego więc pozwala pan na prowadzenie badań Theodore'owi Davisowi, amatorowi bez żadnego doświadczenia?

—Bo ten pan posiada wielką zaletę: majątek. Służba nie

będzie musiała wydać ani grosza. Przeciwnie, dostanie trochę pieniędzy jako dar i weźmie pewną część ewentualnych znalezisk.

—Pieniądze... więc to jedyne kryterium? A co zyskamy, jeśli ta osoba zniszczy miejsce wykopalisk i uniemożliwi wszelkie naukowe badania?

—Pańskie dywagacje są pozbawione wszelkich podstaw. Tobie, Carter, przeszkadza, że ten pan jest Amerykaninem.

Jak każdy Anglik nienawidzisz Stanów Zjednoczonych. Ale

ja muszę zapewnić finansowanie urzędowi.

—Za cenę zniszczenia Doliny Królów?

—Oczywiście, że nie, skoro pan jest inspektorem, a dolina należy do pańskiej kompetencji.

—Co to znaczy?

—Że będzie pan uczestniczył w badaniach Davisa.

—Nie ma mowy.

—Carter, nie bądź śmieszny.

—Zawodowiec nie może podporządkować się woli amatora.

—Nie chodzi o podporządkowanie, lecz o współpracę.

—Jeszcze gorzej! Nie będę współpracować z wrogiem. Niech pan mi pozwoli odejść.

Zamknąwszy się w swoim biurze, Carter rozplakał się ze złości. Dolina nie tylko mu umykała, ale na dodatek wpadła w ręce amerykańskiego adwokata, który szukając zajęcia na czas emerytury, chciał się podroczyć z cieniami faraonów. Carter miał doświadczenie, już czuł się gotowy do eksploracji tej świętej ziemi z miłością i uwagą, a oto jakiś intruz kradł mu cel życia. Na dodatek wspomagany przez władze!

Nawet Raifa nie zdołała go pocieszyć. Okazał się nędznym kochankiem, niezdolnym zapomnieć o katastrofie. Podle zatrzasnął drzwi pokoju i zapewne zerwał ich związek, porzucając ją nagą i szlochającą w zrujnowanym haremie.

Jego życie się zawaliło.

Tylko Ahmed Girigar mógł jeszcze wejść do jego jaskini. Przynosił mu wodę, owoce i placki, których ledwo próbował.

Pewien gość zdołał jednak sforsować jego drzwi.
—Profesor Newberry!
—Co za radość cię widzieć, Howardzie.
—Dosyć tych gratulacji. Przysłał pana Maspero?
—Nie upieraj się, Howardzie. Jesteś potrzebny Egipcjowi.
—Ale Urząd do spraw Zabytków potrzebuje Davisa.
—Znam go i chcę doprowadzić do waszego spotkania. Muszę cię ostrzec: to nie jest łatwy człowiek. Zrób to dla mnie i wyraż zgodę. Kontrolując jego działalność, ocalisz dolinę. To zadanie wymaga ograniczenia własnej pychy.
—Czy zasłużyłem na taką niesprawiedliwość?
—To nieważne. Musisz walczyć własną bronią.

Kiepskie maniery Amerykanów nie były legendą. Theodore Davis mocno uściśnął dłoń Cartera z pewnością myśliwego, który jest przekonany, że zabije swój łup pierwszym strzałem.

— A więc to pan jest tym uczonym? Nawet pan na to wygląda.

Sredniego wzrostu, Theodore Davis sprawiał wrażenie kruchego. Nie poruszał się bez laski, gardło owinięte miał białym szalem, a głowę przykrywał mu kapelus z szerokim rondem. Dzięki spodniom do konnej jazdy i owijaczom wyglądał jak jeździec, któremu zabrakło konia. Sumiaste wąsy w kształcie ptasich skrzydeł zasłaniały mu dół twarzy. Ale spojrzenie za okrągłymi szklami małych okularów było agresywne.

—Mam sześćdziesiąt pięć lat i nie pragnę zostać archeologiem.

—W takim razie Dolina Królów niezbyt się panu spodobą.

—Prawo mnie nudzi, a wykopaliska bawią. Zamierzam odkopać mnóstwo grobowców pełnych posągów, sarkofagów, mumii i cudownych przedmiotów. Pan mi w tym pomoże. Musi pan wiedzieć, że żądam posłuchu i nienawidzę dyskutować z podwładnymi.

Newberry uznał, że musi natychmiast interweniować.

— Drogi panie Davis, Howard Carter nie jest pańskim

podwładnym. Lepiej pasowałoby do niego określenie asystent. Urząd do spraw Zabytków pragnie panu pomóc w jego hojnym przedsięwzięciu.

—Hojnym, ale nie rozrzutnym! Wpłaciłem moją dziesięćcinę i chcę mieć wyniki. Gra należy do pana, panie Carter. Na razie niech pan każe wybudować dla mnie dom położony niedaleko miejsca wykopalisk. Póki co będę mieszkał na statku na Nilu. Tam będzie trochę chłodniej i będę mógł dowolnie pływać po rzece.

—A jaki jest pański plan poszukiwań archeologicznych?

—Plan? A po co plan! Niech pan sam sobie radzi... Czekaając na pierwsze wyniki, wyjeżdżam odpocząć w Asuanie. Podobno to ładne miasto.

W końcu zimy 1902 roku Carter kierował ekipą sześćdziesięciu ludzi, którzy prowadzili wykopaliska na rzecz Theodore'a Davisa. Korzystając z tej siły roboczej, Carter nakazał poszerzenie wiodącej do doliny drogi, która była za wąska dla wciąż rosnącej liczby turystów. Potem zajął się obszarem około stu metrów między grobowcami Ramzesa IV i Ramzesa II.

Szczyście uśmiechnęło się do niego. Odkrył zniszczony przez wodę grób jakiejś pary małżeńskiej. W głębi były wazy kanopskie i wymalowana na żółto skrzynka zawierająca wojenną skórzaną spódniczkę. Zawiadomiony o tym Davis powrócił z Asuanu i trafił na Maspero. Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków zażądał należnych mu przedmiotów, by je odesłać do Kairu. Davis odmówił. Zgodnie ze zwyczajem przypadają one prowadzącemu poszukiwania, który zamierzał ofiarować je jakiemuś amerykańskiemu muzeum. Maspero wściekł się, Davis zapłacił. Czy Urząd do spraw Zabytków nie potrzebował pieniędzy?

Wypoczęty już Amerykanin wymyślił obłąkany plan wykopalisk, który charakteryzował się całkowitym brakiem metody. Próbował sam kierować ekipą, wydawał niespójne polecenia, miotał się na wszystkie strony i zdołał jedynie zakurzyć swoje czarne ubranie. Carter towarzyszył mu jak opiekuńczy i dyskretny cień. Ani on, ani *reis* Ahmed Girigar

nie protestowali. Davis postępował w sposób głupi, lecz nieszkodliwy. Wiosna i jej upały ostudziły jego entuzjazm.

Maspero nie wierzył własnym oczom. Po raz trzeci odczytał konfidencjonalny raport Cartera dotyczący lata, które spędził w Anglii.

—Drogi Carterze, czy to sen?

—Nie, panie dyrektorze. Pani Goff przyznała nam środki na odnowienie grobowca Setiego Drugiego, a przemysłowiec

Robert Mond na odrestaurowanie grobowca Setiego Pierwszego.

—Są wielbicielami sztuki egipskiej?

—Zdołałem wzbudzić ich zainteresowanie naszą pracą.

—Staje się pan dyplomata. A ja zafunduję panu elektryczność w Abu-Simbel.

Rozczarowany ubogimi rezultatami — tylko mały grobowiec, w którym były mumie dwóch kobiet i z mumifikowane kaczki — Davis powrócił do swojej zimowej siedziby w Asuanie.

W początkach stycznia 1903 roku Carter wybrał się na długi konny spacer do Deir el-Bahari. Nagle przednie nogi jego wierzchowca zapadły się w piasek i jeździec przeleciał przez głowę konia. Ani zwierzęciu, ani jeźdźcowi nic się nie stało, ale ten ostatni nie mógł oderwać wzroku od cudownej dziury, którą niebawem poszerzyła jego ekipa.

Około stu pięćdziesięciu metrów od wejścia do korytarza były zapieczętowane drzwi. Za nimi piwnica zawierająca pustą trumnę i kamienny blok przysłonięty płótnem. Carter zdjął je ostrożnie. Osłaniało wielki posąg Montuhotepa II, w białej szacie i w czerwonej koronie na głowie. Ostatnie domostwo faraona o surowym obliczu natychmiast nazwano Babel-Hosan — „grób konia”.

Pod nieobecność Davisa Carter podjął jeszcze inną próbę. Ahmed Girigar powiadomił go o miejscu dwóch szybów wypełnionych miniaturowymi przedmiotami, narzędziami i naczyniami, podpisanymi imieniem Totmesa IV. Był to

składzik w fundamentach! Jego obecność wskazywała, że nieopodal musi być królewski grobowiec. A ten nie figurował w spisie Cartera, jedynym w miarę kompletnym, jaki kiedykolwiek sporządzono. Należało przystąpić do systematycznego podziału terenu na poszczególne kwartały.

Osiemnastego stycznia 1903 roku odsłonięto szerokie schody i drzwi. Choć Carter miał ochotę szukać dalej, uszanował jednak kontrakt podpisany z oficjalnym poszukiwaczem. On powinien wejść pierwszy. Próżno próbował się z nim porozumieć, bo Davis pojechał na wycieczkę i nie udało się go znaleźć. Nikt nie wiedział, gdzie dobił jego statek. Uznawszy, że nie ma już moralnych zobowiązań, Carter sam wszedł do grobowca.

Szerokość mistrzowsko wykutego korytarza zapowiadała cuda. Jakość malowideł potwierdzała to pierwsze wrażenie, które niestety szybko zmieniło się w rozczarowanie. Posadzka zasypana była tysiącami odłamków fajansu. Pośród błękitnych skorup leżał sznur, którego użyli złodzieje. Carter pokonał studnię, posuwał się wśród masy okruchów i nagle przystanął przerażony przed stojącym nieruchomo dzieckiem o czarnej cerze! Nie, nie wyrwał go ze snu śmierci. To nie był mściwy upiór, lecz nieszczęsna mumia pozbawiona bandaży i ciśnięta o ścianę. Wstrząśnięty tym widokiem Carter poczuł nienawiść do profanatorów, którzy dręczyli małego księcia.

Oficjalne otwarcie grobowca Totmesa IV odbyło się trzeciego lutego 1903 roku w obecności dyrektora Maspero. Robotnicy Cartera powstrzymali tłum ciekawskich. Davis puszył się z dumy.

—Oto mój pierwszy grobowiec, panie Maspero.

—Moje gratulacje.

—Słusznie mi pan zaufał. Byłem pewny sukcesów. Ale gdzie jest Carter?

—Stoi za panem.

—Dobrze, dobrze... Czy wszystko jest przygotowane do wejścia?

—Ustawiłem deski ponad starożytnymi szczątkami — wyjaśnił Carter — ale nie będzie łatwo się posuwać z powodu kurzu.

—To niedobrze. Są jakieś inne kłopoty?

—Błąkająca się dusza małego księcia, którego ostatni sen zakłócili rabusie.

Davis jakby zaniepokoił się.

— Carter żartuje — powiedział Maspero. — Mumie nie mają żadnego złowróżbnego działania.

Amerikanin spojrział z wściekłością na Anglika.

ROZDZIAŁ 29

—Czy to bezpieczne, doktorze? Taka długa podróż!

—Niezbędne, lady Almino. Lord Carnarvon szybciej odzyska siły, jeśli będzie spędzać zimy w ciepłym i suchym

klimacie. Egipt zapewni mu prawdziwą kurację odmładzającą. Musi unikać wszelkiego ryzyka bronchitu. Inaczej pogłębią się jego trudności z oddychaniem, a wtedy już nie

odpowiadam za jego zdrowie.

Lady Almina wycofała się. Dotąd udawało jej się tłumić u męża pragnienie podróży. Ponieważ jednak chodziło o jego życie, nie mogła mu przeszkadzać w wyjeździe.

W Highclere padał lodowaty deszcz. Poprzedniego dnia śnieg osiadł na gałęziach wysokich cedrów. W hallu zamku lord Carnarvon liczył swoje kufry. Z rozbawieniem stwierdził, że żona wyekwipowała go na kilkuletnią wyprawę.

Przyglądała mu się zza zasłony. Jego źle uczesane rudoblonde włosy kontrastowały z nienagannie przystrzyżonymi wąsami. Młodość już opuściła jego wyniosłe oblicze, na którym malowała się wielka radość. Znowu pojawiła się przygoda, kochanka lorda, wyposażona w tysięczne uroki, których nie miała ani nawet najbardziej czuła żona, ani dwoje małych dzieci, ani najpiękniejsza posiadłość Anglii.

Carnarvon zapiął pasek płaszczu. Gdy całował żonę, poczuła, że jego myśl błądzi już po ziemi faraonów.

Otwarty w 1895 roku Bristol był jednym z najpiękniejszych hoteli Kairu. Ten swoisty architektoniczny pudding z czasów

królowej Wiktorii popisywał się pretensjonalnym wejściem

z kolumnadą i zaspokajał brytyjskie wymogi komfortu i elegancji. Od początku swego pobytu Carnarvon przeżywał sen godny *Tysiąca i jednej nocy*. Jego bóle zmniejszyły się, wzrok poprawił, siły rosły. Rozkoszował się powietrzem i słońcem niczym łakociami, spacerował godzinami po kairskich ulicach, piechotą lub dorożką.

Całkiem niechęć uczestniczył w ramadanie. Dla zabawy

postanowił od wschodu do zachodu słońca pościć, nie palić, nie klócić się, nie kłąć, nie kłamać i nikomu nie zazdrościć. Taka asceza oddalała duszę od materialności i kierowała myśl ku duchowości. Hrabia nie zawiódł się: ogarnęło go nowe pragnienie życia. Z niecierpliwością czekał na *i/tar*, chwilę przerwania postu, kiedy bardzo szybko zamykano sklepy i ulice pustoszały, a zaczynała się iluminacja setek meczetów miasta. Światła ustawione w trójkąty, romby lub rógaliki oświetlały kopuły minaretów.

Carnarvon przystawał przed jakąś kuchnią na świeżym powietrzu, zapalał papierosa, wypijał sok z brzoskwiń i z apetytem spożywał ryż z kawałkami mięsa, sałatę i placki wypełnione gorącym bobem. Około drugiej nad ranem nie wzgardził anielskimi włosami czy pistacjowym ciastkiem, a potem wracał do hotelu i spał do południa, obojętny na bębniistów, którzy budzili ludność przed świtem, aby się czymś pożywiła, nim wstanie dzień.

Dwa dni przed końcem ramadanu jakaś stara lady zaczepiła go w hallu hotelu Bristol.

—Czy pan przypadkiem nie jest piątym lordem Carnarvon?

—Mam ten honor.

—Ach, więc wciąż mam dobrą pamięć... Dobrze znałam pańskiego ojca, a pan jest bardzo do niego podobny. Jaki to

ciekawy kraj, prawda? Bardzo niewiele trawników nieustan-

nie zagrożonych suszą, dramatyczna nieobecność deszczu i chroniczny brak mgły. Czy pan zna Kair?

—Jestem tu po raz pierwszy.

—Będzie pan tu wracał co roku. To miasto jest jak narkotyk, drogi przyjacielu. Oczywiście zmieniło się i przy-
jmuje zbyt wielu turystów... Czemu przyjechał pan tu na zimę?

—By poratować zdrowie i nadać sens własnemu życiu.
—Niech się pan zajmie archeologią! Podobno ta ziemia kryje cuda. Młody mężczyzna musi mieć cel w życiu i trzymać się go, nawet odpoczywając. Bezczynny Anglik zdradza swoją ojczyznę.

Szukać, drążyć ziemię, wydobywać zapomniane skarby... Ten pomysł snuł mu się po głowie od dzieciństwa, ale nigdy nie zdołał go tak wyraźnie sformułować. A może ta stara lady była jego przebrany losem? Opętały go jej słowa. Porzuciwszy ulice i tutejsze święta, zaczął biegać po ministerstwach i urzędach, próbując się czegoś dowiedzieć o regulaminach wykopalisk. Szybko pojął, że liczą się tylko pieniądze. Ostatnio bogaty Amerykanin, Theodore Davis, otrzymał koncesję w Dolinie Królów, choć nie miał żadnego archeologicznego doświadczenia.

Carnarvon jadł właśnie okonia z Nilu przy swoim stoliku w Bristolu, kiedy jakiś brodaty kolos usiadł naprzeciw niego, nie zapytawszy o pozwolenie. Czarna marynarka, czerwone spodnie i buty z ostrogami nadawały mu marsowy wygląd.

—Lękam się, że popełnił pan błąd.

—Pan jest lordem Carnarvonem, a ja nazywam się Demostenes. Przynajmniej dzisiaj. W moim fachu bezpieczniej jest zmieniać nazwisko.

—Czy uznałby pan za niedogodność, gdybym kazał wyrzucić go z hotelu?

— Pan chce się zająć wykopaliskami? To nic niewarte.

Skóra twarzy Demostenesa była żółta i pomarszczona, drżały mu ręce, a wzrok niekiedy mętniał. Carnarvon znał te objawy, łatwe do zaobserwowania w barach o złej sławie. Ten człowiek narkotyzował się haszyszem.

— Jeśli chce pan kupić jakieś cenne przedmioty, proszę się z tym zwrócić do Demostenesa.

— Czyżby pan był biegły w archeologii?

Kolos stłumił hałaśliwy śmiech.

— Byłem anglikańskim pastorem w Kairze i sprzedawcą nielegalnej wódki w Aleksandrii, zanim odkryłem znacznie

lepsze zajęcie: sprzedaję mumie. Obiekty w dobrym stanie, wydobyte z autentycznych grobowców. To jest drogie, ale warte zachodu.

—Możliwe. A gdzie je pan „odkrywa”?

—Spokojnie, drogi książę! Moje źródła to rzecz święta. A może byśmy porozmawiali o cenach?

—Zgoda, ale nie tutaj.

—A gdzie?

— Na najbliższym posterunku policji.

Demostenes wstał, nagle pobladły.

—Nigdy się nie spotkaliśmy. Proszę nie próbować robić mi kłopotów. Tu jest Egipt, a nie Anglia. Zycie ma inną cenę.

—Autentyczne mumie... Czy to jeszcze istnieje?

Kolos przeszedł wielkimi krokami przez salę restauracyjną, potrącając po drodze maitre d'hôtel, który niósł pudding dla Carnarvona.

—Jeśli wolno mi coś doradzić, milordzie, powinien się pan wystrzegać tego osobnika. To przekupny Grek, złodziej i konfident, a może nawet morderca.

—Dzisiaj to mój drugi anioł. Ten Grek i ta stara Angielka zasługują na moją dozą wdzięczności.

Maitre d'hôtel postawił na stole pudding. W niektórych okolicznościach lepiej ograniczać się do obsługi.

Lord Carnarvon wpatrywał się w płomień świecy jeszcze długo po północy. Jakże wzniosłe było wyłaniające się z niego

bytu życie, które wreszcie nabierało sensu.

ROZDZIAŁ 30

W roku 1903 specjaliści i turyści rozprawiali tylko o odnalezieniu kryjówki w jednym z dziedzińców świątyni Karnaku. Francuski architekt Legrain uznał, że potrzeba mu kilku lat, aby wydobyć na powierzchnię miliony pieczołowicie ukrytych przedmiotów kultu używanych przez kapłanów.

Ten sukces utwierdził Davisa w przekonaniu, że i on może dokonać spektakularnego odkrycia.

Wezwał Cartera na swój statek zakotwiczony w Luksorze.

Zdenerwowany chodził wzdłuż i wszerz, stukając obcasami wysokich butów.

—Panie Carter, najważniejsze są królowe Egiptu. Grobowce faraonów obrabowano, ale może ocalały groby ich małżonek.

—Niech pan poprosi o koncesję w Dolinie Królowych.

—Za bardzo zniszczona. Ja mówię o królowych pochowanych w Dolinie Królów. Chyba są tam jakieś, nie?

Carter przytaknął.

— Fascynuje mnie wielka Hatszepsut. Ponoć jej grobowiec nigdy nie został porządnie przebadany. To prawda?

Anglik ponownie przytaknął.

— Niech pan tam wejdzie, Carter. Jestem pewny, że tam jest skarb.

Amerikanin nie docenił trudności. Carter z robotnikami weszli w niekończący się, pełen kurzu ciemny korytarz ponad dwieście metrów pod skałą. Posługując się toporkami, posuwali się wśród masy pokruszonych skał, które zawałyły przejście. Rozczarowanie było równie wielkie jak wysiłek. W zdewastowanej komorze grobowej pozostały tylko dwa puste sarkofagi, jeden przeznaczony dla królowej, drugi dla jej ojca, Totmesa I. Kiedy Davis mógł dołączyć do Cartera dzięki uruchomieniu pompy powietrza, ten malował właśnie akwarelę odtwarzającą zniszczenie świętego miejsca.

— To jednak piękny wyczyn — uznał. — Opublikuję ten grobowiec i wspomnę o pańskiej odwadze.

Uścisnęli sobie dłonie po amerykańsku. Dla Cartera najważniejsze było to, że dysponował coraz bardziej wykwalifi-

kowaną ekipą, którą kształtował zgodnie ze swymi założeniami, mimo iż Tutenchamon nadal mu umykał.

—Chcę wyjść za mąż — powiedziała Raifa. — Długo dyskutowałam z bratem i dał się przekonać. Nikt nie może zwalczyć miłości.

—Boję się, że może — zaprzeczył Carter.

—Pracowałam i mam już część swego posagu: meble, naczynia kuchenne i pościel. Wniosę ci go i nie będziesz

musiał się mnie wstydzić. Gdybyś był bardzo biedny, mógłbyś się ograniczyć do wręczenia mi dwudziestu pięciu piast-rów. Ale ty, Howardzie, jesteś szanowaną osobistością. Jesteś mi winien porządny posag.

— Akurat co do tego...

Położyła mu palec na ustach.

— W przeddzień naszego ślubu będę epilowana. Mój brat, odgrywając rolę ojca, poprosi cię o opiekę nade mną. Po twojej przysiędze przekaże mnie przysłemu małżonkowi i oboje zasiądziemy na tronach. Przed nami będzie cały łąn kwiatów, słodycze, pieczone mięsa, przyprawy... Chcę, żeby było dużo śpiewaków i tancerek! To będzie najpiękniejszy ślub, jaki kiedykolwiek celebrowano w Luksorze. Będą o nim mówić jeszcze za tysiąc lat.

Przytuliła się do niego. Pokój w zrujnowanym haremie zmienił się w pałac, gdzie najbardziej szalone sny przenosiły kochanków na różane łóżce.

—Czy jesteś pewna, że przekonałaś Gamalą?

—Co mnie obchodzi Gamal!

—Pamiętaj, że ma grać rolę twego ojca.

—Odegra ją. Nikt nie może się oprzeć zakochanej kobiecie, nawet ty, Howardzie Carterze.

—Po namyśle...

Jego niepewna mina wywołała wybuch wściekłości.

—Bądź szczery. Żądam tego.

—Po namyśle... masz rację.

Mena House, dawny pałac myśliwski wicekróla Egiptu, kedywa Ismaila, zamieniony w luksusowy hotel podczas uroczystości uświetniających otwarcie Kanału Sueskiego w 1869 roku, przyjmował najbogatsze rodziny Kairu i znamienitych gości. Anglia podniosła ów hotel do rangi kolonii, ponieważ poddani Jego Królewskiej Mości mieli tu do dyspozycji lekarza, kapelana i brytyjską niańkę, a także liczącą sześćset tomów bibliotekę.

W ten wiosenny wieczór Cartera zaproszono do Mena House, by świętować jego triumf. Sława inspektora dotarła do Kairu, gdzie dobre towarzystwo zorganizowało obiad na

jego cześć. Młody rysownik z Norfolku stał się cenionym archeologiem, który budził zazdrość, notable lubili więc, by zasiadał przy ich stole. Odsłonięcie wielkich grobowców królowej Hatszepsut i króla Merenptaha, dokonane szybko i z całą naukową precyzją, uczyniło z Cartera najlepszego z czynnych archeologów.

On sam był dumny i smutny. Dumny z dokonanej pracy i przebycia kilku szczebli, dumny z tego, że uprawiał ukochany zawód, ale smutny, że traci czas na światowe zajęcia, gdy jego dialog z Doliną Królów ledwie się zaczął, a poszukiwanie Tutenchamona domaga się wszystkich jego sił.

Zanim udał się do Mena House, usytuowanego u stóp wyżyny Gizy, wspiał się do stóp wielkiej piramidy. Kilkoma oschłymi zdaniem zniechęcił do siebie sprzedawców fałszywych starożytności i Beduinów wynajmujących osły i wielbłądy. Patrząc na szczyt mitycznego monumentu, przypomniał sobie stronicę z Chateaubrianda, którą przeczytał mu Newberry:

To bynajmniej nie z poczucia własnej nicości człowiek wznosił taki grobowiec, ale dzięki instynktowi własnej nieśmiertelności: ten grób nie jest wcale granicą oznaczającą koniec jednodniowej kariery, to granica, która oznacza wkroczenie w nieograniczone życie; to rodzaj bramy wieczności, zbudowanej na krańcach wieczności.

Niechętnie porzucił wielką piramidę dla światowego obiadu. Proszono, aby opowiedział o swoich wyczynach, i lito wano się nad nim, że wchłonał tyle kurzu.

Jakiś brytyjski adwokat wznosił kieliszek szampana.

— Wypijmy za naszego nowego Archimedes! Czy poinformowano pana o najbardziej niezwykłym znalezisku?

— Nie... W którym miejscu?

— W Luksorze, mój drogi, pod pańską nieobecność.

Carter, choć zaniepokojony, robił dobrą minę.

— No nie! Kazać panu czekać dłużej byłoby okrucieństwem. Chodzi o grobowiec.

Carter nerwowo zgniótł serwetkę.

—W Dolinie Królów?

—Dokładnie.

Goście umilkli.

—Czy chodzi o królewski grobowiec?

—Tego nie wiem, ale nigdy dotąd nie został otwarty.

—Jeśli nie... to co zawierał?

—To wiadomo.

Adwokat mówił z emfazą.

— Wiadomo, dzięki trzem białym wielbłądom, które wyszły z piwnicy, niosąc góry złota i klejnotów!

Zachwyceni goście wybuchnęli śmiechem.

Poblady Carter odłożył sztućce.

— Proszę wybaczyć, że opuszczam państwa tak szybko, ale idiotyzm odbiera mi apetyt.

Zaspana Raifa przytuliła się do Cartera, który gładził jej włosy, a potem pocałował w szyję.

—Kiedy się pobieramy, Howardzie?

—Niedługo.

—Jutro?

—Jest jeszcze kilka spraw do załatwienia.

—Mój posag?

—Maspero. Muszę z nim porozmawiać.

Gaston Maspero był w radosnym nastroju. Popijał kawę i jadł ciepły placek z cebulą i fasolką.

—Cieszę się, że pana widzę, Howardzie. Nie spałem przez pana.

—Czy mógłbym znać przyczynę tego incydentu?

—Jakość pańskiej pracy. Pan jest najblyskotliwszym z moich inspektorów i pański wkład w pracę urzędu jest naprawdę wybitny. Powodzenie zawdzięcza pan zapamiętałej

pracy i doskonałemu przygotowaniu. Znajomość terenu, znajomość arabskiego, dar kierowania robotnikami, wyostrzony zmysł artystyczny.

—Niepokoi mnie taka wielość komplementów.

—Co się za nimi kryje? Awans, drogi Howardzie! W wie-

ku trzydziestu lat został pan desygnowany na kluczowe stanowisko inspektora Dolnego i Środkowego Egiptu. Do pana należą piramidy!

ROZDZIAŁ 31

To był jego pierwszy wieczór odpoczynku po sześciu miesiącach zacieklej pracy w Sakkarze. Ile nektarów zostało do przebadania na tej olbrzymiej nekropoli, gdzie Maspero odkrył pierwsze piramidy, których tajemne komnaty pokryte były hieroglifami? Ze skromnego domostwa inspektoratu, gdzie się urządził, Howard Carter miał niezrównany widok. Z jednej strony pustynia i budowle wieczności, z drugiej palmowy gaj antycznego Memfis. Często trudno było oderwać się od kontemplacji i zanurzyć w meandrach codzienności. On jednak miał świadomość swoich zadań i pragnął je wypełniać bezbłędnie, chociaż cierpiał z powodu oddalenia od ukochanej Doliny Królów.

W przeddzień wyjazdu na północ Raifa rzuciła mu się na szyję z płaczem. Nie próbował jej uspokajać. Oboje wiedzieli, że czeka ich długie rozstanie. Oczywiście, w czasie urlopu Carter będzie wracał do Luksoru, ale nie mógł jej obiecać małżeństwa. Choć urażona, przysięgła mu wierność. Od rzucił tę przysięgę, której nie chciała cofać.

Odpowiadała mu samotność w Sakkarze zdominowanej przez piramidę Dżesera, pierwszą kamienną budowlę wzniesioną na egipskiej ziemi. Od pięciu tysięcy lat spoczywali tu faraonowie i arystokraci, tworząc niewidzialną wspólnotę, której realne istnienie było jednak dostrzegalne w każdej chwili.

Oślonięty od wiatru Carter siedział na krześle i marzył o Raifie i słodczy jej oddania, gdy nagle dojrzał nadbiegającego strażnika.

—Panie inspektorze, proszę przyjść natychmiast.

—Co się dzieje?

—Francuzi... chcą zwiedzić Serapeum.

—Przypomnij im, że jest zamknięte.

—Nie godzą się na to.

—Jak to nie godzą?

—Chyba mają w czubie.

Zirytowany pospieszył w stronę Serapeum, ciągu podziemnych galerii, gdzie znajdowały się gigantyczne sarkofagi świętych byków. Przed wejściem dwóch strażników spierało się z podchmielonymi turystami. Jeden z nich, około pięćdziesięcioletni pijany mężczyzna, wymyślał swego rozmówcę od „brudnych Arabów” i „sukinsynów”. Nim Carter zdołał interweniować, strażnik go odepchnął. Wynikła z tego ogólna bójka, którą z trudem przerwał.

—Kim pan jest? — zapytała ciemnowłosa kobieta, rozczochrana i agresywna.

—Howard Carter, inspektor Urzędu do spraw Zabytków.

—To szczęście spotkać nareszcie kogoś odpowiedzialnego! Chcieliśmy obejrzeć Serapeum, kiedy zaatakowały nas

te makaki. Kazali nam nawet wykupić bilety.

—Niech się pani zachowuje przyzwoicie. Ci strażnicy to moi podwładni, którzy wykonują moje polecenia. O tej porze

nie macie państwo prawa tu przebywać.

—Z kogo pan drwi? Jesteśmy Europejczykami, a nasz przyjaciel został napadnięty! Rozkazuję panu natychmiast aresztować tych dzikusów!

Jakiś czerwony ze złości wąż zaczął wręcz zaszczekać:

—Zapłaciłem za bilet i muszą mi to zwrócić! Tam w środku jest ciemno, a nawet nie zapewniono nam światła!

—Wracajcie do domu i weźcie zimny tusz.

—To się tak nie skończy, Carter! Złożymy skargę.

Maspero był bardzo zażenowany.

—Złożyli skargę. Oskarżają pana o bicie i rany... To poważne.

—Przed wszystkim nieścisle. Obrzucono obelgami jednego z moich strażników, na co zareagował normalnie.

—Normalnie? Wymierzając cios francuskiemu turyście!

—To był niebezpieczny pijak, którego ledwie szturchnięto. Ja świadczę w obronie mojej załogi.

—Zbytecznie. Pańscy przeciwnicy uzyskali poparcie konsula generalnego Francji i żądają zadośćuczynienia.

—Chyba nie rozumiem.

—A jednak to proste, Carter. Dzięki mojej interwencji unikniemy procesu. Wystarczy, że pan wyrazi ubolewanie

wobec konsula oraz tej grupy turystów i zwolni z pracy strażników.

—Nie ma mowy. Byłoby sprawiedliwie, gdyby ci pijacy przeprosili strażnika.

—Tu nie chodzi o sprawiedliwość, tylko o dyplomację! Niech mi pan ułatwi zadanie i nie upiera się.

—Nie zamierzam poniżać się wobec kłamców.

—Do licha, proszę tego tak nie traktować! To tylko kilka słów, nic więcej.

—O wiele za dużo, panie dyrektorze.

—Niech się pan nie upiera. Sprawa może się zaognić.

—Nie ja jestem winien. Sprawiedliwość zwycięży.

Ponieważ Maspero nie uzyskał ustępstw od Howarda Cartera, skarżący się poprosili o spotkanie z lordem Cromerem, wysokim komisarzem brytyjskim, silnym człowiekiem Egiptu. Ten uwierzył kłamcom i uznał za winnego Cartera. Młody archeolog nie był wysoko notowany w najlepszym towarzystwie.

Maspero wezwał go ponownie, ale był bardzo ponury.

—Mam formalne instrukcje: natychmiastowe zwolnienie strażników i pańskie przeprosiny. Lord Cromer zjawi się tu

za kilka minut, by ich wysłuchać.

—Więc będę mógł mu powiedzieć prawdę.

—Nie zechce jej słuchać. Ma własne zdanie.

—Zatem to głupiec.

—Carter! Nie dostrzegasz powagi sytuacji. Musisz ustąpić, inaczej...

—Inaczej?

—Będę musiał przyjąć twoją dymisję.

Carter był oszołomiony.

—Pan, Gaston Maspero, nie popełni takiej zbrodni!

—Howardzie, to tylko kilka pojedynczych zdań i zapomnimy o tej absurdalnej sprawie.

Lord Cromer wkroczył do biura dyrektora Urzędu do

spraw Zabytków. Nie dostrzegając Cartera, zwrócił się do Maspero.

—Załatwione?

—Prawie, wysoki komisarzy.

—Niech Carter natychmiast wygłosi przeprosiny, które zostaną potwierdzone na piśmie i wręczone właściwym osobom.

Zapadło ciężkie milczenie. Lord Cromer ścierpiał je tylko przez trzydzieści sekund.

—Czy pan kpi z władzy, którą reprezentuję, panie Maspero?

—Howard Carter gotów jest przyznać się do swoich błędów, natomiast niesprawiedliwość...

—Moja opinia oparta jest na faktach, nie na uczuciach. Wszelka dyskusja jest zbyteczna. Albo Carter się jej podporządkuje, albo ustąpi.

Lord Cromer nie usłyszał głosu Howarda Cartera. W chwili gdy drzwi trzasnęły, podskoczył.

ROZDZIAŁ 32

Gdy zaczęły się pierwsze chłody, charakter Carnarvona wyraźnie się zmienił. Zazwyczaj ponury, zaczął pogwizdywać, czytając lub spacerując, żartował przy stole, częściej bawił się z dziećmi. Zmieniające się w szron mgły i deszcz bardzo go cieszyły. Bóle zniknęły i mimo zakazu lekarza spacerował kilka godzin dziennie po zamkowym parku.

Po jego powrocie z jednej z takich eskapad żona nie mogła już ukryć niepokoju.

—Gorąca kąpiel czeka. Pospiesz się.

—Bardzo delikatna uwaga, kochanie. Zdaniem wieśniaków zima będzie ostra.

—Po co tak ryzykować? Szkodzi ci chłód i wilgoć.

Lord spuścił wzrok.

—Muszę ci coś wyznać, Almino.

—Taka ostrożność nie jest twoim zwyczajem.

—Sytuacja usprawiedliwia ostrożność wypowiedzi.

—Boję się zrozumieć...

Carnarvon odwrócił się.

— Jestem zakochany. Szaleńczo.

Lady Almina zamknęła oczy.

—Bóg poddaje mnie straszliwej próbie. Przyjmuję ją.

Jak ona się nazywa?

—Nie jest bardzo młoda.

—A czy przynajmniej szlacheckiego rodu?

—Królewskiego.

—Ale... jak się nazywa?

—Egipt faraonów.

—Nie miałaś prawa!

—Kochanie, to bardzo ważne. Zgodnie z zaleceniem mego doskonałego lekarza jutro wyjeżdżam do Kairu.

Pod koniec roku 1904 lord Carnarvon z radością powitał ożywione i pachnące uliczki Kairu. Ten pobyt, tak niecierpliwie oczekiwany, rozświetlił jego egzystencję. Pozwalał mu umknąć przed wielu londyńskimi obowiązkami towarzyskimi i nie uczestniczyć w przedstawieniach *Madame Butterfly* Pucciniego, łzawego i gadatliwego muzyka, którego nie znosił.

Lord pragnął przygotować program prac wykopaliskowych, ale nie miał żadnego doświadczenia w tej dziedzinie. Porozumiał się więc ze służbami wysokiego komisarza, prawdziwego pana Egiptu dzięki przyjaznemu porozumieniu Francji i Anglii, które uzgodniły podział Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. Francji między innymi przypadło Maroko, które zajęła bez kłopotów, Anglii zaś Egipt. Z jednym tylko, ale istotnym zastrzeżeniem: stanowisko dyrektora

Urzędu do spraw Zabytków, jak poprzednio, zarezerwowano dla Francuza.

Dlatego też Carnarvon umówił się z Gastonem Maspero.

— Chciałbym uzyskać prawo do prowadzenia wykopalisk.

Maspero przetarł swoje okągłe okulary. Znów zaczynał się koszmar. Raz jeszcze trzeba się będzie ugiąć przed bogatym amatorem, którego głównym naukowym argumentem była wysokość rachunku bankowego.

—Nic prostszego. Wystarczy podpisać formularz.

—Jakie są moje zobowiązania?

—Prowadzić badania na terenie należącym do Egiptu, nie zabudowanym, z dala od upraw rolnych, zwolnionym z podatku, poza strefą wojskową i nie przydzielonym służ-

bom publicznym. Jeśli dokona pan ważnego odkrycia, na przykład grobowca, musi pan powiadomić o tym Urząd do

spraw Zabytków.

—Czy będę tam mógł wejść jako pierwszy?

—Pod warunkiem, że będzie pan miał u boku inspektora. Ma pan dwa lata na to, by dostarczyć mu raport dotyczący pańskiej działalności.

—A co się dzieje z mumiami?

—Pozostają własnością Egiptu, podobnie jak sarkofagi. Jeśli chodzi o inne przedmioty, dzielimy się nimi rozsądnie.

—Co pan rozumie przez „rozsądnie”?

Maspero z trudem hamował złość. To prawda, jeden z paragrafów kontraktu mówił, że zawartość nienaruszonego grobowca podzielona zostanie między odpowiedzialnego za prowadzone prace oraz państwo. Ale nie odkrywano już nienaruszonych grobów, a gdyby zdarzył się cud, i tak tego paragrafu nie da się zastosować.

—A więc... zależnie od wartości przedmiotów przystąpiemy do dżentelmeńskiej dyskusji.

—To bardzo rozsądne — przyznał Carnarvon.

—Byłbym zapomniiał o najważniejszym: wykopaliska prowadzone będą na pański koszt i ryzyko.

—Doskonale.

— I jeszcze jeden szczegół. Jakie miejsce pan wybrał?

Pytanie zaskoczyło Carnarvona.

— Nie uwierzy mi pan, ale nigdy o tym nie pomyślałem. To moja druga zima w Egipcie, a znam tylko Kair. Czy zechciałby mi pan wskazać jakieś przychylne miejsce?

Maspero zdumiał się.

— Wszędzie, milordzie, należałoby kopać wszędzie... Luksor to pociągające miejsce, wysoko cenione przez pańskich współobywateli. W tym regionie jest wiele nieprzebadanych stref.

Carnarvon posłuchał rady Maspero i dobrze na tym wyszedł. Spacerował po starych Tebach, jak każdy zwiedzający sprowadzony został do wymiaru liliputa w sali gigantycznych kolumn Karnaku, smakował światło Luksoru, pływał łodzią po Nilu, medytował pod akacją obok Ramesseum, poczuł wielkość faraonów w Medinet Habu, zachwycał się setki razy malowidłami w grobowcach, kontemplując je. Egipt wsączał się w niego, kształtował duszę, rozwijał nową wrażliwość. Przed rozpoczęciem prac chciał się nasycić tym pięknem, które zniechęciło czas i dostarczało niezwykłego pokarmu.

Kiedy popijał miętową herbatę w knajpce na zachodnim brzegu, pozdrowił go jakiś brodaty kolos, zdejmując biały kapelusz.

—Pan Demostenes... Cóż za miła niespodzianka.

—Czy mogę się przysiąc?

—Widzę, że nauczył się pan dobrych manier.

Przemysł starożytności w czarnej marynarce, czerwonych spodniach i wysokich butach nie mógł przejść nieopstrzeżenie.

—Pan, milordzie, jest człowiekiem honoru, bo nie sprawił mi pan żadnych kłopotów.

—Mam dług u pana.

—Nie pożyczyłem panu żadnych pieniędzy.

—Dług moralnej natury.

—Ach... to mnie nie interesuje. Przyjechał pan kupować mumie?

—Raczej je odnaleźć.

—Gdzie?

—W głębi ziemi.

—Prowadzić wykopaliska? Co za pomysł! Straci pan na tym fortunę. Mam wszystko, czego panu potrzeba, i po przystępnej cenie. To jest zgniły kraj.

—Anglia go uzdrowi.

—Na pewno nie. Nowe prawo nakazuje zamknięcie niezdrowych i niebezpiecznych lokali... Inaczej mówiąc, ogłasza ogólną upadłość! Lokalne manufaktury i pracownie

są przegrane. Ich miejsce zajmą międzynarodowe trusty, co wywoła niezadowolenie, które źle się zakończy. Przemysł, to

jest przyszłość! Niech pan dobrze wykorzysta swoje zimowe wakacje. Egipt nie zawsze będzie brytyjski. Proszę wybaczyć, ale czekają na mnie.

Demostenes — coraz tłustszy — wstał z wdziękiem słonia

i oddalił się chwiejnym krokiem. Szaleniec czy wizjoner? Nikt w Foreign Office nie podzielał jego poglądów. Ale czy zawodowi dyplomaci nie spędzają czasu na popełnianiu błędów?

ROZDZIAŁ 33

Siedzący obok zaspanych żebraków Howard Carter nie był już inspektorem Urzędu do spraw Zabytków. Lord Cromer zażądał jego głowy i zmusił Maspero, by go zwolnił.

Piętnaście lat zacieklej pracy i nagle ostateczny upadek. Bez pracy, bez odszkodowania, bez oszczędności, niezdolny szukać innego zajęcia Carter był zdruzgotany. Tracąc stanowisko, na zawsze oddalił się od Doliny Królów i Tutenchamona. Jego sen się rozwiął, a życie straciło sens. A jednak nie żałował *swojej* postawy. niesprawiedliwość *to najgorsze* zło i nigdy się z nią nie pogodzi.

Przystanął przed nim ubrany z europejska średniego wzrostu mężczyzna o okrągłej twarzy, ozdobionej małym wąsikiem.

—Czy to pan Howard Carter?

—Jestem już nikim.

—Nazywam się Ahmed Ziuar... Oprowadzał mnie pan po Sakkarze. Pan lepiej zna mój kraj niż ja, jakby go pan bardziej kochał. Znam tę sprawę. Chciałem wyrazić mój podziw, panie Carter.

Anglik spojrział na niego zdumiony.

—Gdzie pan będzie mieszkał w Kairze? — spytał Ziuar.

—Nie wiem.

—Jestem tylko drobnym urzędnikiem, ale dysponuję małym wolnym pokojem. Bardzo bym się ucieszył, gdyby

pan go przyjął. Może pan tam zamieszkać, odzyskać siły i przygotować sobie przyszłość. Kiedy Bóg zamyka jakieś drzwi, otwiera inne.

Carter wstał. Nie mógł zachować się niegodnie wobec tak szlachetnego człowieka.

Z rogu uliczki Carter obserwował przechodzących mieszkańców Kairu, nosiciela wody, sprzedawcę placków, matkę rodziny z koszem na głowie i niemowlęciem w objęciach, osiołka objuczonego lucerną. Próbując zapomnieć o sobie, malował na płótnie sceny z codzienności, cenne świadectwa monotonnej i spokojnej egzystencji. Gapie i chłopcy przystawali obok, przyglądając się jego pracy. Jakiś Europejczyk

zapropozował mu trochę pieniędzy. Początkowo niechętny, przyjął je. Jako malarz rodzajowy zarabiał dosyć, by opłacić pokoik gościnny w ubogiej dzielnicy. Pokoik na ostatnim piętrze odrapanej kamienicy stanowił spokojny przytułek po dniu spędzonym w nieustannym zgiełku miasta. Szczekanie psów często zakłócało nocę. Leżąc na łóżku z otwartymi oczyma, wspominał cudowne czasy, kiedy pracował na terenach wykopalisk.

Tęsknota była najsilniejsza. Powrócił do Sakkary, malował piramidę schodkową, pustynię, najpiękniejsze sceny z grobowców Starego Państwa. Turyści doceniali jego obrazy i akwarele. Niezadowolony ze sprzedawania tych dzieł, kierował ich na miejsca, którymi dawniej zarządzał. Jego sława rosła i niebawem stał się mistrzem docenianym przez najuważniejszych turystów.

Sztuka i napiwki nie uczyniły go milionerem. Zadowalał się małym i ukrywał własne ubóstwo pod nienaganną elegancją. Często pisał do Raify, ale darł te listy, nie mogąc zdobyć

się na wyznanie jej prawdy. Chciał, aby zachowała w pamięci obraz szczęśliwego i szanowanego Cartera.

W ciągu kilku miesięcy rozwinął i inną działalność. Mniej lub bardziej łatwowierni nabywcy prosili, aby ocenił statuetki lub fragmenty płaskorzeźb, które kupowali na sukach. Więk-

szość z nich to były podróbki, ale zdarzały się i autentyczne. Sława Cartera rosła. Konsultowano się z nim nawet, dokonując transakcji.

Większość wolnego czasu spędzał u stóp piramidy Dżesera, zafascynowany surowością tej matki całej egipskiej architektury. Nie zadowalały go liczne jej szkice. Jak oddać poryw gigantycznych schodów, które szturmowały niebo?

Usłyszał kroki na piasku. Zbliżał się jakiś turysta, który zatrzymał się za nim.

—Ocaliłeś swój talent, Howardzie.
Zadrżał, słysząc głos Gastona Maspero.
—Jak się pan miewa, panie dyrektorze?
—Mówiono mi, że jakoś sobie radzisz.
-r- Dobrze panu powiedziano. Służby się rozwijają?
—Bez ciebie drepczą w miejscu. Amatorzy biorą nad nami górę.
—Na przykład Theodore Davis?
—Jego ekipa jest dumna z ostatniego wyczynu: nienaruszonego grobowca.
Pędzel Cartera znieruchomiał.
—Skarb?
—Piękne grobowe meble: kufry, krzesła, wazy i dwie wielkie trumny zawierające dobrze zakonserwowane mumie rodziców królowej Teje.
Królowa Teje, małżonka Amenhotepa III i matka heretyckiego króla Echnatona... te osoby znały młodego Tutenchamona, którego cień musnął Cartera. Może Teje była jego matką.
— Davis chce opublikować znalezisko, ale nie potrafi tego zrobić. Dlatego prosi mnie o pomoc. Zgodziłem się, ale potrzebny mi jest rysownik. Czy przyjąłbyś taką robotę, Howardzie?

Davis i jego ekipa, w której był między innymi młody archeolog Burton, zajmowali mały dom u wejścia zachodniego parowu Doliny Królów. Zbudowany z kamienia i ziemi, w cieniu skały, był niewidoczny dla zwiedzających. Cztery małe pokoje, jadalnia, magazyn starożytności, ciemnia, biuro, kuchnia stanowiły całe domostwo, którego nieprzerwanie pilnował strażnik. Amerykanin przyjął Cartera w jednej z tych mnisich cel, pozbawionych wody i elektryczności. Ubrany na czarno przypominał anioła zagłady.

— Żawdzięcza mi pan powrót do Luksoru. W zamian za to wymagam jak najdalej idącej dyskrecji. Zgoda na rysunki, ale żadnych interwencji w samo prowadzenie wykopalisk. Nie jest już pan inspektorem, a ja stworzyłem kompetentną

ekipę, która nie potrzebuje żadnych rad. Co więcej, nie chce też żadnych kłopotów. Brytyjskich władz nie ucieszyłaby pańska obecność tutaj. Proszę się zamknąć w biurze, które Maspero zostawił do pańskiej dyspozycji, i ograniczyć się do wiernego odtwarzania przedmiotów, jakich dostarczą panu moi asystenci. Jakież uwagi? — Żadnych.

Zima 1906 roku była podobna do innych zim: łagodna, spokojna i słoneczna. Sytuacja Cartera niezbyt się zmieniła: kilka ekspertyz podczas transakcji mniej lub bardziej legalnymi przedmiotami zapewniało mu wystarczające dochody. Jego główną, lecz nie opłacaną działalnością było rysowanie okazałych mebli z drewna, odkrytych przez Davisa w grobie teściów Amenhotepa III. Nie oczekiwał, że ci wielcy dygnitarze skromnego pochodzenia mogą być obecni w dolinie zarezerwowanej dla faraonów. Ta anomalia utwierdziła go w przekonaniu, że Egipcjanie przyznali wielkie znaczenie okresowi poprzedzającemu dojście do władzy Tutenchamona. Dlaczego tak starannie przysłonili jego panowanie i ukryli jego grób?

Kiedy noce stały się chłodne, zawinięty w wełnianą kołdrę czytał całą naukową produkcję, jakiej dostarczał mu Maspero. Często się przy tym irytował. Archeolodzy kiepsko pracowali, a historycy rzadko sprawdzali ich źródła, zadowolając się gromadzeniem kopii, by zdobyć uniwersyteckie katedry, przyznawane na podstawie ilości zadrukowanego papieru i właściwych znajomości w świecie. A wiedza, odwaga, uczciwość? To niedorzeczne cnoty, które prowadzą do społecznej przeciętności.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Otwarte.

Weszła ona, prześliczna. Z umalowanymi oczami, wargami błyszczącymi lekką czerwienią, czarnymi włosami, które opadały w zwojach na ramiona. Znieruchomiała na progu.

—Chcesz mnie widzieć?

—Raifa...

Nie był w stanie się ruszyć. Podeszła bliżej, wciąż w niego wpatrzona.

— Ładna jestem?

Wziął ją w ramiona i tuląc, omal nie zadusił.

— Jestem już nikim, Raifo. Straciłem stanowisko inspektora i jestem biedny.

— Gwiżdżę na to... Gdybyś wiedział, jak z tego kpię!

— Gamał nigdy nie pozwoli, aby żebrak został mężem jego siostry.

— Zadowolę się rolą kochanki... Kocham cię, Howardzie.

Słowa ustąpiły miejsca pieszczotom. Ileż to miłosnych godzin stracili z powodu jego pychy?

Robotnik pochylił się, odsunął wielki kamień, odrzucił górę kamyków i zaczął ostrożnie kopać ręką. W zagłębieniu u stóp skały dojrzał jakby błysk. Promienie słońca odbiły się od jakiejś lśniącej powierzchni. Gdy się pochylił, wydało mu się, że dostrzega jakąś błękitną linię między dwoma kawałkami wapienia. Odsłonięte okazało się brzegiem emaliowanej czary, dawniej pokrytej złotem.

Robotnik wezwał przełożonego, który zawiadomił Davisa. Amerykanin przyjrzał się przedmiotowi z pogardą.

— Nie zasługuje nawet na fotografię. Zanieście to Carterowi. Zrobi nam rysunek. A potem odeślemy to do muzeum w Kairze. Trzeba im coś odstąpić od czasu do czasu.

Występując z grupy turystów, w którą się wmieszał, Carter zbadał miejsce, skąd wyjęto czarkę z niebieskiego fajansu. Jego zdaniem powinna była zawierać kulki z natronu, używanego jako substancja oczyszczająca podczas rytuału otwarcia ust, który przywracał życie mumii. Inaczej mówiąc, podczas królewskiego pogrzebu! Już po pierwszych oględzinach wyrobił sobie ten pogląd. Chodziło o kryjówkę. Kapłan zadał sobie trud ukrycia tego cennego obiektu pod skałą.

Od trzech dni próbował ją narysować, ale za bardzo

drżały mu ręce. Na czarce był tekst: *Niechaj bóg doskonały (^{0<=>!tti}) da życie*. Hieroglify umieszczone w kartuszu *, słońce, kosz i skarabeusz, po których następowały trzy pionowe kreski liczby mnogiej, można było odczytać: *boskie światło jest władcą transformacji**. Tych kilka znaków, nieistotnych w oczach Davisa, tak zbulwersowało Cartera, że nie mógł zasnąć. Czyż nie oznaczały one koronacyjnego imienia Tutenchamona?

Jego pewność przybierała obecnie naukową postać. Ten skromny przedmiot dowodził, że uroczystości pogrzebowe tajemniczego faraona odbyły się w Dolinie Królów i że został pochowany gdzieś pod tymi piaskami.

ROZDZIAŁ 34

Lord Carnarvon uczestniczył w koktajlu na otwarciu Winter Pałace, nowego luksusowego hotelu w Luksorze. Zbudowany w środku małego miasta, nad Nilem, pretensjonalnie demonstrował żółtą fasadę, która odcinała się od zieleni palm i bieli meczetu oraz sąsiadujących z nim domów. Lord niezbyt cenił nagromadzenie stiuków i gipsów pokrywających metalowy szkielet. Luksor stawał się łupem kupców i hord głupców. Turyści z przewodnikiem Baedekera w rękę zalewali sklepy pełne fałszywych skarabeuszy, wachlarzy i kapeluszy. Ich codzienne kontyngenty wylewały się ze statków wyczarterowanych przez agencję Cooka, przebiegały szybkim krokiem świątynie i na głos syreny lub dzwonu wracały na pokład, by przebrać się na lunch.

Carnarvon, który otrzymał przydomek Lordy, zadowalał się żeglarską kurtką z miedzianymi guzikami. Nadawała mu marsowy wygląd, któremu przeczyła jego uprzejmość wobec tubylców. Uciekał od Europejczyków i bywał gościem wszystkich lokalnych paszów.

* Kartusz to techniczne określenie oznaczające mniej lub bardziej podłużny owal, w który wpisane jest imię faraona.

* Transkrypcja techniczna: *Neb — Kheperu — Re*. Jest to jedno z imion Tutenchamona, bo każdy faraon posiadał ich kilka; wskazywały one sens jego świętej misji.

Poznał Egipt od środka i zupełnie dobrze radził sobie z arabskim. Te wstępne przygotowania wydały mu się niezbędne, nim na serio się poświęci wykopaliskom.

—Jeśli pan nadal pragnie uzyskać koncesję — oświadczył Maspero — mogę panu coś zaproponować: nie przebadany

dotąd teren w górnej części doliny Szeik Abd el-Gurna. Przy odrobinie szczęścia może pan odnaleźć jakiś mały grób.

Ale proszę mnie o tym powiadomić.

—Ja mam szczęście — odparł Carnarvon. — Kiedy mógłbym zacząć?

—Jeśli pan chce, już w przyszłym tygodniu.

—Doskonale. Odwołuję wszystkie spotkania i udaję się na zachodni brzeg.

Funkcjonariusz Foreign Office, który pracował w Luk-sorze, udając kupca nasiennego, będzie zawiedziony i wściekły. Carnarvon chętnie przekazywał mu swoje wrażenia na temat kraju, ale nie chciał być na jego żołdzie.

Miejscowość Szeik Abd el-Gurna nie zachwyciła Lordy'ego: ostre słońce, kurz, tumany piasku i rozbawione uśmiechy mieszkańców wsi nie miały żadnego czaru. W chwili gdy miał rozpocząć poszukiwania, arystokrata uświadomił sobie, że niełatwo udawać archeologa. Czemu wybierać to, a nie inne miejsce? Idąc za głosem instynktu, polecił dwóm robotnikom przesunąć wielki płaski głaz i wbić łopaty w pochyły teren. Gdy się zmęczyli, zastąpił ich. Posługiwanie się narzędziem wręcz łamało mu kręgosłup, ale zyskał ich sympatię. Podzieliwszy się plackami z cebulą i pomidorami, wykazali nowy zapal.

Lordy miał zresztą bardzo wartościowego sprzymierzeńca: terierkę Suzi, która nie zgodziła się opuścić pana. Aby nie zawieść jej uczuć, Carnarvon zabrał ją ze sobą do Egiptu, trochę licząc na jej węch i zdolność ścigania łupu aż do nory. Ale Suzi o uszach w kształcie litery V, które niemal zasłaniały jej pysk, straciła wszelką agresywność i najbardziej lubiła tulić się do nóg Lordy'ego, gdy siedział w trzcinowym fotelu z dala od kurzu. Okropnie zazdrosna, nie pozwalała nikomu zbliżyć się do pana bez jej zgody.

Na krótko przed zachodem słońca fellahowie natrafili na coś, co przypominało szyb grobu. Byli tak samo podnieceni jak arystokrata i z najwyższym trudem powściągnęli chęć dalszego kopania. Nazajutrz rano zjawił się delegat Urzędu do spraw Zabytków. Stwierdził, równie niezadowolony jak Carnarvon, że niedokończony szyb był tylko pustą dziurą.

Ponieważ los zamrugał do niego, hrabia się nie zniechęcił. Przez sześć tygodni z zapalem kopał w tym miejscu. Szyb połączony był z grobowcem i mimo chmury piasku, strug potu i braku gibkości lord wśliznął się do otworu. Jeden z robotników podał mu żagiew, która oświetliła małą trumienkę. W jej wnętrzu była mumia kota. Suzi okazała umiarkowaną dezaprobatę.

Carnarvon uznał, że to skromny wyczyn. W muzealnych magazynach zalegały setki kocich zwłok. Niezbyt błyskotliwy początek zachęcił go jednak do dalszych poszukiwań na wielkiej wyżynie, którą rozciągała się przed świątynią Deir el-Bahari. Wykopali dziury w ziemi tu i tam, słońce było coraz bardziej przytłaczające, a brak jakichkolwiek rezultatów całkowity.

—Kochanie, już cztery zimy spędziłeś w Egipcie... to cię nie znużyło?

—Przeciwnie, Almino.

—A cóż cię tam tak pociąga?

—Niezwykle ważna praca.

—Wykopaliska prowadzone przez amatorów?

—Masz rację... przez amatorów. Trzeba położyć kres tej idiotycznej praktyce.

Małżonka lorda Carnarvona wzięła go za rękę.

—Więc rezygnujesz z podróży i zostajesz w Highclere.

—Nie, to znaczy, że wreszcie zostanę zawodowcem.

—Jest pan zadowolony ze swojej archeologicznej działalności, milordzie?

—Bynajmniej, panie Maspero.

Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków zmarszczył brwi. W ostatnich miesiącach mnożyły się kłopoty. Nowi inspektorzy nie mieli zalet Cartera i znów szerzyć się zaczął przemysł starożytności. Wobec francuskiego uczonego podnosiło się coraz więcej krytycznych głosów. Zarzucano mu, że przywiązuje zbyt wielką wagę do studiów historycznych, zaniedbując archeologię, że szafuje pozwoleniami na prowadzenie wykopalisk, nie troszcząc się o kwalifikacje poszukiwaczy, a na dodatek pozwala wywozić wiele przedmiotów do obcych muzeów.

—Ktoś się panu naprzykrzał?

—Chyba mnie pan przecenił. Wprawdzie jestem lordem Carnarvonem, ale brak mi wystarczającej wiedzy, a zwłaszcza techniki potrzebnej do właściwego prowadzenia takiego przedsięwzięcia. Nie zadowala mnie ekshumowanie kocich mumii. Zależy mi na poważnej pracy.

—Pańska ekipa robotników...

—Słucha moich poleceń, ale ponieważ te dyrektywy są bezwartościowe, ogranicza się do kopania dziur, a to nie daje. Niech pan zapomni o moich tytułach i majątku i dostarczy mi właściwego naukowego wsparcia.

Maspero zdjął okulary, przetarł je powoli i na bibułce, której właśnie użył, napisał jakieś nazwisko. Zawahał się, czy je wymówić. Carnarvon żywi prawdziwą namiętność, czy może jest tylko motylem latającym od rozrywki do rozrywki?

—Znam egiptologa, który mógłby być panu przydatny.

—To doświadczony człowiek?

—Ponad piętnaście lat pracy w Egipcie. Zna arabski, umie kierować ekipami i zna wszystkie miejscowe zwyczaje.

—Jak się nazywa ten rzadki klejnot?

—Howard Carter.

—Intryguje mnie pewien szczegół: czemu tak błyskotliwy młodzieniec nie jest pańskim współpracownikiem?

—Był i gratulowałem sobie tego. Cartera czekała wielka kariera. Ale nieugięty charakter i całkowity brak umiejętności dyplomacji pchnęły go do pożałowania godnych ekscesów.

—Zwolnił go pan?

- Pod przymusem i wbrew sobie, bo odmówił wykonania administracyjnych obowiązków.
- Jakiego rodzaju?
- Miał przeprosić francuskich turystów winnych wprawdzie brutalnego zachowania, ale popieranym przez brytyjskiego wysokiego komisarza.
- Ten pański Carter jest raczej sympatyczny. Ale czy ja mu się spodobam?
- Tego nie gwarantuję.
- Jak on żyje?
- Bardzo kiepsko. Sprzedaje jakieś obrazy, robi ekspertyzy, a dla sławy współpracuje przy pracach naukowych. Ale nie należy go traktować jak łatwy łup.
- Gdzie mieszka?
- W Luksorze. Chciałby się pan z nim spotkać?
- Dziś jeszcze.

ROZDZIAŁ 35

Krótko po godzinie osiemnastej Carter wszedł do holu Luksor Hotel. Maspero bardzo nalegał, by opuścił swoją jaskinię i udał się na spotkanie z jakimś lordem Carnarvonem. Zdaniem dyrektora Urzędu do spraw Zabytków ten bogaty arystokrata liczył na niego. Carter nie uwierzył ani słowu. To jeszcze jeden z tych pretensjonalnych amatorów, łasych na statuetki i mumie, pragnący uzyskać techniczną opinię na temat ostatnich zakupów. Carnarvon nie był lepszy niż Theodore Davis, który w miarę jak postępowywały jego wykopaliska w Dolinie Królów, robił się coraz bardziej niekompetentny i nielogiczny.

Do archeologa podszedł wąły, szczupły mężczyzna w błękitnym ubraniu.

— Chyba pan Carter? Jestem lord Carnarvon.

Czarno-biały terier u boku arystokraty wydawał się wrogi.

Carter skinął głową. Jego rozmówca o zmęczonej twarzy wspierał się na lasce. Prawą rękę wsunął w kieszeń znoszonej marynarki; mówił z pewnym trudem. Dolna część jego twarzy nosiła ślad starej blizny.

—Zechce pan usiąść?

—Doceniam pańskie towarzystwo, ale pragnę, by nasza rozmowa trwała jak najkrócej. Czeka na mnie praca.

—Dziękuję, że poświęcił mi pan kilka minut cennego czasu, panie Carter. Mam nadzieję, że pana nie rozczaruję.

Luksor Hotel był angielską enklawą, gdzie turyści korzystali z usług lekarza i pielęgniarki przybyłych z Londynu i gdzie mogli grać w bilard po przejeździe na rowerze wyposażonym w brytyjskie siodelko.

Kelner przyniósł dwa kieliszki porto i miskę wody dla Suzi.

—Jest pan najlepszym archeologiem swojego pokolenia, panie Carter, a także tym, który najlepiej zna Egipt. To niesprawiedliwe, że pozbawiono pana miejsca wykopalisk.

—Czyż światem nie rządzi niesprawiedliwość?

—To bardzo gorzkie stwierdzenie.

—Widać Maspero opowiedział panu moją historię.

—Talent zasługuje na nagrodę. Chciałby pan pracować ze mną?

— Nie sądzę.

Carnarvon zachował spokój.

—Muszę panu wyznać, że jestem kaleką. Przed wypadkiem samochodowym pływałem po morzach i nie cofałem się przed żadną przygodą. Teraz już nie radzę sobie sam.

—Czyżby potrzebował pan tragarza? Jeśli tak, lękam się, że będę nieprzydatny.

—Nie ma pan giętkiego karku.

—Robi się coraz twardszy.

—Może zechciałby pan jednak mnie wysłuchać?

—Moje ekspertyzy nie są darmowe.

—Ja nie jestem turystą. Egipt stał się moją namiętnością, która rozświetla całe moje istnienie. Bywam tu każdej zimy.

I każdy pobyt pogłębia moją miłość.

—Cieszę się z tego.

—To mi nie wystarczy. Jestem pewny, że ta ziemia kryje skarby.

—A więc tu jesteśmy... Zabawiłoby pana kopanie w niej dziur?

—Już zacząłem, ale potrzebuję eksperta. Pana, Howardzie Carterze.

—A właściwie co jest pańskim celem?

—Najpiękniejsza prywatna kolekcja egipskich starożytności. Mój zamek w Highclere jest miejscem godnym przyjąć

arcydzieła wydobyte z tej niezwyklej ziemi. Chcę mieć naj-

lepsze i najpiękniejsze.

—Wkład musiałby być ogromny.

—Łatwiej o pieniądze niż o autentyczny posąg. Przejrzałem zasoby wszystkich marszandów i znalazłem jedynie

podróbki lub drobiazgi. Ponieważ obrabowanie Muzeum Kairskiego jest sprzeczne z moimi zasadami, pozostaje mi tylko uzyskanie koncesji.

—Gdzie?

—Na zachodnim brzegu. Szeik Abd el-Gurna i Deir el-Bahari to... fiasko.

Carter uśmiechnął się.

—Zwykły brak techniki, milordzie. Brzeg umarłych jest dziki i nieubłagany. Trzeba go oswoić, poznać jego język, nie zakłócać jego spokoju.

—Ależ mistyk z pana.

—Jeśli pan tego nie rozumie, lepiej niech pan wraca do Anglii. Egipt to tajemny świat, liczący cztery tysiące lat. My

jestemy intruzami, którzy za bardzo się spieszą, a za mało

wiedzą. Niech pan zapomni o swojej kolekcji.

Carter wstał.

—Nie pije pan porto? To doskonałe wino.

—Życie na wykopaliskach nie jest wygodne. Nabawiłem się choroby żołądka i nie pijam już alkoholu przed jedzeniem.

—Dogadamy się w tym względzie. Lekarz zakazał mi alkoholu. Moglibyśmy porozmawiać nad Nilem? Proszę wybaczyć moją powolność, ale mam niedowład nogi.

Lord Carnarvon już się podniósł z krzesła. Carter zgodził się na przechadzkę.

Spacerowali wzdłuż boskiej rzeki.

—Znam pańską namiętność, panie Carter.

Atak zaskoczył Cartera.

—Czyżby przeprowadził pan śledztwo na mój temat?

— Nie angażuję lekkomyślnie współpracownika. Pański kolega, Georges Legrain, właśnie wydobył dokument, który powinien pana zainteresować: stelę, której tekst napisał Tutenchamon. Ten nieznany monarcha mówi, że po herezji znów znalazł się w Tebach i wskrzesił tradycyjne kultury, aby przywrócić szczęście i dobrobyt.

Długą chwilę szli powoli w milczeniu. Te rewelacje ostatecznie potwierdzały istnienie faraona Tutenchamona, której część egiptologów już zanegowała. Objawiał się nawet jako możny monarcha zdolny rządzić i wymagający posłuchu.

—Grób Tutenchamona... to pańska obsesja. W Luksorze wszyscy o tym wiedzą i drwią z pana.

—Wyje pan razem z wilkami?

—Niech pan się zgodzi ze mną pracować. Będzie pan szukał swojego grobowca i pięknych przedmiotów dla mnie.

—To nierealny projekt.

—Dlaczego?

—Bo mój grobowiec ukryty jest w Dolinie Królów, a tam koncesję przyznano Theodore'owi Davisowi.

—To zwykła hipoteza, mój drogi. Może pański Tutenchamon kryje się gdzie indziej. Pewnie dlatego jego ostatnie

domostwo nie zostało jeszcze odnalezione.

Carter lękał się tych słów.

— Nasze życie ma sens tylko pod warunkiem, że kieruje się ku temu co niemożliwe. Dla pana to zaginiony król, dla mnie ukryte arcydzieła. Gdybyśmy połączyli nasze szaleństwa, może stalibyśmy się rozsądni.

Rzeka drzemała. W ciemnościach zachodniego brzegu nad Doliną Królów czuwała góra.

—Wracam do mego obrazu. Reszta mnie nie interesuje.

—Dziwny z pana człowiek, drogi Carterze! Theodore Davis jest pretensjonalnym i władczym Amerykaninem. Pan

myśli, że ja jestem do niego podobny, i nie ma pan racji.

—Pan jest bogaty, a ja biedny.

—Pan jest uczonym, ja ignorantem. Ja zajmę się finansami, pan wykopaliskami.

—Davis zatrudnił młodego archeologa, który musi porządkować się wszystkim kaprysom szefa.

— Porównywanie miliardera z Nowego Świata z brytyjskim lordem, wychowanym w najściślejszej tradycji, jest bez sensu. Powtarzam: to pan i nikt inny będzie kierować moją ekipą. Ja wymagam tylko rezultatów.

Carter zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie wierzę już w cuda. Wystarczą mi moje akwarele.

Carnarvon wsparł łaskę przed Carterem, zagradzając mu drogę. Suzi usiadła między nimi.

— Pańska odmowa dowodzi, że nie ufa pan własnym możliwościom.

Archeolog zarumienił się.

—Znam zachodni brzeg lepiej niż ktokolwiek. Stał się moją ojczyzną.

—Proszę tego dowieść.

Podczas zabaw z kolegami na wsi Carter zawsze traktował arystokratów jak kłamców i krwiopicców. Przysiągł sobie, że nigdy nie zostanie sługą wielkiego pana.

—Zastawia mi pan drogę, lordzie Carnarvon.

—Proszę pana, aby pan przerwał ten idiotyczny dialog wewnętrzny i spełnił swoje powołanie.

„Proszę pana"... Właściciel posiadłości Highclere prosi jego, Howarda Cartera, malarza i licencjonowanego archeologa, wygnać bez majątku!

— Z takim usposobieniem jak pańskie, życie musi być codzienną walką. To mi się podoba, panie Carter. Niech pan nadal będzie niewzruszony i silny wobec samego siebie. Inaczej zdudziłby mnie pan. Dyrektor misji Carnarvona... Podoba się panu taki tytuł?

Znowu prowadzić wykopaliska, nie uginać się pod ciężarem kłopotów materialnych, wykazać, że jego metody były dobre, znów wyruszyć na poszukiwanie Tutenchamona... Carter zagryzł wargi, żeby nie odpowiedzieć. Suzi oddaliła się na chwilę od swego pana i oparła nos o prawą łydkę Cartera. Lord uśmiechnął się.

—Jest jeszcze ostatni, kluczowy argument — ciągnął Carnarvon. — Dysponuję bronią, której panu niekiedy brakuje.

Bez niej czeka pana klęska. Mogę jej panu dostarczyć.

—Jaka to broń?

—Mam szczęście.

ROZDZIAŁ 36

Sufity z cedru zdobione były setkami motywów, które rysowały w drzewie sury Koranu. Ta niezwykle subtelna robota wymagała udziału co najmniej dziesięciu rzeźbiarzy, którzy wykonywali to zadanie przez ponad pięćdziesiąt lat.

—Podoba się panu mój dom, panie Carter?

—Podziwiam go.

Ahmed Bej Kamal, wrażliwy na komplementy, przykleił prawe oko do lunety, przez którą mógł obserwować wschód księżyca ramadanu.

— Ten stary dom sprzyja skupieniu. Dlatego zebrałem tu książki i dokumenty odziedziczone po rodzinie.

Ahmed Bej Kamal, skromny erudyta, który upodobał sobie studiowanie rzadkich dokumentów, był małomówny i bardzo rzadko otwierał drzwi swojego domu.

— Czemu pan zakłóca moją samotność?

Brytyjczyk zawahał się. W pewnych okolicznościach szczerość zmieniała się w chamstwo. Ale on nie umiał kłamać.

—Plotka głosi, że pan przygotowuje wydanie zdumiewającego dzieła.

—Oto jego dokładny tytuł: *Księga zakopanych pereł i cennych tajemnic na temat wskazówek, kryjówek, szczęśliwych odkryć i skarbów*. Plotka głosi też, że jest pan rabusiem grobów.

Oburzony Carter wstał.

— Jestem archeologiem i pragnę wskrzesić zapomnianego faraona. Czy to coś haniebnego?

Ton Ahmeda Bej Kamala złagodniał.

—Czego chce się pan dowiedzieć?

—Czy książka wspomina o istnieniu starannie ukrytego królewskiego grobu?

Erudyta zajrzał do rękopisu.

— Tradycja mówi o grobie ukrytym w górach. Ten, kto dotrze na to miejsce, będzie musiał dokonać odymiania i drażyć ziemię. Odkryje płytę wyposażoną w kółko z brązu. Kiedy ją podniesie, zejdzie pod ziemię i przekroczy troje drzwi. Ostatnie otwierają się na wielką salę, gdzie stoi dwańście szaf wypełnionych srebrnymi monetami, bronią i in-

nyimi cennymi przedmiotami. Przed najwyższą szafą drogo-
cenny kamień daje światło niczym zapalona lampa. Obok
jest klucz. Ten, kto go użyje, by otworzyć szafę, dozna
niebiańskiej radości. Ukaże mu się król leżący w łożu z he-
banu, zdobionym złotem i inkrustowanym perłami. Obok
jego ciała wszystkie bogactwa Egiptu.
Carterowi drżały ręce.

—Czy rękopis zawiera jeszcze jakieś szczegóły?

—Boję się, że nie.

—Nawet najmniejszej wskazówki geograficznej? Żad-
nego imienia faraona?

Ahmed Bej Kamal przecząco potrząsnął głową.

Carter zbudował kwaterę archeologów na platformie,
która wznosiła się nad skrzyżowaniem dróg, o jakieś dwa-
dzieścia minut drogi piechotą od Doliny Królów. Zbudo-
wana z cegły kwadratowa skromna siedziba skierowana była
w stronę miejsca zwanego Dra Abu el-Naga. Grobowce
i świątynie zbudowane na pustyni zachowywały pamięć
o minionych już wspaniałościach. Wieśniacy przestrzegali
obrzeży swoich upraw niczym uświęconej granicy.

Archeolog wstawał wcześniej. Wychodził ze swego pokoju
z sufitem w kształcie kopuły i otwierał drzwi, autentyczny
element pochodzący z angielskiego domku, zaopatrzonego
w całkowicie godny zaufania zamek z Suffolku. Pożywiwszy
się suszonymi owocami, herbatą i plackami, jeśli nie liczyć
wschodu słońca, którymi nigdy nie mógł się nasycić, Carter
wyruszał aż do Deir el-Bahari. Wybrał je jako pierwsze
miejsce „wykopalisk Carnarvona”.

Rankiem tego dziesiątego dnia pracy znów rozbrzmiewała
powolna litania tragarzy dźwigających kosze wypełnione
żwirem. Na polecenie Cartera wybierali oni, oczyszczali
i wyrzucali rumosz poza miejscem wykopalisk. Carnarvon
zjawił się przed południem. Wsparty na lasce, z prawą ręką
w kieszeni szarego ubrania, obserwował krzątanicę robot-
ników. Z wojskową dokładnością Carter streszczał prace
wykonane poprzedniego dnia.

— W tym kraju nigdy nie zbraknie kurzu.

—Ani grobów, lordzie Carnarvon. Myślę, że się zbliżamy.

—Już jakiś grobowiec?

—Czy pan nie żądał wyników?

—Nauczyłem się cierpliwości. Ale muszę wyznać, że pan mnie zaskakuje.

—Ostrzegam przed nadmiernym optymizmem. Właśnie odsłoniliśmy wejście. Czy mogę prosić, by pan jako właściciel

wszedł do nienaruszonego grobowca?

Było tam kilka sarkofagów. Jeden z nich, lśniąco biały, przysłonięty był kirem. W nogach sarkofagu leżał wieniec kwiatów. Wzruszony Carnarvon podniósł go.

—On oznacza, że zmartwychwstanie pokonało śmierć — powiedział Carter.

—To się także i mnie zaczyna udawać.

Carter pogonił osiołka i galopem wkroczył w Dolinę Królów. Rok 1907 zaczął się kiepsko, bo ekipa Davisa puszyła się odkryciem niezwykłego grobowca. Gdy pojawiały się takie wiadomości, Carter natychmiast udawał się na miejsce.

Davis, z wąsami zdobywcy i w zakurzonym ubraniu, stał w rozkroku na swoich krótkich nóżkach przed wejściem. Natychmiast zaczął intruza.

— Carter, o ile mi wiadomo, pan już nie jest inspektorem Urzędu. Pańska obecność jest tu zbiteczna. Czyżby pan nie wiedział, że pańskie miejsce zajął Weigall?

— To niezdara. A czyj to grobowiec?

Okrągłą twarz Amerykanina rozświetlił uśmiech.

— Lubię królowe i one też mnie lubią. Popatrz, przyjacielu, sam popatrz!

Były adwokat nerwowo odsunął odłamki kamieni i schylił się, by wejść w korytarz, gdzie leżały drewniane panele pokryte cienką warstwą złota.

—Te sztuki są bardzo zniszczone. Trzeba je natychmiast odnowić, bo się rozsypią.

—Idźmy dalej, Carter. Tam są ciekawsze rzeczy.

Na posadzce komory grobowej stała złota trumna. In-

krustowana była półszlachetnymi kamieniami, ale nie miała już twarzy. Postarano się uniemożliwić wszelką identyfikację.

—To królowa Teje, małżonka Amenhotepa Trzeciego i matka heretyka Echnatona! To najpiękniejsze znalezisko,

jakiego kiedykolwiek dokonano w dolinie!

—Zbyt pospieszny wniosek, panie Davis. Trzeba odnotować pozycje przedmiotów, wszystko sfotografować, nie

zapomnieć o żadnym szczególe i nie...

—Ja tu jestem szefem i to mój grobowiec. Wynoś się.

Carter nadał grobowcowi numer 55. Mimo jego rad Davis przeprowadził badania w katastrofalny sposób. Nie było żadnego raportu archeologicznego, żadnej próby odnowienia, a ukoronowaniem całego przedsięwzięcia było „posprzątanie” przed sfotografowaniem zbiorów! Słowem oficjalny wandalizm, którego Maspero i jego inspektorzy nie ukarali.

Kiedy jakiś drobny złodziej z Gurna zaproponował Carterowi dzban wypełniony listkami ze złota i część złotych naszyjników mumii, ten wiedział już, że może się odegrać. Kupił przedmioty za korzystną cenę i złożył wizytę Davisowi, zakłócając mu sjęstę.

— Denerwujesz mnie, Carter!

Anglik postawił cenne relikwie w stóp Amerykanina.

—To jest do sprzedania.

—A skąd pan to wzięłeś?

—Członkowie pańskiej ekipy okradają pana i rabują grobowce podczas kopania. Przyniosłem panu jego dobra.

Davis zapalił papierosa i sparzył się w palec, bo zapomniał zgasić zapalnik.

—Ja... ja je odkupuję!

—Nie śmiałem o tym marzyć. Pański udział jest mile widziany.

Carter ruszył do wyjścia, Amerykanin chciał go zatrzymać.

—Liczę na pańską dyskrecję.

—A dlaczego?

—Moja opinia... opinia mojej ekipy...

Carter odwrócił się i spojrzał prosto w oczy rozmówcy.

— Żądam prawdy. Kto leży w tym sarkofagu?

Davis zacisnął pięści.

— Opinie specjalistów są sprzeczne. Dla jednych jest to ciało mężczyzny, dla innych kobiety... Ja jestem pewien, że to królowa Teje.

Carter chwycił Davisa za klapy marynarki.

— Czy jest jakiś dowód, choćby jeden, który pozwala zidentyfikować Tutenchamona?

— Na Boga, puść mnie! Nie, przysięgam, że nie!

Carter zwolnił chwyt.

—Będzie pan milczał? — zapytał chrypliwie Amerykanin.

—Gardzę panem, Davis.

Carnarvon otrzepał ubranie i odpoczął.

—Czy wyglądam przyzwoicie?

—Nienagannie, milordzie — uznał Carter. — Gdy tylko będzie panu za gorąco, proszę mnie ostrzec.

—Może zabraknie mi czasu. Jeśli upadnę, to znaczy, że straciłem przytomność. Suzi pana ostrzeże.

Siedząc przed sztalugami, Anglik szkicował portret swego

pracodawcy na terenie Deir el-Bahari, obok drugiego grobowca, jaki odkrył dla arystokraty. Zdaniem Carnarvona było to jedynie coś w rodzaju stajenki, gdzie drobny właściciel ziemski przechowywał swoje księgi handlowe i chował przed słońcem osiołka. Ale i tak początki były obiecujące.

ROZDZIAŁ 37

Carnarvon i Carter jedli kolację w hotelu Luksor. Jesień 1907 roku była łagodna i świetlista.

—Gołąbek jest nieco twardy, drogi Howardzie, a pan nie ma apetytu. Czyżby Dolina Królów leżała nam na wątrobie?

—Davis to obrazoburca.

—Jego sława wciąż rośnie. Nieznany grobowiec rokrocznie to piękny wynik.

Carter wbił nóż w pieczonego gołąbka. Lękał się, że pracując w tym tempie, Amerykanin trafi przez przypadek na grobowiec Tutenchamona i zmasakruje go ze swoją zwykłą dezynwolturą.

—Davis zbiera masy odpadków i nie ma żadnego szacunku dla egipskiej sztuki. Jeśli będzie nadal tak postępował, zniszczy to miejsce.

—A czemu nie poprosimy o koncesję w dolinie?

—Maspero nigdy nam jej nie przyzna. Davis za dobrze płaci i uzyskuje świetne wyniki.

—Ciągle ta obsesja pańskiego Tutenchamona... A co właściwie znaczy jego imię?

—„Żywy symbol ukrytego boga”.

—Żywy, to zachęcające. Ukryty raczej nudne. Jak długo on panował?

—Dziewięć albo dziesięć lat.

—Był żonaty?

—Z córką Echnatona.

—Miał dzieci?

—Prawdopodobnie nie.

—Sławne czyny?

—Nic znanego oprócz steli odkrytej w tym roku przez pana Legraina. Tutenchamon jest tam przedstawiony jako możny, sprawiedliwy i hojny monarcha.

— To klasyczne pochwały... Czemu zniknął on z historii?

Carter raz jeszcze trafiał na ten niemożliwy do rozwiązania problem.

— Jestem pewny, że spoczywa w dolinie.

— Nie chcąc odwracać pana od jego ideału, drogi Howar-

dzie, pragnąłbym, żebyś więcej myślał o naszych wspólnych poszukiwaniach. Już bardzo chciałbym widzieć kilka pięknych posągów w korytarzach Highclere.

Podczas gdy archeolog lorda Carnarvona kierował pracami, on sam spotykał się w salonach Winter Pałace ze sztywną osobistością przybyłą z Londynu jako turysta. Jej przynależność do Foreign Office, zazwyczaj ostentacyjnie afiszowaną, znał jedynie rozmówca. Spotkanie, o które owa

osobistość poprosiła, było uzasadnione. W jednej ze wsi w Delcie angielscy oficerowie, którzy przybyli tam polować na gołębie, pomylili cele i zabili starą wieśniaczkę. Incydent wywołał surowo stłumione rozruchy. Zazwyczaj spokój powracał dosyć szybko. Tym razem reakcja ludu była twardsza i stosunki między rządem egipskim a brytyjską administracją psuły się coraz bardziej. Mustafa Kamil, dziennikarz ukształtowany przez francuską, a więc anarchistyczną tradycję, zabrał się do reorganizacji Partii Narodowej, która żądała wycofania angielskich oddziałów. Na szczęście umarł, nim zdążył wywołać nowe poruszenie.

Wobec tych zdarzeń Carnarvon nie mógł pozostać obojętny. Nawet Suzi odsłoniła zęby.

—Te dramaty poprzedzają poważne wzburzenie — prorokował.

—Przecież lord Cromer, nasz wysoki komisarz, przywrócił ład.

—Z niezwykłą gwałtownością, która zrodzi przemoc.

—Uważa pan, że jego działania...

—Cromer jest ograniczony i nie pojmuje ewolucji tego kraju. Jego odejście byłoby doskonałą nowiną.

—W wysokich kręgach rozważano taką możliwość. Jak ekspert...

—Jestem jej bardzo przychylny.

—A jaki ciąg dalszy pan zaleca?

—Popuścić cugli.

—Nadmierna tolerancja nie jest polityką.

—Represja też nie.

Zaniepokojony wysłannik skrócił swoje wakacje. Sytuacja okazała się znacznie niebezpieczniejsza, niż sądził.

Asystenci Theodore'a Davisa wezwali szefa. Po opróżnieniu piwnicy aż po sufit wypełnionej wyschniętym błotem z powodu ulewnych deszczów, które zdarzały się w dolinie, wydobyli spośród skorup figurkę bez inskrypcji oraz drewnianą szkatułkę. Choć była uszkodzona, do Amerykanina należało wyjęcie schowanych w niej listków złota.

Davis skrzywił się. Małeńki grób, skromny skarb... Układając listki złota, ujrzał na jednym z nich faraona na rydwanie, a potem tego samego króla, który zachęcany przez małżonkę roztrzaskuje maczugą głowę jakiegoś Libijczyka.

— Kiepskie — ocenił. — Co znaczą te hieroglify?

Nikt nie umiał ich odcyfrować.

— Można by poprosić o pomoc Cartera — zaproponował jeden z asystentów.

Davis nie wahał się. Obiecał Anglikowi, że będzie go informował o swoich najważniejszych odkryciach, aby zachować przyjazne porozumienie, więc lepiej zawiadomić go zaraz. W dodatku przetłumaczy on tekst.

Howard Carter przybiegł niebawem. Przyglądając się złotym listkom, natychmiast rozpoznał robotę z XVIII dynastii. Głos uwiązał mu w gardle, kiedy przeczytał imię faraona, wojownika i myśliwego.

Tutenchamon...

Po raz dziesiąty Carter tłumaczył Carnarvonowi, że statuetka, drewniana skrzynka i złote listki zostały skradzione w grobowcu Tutenchamona, zanim złożono je w zanieczyszczonym grobie, który archeolog oznaczył numerem 58.

—Moje oczy widziały Tutenchamona i jego małżonkę, wspaniałych, promiennych... Tym razem nie ma żadnych wątpliwości! Król jest w dolinie. A zbliża się do niego ten niezdara Davis!

—Nie chcę podważać twoich przekonań, Howardzie, ale te złote drobiazgi dowodzą raczej, że okradziono królewski grobowiec niż że go ochroniono. Moim zdaniem to katastrofalna poszlaka.

—I to pan... pan ośmiela się użyć takiego argumentu?

—Boję się, że mam rację.

—Odrzucam taką rację.

W dniach, które nastąpiły po tej rozmowie, zdruzgotany Carter tak przyspieszył roboty, że wyczerpały one robotników. Kosze napelniano i opróżniano na próżno. Po obie-

cujących początkach wszystko zaczęło grzęznąć. Kiedy Carter zamierzał zaatakować u podstawy wzgórza, gdzie odłamki wapienia pozwalały dopatrywać się zasypanego grobowca, spotkał szyderczego Theodore'a Davisa. W kapeluszu wciśniętym na głowę, w białym szalu kontrastującym z czarnym ubraniem Amerykanin kiwał się jak pijak. Carter poprawił muszkę i stawiał mu czoło. Davis zabawiał się rysowaniem laską kółek na piasku.

— Elegancki z ciebie facet, Howard. Trzymałeś język za zębami, więc i ja dotrzymuję swoich zobowiązań.

— Nowy grobowiec?

Amerykanin uśmiechnął się złośliwie.

— Doskonała intuicja.

— Nienaruszony?

— Prawie nie.

— Król?

— Właśnie ten.

Davis wyciągnął z kieszeni kawałek tkaniny, na której napisane było: „Tutenchamon, rok 6”. Stopniowo tajemniczy faraon wynurzał się z cienia.

— Skąd pochodzi ta tkanina?

Amerykanin uniósł laskę niby dyrygent pałeczkę.

— Nie pojąłeś jeszcze? Oczywiście z grobowca Tutenchamona!

— Niemożliwe! — ryknął Carter, raniony w samo serce.

— Ależ, drogi kolego! Trzeba pogodzić się z rzeczywistością. Chodź zwiedzić swój sławny grobowiec. Ja idę przodem.

ROZDZIAŁ 38

Davis, nagle ożywiony jak za swoich najpiękniejszych lat, zaprowadził Cartera na wzgórze ponad grobowcem Setiego II. Wejścia do „jego” nowego odkrycia pilnowali robotnicy.

Anglik, równie nerwowy jak zaintrygowany, hamował łzy rozpaczcy.

— Niech pan wejdzie, Howard, i sam zobaczy.

Carter ruszył przodem. Przyjmując zaproszenie Amerykanina, potwierdzał jego sukces. Zdziwiło go to, co zobaczył.

—Ależ... to zwykła skrytka!

—Na pozór — odparł Davis. — Bądź bardziej naukowy, mój drogi kolego.

Carter wszedł do małego pomieszczenia wydrążonego w skale. Jego bok miał niewiele więcej niż metr, a wysokość sięgała dwóch metrów. Posadzka zasłana była naczyniami i workami.

—To nie jest królewski grobowiec — ocenił z ulgą Carter.

—Oczywiście, że jest! Niech się pan przyjrzy korkowi tego dzbana.

Anglik odczytał hieroglify: ten skromny przedmiot zapieczętowany był imieniem Tutenchamona.

— Podsumujmy to wspólnie — zaproponował Davis. — Właśnie odkryłem grobowiec tego małego monarchy i w ten sposób rozwiązałem irytującą tajemnicę.

Carter podniecił się.

—Pańskie stanowisko jest idiotyczne! To jest skrytka, Davis, i nic więcej! Żaden królewski grobowiec nie jest do tego podobny!

—Niech się pan uspokoi i przyzna do porażki. Czy *fair play* nie jest brytyjską specjalnością?

—Gdzie jest pieczęć królewskiej nekropoli? Gdzie znajduje się sarkofag? Jeśli pan nadal będzie bronił swoich bzdur,

będą z pana szydzić najnędrniejsi egiptolodzy. Niech mi pan pozwoli zbadać zawartość tych dzbanów.

Davis zasłonił je własnym ciałem.

— O tym nie ma mowy. Niech pan przyjdzie jutro na przyjęcie, które wydaję w mojej kwaterze archeologów, i wreszcie pozna skarb Tutenchamona!

Davis nie śmiał się tak serdecznie od co najmniej dwudziestu lat.

Pokoje w domu archeologów wysprzątano, uporządkowano biuro i magazyn starożytności, porządnie wyszorowano kuchnię i jadalnię, nie oglądając się na cenne zapasy

żywności. Ekipa Davisa w komplecie niecierpliwie czekała przed domkiem strażnika.

Amerykanin, paląc papierosa za papierosem, chodził tam i z powrotem. Co chwila strącał palcem popiół, który opadał na jego czarne ubranie. Następca lorda Cromera, sir Eldon Gorst, konsul generalny Anglii, spóźniał się już pół godziny.

Howard Carter trzymał się z boku. Jako pierwszy dostrzegł kolaskę, która wolno sunęła drogą. Theodore Davis rzucił się na spotkanie nieoficjalnego pana Egiptu. Z jego pomocą stanie się najślawniejszym archeologiem i będzie mógł przewieźć do Stanów Zjednoczonych najpiękniejsze eksponaty wydarte pustyni.

Davis przedstawił dostojnemu gościowi członków swojej ekipy, omijając Cartera, i wygłosił pochwałę osobistości, którą Brytyjczyk spotykał po raz pierwszy.

Herbert E. Winlock, zastępca konserwatora oddziału egiptologii Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, przybył tu negocjować zakupy starożytności. Był prawie łysy, krótkonogi, ruchliwy, o bardzo żywym spojrzeniu. Niektórzy koledzy porównywali go do gnoma i lękali się jego krytycznego umysłu i celnych uwag. Winlock zachwalał doskonale stosunki swojej ojczyzny z Anglią i wyraził nadzieję, że lunch zadowoli podniebienie gościa.

Davis, Winlock i konsul generalny wymienili sporo banal-

nych opinii przy honorowym stole ustawionym przed domem, podczas gdy Carter pogryzał coś w towarzystwie amerykańskiej ekipy. Ledwie uczta dobiegła końca, Davis kazał wnieść dzbany i worki złożone w grobowcu Tutenchamona, który opisał sir Eldonowi Gorstowi, nie zmuszając go do niezbyt ciekawego zwiedzania.

Amerykański poszukiwacz rozpoczął nieco zagmatwany dyskurs, przejęty, że jako pierwszy odsłania antyczny skarb wobec oficjalnej osobistości, której wysoka kultura pozwoli sprawiedliwie ocenić to wydarzenie.

Wyjął korek z pierwszego dzbana, zamkniętego wyschlým błotem i kawałkami papirusa. Wyciągnął z niego małą maskę pomalowaną na żółto, by naśladować kolor złota. Rozległo się kilka oklasków. Zachęcony nimi Davis opróżnił drugi

dzban. Zawierał jedynie płócienne bandaże. Amerykanin przeszedł szybko do trzeciego, skąd wydobyl kilka fragmen-
tów kości ptaków i innych małych zwierząt. Zawstydzony mówił coraz szybciej. Łup okazał się mizerny: roślinne odpadki, kawałki naczyń, szmaty, wieniec z kwiatów, natron. Żadnego klejnotu ze złota.

— Archeologia jest sztuką — rzekł konsul generalny. — Raz przynosi sukces, a raz porażkę. Zapewne następnym razem będzie pan miał więcej szczęścia, panie Davis. Z tej wizyty zachowam jedno tylko wspomnienie: posiłek był bez zarzutu.

Gdy kolaska zniknęła w obłoku kurzu, Amerykanin ze złością rzucił na ziemię własny kapelus i podeptał go.

Słońce chyliło się za dom archeologów, który już opuścił Davis i jego ekipa. Herbert E. Winlock pochylił się nad nędznym skarbem, którym wzgardził sir Eldon Gorst.

— Zamierza pan to kupić? — zapytał Carter.

— Nie jestem pańskim wrogiem i doceniam pańską pracę. Davis lubi tylko wielki spektakl. Te nędzne przedmioty opowiadają pewną historię. Pan może potrafi to zrozumieć.

Zaintrygowany Carter przykleknął obok Winlocka.

— Proszę spojrzeć... Te bandaże musiały zostać pocięte podczas owijania królewskiej mumii. Szmatami kapłan ocie-

rał ciało. Natronu używano podczas mumifikacji. W

czasie tej ceremonii rozbito też wazy, aby zniweczyć magią siły

ciemności.

— Pogrzeb Tutenchamona... oto dowód.

— Moim zdaniem tak. Zachowane inskrypcje dostarczają

pewnej identyfikacji.

— A reszta?

Winlock zamyślił się, zważył w ręku kilka zachowanych

kostek.

— Czy nie chodzi tu o resztki posiłku? Podczas bankietu celebrowanego przez głównych uczestników uroczystości pogrzebowych, ci jedli ptactwo.

Carter nowym okiem spozrzał na wieńce z kwiatów, gałązki akacji i bławatki.

—W tym rytuale ozdoby z kwiatów były obowiązkowe...

—Nie brakuje nawet ostatniego szczegółu.

Winlock pokazał miotłę z trzciny.

— Kiedy bankiet się zakończył, jakiś kapłan posłużył się tym, by zatrzeć ślady kroków zaproszonych gości i zwrócić grobowiec wiecznemu milczeniu.

Zachodzące słońce załało pomarańczowym blaskiem najbliższe wzgórze Doliny Królów.

—Panie Carter, to jedyne w swoim rodzaju odkrycie: resztki ostatniego posiłku na cześć pańskiego Tutenchamo-

na. Zabierając je do Nowego Jorku, dowodzę słuszności naszej hipotezy.

—Powiedział pan... naszej?

—Zabierz się do roboty, mój stary. Teraz to już całkiem pewne, że Tutenchamon został pochowany w dolinie.

ROZDZIAŁ 39

Przejrzawszy pracę Davisa, Howard Carter roześmiał się i wyrzucił ją przez okno hotelowego pokoju, do którego lord Carnarvon zaprosił go na herbatę.

—Nie pochwalam pańskiego gestu, Howardzie. Z jednej strony mógłby pan ranić kogoś przypadkowego, a z drugiej

książka zasługuje na większy szacunek.

—To nie jest książka, tylko stek idiotyzmów! Widział pan tytuł? *Grobowiec Tutenchamonal* Ten głupi Amerykanin

trwa przy swoim! A to jeszcze nie wszystko; pozyskał do współpracy Maspero!

Carnarvon spożywał przyzwoitej jakości ciasteczko.

—Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków ograniczył się do zredagowania noty dotyczącej życia Tutenchamona, czyli

puszki.

—Chciałbym się jednak z nim spotkać i powiedzieć mu, co o tym sędzę.

—Pańska herbata stygnie.

—Kłamstwo jest nieznośne.

—Ludzkość także, Howardzie. Powinien pan jednak zrezygnować. Pański wróg jest u szczytu sławy. Maspero

musi przyznać, że od tysiąc dziewięćset trzeciego roku odkrył piętnaście grobowców.

—To wystarczający powód, by mu fundować „salę Theodorem Davisa” w Muzeum Kairskim?

—Przecież trzeba było wystawić jego odkrycia. Czy zamiast zanudzać naszego Maspero i zatrzaskiwać drzwi, nie powinien pan przemyśleć, co dalej z naszymi pracami wykopaliskowymi? — Carter podniósł filiżankę do ust.

—
Bądź obiektywny, Howardzie. Davis to kolos na glinianych

nogach. Gorst niezbyt docenił jego nieudany spektakl. Nie

fatyguje się konsula generalnego, by mu pokazać gipsową maskę i stare szmaty. Jeśli Amerykanin nie będzie nadal odsłaniał przynajmniej jednego grobowca rocznie, jego notowania bardzo spadną.

Środowisko naukowe lekceważyło Cartera i nienawidziło Davisa. Temu ostatniemu wyrzucano także pospieszny charakter publikacji i groteskowość ostatniej pracy. Oczywiście było, że nie chodzi tu o królewski grobowiec, nawet w przypadku nieznanego Tutenchamona. Zgodnie z ogólną opinią, Amerykanin posunął się za daleko.

Carter kierował z zapałem swoją własną ekipą, ale żaden godny odnotowania sukces nie uwieńczył jego wysiłków. To prawda, wydobył drewnianą tabliczkę pokrytą tekstem opisującym wojnę wyzwolenczą, którą prowadził król Kamos przeciwko Hyksosom, azjatyckim najeźdźcom, którzy zajęli kraj pod koniec Średniego Państwa. Historyczna wartość tej skromnej relikwii, którą Carter nazwał „tabliczką Carnarvona”, bawiła pana na Highclere. Dzielił on swój czas między krótkie pobyty na miejscu wykopalisk i długie spotkania z miejscowymi osobistościami. Lordy stawał się powoli kluczową osobistością kraju. Wszyscy doceniali jego zmysł dyplomacji, umiejętność słuchania i znajomość dokumentów. Foreign Office, choć czasem urażone niezależnością myślenia piątego lorda Carnarvona, cieszyła jednak jego szczerość i jasne widzenie sytuacji.

Fakt, że tej klasy obserwator śledził działania konsula generalnego, zadowalał część członków rządu Jego Królew-

skiej Mości. Wysocy urzędnicy na zagranicznych placówkach niekiedy mieli się za tyranów.

Sieć szpiegów Cartera funkcjonowała doskonale. Dzięki strażnikom doliny od dawna wszystko wiedział i śledził wszystkie postępy poszukiwań coraz bardziej nerwowego Davisa. Amerykanin nie mógł przeboleć nieszczęsnego pośpiechu. W ramach odwetu odesłał kilkunastu członków swojej ekipy i z zaciekłością rozkopywał każdy kopic i podnóże każdego wzgórzka. Po raz kolejny udowodni, że jest najlepszy i że tylko on potrafi odkrywać nowe grobowce.

Luty 1908 roku dobiegał końca, kiedy pewien zdyszany *gaffir* zawiadomił Cartera, że ekipa Davisa jest bliska wejścia do nienaruszonego grobowca. Anglik porzucił swoje miejsce poszukiwań i czym prędzej ruszył do doliny.

Davis, z cygarem w ustach, przyjął go pogardliwie.

— Carter, już tu jesteś! Możesz być zadowolony, tym razem mam twego przeklętego królika!

Amerykanin kazał przynieść listki złota znalezione na progu podziemia. Carter odczytał imię Tutenchamona i jego następcy Ejego, którego grobowiec już zidentyfikowano.

—To niczego nie dowodzi.

—Zobaczy pan!

Trzeba było trzech dni, by wybrać odłamki skał wypełniające obszerny grobowiec, do którego prowadziły szerokie schody. W miarę jak robotnicy usuwali rumosz, Davis odślaniał wspaniałe malowidła ściennie o nietkniętych kolorach. Były tak pełne blasku i świeżości, jakby ukończono je wczoraj. Amerykanin dostrzegał jednak tylko jeden szczegół: imię faraona, właściciela tego miejsca, w którym nie zachował się żaden skarb. Nie był nim Tutenchamon, lecz Horemheb.

Carter triumfował.

Horemheb, naczelny wódz za panowania Echnatona, zachował stanowisko, gdy władzę przejął Tutenchamon. Można jak zawsze, również w ciągu krótkich dwóch lat, kiedy to stary dworak Eje stał się panem Dwóch Krajów,

Horemheb wstąpił po nim na tron. Nie zniszczył grobowca numer 55, przypisywanego Echnatonowi ani grobowca Eje-go. Czemu miałby więc okazać ślełą nienawiść wobec Tutenchamona? Chyba że młody król popełnił przestępstwo, uzasadniające zatarcie jego imienia i zniszczenie wzniesionych przez niego budowli.

Davis mnożył głupstwa. Nie tylko nie napisał naukowego raportu na temat odkryć, ale na dodatek zakazał ich publikacji asystantom. Podnosiły się coraz liczniejsze głosy sprzeciwu wobec pospiesznych metod Amerykanina.

Zima 1909 roku źle się zaczęła dla Carnarvona. Ulegając namowom Cartera, przekonany, że wyczerpał możliwości w Deir el-Bahari, zgodził się rozpocząć poszukiwania w Delcie, gdzie niekiedy wydobywano wspaniałe posągi. Był to czas stracony ze względu na zimną i wilgotną porę w regionie, gdzie świątynie rozbierano kamień po kamieniu. Wraz z powrotem ciepła ekipa próbowała pracować koło Sais, ale zniechęciła ją inwazja kobr.

Kiedy po licznych rozmowach z politykami w Kairze i Aleksandrii Carnarvon wyjechał do Anglii, Carter wrócił do Luksoru. Nie dotarła do niego żadna informacja, wiedział więc, że po raz pierwszy sezon wykopalisk Davisa okazał się całkowicie bezowocny. Porzucając środkową część doliny, Amerykanin na późno przeszukiwał wąwozy i skały otaczające ją od zachodu, by potem zagubić się w równie jałowych małych parowach.

Zniechęcony i ponury Theodore Davis zapewniał w koło, że Dolina Królów kryje w sobie już tylko piaszczyste wzgórki.

Lady Carnarvon z niepokojem czekała końca jesieni 1910 roku. Niebawem George Herbert każe pakować kufry.

—Koncert ci się podobał?

—Był okropny! Ten pan Strawiński i jego *Ognisty ptak* to hałas, który ma niewiele wspólnego z muzyką. Jeszcze dziś brzęczy mi w uszach.

—Chyba jesteś zmęczony.

—Zżera mnie ta wilgoć. Czas wyjeżdżać do Egiptu.

—Twoja córka będzie się skarżyć na tak długą nieobecność ojca.

—Evelyn jest wrażliwa i inteligentna. Rozumie moje głębokie motywacje.

—Nie jestem tego pewna.

—Przekonasz się... Któregoś dnia podzieli moją miłość do Egiptu.

Lady Carnarvon zaniechała walki. Nikt nie był bardziej uparty od jej męża.

Carter oczekiwał pryncypała na dworcu w Luksorze. Widząc jego błyszczące oczy, lord domyślił się, że archeolog odniósł jakiś sukces. Obaj od dawna unikali banałów i porozumiewali się wzrokiem. Suzi okazała radość, liżąc rękę Cartera.

—Grobowiec?

—Tak, lordzie, grobowiec założyciela Doliny Królów. Zagłębiłem się w badania *Papirusu Abbotta* i jestem prawie

pewny, że grób Amenhotepa Pierwszego jest na wyciągnięcie ręki. To będzie fantastyczne odkrycie.

—Czyżby pan zapomniał o Tutenchamonie?

—Wkroczyliśmy do dwóch nienaruszonych grobowców.

—Piękny optymizm. A co nas hamuje?

—Mam kontakty z informatorami... którymi trudno kierować.

Carnarvon zmarszczył brwi.

— Inaczej mówiąc, z rabusiami. Uważaj na siebie, Howardzie. Suzi przyzwyczaiła się do twego towarzystwa i nie ucieszyłoby jej pańskie nagłe zniknięcie.

ROZDZIAŁ 40

Tylna sala kawiarni była zadymiona i cuchnęła czosnkiem. Carnarvon usiadł przy stole, na którym pozostały dwie filiżanki po kawie. W niebieskiej płóciennej marynarce i pogniecionych spodniach arystokrata wcale nie przypominał

zamożnego turysty. Zamówił miętową herbatę, której nie zamierzał wypić, i czekał na przybycie Demostenesa.

Brodaty kolos pozostał wierny białemu kapeluszu, czarnemu surdutowi i czerwonym spodniom. Kelner natychmiast przyniósł mu likier na ziarnach konopi i zastawił wejście do salki krzesłami.

—Teraz mamy spokój, lordzie Carnarvonie.

—Dlaczego chciał się pan pilnie ze mną spotkać?

Demostenes wypił łyk ulubionego leku. Ręce mu drżały.

Opuchnięte powieki podkreślały chorobliwy wygląd.

—Bo grozi panu śmierć.

—Niemiała wiadomość. To hipoteza czy pewnik?

—Milordzie, pan przeszkadza. Część Egipcjan z wyższych sfer niezbyt ceni pańskie interwencje, a jeszcze mniej

niektórzy Anglicy, prowadzący tu interesy finansowe.

—Zawsze swoi nas zdradzają, drogi Demostenesie. Czyżby pan wiedział o jakichś zamiarach bardziej... precyzyjnych?

—Nie, to tylko uporczywe plotki. Ale chyba zasługują na bakszysz?

—Bez wątpienia.

Plik funtów szterlingów przeszedł z ręki do ręki.

—Pańska nagroda wzrośnie, jeśli informacje będą pełniejsze.

—To niemożliwe, milordzie. Jestem zbyt przywiązany do mojej nędznej skóry. Ostrzegłem pana, bo darzę pana sympatią. Gra należy do pana.

Demostenes opróżnił kieliszek i chwiejnym krokiem opuścił kawiarnię.

O tej samej porze w jednej z ziemianek w Gurna Howard Carter popijał kawę z pewnym *gaffirem* z Doliny Królów, którego Davis wynajął do pilnowania terenu swego ostatniego wykopaliska.

Ten około pięćdziesięcioletni człowiek był jednym z najniebezpieczniejszych złodziei klanu Abd el-Rasul, który zapewniał mu skuteczną ochronę. Wsparcie to umożliwiało *gaffirowi* upływnianie pięknych eksponatów wzgardzonych przez archeologów.

—Jak stoją interesy Davisa?

—Bada nieznanne zakątki doliny.

—Z powodzeniem?

—Wścieka się coraz bardziej. Bóg odebrał mu szczęście. Chce pan kupić te kamienie?

Gaffir rozłożył wielką chustkę. Na oko były to grawerowane sardonyksy i kornaliny. Na jednym z nich przedstawiono scenę z jubileuszu Amenhotepa III, ojca lub dziadka Tutenchamona, a także jego małżonkę Teje w postaci skrzydlatego sfinksa.

Dla Cartera zaczynało się najtrudniejsze zadanie; negocjacje trwały kilka godzin.

Carnarvon obejrzał skarb, który przyniósł mu Carter. Trzymanie i ważenie w dłoni tych antycznych klejnotów, dotykanie ich końcami palców sprawiało mu prawdziwą rozkosz.

— Gratuluję, Howardzie. To skarb Amenhotepa Pierwszego?

—Niestety nie! Ale pochodzi z Doliny Królów.

Lord zmarszczył brwi.

—My chyba nie mamy prawa prowadzić tam wykopalisk?

—Nie ma zakazu kupowania.

—Davis na to pozwala?

— Davis jest bardzo przygnębiony: od dwóch lat nie dokonał żadnego odkrycia, przygotował kiepskie publikacje, a jego ekipa się rozpada. Chyba jest bliski rezygnacji.

Carnarvon podkręcał wąsa.

— Jeśli dobrze pana rozumiem, właśnie zaczęła się operacja „Dolina Królów”?

Carter uśmiechnął się.

—Idealem jest jeden nigdy nie wygasający ogień. Niech pan dostarczy mi środków, by go osiągnąć, a uczynię z pana

człowieka szczęśliwego.

—To osobliwe słowa, Howardzie. Czy to nie ja jestem miliarderem?

—Zapomina pan, że Tutenchamon i jego skarby niedługo będą w zasięgu mojej ręki.

—A sławny grobowiec Amenhotepa Pierwszego?

—Jestem na jego tropie.

Theodore Davis wtargnął do gabinetu Maspero, gdy ten rozmawiał z lordem Carnarvonem. Francuski egiptolog wstał.

—Co znaczy pańska interwencja, panie Da vis?

—A co tu robi lord Carnarvon?

—Moje spotkania obchodzą tylko mnie.

—Zaraz to panu powiem, Maspero: Carnarvon chce uzyskać koncesję w Dolinie Królów i odebrać mi mój teren!

—A kiedy to nastąpi? Pan jest już starszym i zmęczonym człowiekiem, panie Davis. Tyle lat spędzonych w dolinie wyczerpały pańską ciekawość.

Okrągła twarz Theodore'a Davisa poczerwieniała ze złości.

— To ten przekłety Carter działa za pańskim pośrednictwem... On chce Doliny Królów, ale nie jest dosyć bogaty, by ją kupić! Możecie być pewni, że jej nie dostanie.

Maspero próbował pojednawczego tonu.

—Cóż to ma za znaczenie? Tam już nic nie ma. Pańskie wykopaliska ostatecznie tego dowiodły.

—Nieważne. Ja nie chcę, żeby Carter dotknął choćby jednego kamienia w dolinie.

— Skąd tyle nienawiści? — zapytał Carnarvon.

Pytanie zaskoczyło Davisa. Zapalił papierosa i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem.

—Bo... bo to jest Howard Carter!

—Niezbyt to dobre wyjaśnienie — ocenił Maspero.

— On zakłóca system, łamie przyzwyczajenia, upiera się, tropiąc ślady króla bez znaczenia i nieistniejącego grobowca! Ten facet ma nieznośny charakter... wyobraża sobie, że dolina od zawsze należy do niego. To psychiatryczny przypadek.

— A gdyby on miał rację? — wtrącił Carnarvon. Zbity z tropu Amerykanin walnął pięścią w biurko Maspero.

—Póki ja żyję, Carter nie wbije łopaty w dolinie! Panie Maspero, pan nie ma prawa odbierać mi koncesji.

—To prawda, ale...

—Żaden z przeszukanych przez mnie grobowców nie został zbadany ostatecznie. Więc zrobię to jeszcze raz. Chce-

cie, żeby było naukowo? Będziecie to mieli! Metr po metrze

będę badać moje grobowce. Dzięki temu Carter zrozumie, że ja nigdy nie opuszczę tego miejsca.

Davis wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami.

—Bardzo mi przykro — powiedział Maspero. — Liczyłem na większe zrozumienie.

—Więc co zrobić?

—Niestety nic. Dolina należy do Davisa.

ROZDZIAŁ 41

Carnarvon przeglądał się w ogromnym lustrze. Siedząc w wygodnym fotelu, z piersią zakrytą olbrzymią białą serwetą, widział, jak balwierz nachyla się nad jego lewym policzkiem, pokrywa go pianą i unosi angielską brzytwę, którą wcześniej ostrzył na rzemieniu.

—Ibrahim jest chory?

—Zaziębił się, milordzie. Ja go zastępuję.

Fryzjer miał pewną rękę. Ostrze ślizgało się po policzku, a pianę odrzucał na półmisek, także angielski.

—Ranek był dosyć chłodny.

—Nie musisz ze mną rozmawiać, przyjacielu.

Balwierz wysmarował pianą prawy policzek.

— Nie jestem pewny, czy Egipcjanie docenili nominację lorda Kitchenera na konsula generalnego. To twardy człowiek, który nie rozumie aspiracji naszego ludu.

—Czyżbyś był specjalistą od polityki międzynarodowej?

Ostrze oparło się na szyi.

—Powinien mnie pan wysłuchać, milordzie.

—Dlaczego?

—Bo brzytwa to niebezpieczna broń, a pan jest bezbronny.

— Pistolet, który kieruję w twój brzuch, dowodzi, że jest odwrotnie. Żadnych ruchów!

—Będę szybszy od pana

—Przyszłość okaże. Na razie słucham.

Brzytwa znieruchomiła. Głos balwierza zabrzmiał głucho.

—Ponieważ pan jest przyjacielem Egiptu, proszę odradzić Kitchenerowi stosowania represji wobec zwolenników niepodległości.

—Przypisujesz mi władzę, jakiej nie posiadam.

—Proszę jednak spróbować. Pan ma znaczne wpływy. Jeśli będzie pan walczył po naszej stronie, unikniemy morza

krwi. Inaczej...

Ostrze nadcięło skórę.

—Uważaj, przyjacielu. Błądzisz.

Nacisk zelżał.

—Kto cię przysłał?

—Lud, milordzie. Proszę o tym pamiętać.

Fałszywy balwierz wyszedł.

Carnarvon zdjął biały ręcznik i przeciągnął dłonią po nienagannie ogolonych policzkach. Jeśli nadal będą go niepokoić, będzie musiał uzbroić się w pistolet, którą to broń tym razem zastąpił wskazujący i wielki palec.

W roku 1912, który pozostanie rokiem zatonięcia *Titanica*, Egipt stał się angielski. Stara ziemia faraonów należała odtąd do Wielkiej Brytanii. Operację tę rozegrano bez widomych urazów z pomocą kilku ludzi dialogu, - wśród których był także piąty lord Carnarvon.

Howard Carter miał inne zajęcia. Kończył książkę, sygnowaną także przez pryncypała, *Pięć lat eksploracji w Tebach*. Unaooczniła ona specjalistom, że współdziałanie z brytyjskim miliarderem zaowocowało poważną, choć niezbyt spektakularną pracą. Carter z dumą ofiarował tom dyrektorowi Maspero.

—Doskonale, Howard. Jestem szczęśliwy, widząc, że znowu stajesz się zdobywcą. Bardzo mi ciebie brakuje.

—Z powodu kradzieży?

—Właśnie.

—Rabuje się grobowce, odcina płaskorzeźby, rozbija

posągi, bo wygodniej przewozić je w kawałkach... Zorganizowane bandy są coraz aktywniejsze. Oto pożałowania godna rzeczywistość! Klientów jest wielu, i to bogatych.

—Wiem! — zagrzemiał Maspero. — Ty może umiałbyś położyć kres temu przemytowi. Wokół mnie jest tylko przepukstwo lub zbyt duża tolerancja. Dlatego postanowiłem doprowadzić do uchwalenia prawa zabraniającego pokątnych badań.

—Wierzy pan w jego skuteczność?

—Każę strzec miejsc poszukiwań archeologicznych i pilnować pracujących tam robotników. Najprostsze sposoby są często najskuteczniejsze.

— Może pan liczyć na moją pomoc.
Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Theodore Davis wpadł w gwałtowną złość, nawymyślał współpracownikom od głupców i niezdar, po czym zamknął się w swoim pokoju. Nikt nie ośmielił się wejść do domu archeologów, gdzie od dwóch sezonów panowała złowroga atmosfera.

Da vis nie umiał już odkrywać nieznanymi grobów. Musiał zadowolić się odkopywaniem znanych od dawna i zajmować się rozstrzygnięciem nieciekawych archeologicznych kwestii. On, najślynniejszy z archeologów finansujących badania, stawał się pośmiewiskiem przeciwników i kolegów. Zaczynali go krytykować nawet członkowie jego własnej ekipy. Codziennie z błahych powodów wybuchały kłótnie. Okres wielkich sukcesów był już bardzo odległy.

Ale czy Theodore Davis mógł zrezygnować?

Od dwóch tygodni do Cartera nie dotarła żadna wiadomość z doliny. Tylko turyści nekali najślynniejsze miejsce, gdzie wszelka działalność archeologiczna jakby zgasła. Informatorzy milczeli. Nie było już żadnego kontaktu z *gaffirami*,

którzy twierdzili, że znają położenie grobowca Amenhotepa I.

Carter zjadł obiad z Raifą u ich wspólnego przyjaciela malarza. Mimo nalegań młoda kobieta wciąż nie chciała

pozować. Zamknięcie we własnym portrecie wydawało jej się gorsze niż śmierć. Nie wspominała już o małżeństwie. Zadowolala się wiernością kochanka, chwilami czułości wyrwanymi pracy i marzeniom, szczerą miłością, której nie zniszczy czas. Zimą nie szukała spotkań z Carterem. Oddany był pracy dla Carnarvona, a pracował metodycznie i z zawziętością, która przerażała kolegów. Kiedy upały stawały się nieznośne, przerywał poszukiwania w terenie i zajmował się pracami inwentaryzacyjnymi i archiwalnymi. Wtedy, dostępniejszy, spotykał się z nią, na krótko zapominając o książkach, dokumentach i raportach. Niekiedy wyciągała go na długie spacery, podczas których czasem się zwierzał, mówił o swoich zgrzyotach, wątpliwościach i nadziejach.

Tak płynęło ich życie w rytmie Nilu, tak tkła się ich namiętność pod okiem duchów zachodniego brzegu.

—Jesteś niespokojny.

—Trochę zmęczony, Raifo.

—Nie wierzę.

—Masz rację, jestem niespokojny.

—Czego się boisz?

—Dolina mną gardzi. Jest tu, w zasięgu ręki, ale mnie odrzuca. A przecież wie, że znam ją lepiej niż ktokolwiek.

Czy

ona umarła, Raifo? Czy wyznała wszystkie swoje tajemnice?

Ich rozmowę przerwał pan domu.

—Ktoś o ciebie pyta, Howardzie. Twierdzi, że to pilne i ważne.

—Mieszkaniec Gurna?

—Nie, Europejczyk.

Carter przeprosił Raifę. Nieoczekiwanym gościem był Theodore Davis. W kapeluszu wciśniętym na czoło, w wytartym czarnym ubraniu, wysokich butach i owijaczach niemal budził litość.

—Przepraszam, że przeszkadzam... ale chciałem z panem porozmawiać.

Carter nie był przyzwyczajony do takich uprzejmości.

—Chodźmy w stronę wzgórza, tam będzie spokojnie.

Słońce stało wysoko na niebie, gorące powietrze wyciskało pot z twarzy. Pod stopami chrzęścił piasek, żwir i odłamki wapiennych skał.

—Mam siedemdziesiąt pięć lat, jestem chory i zmęczony. Dolina mnie wyczerpała. Może mści się na mnie, bo odsłoniłem wszystkie jej tajemnice.

—Przecież tak nie jest.

—Carter, pan wie, że tak. Wszystkie królewskie grobowce zostały odkryte.

—Jeśli nie liczyć grobowca Tutenchamona.

—Zwykły schówek na małego króla... dowodzą tego złote listki. Mimo naszej rywalizacji szanuję pana i mogę pana zapewnić bez żadnych ukrytych myśli, że jestem o tym

przekonany. Właśnie w tym skromnym grobie pochowano Tutenchamona. Rabusie musieli zniszczyć sarkofag i mumię.

Niech pan się nie upiera przy daremnych poszukiwaniach. Pański talent zasługuje na więcej. Jest około pięćdziesięciu

nie zbadanych miejsc, które czekają na pana.

—Mam spotkanie z Tutenchamonem i dotrzymam swoich zobowiązań.

— Jak pan sobie życzy... ja rezygnuję.

Carter aż znieruchomiał ze zdumienia.

— Postanowiłem opuścić Egipt i zrezygnować z koncesji.

W moim wieku trzeba już trochę odpocząć.

Carter z trudem hamował radość.

—Dolina... Więc dolina jest wolna?

—Musi pan trochę poczekać. Trzeba dopełnić różnych formalności. Ale rzeczywiście niedługo już będzie.

Anglik zamknął oczy.

—To... to cudowne!

—Niech się pan nie cieszy zawczasu. Może jej pan nie otrzymasz po mnie, a może znajdziesz tylko pusty szkielet.

Dolina oddała wszystkie swoje bogactwa.

—To niemożliwe.

—Ostrzegłem pana.

ROZDZIAŁ 42

—Lord Carnarvon nie może pana przyjąć — oświadczyła z pogardą angielska pielęgniarka.

—Jest chory? — zapytał Carter.

—Bardzo pana proszę! Jakim prawem...

—Prawem głównego współpracownika.

Pielegniarka wzruszyła ramionami.

—Wizyty są zakazane.

—Nie dla mnie. Proszę mnie zaanonsować.

—O tym nie ma mowy.

Oburzony Carter odsunął cerbera, otworzył drzwi do pokoju i stanął naprzeciw łóżka, w którym leżał Carnarvon. U jego wezgłowia czuwała Suzi.

— Proszę natychmiast wyjść! — ryknęła pielęgniarca.

Carnarvon usiadł na łóżku rozgorączkowany, ze znużeniem na twarzy.

— Spokojnie, mademoiselle. Doktor Carter był oczekiwany.

Urażona zrezygnowała z walki.

—Mam niezwykłą wiadomość!

—Nareszcie jest grobowiec Amenhotepa Pierwszego?

—Lepiej: cała Dolina Królów! Davis rezygnuje, więc należy do nas.

Carnarvon przechylił głowę do tyłu i machnął ręką.

—Boję się, że i ja muszę zrezygnować.

—Co panu jest?

—Dziwaczna infekcja. Lekarze nie umieją jej rozpoznać.

—Proszę mi zaufać.

Dwie godziny później Carter zjawił się ponownie w towarzystwie Raify. Pielęgniarka rzuciła im pełne powątpiewania spojrzenie, ale nie interweniowała.

Carnarvon nie miał siły protestować. Raifa kazała mu wypić wodę, na którą chuchnął derwisz, natarła mu czoło pachnącymi ziołami i położyła na piersi amulet z surą Koranu. Potem zamknęła okiennice, zaciągnęła firanki i bez słowa opuściła pokój.

Lord z dużym apetytem spałaszował drugi *kebab* i opróżnił kufel ciemnego piwa. Suzi doceniła pieczonego baranka.

— Apetyt wraca, mój drogi Howardzie. Twoja uzdrowicielka jest znakomita.

—Proszę zrozumieć moją niecierpliwość... Co przyniosło pańskie spotkanie z Maspero?

—Nic.

—Jak to nic?.

—Pragnienia Davisa nie stały się rzeczywistością. Oficjalnie zachowuje koncesję, nawet jeśli nie przewiduje już żadnych prac w dolinie.

—Ale chyba zwierzył się Maspero?

—Tylko i wyłącznie panu. Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków jest przekonany, że pan śnił.

—Przysięgam, że...

—To zbyt cenne, Howardzie. Davis robił panu złudne nadzieje.

—Wydał mi się szczery.

—Pan jest wielkim archeologiem, ale kiepskim znawcą ludzkiej natury. Dał się pan zwabić na przynętę przeciwnika.

—Jestem pewny, że nie. Davis się zużył. Nie ma już ochoty walczyć z doliną.

—Należy sobie życzyć, żeby pan miał rację.

Podczas sezonu 1913 —1914 Carnarvon był bardzo zajęty w Kairze. Z bliska przyglądał się politycznej ewolucji Egiptu, który w oparciu o organiczne prawo dysponował wybieralnym sześćdziesięciosobowym ciałem ustawodawczym i dwudziestotrzyniosobowym, wyznaczonym przez rząd, które posiadało tylko jeden rodzaj władzy: wyznaczało nowe podatki bezpośrednio. Był to jednak pierwszy krok ku niepodległości, której rzecznik, Zaghluł, już bez wahań wyrażał swoje przekonania. Carnarvon, chcąc uniknąć bezpośrednich starć, mnożył poufne spotkania i popierał kontakty między odpowiedzialnymi ludźmi obu obozów. Anglia początkowo była uważna i ugodowa, ale w 1914 roku sytuacja się popsuła. Brytyjskie władze usztywniły stanowisko. Kilka kontyngentów żołnierzy wzmocniło obcą obecność militarną. Koszary otrzymały nowoczesne wyposażenie.

Lud szemrał. Nie interesowały go spory europejskich

narodów, lecz obcy żołnierze uzbrojeni po zęby, którzy strzegli gmachów publicznych w wielkich miastach i defilowali jak w podbitym kraju.

Carter pozostał obojętny wobec możliwości wstrząsów. Wiosną 1914 roku udał się do domu archeologów Theodorem Davisa, by spotkać się z ostatnim z jego pracujących jeszcze asystentów.

Henry Burton, zwany Harrym, był trzydziestopięcioletnim Anglikiem w nienagannym ubraniu, które londyński krawiec

wysyłał na adres „H. Burton, Groby Królewskie, Luksor”, i obnosił surową twarz. Nikt nigdy nie słyszał, jak się śmiał lub dowcipkował. Dokładny wręcz maniakalnie, pilnował, by jego czarne włosy płasko przylegały do czaszki, a chusteczka zachowała niepokalaną biel.

Prezentacja była lodowata.

—Howard Carter, archeolog lorda Carnarvona.

—Henry Burton, fotograf Theodore'a Davisa. Zechce pan łaskawie wejść.

Na ścianach fotografie sfinksa, piramid, grobowców i angielskich krajobrazów, na których zielone trawniki żywiły się hojnymi deszczami.

—W domu jest trochę nieporządku. Nie miałem czasu posprzątać.

—Proszę wybaczyć tę nieoczekiwaną wizytę. Działalem pod wpływem impulsu.

—Założmy. Chce pan zwiedzić moją ciemnię?

—Z przyjemnością.

Carter podziwiał sprzęt, jaki Burton tu zainstalował. Bez wątpienia był z niego najlepszy profesjonalista pracujący w Egipcie.

— Czy mogę pana zaprosić na obiad, panie Carter? Właśnie dostarczono mi oksfordzkie kielbaski, królika z grzybami, niemieckie piwo i kwaśny węglan sodu.

Posiłek toczył się już w serdeczniejszej atmosferze. Burton opowiadał nie bez dumy, że jego zdjęcia publikowano w *Illustrated London News* i że zamierza dołączyć do wyprawy Metropolitan Museum do Deir el-Bahari.

—Czy Davis wróci do Egiptu?

—Nie. Osiadł w swojej rezydencji w Newport, skąd

nadesłał mi ostatnie polecenia: przeszukać miejsce między grobowcami Merenptaha i Ramzesa Szóstego. Przeprowadziłem kilka całkowicie jałowych prób. Nie mam ani ludzi, ani niezbędnego sprzętu. To walka ariergardy... Misja Davisa jest zakończona.

Carter z największym trudem zapanował nad swoim podnieceniem. Davis go nie okłamał.

—Czytał pan ostatnie wydania *Daily Mail* i *Westminster Gazette*? Wiadomości są katastrofalne, drogi przyjacielu. W naszej starej Europie mnożą się napięcia. Mam nadzieję, że rządy będą na tyle mądre, by uniknąć straszliwych konfliktów.

—Czy ten list od Davisa... był ostatni?

—Niewątpliwie.

Dziwne odgłosy zaintrygowały obu mężczyzn. Początkowo myśleli, że się mylą. Potem zgodzili się z oczywistością: nad Doliną Królów padał niezwykle gwałtowny ulewny deszcz, tworząc wściekle potoki, porywając błoto i kamienie. W ciągu niecałej godziny grobowce Ramzesa II i Ramzesa III zostały zalane i zasypane górą odłamków skalnych.

— Nie zdążę ich odsłonić — oświadczył załamany Burton. — To przeklęte miejsce.

Carter medytował u wejścia do doliny, kiedy dwóch ponurych mężczyzn skierowało się w jego stronę. Jednym z nich był Mohamed Abd el-Gaffir, informator, który zapewniał, że zna położenie grobowca Amenhotepa I. Zatrzymał się metr przed archeologiem i pokazał mu zawartość swego kosza. Były tam odłamki alabastrowej wazy.

—Sprzedaję — powiedział z powagą.

—Skąd wzięłeś ten skarb?

Rabuś zasepił się. Carter musiał mu pomóc.

—Grób, który mi obiecałeś?

Abd el-Gaffir spuścił wzrok.

—Czy jest tam szyb?

—Tak, pośrodku.

—Głęboki?

- Bardzo.
- Carter ucieszył się. Więc to królewski grobowiec!
- Zaprowadź mnie tam.
- Trzeba zapłacić.
- Dostaniesz nagrodę.
- Jedną za wazę, drugą za grób.
- W porządku.

Po krótkich negocjacjach ustalili cenę, po czym Abd el-Gaffir zaprowadził Cartera na stromą ścieżkę za Dra Abu el-Naga. Grobowiec wydrążono w ciemnym, osobnym parowie, cofniętym w stosunku do doliny. Wejście zasłaniał skalny blok. Archeolog i rabuś przesunęli go z trudem. Wysięk uspokoił Cartera, rozgorączkowanego na myśl, że wkroczy do nienaruszonego grobowca Amenhotepa Pierwszego, twórcy Doliny Królów.

Ledwie pochodnie oświetliły grobowiec, Carter zaczął sobie wyrzucać własną naiwność. Podłogę pokrywały tysiące odłamków naczyń z ceramiki i alabastru. Abd el-Gaffir i jego wspólnicy zajęli się porządnym rabunkiem, zanim spieniężyli szkielet. Amenhotep I nie umknął zachłanności sepów.

Wściekły Carter kupił dla Carnarvona najładniejsze przedmioty, które Abd el-Gaffir zachował dla niego, i wysłał raport do swego pryncypała. Podkreślał w nim archeologiczne znaczenie tego znaleziska oraz fakt, iż lord Carnarvon zidentyfikował sekretne miejsce ostatniej siedziby sławnego faraona.

ROZDZIAŁ 43

Całkiem wyłysiały, korpulentny, z siwymi wąsami, z surowym spojrzeniem i pulchnymi dłońmi, Maspero nie krył znużenia.

— Skrzydła unoszą mnie już prawie sześćdziesiąt osiem lat, ale zaczynają być zmęczone, mój drogi Howardzie. Widzę, jak zbliża się chwila, gdy będę musiał je zwinąć. Z tym uczuciem nieuniknionego kresu próbuję zakończyć jeśli nie wszystko, co zamierzałem, to przynajmniej to, co

rozpocząłem. Niestety, doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, a urzędnicze obowiązki tak ją skracają, że ledwie znajduję tych kilka niezbędnych godzin, by doprowadzić prace do końca. Pewnie będzie z nich jak z wieloma ludzkimi sprawami: dużo ambicji i mała korzyść. Mogę jedynie zaświadczyć, że pedantyczną, pyszałkową lub niestosowną surowością nie zniechęciłem żadnego prawdziwego powołania.

—W takim razie proszę wesprzeć moje.

—Czego jeszcze chcesz, Carterze?

—Doliny.

—Doliny, zawsze tylko doliny!

Maspero wstał i wyjrzał przez okno swojego statku zakotwiczonego obok muzeum. Zgromadził tu książki, dokumenty i notatki z lat, kiedy niepodważalnie władał Urzędem do spraw Zabytków. To właśnie biuro lubił najbardziej. Dawało mu wrażenie, że zawsze jest w podróży, że nie zastyga w szacowności obsypanego honorami erudyty.

—Właścicielem koncesji jest Davis.

—Zrezygnował z niej, a ja ją chcę.

—Po co?

—Bo to moje życie. Wierzę w dolinę.

—A więc teraz wiara! Ja już ją straciłem... Na początku naprawdę wierzyłem w jedność egipskiego boga, w jego nie-materialność, w wysublimowaną naukę kapłanów. Wszystko było dla mnie olśnieniem. Teraz jestem sceptyczny: fakty, tylko fakty, a wszystkie religie traktować trzeba jak równe sobie.

—Przykro mi, że pana zawiodłem. Moja wiara w Egipt jest nietknięta.

—Pan jest młody. Z czasem straci pan złudzenia.

—Nigdy nie zagubię drogi do doliny.

Maspero sięgnął po jakiś zeszyt i zamachał nim przed nosem Cartera.

—Moje notatki są kategoryczne! Piaski doliny przerzucano na wszystkie strony. Nie brakuje ani jednego królewskiego grobowca.

—Brakuje Tutenchamona...

—Chimera!

—Nawet jeśli będę musiał przemieścić tony ziemi i żwiru, znajdę go.

—Nie ma pan żadnego dowodu jego istnienia.

—Oczywiście, że mam: fajansową wazę z imieniem króla, złoty listek z jego podobizną i część materiału pogrzebowego, wykorzystaną podczas jego uroczystości pogrzebowych.

—Podjęcie wykopalisk w dolinie zabierze panu dużo czasu i pieniędzy. Przyznaję, że Carnarvon wydobyl pana z piekła, ale wasza dalsza współpraca nie ma już żadnego sensu.

—Jest moim przyjacielem. On potrzebuje mnie, a ja jego. Nie zbadano wielu sektorów doliny, zasypanych starymi i nowymi gruzami.

—Tam odkryje pan tylko drobne i bezwartościowe przedmioty. One nie zwrócą zainwestowanego kapitału Car-

narvona. Konkluzja Davisa jest kategoryczna: dolina nie kryje już żadnych tajemnic.

—Jest tylko jeden nieobecny: Tutenchamon. Czemu zaprzeczać oczywistości? W łańcuchu królów to jedyne brakujące ogniwo.

—To młody król, bez znaczenia i grobowca... Oto cała prawda.

—Pan sam napisał coś przeciwnego. Proszę mi dać koncesję, nie będzie pan tego żałował.

—Już teraz żałuję. Zasluguje pan rias coś więcej niż obsesję. Papiery leżą na stole, po pańskiej lewej stronie.

Carter przytulił do serca cenne dokumenty. W czerwcu 1914 roku stawał się oficjalnym właścicielem Doliny Królów. Mając czterdzieści jeden lat, realizował swoje najbardziej szaleńcze marzenie.

— Wracam do Francji — oświadczył Maspero. — Już się nie zobaczymy.

Carter wszedł do od niedawna opustoszałego domu archeologów Theodore'a Davisa. Burton dołączył do amerykańskiej ekipy pracującej w Deir el-Bahari. Pokoje, biuro,

jadalnia — wszystko było puste. Fotograf zabrał ze sobą zdjęcia, zostawiając puste ściany. Zapomniał tylko o kalendharzu. Kartki oberwane były aż do końca czerwca.

Gorące lato nie przeszkadzało Carterowi. Oczywiście, będzie musiał poczekać kilka tygodni, nim otrzyma oficjalne pozwolenie na podjęcie wykopalisk tam, gdzie pragnął, w tej dolinie, o której marzyli wszyscy archeolodzy. Ale każdy *gaffir* znał już nazwisko nowego pana tego miejsca.

Zachodzące słońce lipcowego wieczoru pieściło oparte o ramię Cartera czoło Raify. Kochali się z ogniem wciąż odradzającej się namiętności, z którą próżno walczył brat Egipcjanki.

—Chciałabym mieć dziecko, Howardzie.

—Czeka na mnie Dolina Królów.

—Jak możesz porównywać to zbiorowisko martwych kamieni do istoty, którą zrodzi nasza miłość?

—One nie są martwe... wibruje w nich inne życie, którego nie zdoła zniszczyć czas.

—To miejsce przyprawia cię o szaleństwo.

—Jest moim przeznaczeniem. Nie mam prawa przed nim uciekać.

—Kochasz tylko te grobowce, tych dawno zmarłych królów i tę ciszę, która budzi we mnie lęk...

Silniej przytulił ją do siebie. Oboje milczeli. Raifa już nie protestowała, nie prosiła Cartera o nic więcej prócz niego samego. Powinna go była porzucić, poślubić mężczyznę swojej rasy i dać mu wielu synów. Ale ten Anglik, przybyły z innej planety, nadal ją fascynował. Równie wymagający wobec siebie jak wobec innych, nie godzący się na kompromisy i poniżenie, uparcie goniący za najbardziej szalonym z ideałów z narażeniem własnego istnienia, jej kochanek był wybrańcem bogów, jedną z tych istot wezwanych do wypełnienia na tej ziemi misji, która go przerastała. Carter nie mógł zejść z odwiecznej drogi, wytyczonej na długo przed nim, lecz dla niego. Gdyby zboczył z niej choć o krok, zmarniałby jak zwiędły kwiat. Tak właśnie było i nie będzie

inaczej. Jak walczyć z liczącą sobie trzy tysiąclecia kochanką, młodą niczym wschodzące słońce, której na imię Dolina Królów?

Brytyjscy doradcy wojskowi porozumieli się wzrokiem. Przewodniczący zebraniu pułkownik zrozumiał, czego chcą.

—Ależ, panowie! Lord Carnarvon jest dobrowolnym doradcą. Jego jedynym celem jest wielkość Anglii.

—W takim razie dlaczego zalewa nas idiotycznymi raportami? — zaprotestował młody oficer. — Człowiek ma wra-

żenie, że czyta proroctwa kogoś nawiedzonego!

Lord nie stracił zimnej krwi.

— Ostrzegam was już od roku. Będzie wojna, a Egipt nie umknie przed tym konfliktem. Wczoraj zamordowano w Sarajewie następcę tronu Austrii. Lękałem się podobnego incydentu. Bałkany zapłoną ogniem. A potem przyjdzie kolej na wielkie mocarstwa.

Rozległy się protesty, uzupełniane okrzykami: „to śmieszne”, „hańba”, „bzdury”. Pułkownik uznał, że należy zakończyć te konfrontacje.

— Pesymizm to zły doradca, lordzie Carnarvonie. Mimo to dziękujemy panu za współpracę.

Dwudziestego ósmego lipca 1914 roku Austria wypowiedziała wojnę Serbii.

Carter, nie mogąc już wytrzymać, wsiadł do pociągu do Kairu. Carnarvon przyjął go dopiero pierwszego sierpnia, w dniu kiedy Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Choć lord wydawał się bardzo zajęty, Carter zdołał go przekonać, by spotkał się z Maspero i wydał mu ostatni formularz, który wreszcie pozwoli im podjąć prace przy wykopaliskach w dolinie. Entuzjazm Cartera przekonał Carnarvona. Dolina Królów prezentowała inne powaby niż przyszłe pola bitew, na których arystokrata widział już walki europejskiej młodzieży wywołane pychą i głupotą zaślepionych polityków.

Maspero był błydy jak śmierć.

—Panowie, jestem chory. Francja mnie uzdrowi. Drogi Carterze, sądziłem, że już pana nie zobaczę. Jutro opuszczam

to biuro, Urząd do spraw Zabytków i Egipt.

—Bardzo tego żałujemy — powiedział wzruszony Carnarvon. — Czy mógłby pan przed wyjazdem podpisać nam

ostatni brakujący dokument?

Gaston Maspero usiadł przy swoim biurku.

— W ciągu czternastu lat, które spędziłem na czele tego urzędu, podczas drugiego mandatu, położyłem kres francusko-brytyjskiej rywalizacji na terenie archeologii. Jak mógłbym odmówić ukoronowania tego pięknego dzieła? Skorzystacie więc, panowie, z mojego ostatniego oficjalnego aktu.

Erudyta zredagował na pustej kartce papieru kontrakt między urzędem a lordem Carnarvonem. Przez dziesięć lat arystokrata, który przekazał kierownictwo naukowe wykopalisk Carterowi, mógł badać Dolinę Królów tak, jak zechce.

Ewentualnie odkryte królewskie grobowce pozostaną własnością Egiptu. Lord zachowa jednak dzieła, których wartość odpowiadać będzie wysokości jego wydatków.

Wieczorem trzynastego sierpnia Carnarvon przyjął rozpromienionego Cartera, który właśnie ukończył redakcję planu pracy. Potrzeba mu będzie co najmniej trzystu ludzi, by rozkopać góry piasku, kamieni i odłamków skalnych, które pokrywały nie zbadane dotąd części doliny.

Lord uważnie przeczytał tekst.

—Za późno, Howardzie.

Carter pobladł jak płótno.

—Ale myśmy jeszcze nie zaczęli...

— Na świat wylewa się fala nieszczęść, przyjacielu. Dzisiaj Anglia wypowiedziała wojnę Austrii.

ROZDZIAŁ 44

Carnarvon posłuchał rad Kitchenera, który go prosił, aby jak najszybciej opuścił Egipt, wrócił do Highclere i przekształcił ten olbrzymi majątek w wiejski szpital. Wróciwszy

na swoje ziemie, lord uświadomił sobie, że w mniejszym lub większym stopniu od niego zależy egzystencja dwustu pięćdziesięciu trzech osób. Pierwszym obowiązkiem było zapewnić im przeżycie. Lady Almina, szczęśliwa, że odzyskała męża, lecz zaniepokojona przyszłością, lękała się braków żywności. Lord kazał więc zostawić w stodołach zboże, na polu ziemniaki, a pastwiska zamienić w ziemie orne. Sam ustalił plan racjonowania żywności i uroczyście zwrócił się do swoich ludzi, by unikali wszelkiej grabieży pod karą ostatecznego wykluczenia z majątku.

Gdy pojawili się pierwsi ranni w walce oficerowie, Highclere było gotowe na ich przyjęcie. Carnarvon myślał o Egipcie, o szalonym śnie Cartera, który zniszczyła wojna światowa, o tej dolinie, która umykała mu raz jeszcze. Otrząsnął się jednak ze wzruszeń i skoncentrował na jednym zadaniu: walce z niemieckim barbarzyństwem, które zagrażało całej Europie.

Przed podjazdem do zamku Highclere stanęła taksówka. Lady Almina próbowała zatrzymać męża.

—Kochanie, przecież to szaleństwo. Błagam cię, zrezygnuj z wyjazdu.

—Ja chcę walczyć.

—Twój stan fizyczny jest kiepski, a poza tym przekroczyłeś wiek poborowy. Armia nie może zgodzić się na twój udział.

—Mam spotkanie w Ministerstwie Wojny. Dzięki znajomości francuskiego będę doskonałym oficerem łącznikowym. Mój przyjaciel, generał Maxwell, zabierze mnie na front.

—Zapomniałeś o synu i córce?

—Ani na chwilę. Oni nigdy nie pogodziliby się z tym, że ich ojciec odmówił walki.

Carnarvon ucałował małżonkę i zasiadł na tylnym siedzeniu.

Byli niedaleko Londynu, gdy poczuł ostry ból brzucha. Próbował nad nim zapanować, zaciskając wargi i ocierając pot z czoła. Ból okazał się jednak silniejszy. Upokorzony i wściekły na siebie, poprosił taksówkarza, by wrócił do Highclere, gdzie żona przywitała go z łagodną czułością.

Zdecydowany wyjechać jak najszybciej, zgodził się jednak na kilka dni wypoczynku.

Tydzień później znów pojawił się ten sam ból, jeszcze ostrzejszy. Ponieważ rannych żołnierzy przeniesiono gdzie indziej, zamek był pusty. Almina po objawach rozpoznała ostry atak ślepej kiszki. Zdołała zdobyć samochód i wraz ze służącym towarzyszyła mężowi do stolicy. Szpitalna diagnoza brzmiała: zapalenie otrzewnej. Prawie nieprzytomnego Carnarvona przewieziono na salę operacyjną.

—Nie wiem, czy pani mąż przeżyje — powiedział chirurg.

—Pan się nazywa Howard Carter?

—Właśnie tak.

Wyższy oficer niezbyt doceniał dumną postawę tego osobnika odzianego w blezer i flanelowe spodnie. Przypominał arystokratę przyzwyczajonego żyć z dala od rzeczywistości.

—Pan nie jest już w wieku, kiedy wyrusza się na front, by się bić, panie Carter, ale może pan jeszcze służyć krajowi.

—Jestem na pańskie rozkazy.

—Mianowano pana wysłannikiem króla i będzie pan wykonywać swoje funkcje na Bliskim Wschodzie. Foreign

Office powierzy panu różne zadania.

—Jak pan sobie życzy.

—To nie jest żołnierska odpowiedź.

—Jestem archeologiem.

Wyższy oficer wpisał uwagę w rubryce przeznaczonej dla administracji wojskowej: „Niezależny umysł, skłonności do nieposłuszeństwa. Wymaga kontroli”.

Osiemnastego grudnia 1914 roku Anglia wydała dekret: Egipt nie jest już wasalem Turcji i sojusznikiem Niemiec, lecz brytyjskim protektoratem. Dziewiętnastego *kedyw* Abbas II Hilmi, o zbyt wyraźnych tendencjach nacjonalistycznych, został odwołany z urzędu; zastąpił go Husajn, który mimo szumnego tytułu sultana podlegał rozkazom brytyjskiego wysokiego komisarza. Kair miał się stać ważną bazą operacyjną, a ludności egipskiej bezwzględnie narzucono

wysiłek wojenny. W razie potrzeby miano wprowadzić prawo wojenne.

Wezwany na ósmą trzydzieści Carter zjawił się po jedenastej. Wyższy oficer udzielił mu gwałtownej reprimendy.

—To nie do przyjęcia, panie Carter! Nie wypełnił pan żadnego z zadań, które panu zleciłem. Pan drwi sobie z władz!

—Zalecenia, które otrzymuję, są absurdalne.

—Jak pan śmie...

—Urzędnicy, którzy je rozdają, siedzą zamknięci w swoich biurach i zapominają nawet wyjrzeć przez okno.

—Dyscyplina i posłuszeństwo to główne cnoty żołnierza. Nie do pana należy krytykowanie rozkazów. Oczekuję pańskich przeprosin.

—Proszę raczej uznać własne błędy. Potem ja wypełnię moją misję jak należy i na mój sposób.

Wysoki oficer wstał.

— Carter, jesteście zwolnieni.

Kilka miesięcy po wybuchu konfliktu nie było zwycięzcy. W Europie zaczynała się niekończąca się wojna pozycyjna; żołnierze umierali w okropnych warunkach okopów. Na Wschodzie Turcy zamknęli cieśniny.

Odzyskawszy swobodę ruchów, Carter powrócił do Luk-soru, gdzie dzielił czas pomiędzy Raifę i przynoszące zawsze nowe wrażenia odwiedzanie królewskich grobowców. Uśmiechnięty Egipt pogrążył się w smutku i niepokoju. Większość stanowisk archeologicznych była zamknięta, wie-

lu młodych archeologów padło na polu chwały, z dala od słońca Górnego Egiptu i jego świetlistych skał.

Carter spędzał wiele samotnych godzin w dolinie, tej dolinie, która należała do niego i której nie mógł badać gołymi rękami. Ogarniało go zniechęcenie. Pod nieobecność Carnarvona, bez jego magii zdobywcy, czuł się porzucony. Czemu los okazał się tak okrutny? W chwili gdy miał skosztować tak długo pożądanego owocu, odebrano mu go gwałtownie.

Niektórzy przepowiadali, że wojna trwać będzie dziesięć,

a może i więcej lat, że na Egipt najadą hordy Turków i Niemców, zabytkowe budowle zostaną rozebrane, a grobowce zmieniają się w składy amunicji.

Pewnego rześkiego grudniowego poranka Carterowi przyszło do głowy, by zrezygnować. Napisze długi list do Carnarvona, wyjaśniając, że dolina odepchnęła ich na zawsze. Ze ściśniętym sercem po raz tysięczny wszedł do olbrzymiego grobowca Setiego I i jego wzrok przyciągnęły rytualne sceny i ezoteryczne teksty, które pokrywały ściany. W miarę jak jego spojrzenie zatrzymywało się na hieroglifach, witali go bogowie i boginie, wygłaszając żywe słowa wyryte w kamieniu. Carter nieświadomie utożsamiał się ze słońcem, które zanurzało się w inny świat, i stawiał czoło tajemnicom ukrytych komnat, pełen nadziei zmartwychwstania. Umierająca gwiazda przebywała dwanaście straszliwych obszarów, gdzie panowały ciemności, złowrogie duchy i węże gotowe zniszczyć światło. Podróżnik przekraczał bramy i przechodził nad głęboką studnią, z której dobywała się energia pierwszych epok. Przeczytał na ścianach *Księgę dnia*

i *Księgę nocy*, recytował formuły otwarcia ust.

Wszedł także do złotej sali, gdzie na honorowym miejscu królowała dusza słońca i jej wysłaniec, duch faraona, wskrzeszonego w sarkofagu. Po sarkofagu Setiego I, przewiezionym do Anglii, pozostała okrutna pustka. Carter poprzysiągł sobie, że nigdy nie wynaturzy grobowca, kradnąc mu jego serce, ten kamień regeneracji, który Egipt nazywał nie trumną, lecz „dostawcą życia”. Podniósłszy wzrok, podziwiał wyobrażenia bogini nieba, gwiazdy, planety i dekany gwiazd. Kto zwyciężał śmierć, powracał do światła, z którego się zrodził, i stapiał się z samym początkiem wszechświata.

Wstrząśnięty Carter napisał do Carnarvona:

Powierzchowne badanie mitologii i religii egipskiej może doprowadzić do wniosku, że my dokonaliśmy postępu. Ale gdy posiadamy zdolność podziwiania i rozumienia ich sztuki, tracimy wszelkie poczucie wyższości. Nikt wrażliwy nie zaprzeczy, że egipska sztuka ucieleśnia istotę rzeczy. Mimo całego naszego postępu nie jesteśmy zdolni jej do-

strzec. Egipt jest horyzontem wieczności, a Dolina Królów kryje tajemnicę. Dlatego musimy robić to nadal. Zostaje tu i czekam na pana.

ROZDZIAŁ 45

Lord Carnarvon przeglądał gazety i depesze. Rozwój sytuacji nie był pomyślny. Niemieckie łodzie podwodne zdołały zorganizować blokadę Anglii i źle przygotowane ofensywy alianckie nie osiągały żadnego znaczniejszego sukcesu. W zalewie złych wiadomości list Howarda Cartera przynosił trochę światła. Dolina... Lord marzył teraz o niej. Była nieosiągalnym rajem, gdzie szaleństwo ludzi gasło u stóp domostw wiecznego spoczynku.

—Kochanie! Obiecałeś, że wrócisz do łóżka.

—Muszę trochę popracować.

—Przy zapaleniu opłucnej trzeba przede wszystkim wypoczynku i ciepła.

—Nie jestem chory.

—Jesteś nierozsądny! Musisz dbać o swoje zdrowie.

Dyskusję przerwał lokaj.

—Pilna przesyłka, milordzie.

—Od kogo?

—Od ministra.

Carnarvon przeczytał dokument i zdruzgotany opadł na fotel.

—Co się stało? — zapytała żona.

—Turcy i Niemcy zaatakowali Kanał Sueski. Jutro zajmą Egipt.

Howard Carter zakończył inwentaryzację przedmiotów znalezionych w grobowcu Amenhotepa III i całkowicie opróżnił jego wnętrze. Tu, jak i gdzie indziej, Davis zadowolili się powierzchowną pracą. Dzięki dokładnym i systematycznym badaniom Carter odnalazł przed grobowcem pięć niektniętych składów. W wydrążonych w skale studniach ukryto setki miniaturowych narzędzi, zmieszanych z piaskiem

i zasypanych rumoszem. Ciekawe, że inskrypcje nie wymieniały Amenhotepa III, lecz jego ojca Totmesa, który w ten sposób stał się progiem i fundamentem dla syna.

Odgłosy germańsko-tureckiego ataku na Kanał Sueski ledwie dotarły do jego uszu. Nie wątpiąc w zwycięstwo, bez zdumienia dowiedział się, że brytyjskie oddziały odepchnęły najeźdźców i nadal prowadzą walkę na Synaju i w Palestynie.

W chwili gdy przerwano morskie połączenia, a brak zbytu i spadek cen bawełny spychały Egipt w nędzę, Carter był pochłonięty nieprzerwanym dialogiem z Doliną Królów. Odtąd była ona jego jedynym kłopotem i jedyną racją istnienia.

Pod koniec lutego 1915 roku wydobył biedne resztki pogrzebnych mebli królowej Teje, sławnej małżonki Amenhotepa III i być może matki Tutenchamona. W chwili gdy trzymał jeszcze w dłoniach dwie alabastrowe figurki królowej, dowiedział się o śmierci Davisa, tak zakochanego w tej wielkiej damie. Amerykanin nie żył długo poza doliną. Bardziej wymagająca niż najbardziej zazdrosna z kochanek, narzucała swoim wielbicielom absolutną wierność.

Howard Carter zapomniał o świecie zewnętrznym. Gdy europejskie kraje rozdzierały się wzajemnie, on pisał do konserwatorów muzeów, przygotowując katalog przedmiotów odnalezionych w królewskich grobowcach, zbierał prace

poświęcone dolinie, czytał sprawozdania z podróży pierwszych odkrywców, studiował stare mapy.

Wiedział o wszystkim, co zdarzyło się w tym miejscu. Przepytał wielką liczbę mieszkańców Gurna, prowadził niekończące się rozmowy ze złodziejami, przejrzał góry raportów dotyczących wykopalisk. Codziennie wzbogacał swoje narzędzie pracy: olbrzymią mapę Doliny Królów, na której zaznaczone były wszystkie grobowce. Oddychał w rytm doliny i, wrażliwy na bicie jej serca, obserwował jej najbardziej intymne reakcje.

Sam był niemal martwy. W tym miłosnym związku z tajemnicą z siebie samego uczynił ofiarę.

W początkach wiosny 1916 roku lorda Carnarvona, wybranego na prezesa Camera Club, ożywiła nowa nadzieja:

zapraǳnął udać się na front jako doradca Royal Headquarters Flying Corps, z ramienia wydziału fotografii lotniczej. Oczywiście nie będzie to walka z bronią w ręku, ale wykrywając obecność wroga w terenie, mogła ułatwić pochód aliantów, podczas gdy nadal toczyła się przerażająca bitwa pod Verdun, gdzie Francuzi zdołali zablokować niemiecką ofensywę za cenę dziesiątków tysięcy zabitych.

Egipt, którego waluta związana była z funtem szterlingiem, jakoś uniknęła chaosu, ludność cierpiała jednak coraz liczniejsze ograniczenia. Należało jak najszybciej zakończyć

tę wojnę, najbardziej barbarzyńską i niszczycielską ze wszystkich, jakie prowadzono w dziejach ludzkości. Carnarvon gotów był złożyć w ofierze własne życie, by ocalić tysiące młodych ludzi wysyłanych na rzeź.

Raz jeszcze zawiodło go zdrowie. Już trzeciego dnia po podjęciu służby musiał wrócić do Highclere. Przybitego, bliskiego rozpaczy otoczyła czułość żony i dzieci. Równowagę ducha przywrócił mu list od Cartera. Daleki przyjaciel dokonał właśnie wielkiego wyczynu.

W wyludnionym Luksorze, opuszczonym przez oficjeli i znane osobistości, najmniejsze zdarzenie zyskiwało na znaczeniu. Szerzące się plotki o odkryciu bajecznego skarbu na pustyni blisko doliny rozpały wyobraźnię. Niezdecydowani zadowolili się marzeniami, ale zawodowi rabusie próbowali sprawdzić plotki, a zwłaszcza zagarnąć skarby.

Dwie rywalizujące ze sobą bandy, zmusiwszy najpierw do wyznań donosicielei, którzy załamali się po pierwszych torturach, zjawiły się równocześnie na budzącym pożądanie miejscu. Doszło do gwałtownej bójki i połała się krew. Z obawy, że spór może przerodzić się w konflikt niebezpieczny dla zachodniego brzegu, edylowie ostrzegli Cartera. Ten nie wahał się ani chwili. Zatrudnił tuzin robotników, którzy uniknęli poboru, i choć zapadał już zmierzch, natychmiast z nimi wyruszył. Musieli posuwać się po trudnym terenie, by dotrzeć do szczeliny na dnie małej dolinki, położonej między stromymi ścianami na wysokości stu metrów.

Carter natknął się na sznur zwisający z uskołu. Natężając ucha, dosłyszał łatwo rozpoznawalne odgłosy. Złodzieje już się wzięli do roboty. Anglik postanowił nie ryzykować życia towarzyszy, odciął sznur rabusiów i zastąpił go innym, po którym mógł dostać się do środka. Dotarliśmy w głąb grobowca, jakieś siedemdziesiąt metrów od wejścia, ruszył podrytym korytarzem i trafił na ośmiu uzbrojonych mężczyzn, którzy przyglądali mu się ze zdumieniem.

— Wybierajcie — rzekł po arabsku — albo wyjeżdżacie na moim sznurze i znikacie, albo zostajecie tu i tu umrzecie.

Rabusie zawahali się. Znali sławę Cartera i wiedzieli, że nie cofa się przed nikim. Porzucając latarki, kolejno, jeden po drugim wydostali się na górę.

Archeolog został sam. Nareszcie mógł zastanowić się nad zadziwiającą lokalizacją tego doskonale ukrytego grobowca. Niewątpliwie musiał on prowadzić do skarbcza, gdzie chcieli dotrzeć złodzieje z Gurna. Carter wszedł w długi szesnastometrowy korytarz zakończony prostokątnym pomieszczeniem. Obrócił się pod kątem prostym i pokonał drugi bardzo stromy korytarz, który prowadził do komnaty grobowej, wypełnionej rumoszem. Rabusie wydłubali w nim tunel, do którego Carter wśliznął się na czworakach.

Tutenchamon... Czy to tylekroć powtarzane imię będzie wypisane na sarkofagu?

Odkopanie grobowca zabrało dwadzieścia dni. Carter kazał zainstalować system bloków i siatkę, w której zjeżdżali w dół. Nie było żadnego skarbu, żadnych cennych przedmiotów, tylko sarkofag z piaskowca poświęcony „Hatszepsut, królowej wszystkich krain, królewskiej córce, siostrze króla, wielkiej małżonce króla, pani dwóch krajów”. Właśnie odkrył inny grobowiec królowej Hatszepsut, zbudowany dla tej wielkiej damy, zanim jeszcze została faraonem.

Tutenchamon nadal był nieosiągalny, ale dolina przemówiła.

ROZDZIAŁ 46

Trzydziestego czerwca 1916 roku, dwa lata po wyjeździe z Egiptu, Gaston Maspero przewodniczył zebraniu Akademii Zapisów i Literatury Pięknej, której był dożywotnim sekretarzem. Myślał o tych wspaniałych latach, które poświęcił badaniu zabytków i reorganizacji Urzędu do spraw Zabytków. Dręczony myślą o synu, który padł na polu walki, wspominał także najbardziej niepokornego z archeologów, tego Howarda Cartera, od młodości ogarniętego szalonym marzeniem. Zapewne Carter się mylił, ale ileż to razy Egipt odsłaniał swoje tajemnice takim właśnie ludziom?

Nagle zasnął.

— Moi drodzy koledzy — powiedział drżącym głosem — proszę mi wybaczyć... nie czuję się dobrze...

Kilka chwil później Gaston Maspero już nie żył.

Jesienią 1917 roku lord Carnarvon mógł wreszcie odbywać długie spacery po parku Highclere. Przy cedrach z Libanu utwierdził się w przekonaniu, że alianci wygrają tę długą wojnę. Pod koniec roku 1916 ofensywa niemiecka zakończyła się porażką pod Verdun. Po stronie francuskiej zginęło tam 360 000 ludzi, prawie tyle samo po stronie wroga.

Kiedy szóstego kwietnia roku 1917 Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom, lord nie wątpił już w ostateczne rozwiązanie.

Egipt cierpiał. Nie był, oczywiście, bezpośrednio zagrożony. Niebawem siły angielskie, pod których władzą pozostała dawna ziemia faraonów, zająć miały Bagdad i Jerozolimę. Ekonomia wojenna wtrąciła jednak lud w nędzę. Olbrzymia inflacja wymuszała wciąż rosnące ograniczenia, Anglicy zawładnęli zakładami produkcyjnymi, wywołując sprzeciw, którego wojskowi nie umieli właściwie ocenić. W kraju, gd/ie z powodu konfliktu i nędzy notowano więcej zgonów niż narodzin, można się było spodziewać najgorszego.

Carnarvon podjął jednak decyzję. Wbrew radom i ostrzeżeniom zachęcał Cartera do rozpoczęcia kampanii wykopalisk, zgodnie z planem z 1914 roku.

Gdy zaniepokojona i zafascynowana Europa przyglądała się upadkowi rządów carów i rewolucji bolszewickiej, Carter, obojętny na wszelkie wydarzenia rozgrywające się poza doliną, przebył Nil i znalazł się na zachodnim brzegu. Pod ochroną skały różowej i błękitnej o świcie, złotej w południe, a czerwonej i pomarańczowej o zachodzie, archeolog rozpoczął przygodę, której pragnął coraz goręcej. Zaczynał swoją pierwszą kampanię wykopaliskową.

Carter wspiał się do domu, w którym miał zamieszkać, u stóp zrujnowanej studni, na szczycie wzgórza nad Nilem, domu z widokiem na dolinę. Pokonał kilka marmurowych stopni i drewnianym kluczem otworzył drzwi. Wewnątrz znajdował się angielski zegar z wahadłem, pianino, dużo poduszek, maty, dywany, lampa naftowa, piekarnik chlebowy i metalowa wanna, słowem niezbędny komfort. Kilka dziur w dachu wymagało naprawy, ale było i pilniejsze zadanie: znaleźć *reisa*, odważnego i kompetentnego szefa ekipy.

Ktoś zapukał do drzwi. Carter otworzył.

—To ty... mój przyjaciel Ahmed Girigar!

—Przeżyłem i jestem gotów z panem pracować.

—Szczęście znów uśmiechnęło się do mnie.

—Trzeba też zorganizować pańskie życie tutaj. Będzie pan potrzebował sekretarza, stajennego, kucharza, portiera, nosiwody i...

—Nie, Ahmed. Nie potrzebuję pomocy.

—To nie jest w porządku. Ale ponieważ nie zdołam pana przekonać, sam się tym zajmę. Mnie też nie warto przekonywać, jestem równie uparty jak pan.

Mężczyźni objęli się serdecznie.

— Od dzisiejszego wieczora musi pan starannie składać swoje ubrania, nigdy na lewą stronę! Demony nocy mogłyby w nie wejść i nie pozwoliłyby panu wstać.

— *E'shams, effendi!* Słońce, mój panie.

Ahmed Girigar przyniósł kawę i nabiłą fajkę, żeby Carter wstał z łóżka prawą nogą. Archeolog był tak niecierpliwy, że zbyt pospiesznie połknął śniadanie. Po krótkich

ablucjach wsiadł na osiołka, który miał go dowieźć do Doliny Królów. Nowy pan tego miejsca na pierwsze spotkanie z robotnikami ubrał się bardzo starannie: wełniane ubranie z kamizelką, motylek w groszki, biała chusteczka w kieszonce, kapelusz z szerokim rondem i lufka do papierosów. Ahmed Girigar zasłużył na swoją reputację. Długa procesja nosicieli koszy czekała w porządku u wejścia do doliny. Jeszcze nie zrzucili galabii, śpiewali i głośno rozmawiali.

— Wynegocjowałem sześć dni pracy na tydzień — informował *reis*. — Odpoczynek w piątek. Gdzie pan chce zacząć kopać?

Carter pomyślał o porzuconym projekcie, który znalazł w kwaterze Davisa zmienionej w przechowalnię zabytków. Dzięki notatkom ekipy Amerykanina uzupełnił długo przemyślany własny plan i podjął decyzję. Rozpocznie prace w miejscu, gdzie Davis zakończył swoje eksploracje, czyli w trójkącie wyznaczonym grobowcami Ramzesa II, Merentpaha i Ramzesa VI. Był pewny, że w górach odpadków, zebranych podczas poprzednich wykopalsk, znajdzie sporo przedmiotów do prywatnej kolekcji Carnarvona, a może także wskazówki, które zbliżyłyby go do grobowca Tutenchamona.

Carnarvon zgodził się z argumentami Cartera i wyraził zgodę. Świadomość, że najpiękniejsze i najbardziej szalone przedsięwzięcie jego życia rozpoczyna się właśnie w dalekiej ziemi pod słońcem bogów, dodała mu energii. Horyzont rozświetlał się w tej zawierusze.

Olbrzymie wzruszenie ogarnęło Howarda Cartera, gdy zobaczył rozwijający się długi wąż robotników w podkoszulkach; jedni napełniali kosze kamieniami, inni je wysypywali. Nosiciel wody z buklakiem na ramieniu przechodził od jednego do drugiego. Śpiewy nadawały rytm wolnym i regularnym manewrom, których pilnował *reis*; jego rozkazy wykonywano co do joty. Ci ludzie, bosy i obłani potem, zarabiali kilka pensów dziennie i uważali, że są dobrze opłacani. Najbardziej doświadczeni używali oskardów, atakując sztucznie usypane wzgórza. Z Urzędu do spraw Zabytków, jeszcze osieroczonego po śmierci Maspero, Carter otrzy-

mał kolejkę Decauville'a. Po prefabrykowanych szynach robotnicy przepychali otwarty wagonik-wy wrotkę. Małą kolejkę można było łatwo przemieszczać, zależnie od bieżących potrzeb, a ułatwiała ona usuwanie odpadków poza badane właśnie miejsce, a nawet poza dolinę, ku przebadanym już terenom. Ziemia, kamienie, odrzucone bloki skalne... oto co przerażało Cartera. Jego poprzednicy zajmowali się jedynie pospiesznym kopaniem na oślep, nie troszcząc się o oczyszczanie doliny, obecnie zawałonej masami ziemi i kamieni.

Pierwszy miesiąc pracy upłynął w trudnych warunkach: wczesnym rankiem ostry chłód i przytłaczający upał w południe. Kurz lepiący się do ubrań i skóry. Cartera nie zniechęciło nawet przybliżone obliczenie, że należałoby przemieścić kilkaset milionów metrów sześciennych piasku i żwiru, aby dokonać wyczynu, jakiego nie próbował przed nim żaden jeszcze archeolog: dotrzeć do samej skały, do mineralnego podłoża doliny, żeby mieć pewność, że nie pominie się żadnego wejścia do grobowca.

Gdy tylko pojawiał się jakiś przedmiot, gdy jakiś starożytny fragment wylał się z magmy, Carter opisywał go na pierwszej pełnej i szczegółowej liście, o której dotąd nikt nie pomyślał. *Ostraca*, kawałki wapienia, które były brulionami dla uczniów w szkołach skrybów, niestety nie zachowały żadnej wskazówki dotyczącej Tutenchamona.

Na początku roku 1918 teren wykopalisk zdawał się doskonale zorganizowany, ale Ahmed Girigar miał zatroskaną minę. Carter zapytał czemu.

—Niektórzy robotnicy chcą przerwać pracę.

—Dlaczego?

—Pan spędza tu za dużo czasu... Zwykle archeolodzy nie pojawiają się tak często i nie przebywają tak długo na terenie wykopalisk.

—Przywycyzają się. Co jeszcze?

—Przedmioty... Zwykle część ich zbierają, odsprzedają. Pańscy koledzy przymykali na to oko.

—Ja nie będę. Niech zrezygnują z kradzieży.

—Trzeba będzie negocjować.

—To niemożliwe, Ahmed.

- W takim razie musi im pan podnieść zarobki.
—Sam ustal wysokość i ogłosz im dobrą nowinę.

ROZDZIAŁ 47

Carter zadrzał, przyglądając się bardzo staremu planowi królewskiego grobowca, który nakreśliła ręka budowniczego. Tekst hieroglifów i legendy mówiły o „złotym domu”, gdzie spoczywało świetliste ciało faraona. W ożywionym kolorami fresków i obecnością dziewięciu bogów grobowcu krył się sarkofag, którego strzegły kaplice. Jak wyobrazić sobie zebrane tam bogactwa, skoro wszystkie groby w dolinie zostały okradzione?

Z wyjątkiem jednego.

Carter pytał o to wszystkich sprzedawców starożytności, od złodziejzka z Gurna po antykwariusza z wielką witryną. Żaden z grobowych mebli Tutenchamona nie znalazł się w obiegu. Zatem nikt nie zrabował jego grobowca.

Archeolog mało sypiał. Rozmyślał o pracy na następnym dzień, o lepszym wykorzystaniu kołka i sznurka sposobem starożytnych, żeby przestrzegać proporcji i odległości między pomnikami i lepiej zrozumieć zagospodarowanie doliny. Codziennie trzeba się było uczyć myśleć jak egipski architekt

i jak on przeżywać duszę kamienia.

Siedząc na tarasie, Carter dostrzegł w zachodzącym słońcu dziwną postać, która wdrapywała się po ścieżce ku domowi. Brodaty kolos szedł z trudem. Ostatnie promienie migotały na czerwieni jego spodni. Posepna czarna marynarka kojarzyła się z obrazem drapieżnika w pogoni za łupem. Sapiąc, znieruchomiał kilka kroków przed Carterem.

—Chciałbym z panem pomówić.

—Już pana spotkałem w Luksorze... Kim pan jest?

—Demostenes, handlarz starożytności.

Carter wskazał krzesło wieczornemu gościowi.

—Napije się pan czegoś?

—Czegoś mocnego.

—Przykro mi, ale mam tylko wodę.

—Trudno.

—Jestem zajęty, panie Demostenesie. Mógłby mi pan wyjawic powód swojej wizyty?

—Wszystko jest tu takie spokojne, takie ciche... Trudno uwierzyć, że grozi panu niebezpieczeństwo.

Carter poprawił muszkę.

— To groźba?

Kolos dobrodusznie zaprotestował.

—Raczej poufna informacja. Nie ma pan wyłącznie przyjaciół.

—Dziwi mnie to.

—Ja jestem pańskim przyjacielem. Może mi pan zaufać.

— O jakim niebezpieczeństwie pan mówił?

Demostenes wydawał się zakłopotany.

—Szkodzi pan małemu i dużemu handlowi... Pańska ekipa robotników staje się nieprzekupna, pański *reis* jest ślepo posłuszny, a w dolinie nie prowadzi się żadnych intere-

sów. To strasznie kłopotliwa sytuacja, panie Carter. Gdybyś-

my się ugodzili, oszczędziłbym panu wielu nieprzyjemności.

—Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi... Czyżbym miał pana zatrudnić jako robotnika?

Demostenes zmarszczył brwi.

—Nie wymiga się pan w ten sposób, Carter. Musi mi pan sprzedać jakieś przedmioty. Potem uciszę konkurencję.

—Tego zabrania mi etyka naukowca.

—W archeologii nigdy nie było etyki. Wszystko się kupuje i wszystko sprzedaje.

—Nie u mnie, drogi panie. Niech pan łaskawie jak najszybciej ruszy w dół tą ścieżką. Choć nie walczymy w tej

samej wadze, stawiam na moją szybkość i precyzję ciosów.

Demostenes cofnął się.

—Mylisz się, Carter. Na tym świecie prawość nie triumfuje nigdy.

—Nie trzeba nadziei, by jej przestrzegać, ani sukcesu, aby w niej trwać.

—Złamię cię.

Zwrócenie w stronę Mekki robotnicy dotknęli twarzami ziemi, wypowiadając rytualne słowa: „Bóg jest największy,

sławię jego doskonałość", a potem spojrzeli przez ramię, by oddać cześć upadłym aniołom.

Postawny, przystojny i wytworny mężczyzna o regularnych klasycznych rysach twarzy otoczonej bujną czupryną i ozdobionej siwymi wąsami i brodą czekał na zakończenie modłów, aby przejść przez teren wykopaliska i pozdrowić Cartera.

—Moje gratulacje, pan jest bardzo tolerancyjny.

—Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

—Ja pana dobrze znam, panie Carter. Mój sławny poprzednik, Gaston Maspero, często mi o panu opowiadał.

Carter zeszytniał. A więc ten człowiek o głęboko osadzonych oczach to nowy dyrektor Urzędu do spraw Zabytków, Pierre Lacau, o którego nominacji dowiedział się niedawno. Na jego temat krążyły liczne plotki: potępiony przez jezuitów, uwielbiający urzędowanie i regulaminy, uczony o niezwykłej pamięci czytający najtrudniejsze teksty z łatwością, która zbijała z tropu. Miękki, skrupulatny, zawsze zachowujący spokój nie przypominał Maspero, który jednak wskazał go na swego następcę z uwagi na kompetencje.

Carter od razu odgadł, że Lacau będzie niebezpiecznym wrogiem. Odstrecał go jego chłód.

—Mówiono mi, że pan podjął szeroko zakrojoną kampanię.

—Sam może pan to stwierdzić, panie dyrektorze.

—Jakie są pańskie cele?

—Zmusić Dolinę Królów do wyznań.

—Wierzy pan w istnienie jakiegoś nietkniętego grobowca?

—Istnieje takie przypuszczenie.

—W przypadku jakiegoś odkrycia należy mnie natychmiast zawiadomić.

—To elementarna uprzejmość.

—Nie, drogi kolego. To wymóg zawodu. Moja sytuacja jest... bardzo delikatna.

—Dlaczego?

—Maspero był człowiekiem hojnym, zbyt hojnym... Nie podważam pańskich uprawnień, ale czasy się zmieniają, a ja

muszę czuwać nad bogactwami wydobywanymi z egipskiej ziemi.

—Proszę wyrazić to jaśniej.

—No więc... rozdział historycznych eksponatów wydaje mi się herezją. Czyż zawartość królewskiego grobowca, zarówno nienaruszonego, jak i zrabowanego, nie powinna przypaść Urzędowi do spraw Zabytków?

—Lord Carnarvon inwestuje duże pieniądze w wykopaliska, które prowadzę. Obiecano mu rekompensatę w postaci dzieł sztuki.

—Zapewne, zapewne... ale trzeba już skończyć z tymi żałosnymi zwyczajami. Nawet podwójne egzemplarze pozostaną w Egipcie.

—A co zamierza pan przyznać lordowi?

—Prestiż, mój panie, prestiż! To już sporo.

—Boję się, że niezbyt go zadowolą pańskie przyszłe regulaminy.

—Przyszłe... ale wkrótce obowiązujące. Liczę, że pan będzie ich skrupulatnie przestrzegał.

—A jeśli nie?

Pierre Lacau przeszył go wzrokiem.

—Nie ma pan dobrej opinii wśród egiptologów, panie Carter. Uchodzi pan za zbyt niezależnego, wręcz za rewolu-

cjonistę... a pański dorobek wydaje się raczej chaotyczny. Nikt nie podważa pańskich kompetencji, choć pańskie projekty wydają się nieco... dziwaczne.

—Czyżby zaintrygowała pana moja kariera?

—Prowadzę spisy i redaguję fiszki, wiele spisów i wiele fiszek. To jedyna naukowa metoda zapewniająca dobrą informację.

—Nigdy nie byłby mi pan przyznał koncesji?

—Gaston Maspero był zbyt liberalny wobec archeologów z obcych krajów, ale stało się. Teraz najważniejsze będzie respektowanie nowych regulaminów. Jestem przekonany, że nasza współpraca będzie owocna. Do zobaczenia,

panie Carter.

ROZDZIAŁ 48

Carnarvon, bardzo uważnie czytający raporty Cartera, zareagował niemal natychmiast. Skoro Urząd do spraw

Zabytków, którym obowiązkowo kierował Francuz, zamierza zmienić dotychczasowe zasady, należy znaleźć jakiś inny kanał. Spotkał się więc w Londynie z dyrektorem Metropolitan Museum, by porozmawiać o przyszłości swojej egipskiej kolekcji. Ze względu na majątek, znajomość Egiptu i własne wielkie projekty, lord jawił się jako jeden z największych kolekcjonerów wieku. Wyznał Amerykaninowi, że zaczęli z Carterem zbierać prawdziwe skarby pochodzące z zakończonych już wykopalisk, a także od marszałdów z regionu Teb. On sam nie pragnie dysponować wspaniałymi przedmiotami, z których najpiękniejsze należały do księżniczek egipskiego dworu, proponuje więc Metropolitan Museum, aby je zakupiło w największej tajemnicy.

Należało jeszcze tylko przekonać Cartera, ale do przeprowadzenia tej transakcji wymarzoną osobą był Herbert Winlock.

Pod koniec stycznia 1918 roku znaczna liczba turystów znów odwiedzała stare Teby, jakby wojna już się skończyła. A przecież niemiecka armia nie zrezygnowała i wielu ludzi przepowiadało nowe mordercze ofensywy.

Howard Carter posuwał się naprzód. Głęboka na dziesięć metrów dziura obok grobowca Ramzesa VI, w jego wschodnim narożniku, świadczyła o nieprzerwanej aktywności jego ekipy, która po znacznych wysiłkach dotarła do litej skały. Po raz pierwszy oglądać można było podłoże doliny sprzed tysięcy lat. Klnąc na ciekawych, którzy pochylali się nad dziurą, ryzykując złamanie karku, Carter kazał zbudować wokół niej ochronny murek.

Cztery metry pod poziomem drzwi wejściowych do grobowca Ramzesa VI natrafiono na tajemnicze znalezisko: kamienne płyty pokryte gałęziami i trzcina — bez wątpienia chaty pracujących tam robotników, zbudowane pospiesznie na blokach krzemienia. Archeolog wydobyl kilka *ostraca*, z których jeden pochodził z czasów Ramzesa II, szklane paciorki, fragmenty złotych listków oraz wazę zawierającą wyschłe ciało węża, uważanego za opiekuna domostwa.

Przedmioty te dowodziły, że rzemieślnicy pracowali przy budowie grobowca, który ukryty był w głębi. Przebadawszy te domostwa, należało dążyć dalej.

Kiedy Carter zabierał się do rozpoczęcia nowej fazy przygody, odwiedził go człowiek z Urzędu do spraw Zabytków. Ze względu na przyływ turystów i jego ekonomiczne skutki proszono, by nie odcinał dostępu do grobowca Ramzesa VI, jednego z najpiękniejszych i najczęściej odwiedzanych w Dolinie Królów.

Zbliżał się sezon upałów, robotnicy byli zmęczeni... Carter zgodził się przerwać prace.

—Cieszę się, że cię widzę, Howardzie.

—Ja też, Herbercie.

Winlock i Carter jedli lunch w domu na zachodnim brzegu, skąd Anglik przyglądał się z wciąż rosnącą radością magicznym miejscom, które urzekły go na całe życie.

—Odpowiada ci moja propozycja, Howardzie?

—Otrzymałem instrukcje od lorda Carnarvona i zastosuję się do nich.

—Zrobiłeś się bardzo posłuszny... Mam wrażenie, że osobowość pana Lacau niezbyt cię oczarowała i pewnie znów zacznie się wojna między Anglią i Francją.

—Nie z mojego powodu.

—Metropolitan Museum postanowiło zakupić najpiękniejsze przedmioty z kolekcji, którą zbierasz dla lorda Carnarvona.

—Wszystkie są wspaniałe.

—Więc kupimy wszystko. Lord mówił o naszyjnikach, bransoletach, skarabeuszach, zwierciadłach.

—Obejrzyj je sobie.

—Polecono mi negocjować wprost z tobą i zachować tajemnicę aż do chwili, gdy przedmioty te zostaną wystawione w Metropolitan.

Mężczyźni przypieczętowali zgodę, wnosząc w górę kieliszki.

—A Tutenchamon?

—Niestety, nie ma żadnego poważnego śladu! Ale on jest tu, blisko, mam takie przecucie.

Dwudziestego pierwszego marca 1918 roku Niemcy rozpoczęli olbrzymią ofensywę w Pikardii. Carnarvon, uszczęśliwiony, że sytuacja materialna Cartera będzie zapewniona dzięki środkom, jakie otrzyma, sprzedając stopniowo przedmioty z jego kolekcji Amerykanom, zważył we własną przenikliwość, kiedy wróg zaczął zdobywać teren we Flandrii i nad Marną. Ważyły się losy wojny.

W domu archeologów pilnowanym w dzień i w nocy przez ludzi, za których uczciwość ręczył Ahmed Girigar, Carter rozłożył mapę Doliny Królów. Przyglądał się jej godzinami, sprawdzając własne adnotacje, upewniając się, że dobrze wybrał miejsca, w których przeprowadzono większe lub drobne prace. Jak umknąć przed przytłaczającą rzeczywistością? Trzeba by kopać w każdym kątku, nie zostawiać ani kawałka nie przebadanego terenu, a więc podzielić dolinę na sektory i nie ominąć żadnego.

Z ojcowską czułością Carter pilnował doliny, by oszczędzić jej nieprzyjemności i spustoszeń. Dokonując nieoczekiwanych obchodów, osobiście sprawdzał, czy strażnicy starannie wypełniają swoje zadania. Poprzedniego dnia wyrzucił jakiegoś Amerykanina, który z garnkiem smoły w ręce wypisywał własne imię na ścianie grobowca. Ten wandal i inni jemu podobni zasługiwali na więzienie. Dawniej zniszczenie świętego zabytku uważano za jedną z największych zbrodni.

Wiosna sprowadziła na powrót łagodną Raifę, która z cierpliwością kobiet Wschodu od nowa zdobywała kochankę. On jednak zdawał się daleki, prawie nieosiągalny, choć jego namiętność była wciąż taka sama. Egipcjanka zaczęła wątpić we własną urodę. Malowała się staranniej, próbowała uwodzicielskich sztuczek, była czuła jak rajska narzeczona. Carter ubóstwiał ją, ale myślami był gdzie indziej. Pojęła, że najniebezpieczniejsza z rywalek, Dolina Królów, zawładnęła jego sercem i nie zamierzała uwolnić go z absurdalnych więzów. Jak człowiek mógł kochać się z kamieniami, piaskiem i grobowcami?

Carter przyglądał się położeniu przyszłych miejsc wykopalisk, gdy nadbiegł Ahmed Girigar. Pośpiech nie leżał w zwyczajach *reisa*. Sprawa musiała być poważna.

—Szybko.

—Co się stało?

—Jakiś dramat, u pana... nie znam szczegółów.

Obaj mężczyźni biegli aż do domu archeologów. Na progu jeden ze strażników wycierał krew, która płynęła z głowy kolegi.

—Spłoszyliśmy złodzieja — wyjaśnił. — Wszedł od tyłu. Doszło do bójki, ale zdołał uciec.

—Zidentyfikowaliście go? — zapytał Carter.

—Nie.

—Dokąd wszedł?

—Do wielkiego pokoju. Zaczął zwijać mapę.

—Dziękuję wam za odwagę.

—*Malech* — odpowiedział fatalistycznie usposobiony strażnik. — Niech Bóg odwróci od nas zło.

Zdenerwowany Carter próbował ocenić straty. Nic nie zginęło, mapy nie zniszczono.

—Rannemu zwracam koszty leczenia i potrzebuję dodatkowego strażnika za domem — poinformował *reisa*.

—Kto to zrobił?

—Łatwo zgadnąć. Ten dokument zainteresować może tylko moich drogich kolegów. Chcą mnie zastraszyć i przeszkodzić w dalszych pracach.

—Czemu ludzkie serca kryją tyle nienawiści?

—*Malesz* — odpowiedział Carter.

ROZDZIAŁ 49

W Gurna klany i rodziny obserwowały się nawzajem. Wioska miała swoje własne prawa i własną hierarchię. Gdy wszyscy otrzymywali swoją należność, panował spokój. W razie konfliktu szefowie wprowadzali sądy doraźne. Dlatego zazwyczaj nikomu nie przyszło do głowy wyróżniać się. Tymczasem stary Mahmud, który z trudem mógł wyżywić żonę, wziął sobie drugą. Inaczej mówiąc, zdobył fortunę, ale

nie wiadomo jak. Jeden z policyjnych informatorów, przypomniawszy sobie, że Mahmud był kiedyś robotnikiem w jednej z ekip w Dolinie Królów, powiadomił o tym przełożonych, którzy natychmiast poinformowali Cartera. Źródłem bogactwa Mahmuda mogła być tylko kradzież lub, co gorsza, rabunek, którego był jedynym beneficjentem.

Carter w towarzystwie policjanta złożył wizytę staremu. Ponieważ nie chciał odpowiadać na pytania, prowadzący dochodzenie postanowili przesłuchać jego nową żonę, która pracowała w polu. Przerażona uciekła i próbowała dotrzeć do przystani, gdzie dogonił ją funkcjonariusz. Histerycznie krzyczała niemal cały kwadrans. Gdy się uspokoiła, Carter zapytał ją łagodnie.

—Jesteś żoną Mahmuda?

—Tak, tak.

—Dlaczego nie postawisz na ziemi tego koszyka?

—Jest mój!

—Chciałbym wiedzieć, co jest w środku.

—Nie, to moje!

Tu wkroczył policjant i wyrwał jej cenny koszyk. Wewnątrz była mała figurka rytualna z drewna. Carter obejrzał ją uważnie.

—Autentyczna. Kto ci ją dał?

—Mahmud.

—Kazał ci ją sprzedać?

—Tak.

—Gdzie Mahmud ją znalazł?

—Nie wiem.

Carter i policjant przyprowadzili kobietę do Gurna. Jej małżonek zamilkł i nic nie zdołało przełamać tego milczenia. Archeolog musiał uciec się do ostatniej broni, którą było stawienie się przed *mudirem* administrującym okręgiem. Znany ze srogości terroryzował poddanych. Czyż nie twierdzono, że chcąc pozbyć się złodziejskich band, kazał zatykać

wiązkami chrustu wejścia do grot, gdzie się ukrywali, i podpalać je? Wielu umierało uduszonych; woleli śmierć od tortur.

Mahmud, cały drżący, wkroczył do domu urzędnika. Najpierw myślał, że ta straszliwa osobistość jest nieobecna.

W głębi wielkiego pokoju stała olbrzymia wanna, z której unosiły się kłęby pary. Nagle wyłoniła się z niej ociekająca wodą głowa.

Kiedy para czarnych oczu wbiła się w Mahmuda, ten wydał okrzyk grozy.

— Jesteś złodziejem — powiedział *mudir* — i każę ci obciąć członki.

Mahmud ukląkł.

—Nie, na litość!

—Jeśli chcesz uniknąć kary, musisz mi wskazać miejsce okradzionego grobowca.

Spuściwszy głowę, stary zaczął mówić.

Carter i Girigar wspinali się w stronę zagubionego parowu. „Nie zrabowany grobowiec” — twierdził *mudir*. Zdaniem Mahmuda jest pełen bogactw. Dlatego archeolog wołał nikogo nie zawiadamiać, póki sam tego nie sprawdzi. Nocą, zaopatrzeni w sznury, dwaj mężczyźni wdrapali się na skalisty szczyt, który zidentyfikowali dzięki szczegółowemu opisowi starego.

Stwierdzili, że kamienna płyta zasłaniający w głąb skały otwór. Girigar odsunął ją. Carter zawiązał sznur i zaczął się opuszczać. Przejście zostało niestarannie wydrążone i kończyło się maleńkim pomieszczeniem, z którego wyfrunęły nietoperze. Na nierówno wybranych ścianach żadnych śladów napisów czy malowideł. W tej żalostnej pieczarze nigdy nie było żadnych antycznych przedmiotów. Wściekły Carter wycofał się.

— Mahmud zakpił z nas.

Ahmed Girigar wydawał się zaniepokojony.

— Tam są jakieś cienie... wracajmy inną drogą.

Rozległ się strzał, a kula musnęła prawe ucho Cartera.

Reis wyciągnął z kieszeni galabii pistolet i strzelając w ciemno, osłaniał powrót Cartera.

Archeolog znał winnych. Popelnił błąd, bagatelizując ostrzeżenie Demostenesa, i wpadł w doskonale przygotowa-

ną pułapkę. Stary Mahmud mistrzowsko odegrał swoją rolę. Któż by nie uwierzył jego wyznaniom? Jutro zawodowi rabusie przygotowują nową zasadzkę, przewrotniejszą lub brutalniejszą. Był tylko jeden sposób, by położyć kres temu zagrożeniu: zwrócić się do przywódcy bandytów. To dlatego Carter poprosił o audiencję szefa klanu Abd al-Rasul.

Powitano go równie uroczyście jak za pierwszym razem. Groźna osobistość przyjęła go pieczonym barankiem, daktylami i świeżym mlekiem. Podczas posiłku Carter podejmował tylko tak obojętne tematy, jak połowy ryb w Nilu lub tysiącletnie trudności irygacyjne. Do gospodarza należał pierwszy krok. Zrobił go, paląc nargile.

—Panie Carter, pańska obecność to dla mnie zaszczyt. Teraz Dolina Królów należy do pana.

—A to miejsce przyciąga całą waszą uwagę.

—Moja rodzina odwiedza je od pokoleń. My też mamy tam prawa własności.

—Przeszłość jest przeszłością.

—Kto nie szanuje przeszłości, nie zasługuje na teraźniejszość.

—Moim zadaniem jest strzec dolinę przed wszelkimi rabunkami.

—Doskonale pan je wykonuje.

—Pańskim zdaniem za dobrze?

—Pan dobrze zna moją opinię.

— Czyżbym zaczął... przeszkadzać?

— Niektórzy tak twierdzą.

—A nie twierdzą również, iż należałoby pozbyć się tego, co przeszkadza?

—Możliwe.

—Wam niezbyt by przeszkadzało moje zniknięcie.

—Życie i śmierć są w ręku Allaha.

—Ludzka ręka często wyręcza rękę Boga.

—To przeznaczenie.

—Niestosownie byłoby pytać pana, czy to pan jest autorem próby mego zabójstwa.

—Rzeczywiście.

—Więc musi pan wiedzieć, że raczej umrę, niż zrezygnuję.

—Po co taki upór, panie Carter?

—Bo Dolina Królów to moje przeznaczenie. Tu dotknęła mnie ręka Boga. Opuszczenie doliny skazałoby mnie na niebyt.

Abd el-Rasul wydał się poruszony taką determinacją.

—Panie Carter, jeśli pan będzie mi przeszkadzał kupować i sprzedawać, to jak ja wyżywię moich bliskich?

—W powszechnym przekonaniu dolina została wyczerpana. Jej ziemia nie kryje już żadnych skarbów. Archeologiczne szczątki nie przyniosą panu żadnych korzyści.

—Mam szczegółowe pytanie. Czy rozciągnie pan swoją władzę na cały zachodni brzeg?

—W tej chwili interesuje mnie tylko dolina.

—Ustalmy więc pakt: moi ludzie nie będą tu interweniować i nikt nie odważy się pana atakować. Ale nie będzie mi

pan przeszkadzał poza swoim obszarem ani odwoływał się do policji.

—Niech będzie.

—Allah jest naszym świadkiem.

ROZDZIAŁ 50

W ostatnim tygodniu września 1918 roku alianci rozpoczęli poczwórną ofensywę: w Szampanii, w Argonne, nad Sommą i we Flandrii. Tym razem Carnarvon był pewny, że niemieckie oddziały nie zdołają się oprzeć i straszliwa wojna, podczas której zginęło ponad osiem milionów ludzi, niebawem się zakończy.

Stan zdrowia lorda, niestety, nie poprawiał się. Czuł, że nie zdoła znieść trudów długiej podróży. Jakże daleki był Egipt!... Dzień po dniu Carnarvon śledził wydarzenia, które wstrząsały głodnym i wyczerpanym chłopskim społeczeństwem. Kiedy trzydziestego października 1918 roku Turcja ogłosiła kapitulację, ruch nacjonalistyczny zaczął się organizować. Lord podkreślał jego siłę podczas spotkań z wysłannikiem Foreign Office, który regularnie się z nim konsultował. Londyn zaczął ostrożnie odwoływać niektórych nazbyt sztywnych wysokich urzędników brytyjskich. Starzy

rezydenci mieli za twardą rękę, by móc przygotować przyszłość.

Po rozejmie podpisanym jedenastego listopada w Rethondes Egipt przypomniał, że pozostał wierny aliantom. Sułtan Fuad nie krył ambicji na szybkie uzyskanie niepodległości po zakończeniu negocjacji z Anglią. Na czele delegacji patriotów, Wafd, stanął Saad Zaghlul, który poprosił wysokiego komisarza brytyjskiego o pozwolenie wyjazdu do Londynu, by zabiegać o wyzwolenie Egiptu. W odpowiedzi deportowano go na Maltę.

Carnarvon, który walczył jak mógł przeciwko światowej epidemii grypy, ubolewał nad tą decyzją i mnożył ostrzeżenia. Wielka wojna zburzyła międzynarodowy ład, przez niektórych uznany za niepodważalny, i dokonała wielkich /mian w umysłach. W jaki zamęt wkraczał teraz Egipt?

— Trzeba się układać — powiedział Ahmed Girigar.

Carter z trudem hamował gniew.

— Układać... Co to znaczy? Moi robotnicy są najlepiej opłacani w kraju!

— To nie tylko kwestia pieniędzy.

— Szanuję tych ludzi, Ahmedzie. Czy zachowuję się jak lyran?

— Pan jest wymagający, ale sprawiedliwy.

— W takim razie po co przerywać pracę?

— W kraju wrze. Moi rodacy pragną niepodległości.

— Ja nie zajmuję się polityką... a Dolina Królów na nią gwizdże!

— Represje nie stłumiły aspiracji ludu. One je zwielokrotniły. Tu i ówdzie wybuchły zamieszki, szeroko podjęto

kampanię obywatelskiego nieposłuszeństwa.

— Ale w czym mnie dotyczy to całe podniecenie?

— Pan zapomina, że jest obcokrajowcem i Anglikiem.

— Więc co mi radzisz?

— Niech pan na jakiś czas zwolni tempo. Gdy powróci spokój, ekipa znów podejmie pracę.

— A jeśli nie powróci?

— Będzie jak Bóg zechce.

Haszysz już prawie nie uspokajał Demostenesa. Jak jego plan mógł się nie powieść? Gdyby strzelcy okazali się sprawniejsi, Cartera już by nie było na tym świecie i przemysł funkcjonowałby jak dawniej. Handlarz upierałby się przy swoim, gdyby nie wyraźne rozkazy klanu Abd el-Rasul: Dolina Królów jest domeną zarezerwowaną dla Anglika. Nikt jednak nie broni rujnowania jego opinii.

Demostenes nie zwracał się do pana Lacau, bo dyrektor Urzędu do spraw Zabytków nie przyjąłby tak niegodnego indywiduum. Musiał przeniknąć do tej struktury w przemysłniejszy sposób, zdobywając zaufanie niższych urzędników. Najdostępniejsi byli lokalni inspektorzy, bo osobowość Cartera budziła ich nieufność. Usunięcie go sprawiłoby im wielką satysfakcję, którą by podzieliło wielu egiptologów, zirytowanych niezależnością i pracowitością kolegi. Przecież właśnie z powodu takich szaleńców oskarżano erudytów, że zamykają się w gabinetach zamiast przeżyć doświadczenie pracy w terenie.

Demostenes uznał, że jego bronią będzie żółć. Przez długie miesiące rozsiewać będzie fałszywe informacje, najpierw bez większego znaczenia, później coraz bardziej kompromitujące. Jego pierwszym królikiem doświadczalnym był egipski inspektor w średnim wieku, który utknął w nieciekawym sektorze Górnego Egiptu.

Greki wsunął w kieszeń urzędnika wypchaną banknotami kopertę.

—Po co to?

—Pańska dokumentacja na temat mumii okazała się cenna.

—To tylko kilka artykułów...

—W Luksorze tak trudno o informacje.

—A macie tam przecież słynnego Cartera!

—Rzeczywiście, to ciekawy archeolog.

—Ciekawy? Chce pan powiedzieć okropny! Ma nieznośne wymagania naukowe. Gdzie byśmy zaszli, gdyby trzeba

było publikować opis najmniejszego drobiazgu?

—On sam ma inne zainteresowania.

—Jakie?

—To tylko plotki — szepnął Grek — ale podobno

sprzedaje przedmioty na własny rachunek, nie informując Carnarvona.

—Ma pan jakieś dowody?

—To tylko plotki — powtórzył Grek.

Raifa nie miała złudzeń. Howard odbywał z nią tak wiele spacerów po wsi, bo powstanie ludowe spowolniło jego pracę w Dolinie Królów. Gdy podniecenie opadnie, wróci do swej prawdziwej miłości.

Deportacja Saada Zaghlula uspokoiła wiele umysłów świadomych tego, że Anglia zareaguje zdecydowanie, gdy tylko zachcianka niepodległości stanie się zbyt ostentacyjna. Nowego porządku świata nie kształtowano w Kairze, lecz w Waszyngtonie, Londynie i Paryżu. Egipt będzie musiał podporządkować się decyzjom narzuconym z zewnątrz, nawet jeśli krwawicę będą najgorętsze serca, takie jak serce Raify.

Lato 1919 roku przytłaczało upałem ostatnich kontestatorów. Zrzucenie ucisku Anglii i jej administracji wydawało się utopią. Nadal prowadzono niekończące się rozmowy lub spiskowano, ale rewolucję odkładano na później.

—Kiedy znów podejmiesz pracę?

—Jesienią. Te niepokoje zabrały mi wiele cennego czasu.

—Howardzie, to był gniew ludu!

—Myślisz, że jestem ślepy, Raifo? Wiem o tym. Spróbuj /rozumieć moją walkę, jak ja rozumiem twoją. Moja konce-

sja ma czasowe ograniczenia, a muszę skłonić dolinę do wyznań.

—Dlaczego, Howardzie?

—To ogień w głębi mnie samego, wymóg, przed którym nie mogę się uchylić. Dolina nieustannie mnie wzywa, a ja

wciąż jeszcze nie umiem odczytać jej przesłania.

—Przerażasz mnie.

—Czy możemy wybierać własną drogę?

—Większość ludzi może. Ty jesteś sługą siły, której nikt nie może zwalczyć.

Usiedli w cieniu palm obok studni.

—Nie odrzucaj mojej pomocy, Howardzie. Czasem czuję, jak bardzo jesteś samotny. Czy walcząc z czymś niewidzial-

nym, nie rozpraszasz własnych sił?

—Jakiś faraon śpi w ciemnościach zapomnienia. Często wydaje mi się, że słyszę jego głos. Niewidzialne... Tak, masz

rację, pociąga mnie niewidzialne po drugiej stronie tego muru skał i ich odłamków. Ale pokonam tę przeszkodę, obiecuję ci.

Raifa nie potrzebowała tej obietnicy. Przytulona czule do Cartera, syciła się łagodnością kończącego się dnia.

ROZDZIAŁ 51

Na życzenie męża lady Almina wydała kolację dla trzynastu osób. Sala jadalna oświetlona była tylko świecami. Nie znała żadnego z gości, ale ich wygląd wydał jej się raczej dziwaczny: stare kobiety w przeladowanych ozdobami strojach i brodaci mężczyźni. Jeden z nich miał na głowie turban. Gdy już zajęli miejsca zgodnie z przygotowanym planem, lady Almina zapytała szeptem męża:

—Co to za osoby?

—To najlepsze londyńskie media.

—Nawiedzeni w Highclere? Dlaczego...

Carnarvon położył palec na ustach żony.

—Skupmy się, kochanie. Sprawa jest poważna.

Podczas kolacji najlepsi brytyjscy wróże i wróżki zachowywali się poprawnie. Lord odnotował nawet u większości z nich skłonność do łakomstwa. Przyzwyczajony do sondowania ludzi wzrokiem, obserwując ich postawę i gesty, szybko wyłowił dwóch szarlatanów, kilku niezrównoważonych i jednego szaleńca. Zaintrygowała go mała ciemnowłosa kobieta, która miała czelność posunąć się tak daleko, że upodobniła się do królowej Wiktorii w podeszłym wieku. Jadła niewiele, mówiła jeszcze mniej i nieprzerwanie wpatrywała się w świecę tak intensywnie, że się hipnotyzowała.

Kiedy sprzątnięto ze stołu, lord Carnarvon rozłożył plan Doliny Królów, na której Carter napisał hieroglifami imię Tutenchamona.

— Przyjaciele, skoncentrujcie się, proszę, i odwołajcie do duchów. Czy króla, którego imię jest tu napisane, pochowano w tym miejscu? Jeśli tak, wskażcie to miejsce.

Zapadło ciężkie milczenie. Jedni zamknęli oczy, inni wykonali gest modlitwy, a jeszcze inni skupili się wpatrzeni w kryształową kulę lub karty do tarota. Słowotwór królowej Wiktorii nadal wpatrywał się w świecę.

— Ten monarcha jest kariatydą — ogłosił mężczyzna w turbanie. — Jego ciało ukryte jest pod wodą.

Ponieważ Carnarvon zaliczył go do kategorii szarlatanów, niezbyt zainteresowała go ta wizja. Nastąpiły inne podobnego pokroju rewelacje, bez żadnego związku z Doliną Królów lub panowaniem Tutenchamona.

Nagle przemówiła mała brunetka. Głos miała głęboki, jakby dobywający się z brzucha.

— Faraon... młodo zmarły faraon... wszystko wokół niego błyszczy, promieniuje... jego dusza kryje się, umyka nam... zapieczętowane drzwi... nikt nie powinien ich otwierać... nikomu nie wolno wejść! Tam jest tajemnica, wielka tajemnica!

Jasnowidząca straciła przytomność i upadła na parkiet. W tej samej chwili do sali jadalnej wszedł majordomus.

— Milordzie... w bibliotece dokonano kradzieży!

Carnarvon opuścił zgromadzenie jasnowidzów i pośpieszył na miejsce przestępstwa. Szybki rekonesans pozwolił mu ustalić, że złoczyńcę zainteresowała jego kolekcja egipskich przedmiotów. Gardząc najcenniejszymi, porwał jedynie złoty listek Tutenchamona.

Przerażona lady Almina przytuliła się do męża.

— Kradzież w naszym domu, to straszne! Ale kto...

— Albo duch faraona, albo jakiś specjalista.

Według niedawnych informacji, dzięki pewnej niedyskrecji British Museum dowiedziało się o tajemnym pakcie między lordem i Amerykanami. Czyżby w tak brutalny sposób wyrażała się wściekłość egiptologów, którzy gardzili pracami Carnarvona i Cartera, uznanego za marzyciela i fanatyka? Przyzwyczajony do perfidii i jej niezliczonych objawów, pan Highclere uznał tę hipotezę za prawdopodobną. Wolał jednak wierzyć, że to dusza Tutenchamona, zbud-

towana na myśl, iż ktoś zakłóci jej sen, dawała mu poważne ostrzeżenie.

Czy mogło być coś bardziej podniecającego?

Wysłannik Foreign Office docenił doskonałość portu.

—To wyjątkowy rocznik — zauważył lord Carnarvon.

—Niezwykły.

—Drogi przyjacielu, pańska wizyta dowodzi, że wzięto pod uwagę moje ostatnie analizy.

—Wywołały nawet pewną wrzawę.

—Miłą czy niemiłą?

—Niektórzy odpowiedzialni za tajne służby zgrzytali zębami. Dla nich Egipt nie jest bliski niepodległości.

—Mylą się, jak zwykle. Gdyby było inaczej, Anglia zachowałaby panowanie nad światem.

—To niemal wywrotowa opinia. Pan nie wie o tym, że ma wielu wrogów?

—Wielu angielskich wrogów i wielu egipskich przyjaciół. Zapewniam, że to oni będą mieli ostatnie słowo.

—Ale nie powinien pan zapominać, lordzie Carnarvon, że jest pan angielskim obywatelem i bardziej powinien pan
pan
bronić interesów swego kraju niż interesów dalekiego
ludu

o obyczajach tak różnych od naszych.

—Czy to ukryta pogrożka?

—Cenimy pański zmysł krytyczny i pańską szczerłość, ale nie pragniemy, by przekroczył pan granice rozsądku.

—Gdzie je pan wytycza?

—To pan winien być ostrożny.

—Więc wykonuję polecenia. Proszę znaleźć jakiś sposób, bym mógł dotrzeć do Egiptu.

Wysłannik zadrżał.

—Pan się tam wybiera?

—Wojna się skończyła, a moje zdrowie poprawiło. Zapomniał pan, że uzyskałem koncesję w Dolinie Królów?

—To doskonała przykrywka, która pozwoli panu na podjęcie rozlicznych kontaktów z egipskimi osobistościami.

- Przykrywka? Nie, mój drogi, to znacznie więcej...
—Co pan chce przez to powiedzieć?
—Któż ośmieliłby się rozmawiać o powołaniu z wysokim urzędnikiem?

Carter spacerował tam i z powrotem po nabrzeżu portu w Aleksandrii. Zapowiedziano już statek przypluwający z Anglii. Na jego pokładzie był lord Carnarvon, który powracał po latach nieobecności na ziemię faraonów. Carter był jeszcze bardziej zdenerwowany niż zwykle z powodu złych wiadomości, które podało radio. Jednostka niezbyt przypominała pasażerskie statki. Był to statek do przewozu żołnierzy, wyposażony w wykrywacze min, lecz pozbawiony wszelkiego komfortu. Pospieszenie urządzono tam ciasne kabiny, brakło czasu na porządne czyszczenie i niezbędną dezynfekcję. Wielu pasażerów ciężko chorowało podczas podróży, a mówiono też o dwóch zgonach. Dlatego Cartera, który znał zły stan zdrowia lorda, zżerał niepokój.

Z powodu fatalnej pogody na Morzu Śródziemnym statek miał spóźnienie i przez jeden dzień władze portu bały się nawet, że zatonął. Ale teraz ryk syren oznajmił nareszcie jego przybycie! Do akcji wszedł holownik i niebawem z pokładu mieli zejść pierwsi pasażerowie.

Carter próżno szukał w tłumie Carnarvona. Rodziny padały sobie w objęcia, rodzice całowali dzieci, żony mężów, panowała ogólna niepohamowana radość. Upłynęła prawie godzina. Pustka na trapie była najsmutniejszym ze spektakli. A więc lord nie przeżył i ta zrujnowana łajba zmieniała się w złowrogi całun. A może leżał w kabinie, nie mając siły wstać? W chwili gdy Carter zdecydował się wejść na pokład, dostrzegł wreszcie lorda Carnarvona.

Bardzo kruchy, posuwał się z wahaniem, a na jego twarzy widniały oznaki wielkiego zmęczenia. Prawą ręką uniósł kapelusz z szerokim rondem i odsłonił rudoblond włosy, które na chwilę rozwiął wiatr. Lord Carnarvon zawsze prezentował tę naturalną elegancję, która czyniła go kimś wyjątkowym. Pod pancerzem arystokraty kryła się

hojność i pasja. Suzi podbiegła do Cartera, który czule ją pogłaskał.

Mimo bezmiernej radości z tego spotkania ogarnęło go też inne uczucie.

Carnarvon nie był sam.

Podawał ramię wspaniałej młodej kobiecie.

ROZDZIAŁ 52

Para ta wolno zeszła po trapie. Szeroki kapelusz przykrywał włosy młodej, ledwie wychodzącej z dzieciństwa kobiety o radosnej twarzy. Ciężkiemu i surowemu żakietowi z szerokimi klapami dodawał wdzięku dekol, który pozwalał przeczuć urocze kształty. Długa spódnica i czarne pończochy przydawały jej przesadnej powagi.

— Rad jestem, widząc cię, Howardzie. To moja córka, lady Evelyn.

Wielkie czarne oczy przyciągnęły wzrok Cartera. Jak kobieta mogła być zarazem tak piękna i czuła, skromna i aż tak pociągająca?

—No i co, Howardzie, czyżbyś stracił mowę w Dolinie Królów?

—Proszę mi wybaczyć... to ze wzruszenia.

—Ogromnie się cieszę, że pana poznałam. Ojciec opowiadał mi w Highclere o panu i o tym tajemniczym królu, którego imienia zapomniałam.

—Żeby dobrze poznać ludzi, trzeba podróżować, dlatego zabrałem ze sobą Eve. Suzi przystała na to.

—A czy przypadkiem to nie ja tak długo nalegałam, że wyczerpałam twoją legendarną cierpliwość?

—To nazbyt delikatna sprawa, żeby ją szybko rozstrzygnąć.

Ojca i córkę łączyło pełne radości porozumienie. Carter poczuł się jak głupek, niezdolny wtrącić właściwego słowa. Gdy tragarze zajmowali się bagażami, szybko opowiedział o swoich ostatnich pracach w dolinie.

— Czy lady Evelyn pragnie zobaczyć najpiękniejsze miejsca tego kraju?

—Gorąco mi — wyznała — ale jak mam się ubrać? Przeczytałam, że kobieta tutaj powinna ukrywać się pod ciężkimi i szerokimi szatami, a nawet zasłaniać twarz.

—Przestrzegają tego tylko chłopki w zapadłych wsiach. W mieście europejskie stroje nikogo nie razią.

—Cudownie! Miałam rację, zabierając pełne kufry.

—Ja optowałem za inną ich zawartością — wtrącił Carnarvon. — Pomyślałem, że po latach wyrzeczeń nawet tak

wymagający archeolog jak Howard Carter nie wzgardzi kilkoma prostymi przyjemnościami. Nasza kwatery zostanie

niebawem wyposażona we francuskie wina i koniaki, w an-

gielskie piwo, tytoń i najlepszą kawę. Trzeba nabrać sił do

walki z tajemnicą.

W drodze z Kairu do Medinet el-Fajum lord Carnarvon i jego córka mieli do dyspozycji samochód z kierowcą raz pełnym wahań, to znów zbyt odważnym. Potem hrabia wybrał przywożony powóz ciągnięty przez dobrze wypielęgnowane konie.

—Gdzie mnie zawozisz, ojcze? — zapytała zagubiona w hałaśliwym tłumie Evelyn.

—Do raj.

Ledwie opuścili miasto, w którym kanały zmienione w ścieki rozsiewały cuchnący odór, powóz wjechał na bitą drogę pośród małych ogródków. Dziewczyna dziwiła się bujności krajobrazu, ozdobionego daktylowymi palmami, drzewami cytrynowymi, laurowymi różami i hibiskusami. Zdumiała się ogromnie, odkrywając jezioro Karun, zbudowany przez faraonów olbrzymi zbiornik wody, któremu prowincja Fajum zawdzięczała swoje urodzaje.

—Dawniej — tłumaczył lord Carnarvon — jezioro było dwa razy większe, a roślinność dużo bujniejsza. Aristokraci przybywali na polowania do rezerwatu w pewnych porach roku.

—Ojcze, powiedziałeś raj... Miałeś rację, raj musi być podobny do tego.

Zjedli śniadanie nad brzegiem jeziora, w którym łowiono doskonałe ryby. Wyraźnie zadowolona Suzi spróbowała

kilku rodzajów pstrągów. Nagle lady Evelyn przerwała jedzenie.

—O, tam, koło tej łódki kąpie się jakiś mężczyzna.

Carnarvon podniósł głowę.

—Niewątpliwie.

—Ale on jest nagi!

—Nie mam żadnych kalesonów, by mu ich dostarczyć. Albo zmienisz miejsce, albo pogodzisz się z losem.

—Myślałam, że muzułmanie odrzucili nagość, nawet w kąpieli.

—Kobiety tak, mężczyźni nie, zwłaszcza w tej okolicy, gdzie zachowały się stare obyczaje. Za faraonów kąpano się

nago i nago pracowano w polu.

—Obserwacja tego, co przetrwało, przynależy do nauki przyszłego archeologa, prawda? Nie zmienię miejsca.

Hrabia zaprowadził córkę w różne miejsca, których nie odwiedzali turyści, jak choćby świątynia Medinet Madi, wspaniała pozostałość wielkiego miasta, które zasypał piasek, czy też sanktuarium z czasów Ptolemeusza, Kasr Karun, zbudowane z jasnego i ciepłego kamienia. Spacerowali nad brzegiem jeziora, popijali wodę w cieniu palm i odwiedzili kilka wiejskich domów, gdzie poczęstowano ich plackiem i miętową herbatą.

—Ojczy, pan Carter chyba się pogniewał, widząc, że odjeżdżasz — zauważyła.

—To zbyt wielkie słowo. Pragnął jak najszybciej pokazać ci dolinę. Co mówię, swoją dolinę.

—Kiedy tam pojedziemy?

—Niebawem. Chciałem cię przygotować na ten szok, pokazując cudowności tego kraju. Dolina to inny świat, okrutny, dziki i wspaniały.

—Można by pomyśleć, że się jej boisz!

—Trochę tak, przyznaję. Ona mówi tylko o śmierci i wieczności tak wyraziście, że zniewala duszę.

Kilka kilometrów na północ od Medinet el-Fajum uzbrojeni w widły wieśniacy zatrzymali powóz. Rozpoczął się bardzo żywy dialog między nimi a woźnicą. Carnarvon, który źle mówił po arabsku, ale rozumiał wiele zwrotów, pojął o co chodzi.

— Zamieszki. Zwolennicy niezależności napadli na policjantów i chcą atakować obcokrajowców.

Lady Evelyn uczepiła się ramienia ojca.

Woźnica zaproponował lordowi, by pojechać inną drogą, a jeśli trzeba, pójść dalej piechotą. Niezadowolenie ludu wybuchało w wielu osadach. Raj zabarwiał się krwią.

Lorda Carnarvona przyjął bliski współpracownik marszałka Allenby'ego, wysokiego komisarza, który rządził Egiptem.

—Już niebawem nie będziecie kontrolować reakcji tłumu — przepowiadał lord.

—Nie trzeba być aż takim pesymistą.

—Uspokójcie tę grę albo cały kraj stanie w ogniu.

—A co pan proponuje?

—Uwolnić Zaghlulą.

—O tym nie ma mowy!

—Zrobiliście z niego męczennika. Jego wypowiedzi stają się coraz gwałtowniejsze; zwolennicy także.

—Jeśli wyjdzie z więzienia, nie zdołamy go już pohamować.

—Przeciwnie, zużyje się.

—To bardzo niebezpieczny zakład.

—Jedyne możliwe wyjście. Zaghlul jest znacznie niebezpieczniejszy w więzieniu. A to nie jest nasze jedyne zmartwienie.

Nie zgadzając się z taką opinią, urzędnik zaczął się wycofywać.

—*Proszę mówić jaśniej.*

—Egipt ma znaczne długi. Pokonane kraje, Niemcy, Austria i Węgry nie należą już do zarządu tej kasy. Z powodu

rewolucji wycofała się z niej Rosja. Pozostali tylko Włosi, Francuzi i my. Nie sądzę, aby ten triumwirat trwał jeszcze długo. Potrzebny będzie zwycięzca.

—To tajemnica państwowa, lordzie Carnarvon.

—To tajemnica poliszynela. Jeśli Anglia nie chce narazić się na śmieszność, musi najpierw przywrócić spokój.

Urażony Carter poczuł się samotny. Carnarvon i lady Evelyn, zajęci w Kairze, nie przejawiali żadnego zainteresowania jego pracami. Przejściowy spokój, który panował w Górnym Egipcie, pozwolił mu na nowo podjąć prace wokół grobowca Ramzesa IV, a potem Totmesa III. Ale pierwsze próby nie przyniosły nic ciekawego.

Pod koniec pełnego rozczarowań tygodnia Carter spacerował nad Nilem w Luksorze, kiedy zaczął go jeden z najszlachetniejszych na zachodnim brzegu handlarzy nielegalnymi starożytnościami, człowiek młody i ogolony, należący do klanu Abd el-Rasul.

—Obiecałem panu partię skarabeuszy.

—Rzeczywiście.

—Teraz już się nie boję, że ktoś mnie zadenuncjuje, bo pan obiecał nie powiadamiać policji.

—Pod warunkiem, że ani jeden przedmiot nie opuści Doliny Królów.

—Niechaj przeklęty będzie ten, kto złamie dane słowo.

—Gdzie te skarabeusze?

—Już ich nie mam. Inny nabywca zaproponował mi wyższą cenę. Jeśli pan nadal chce je wziąć, będzie pan musiał

zapłacić dwa razy więcej.

—Kto sobie pozwolił...

—Niech się pan nie gniewa, panie Carter, w handlu tak bywa. Czekam na pańską odpowiedź do jutra.

Zdumiony Carter ruszył za handlarzem, zachowując znaczną odległość. Któż to bawi się w takie podbijanie cen i wkracza w od dawna ustalone układy, jedyne, które pozwalają ocalić pewne przedmioty?

Mężczyzna wszedł do Winter Pałace. Wyszedł stamtąd kilka minut później w towarzystwie Amerykanina, którego Carter natychmiast rozpoznał. Był to Herbert Winlock! Anglik śledził ich dalej i czekał, aż zakończą rozmowę, by zacząć przyjaciele.

—Herbercie, wybacz moją brutalność, ale czy ten cwaniak zaproponował ci zestaw skarabeuszy?

—Tak, ale...

— One należą do lorda Carnarvona.

Rozbawiony Amerykanin poklepał się po policzkach.

—Inaczej mówiąc, ten mały bandyta próbuje przerwać normalny obieg i skłócić nas.

—Boję się, że tak.

—Więc odeślę go do ciebie. Metropolitan Museum zobowiązało się w niczym nie zakłócać transakcji twojego szefa,

pod warunkiem że przypadnie mu najpiękniejsza część kolekcji.

Myszę, że nie masz się na co skarżyć?

—Prowizja, jaką dostaje, zaspokoi moje potrzeby na jakiś czas.

—Tym lepiej. Nie bój się, zasady się nie zmieniają. Ode mnie do ciebie, to mnie nawet bawi: zwyciężać Anglików na

ich własnym podwórku i cichcem podkopywać British Mu-

seum. — Winlock zaczerwienił się. — Wybacz... zapomnia-

łem, że ty jesteś Anglikiem.

Carter nie protestował. Czy był jeszcze Anglikiem?

Carnarvon odniósł skromne zwycięstwo. Uwolnienie przywódcy sił niepodległościowych uspokoiło umysły. Zaghlul przemawiał swobodnie i z zapałem, gadanina zwyciężała działania. Wychodząc z biura wysokiego komisarza, gdzie gorąco zachęcono go do dalszych zadań, lord poczuł, że nogi się pod nim uginają. Serce biło jak szalone, brakło mu tchu. Z pomocą nadbiegł ordynans. Suzi zaszczekała.

— Wezwijcie moją córkę, szybko...

Na powracającym do Anglii statku Evelyn opiekowała się ojcem, który miał się poddać drobnej interwencji chirurgicznej. Walczyła z ogarniającą go rozpaczą.

—Carter musi być rozczarowany — powiedział. — Miałem mu dodać otuchy, a my nawet nie dotarliśmy do Luk-soru.

—To zostało tylko odłożone, ojczu. Gdy tylko poczujesz się lepiej, wrócimy. Egipt fascynuje mnie tak samo jak ciebie.

ROZDZIAŁ 53

Przez cały styczeń 1920 roku Carter przemieszczał góry rumoszu zalegające w okolicach grobowca Merenptaha, syna

i następcy Ramzesa II. Dzięki kolejce Decauville'a prace posuwały się szybko. Przed wejściem do grobowca Ramzesa IV Carter odkrył pięć składzików, gdzie znalazł miniaturowe narzędzia, paciorki, fajansowe płyty i cztery duże zatkane szyby. Takie zaplecze pozwalało żywić nadzieję na kryjówkę. Niestety, były puste.

Carter dreptał w miejscu. Mógł o to oskarżać tylko siebie, bo nie brakowało mu ani ludzi, ani materiałów. Tyle wysiłku i tak nędzne wyniki... Mimo uporu i metodyczności daleki był od sukcesów Theodore'a Davisa. Chwilami popadał w rozpacz. Czy nie powinien ulec powszechnemu przekonaniu egiptologów, którzy twierdzili, że dolina już się wyczerpała?

Zły stan zdrowia lorda Carnarvona dodatkowo pogłębiał uczucie porażki. Wszystko sprzysięgło się przeciw archeologowi. Czy Carnarvon wierzył jeszcze w wielki sukces? Nie zadał sobie nawet trudu pokazania córce Luksoru.

Otrzymały 24 stycznia telegram sprawił, że Howard Carter zaczął żałować, że zwątpił w przełożonego. Carnarvon zapowiadał swój przyjazd w połowie lutego. Carter natychmiast wezwał Ahmeda Girigara i poprosił o zwiększenie tempa prac. Robotnicy mieli otrzymać specjalną premię, jeśli odsłonią zarysy grobowca Ramzesa II, w którym mogły zostać ukryte cenne przedmioty. Kiedy lord się zjawi, Carter nie stanie z pustymi rękoma na miejscu wykopaliska.

Lady Almina zniechęciła się do Egiptu, ledwie stanęła na ziemi faraonów. Najpiękniejszy — wedle opinii męża — kraj świata był dla niej jedynie gigantycznym zbiornikiem much, gdzie królowało nieznośne słońce i szalały wiatry niosące kurz i wywołujące migrenę. Jakiego uroku można się było dopatrywać w tych płaskich przestrzeniach, gdzie wątłe drzewa palmowe walczyły z suszą, w rozpalonych i niegościnnych pustyniach, w żalosnych i źle utrzymanych ogród-

kach? Czym usprawiedliwić tych leniwych i brudnych ludzi,

co spędzali czas, siedząc i paląc fajki?

Im dalej podążali na południe, tym bardziej lady Almina traciła nadzieję na silny deszcz i zieleniejące wzgórze. Ubrana w wełniany kostium skarżyła się bez przerwy.

—Czy rzeczywiście musimy jechać aż do Luksoru?

—Na szczęście tak.

—Na szczęście! Jak ty i twoja córka możecie cenić ten kraj i zamieszkujących go dzikusów?

—Czy wiesz, że oni uważają nas za analfabetów?

Lady Almina aż podskoczyła.

—Na Boga, jakim prawem?

—Uważają, że wszystko robimy na odwrót. Chodzimy w butach po świętych miejscach, zdejmujemy kapelusz w domu, a zwłaszcza piszemy w niewłaściwą stronę, z lewej na prawą, podczas gdy ludzie piśmienni piszą z prawej do lewej.

—To tak absurdalne argumenty, że wolę już milczeć.

Skraj Doliny Królów przeraził lady Carnarvon. Chaos skał, surowy wygląd zalanych słońcem nadrzecznych głązów

i kamienne milczenie — miało się wrażenie, że opuszcza się świat żywych, by wkroczyć w zdecydowanie wrogie uniwersum, gdzie nie ma już dla nich miejsca.

Howard Carter, który wyszedł na ich spotkanie, wydał jej się jakimś demonem wylaniającym się z wydrążonych w skale grobowców. Uspokoiło ją jego nienaganne ubranie, muszka w kropki i ogólny wygląd. To jednak był współrodak, wysepka cywilizacji w tym morzu rozpaczy.

Powitań i prezentacji dokonano zgodnie ze zwyczajem; lady Evelyn trzymała się nieco na uboczu. Potem, poprzedzany przez Suzi, Carter oprowadził całą trójkę po grobowcu Setiego I. Lady Alminie doradził, aby pozbyła się ciężkiego kolonialnego kasku z woalką, ale chłodno odmówiła. Ubrana w elegancki kostium z lakierowanej skóry i obwieszona klejnotami, z trudem posuwała się w butach na wysokich obcasach. Lady Evelyn, która ostrzegła matkę, że chodzi o wycieczkę po pustyni, a nie o garden party, zadowolona

się wydekoltowanym swetrem, szkocką spódnicą i parasolką.

Pełen entuzjazmu Carter opisywał podróż słońca po światach i jego kolejne transformacje: od pozornej śmierci do zmartwychwstania. Olśniona i zaintrygowana lady Almina zachowała postawę obronną. Jako dobra chrześcijanka i arystokratka urodzona w najbardziej wyrafinowanym kraju świata nie miała prawa podziwiać tych barbarzyńskich dzieł zapomnianej religii.

Kwatera archeologów ożywiła jej niechęć.

—Panie Carter, jak pan może żyć w tak odpychającym otoczeniu? Ten dom jest niegodny dżentelmena!

—Dlatego musimy go ulepszyć — oświadczyła łagodnie lady Evelyn. — Jutro nadejdą kufry pełne dywanów, moskitier, firanek i lamp naftowych. Pomyślałam nawet o małej

miotelce do zwalczania kurzu grobowców.

—Nasz pobyt tutaj będzie przyjemniejszy — ocenił lord Carnarvon — bo dostarczono już obiecaną żywność.

—„Nasz pobyt"! — oburzyła się lady Almina. — Chyba nie zmusicie mnie, żebym tu mieszkała?

—Oczywiście, że nie, moja droga. Masz zarezerwowany apartament w najlepszym hotelu Luksoru. Jeśli o mnie chodzi, spędzę kilka nocy w tym domu.

Lady Evelyn nie odważyła się wyrazić swojego pragnienia, choć także bardzo chciałyby zamieszkać na kilka dni w dolinie. Po ojcu odziedziczyła zamiłowanie do przygód i nieoczekiwanych sytuacji. A gdy dochodził do tego jeszcze aromat tajemniczości, ogarniała ją pasja zdobywcy. Czy fakt, iż w wieku dwudziestu lat była właścicielką najbardziej znanego miejsca Orientu, nie graniczył z cudem?

Howard Carter sprawdził kant swoich spodni, zacisnął węzeł muszki, przyciął odstający włoszek, który dyskwalifikował jego wąsy, i skierował się na teren wykopalisk, gdzie czekała go straszliwa próba. W ten marcowy poranek miał pokazać Carnarvonom wyniki olbrzymich i bardzo kosztownych robót odgruzowywania. Archeolog pewny był tylko

jednego: tam gdzie z wielką starannością przeprowadzono prace, nie było żadnego ukrytego grobowca. Nie było też żadnych posągów, złotych naszyjników, rytualnych figurek. Cóż mógł pokazać lordowi Carnarvonowi oprócz skał, odłamków narzędzi używanych przez budowniczych oraz fundamentów chat, gdzie pracowali? Trójkąt między grobowcami Ramzesa VI, Ramzesa II i Merenptaha, po którym Carter tak wiele sobie obiecywał, był jałowy. Nie wypełnił więc swego głównego zadania, czyli wzbogacenia prywatnej kolekcji lorda.

Zgodnie z radami córki, lady Almina zgodziła się włożyć na siebie coś nieco lepszego. Nie rezygnując z ciemnego zakietu i bardzo poprawnej szarej spódnicy, przystała na zamianę wełny na bawełnę. Bywało, że zaczynała gustować w słońcu Luksoru, a nawet w spacerach łódką po Nilu, ale potem żałowała tych chwil swobody. Lady Evelyn u jej boku była olśniewająca: ozdobiony kwiatami kapelusz, biała sukienka, naszyjnik z pereł podkreślający blask jej młodości. Wsparty na lasce lord spojrzął na zegarek.

— Zdążyliśmy na czas, Howardzie. Pokaż nam swoje odkrycia.

Za kilka chwil Carter spali się ze wstydu. Będzie się starał podkreślać naukowe wartości podjętych wykopalisk, był niemal pewny, że Carnarvon zacznie ziewać z nudów. Kilka kroków przed ostatnim odsłoniętym przez jego ekipę otworem Ahmed Girigar szepnął mu na ucho kilka słów.

— Jesteś pewny?

— Tak.

Nieco uspokojony Carter prowadził gości przez teren wykopalisk. Obie panie były zdziwione zakresem robót, lord cały czas milczał. Po półgodzinie technicznych wyjaśnień przerwał archeologowi.

— W tych wzgórzach skalnych odłamków musiały znajdować się cudowne przedmioty. Chcielibyśmy jak najprędzej je podziwiać.

Carter zawrócił ich ku głębokiej dziurze, którą Ahmed Girigar obstał kilkoma strażnikami.

— Razem przeżyjemy ukoronowanie pracy — powiedział z dumą. — Na samym dnie jest kryjówka. Lordzie

Carnarvon, czy pragnie pan zejść pierwszy i wyjąć stamtąd skarb?

— To mnie się należy ten przywilej — ku ogólnemu zdumieniu oświadczyła lady Almina. — Nie na darmo odbyłam tę długą podróż. Ponieważ w tym rejonie trwonimy fortunę, ja powinnam ocenić nasze nabytki.

Lady Almina bez lęku ruszyła po stoku. Zawstydzony i niezgrabny Carter próbował jej pomóc. Była szybsza, i tylko kilka razy obsunęła jej się noga, nim osiągnęła cel.

— Jak mam to zrobić?

— No... ręką.

Arystokratka bez wahania zanurzyła dłoń w czcigodną ziemię zmieszaną z piaskiem i odłamkami skał. Bardzo szybko odsłoniła brzeg wazy. Wyciągnęła ją, otrzepała i uradowana podniosła w górę.

— Waza z alabastru! Jest wspaniała!

Carter odebrał od niej arcydzieło. Nie czekając na pozwolenie, znów zanurzyła rękę. Skrytka zawierała trzynaście wspaniałych waz z imieniem Ramzesa II i jego syna Merenptaha. Los uratował Howarda Cartera, ofiarowując Carnarvonowi najpiękniejsze sztuki odkryte w dolinie od czasu, gdy finansował wykopaliska.

ROZDZIAŁ 54

Pierre Lacau nie mógł się skupić na hieroglificznym tekście, który tłumaczył. Miał za dużo kłopotów. Piątego kwietnia Liga Narodów pozwoliła, by Wielka Brytania zajęła Palestynę. Wpływy angielskie na Bliskim Wschodzie były coraz- większe. Kiedy zaatakują bastion Urzędu do spraw Zabytków?

Na dodatek najślawniejszym i najpracowitszym archeologiem był ten Carter, który raz jeszcze zbulwersował opinię. Czyż nie odkrył właśnie trzynastu alabastrowych waz w zapomnianym kącie Doliny Królów? Daleki od tego, by się chwalić, tylko je sfotografował, wskazał położenie i opisał we własnym katalogu archeologicznym, pozostawiając chwałę odkrycia lordowi Carnarvonowi.

Francuski erudyta czuł się powołany do świętej misji: wy-
pełniać rolę dyrektora Urzędu do spraw Zabytków, a równocześnie bronić interesów nauki i własnego kraju. Dlatego po okresie obserwacji, który uwierzył w jego bierność, postanowił teraz przejść do ofensywy.

—Przybył lord Carnarvon — oznajmiła sekretarka.

—Niech wejdzie.

Pierre Lacau wstał, by powitać arystokratę.

—Dziękuję, że przyszedł pan na to spotkanie, milordzie.

—Dla mnie to przywilej, panie dyrektorze. Jest pan przecież jednym z najmożniejszych ludzi w tym kraju.

—Skromnym urzędnikiem, który stara się ocalić bezcenną spuściznę, niczym więcej.

Podano kawę.

—Pański sukces narobił wiele hałasu.

—Przyznaję, że to piękne sztuki.

—Mówi się nawet o arcydziełach.

— Oto rysunki Howarda Cartera.

Lacau docenił talent artysty i urodę waz.

—Plotka nie kłamała. Z jednej strony to cudowne, z drugiej kłopotliwe.

—Skąd ten niepokój?

—Te wspaniałości to część egipskiego dziedzictwa.

—Kontrakt uzgodniony z Urzędem do spraw Zabytków jest przejrzysty. Ja finansuję wykopaliska, a to, co znajdzie, należy do mnie.

—Tekst nie jest aż tak jasny — odparł Lacau — a ja podjąłem głęboką reformę prawną.

—Prawo nie może działać wstecz, panie dyrektorze.

—Zapewne, zapewne... Nie chciałbym rozpoczynać wojny adwokatów. Mimo to...

Carnarvon uznał, że Francuz jest niebezpieczny. Łagodny ton głosu i miła powierzchowność kryły żelazną wolę i rzadki upór. Co więcej, dla tej eleganckiej postaci o subtelnej twarzy i wspaniałej białej brodzie sprytny był niczym oddech.

—Zatem chce się pan targować.

—Nie jestem kupcem... Dla mnie najlepszym rozwiązaniem będzie podział.

—W jakiej proporcji?

—Siedem waz dla muzeum, sześć dla pana. Wybór należy do pana. Te ozdobione głową jelenia przydadzą prestiżu pańskiej kolekcji. Jeśli zaś chodzi o naukową etykę, można

uznać, że została ocalona.

—Mam nadzieję, panie dyrektorze, że ten pakt przypieczętuje nasze wzajemne dobre stosunki.

—A czemu miałyby być inaczej, milordzie?

Carnarvon spędził spokojne lato w Highclere. Jego zdrowie wyraźnie się polepszyło. Małżonka i córka często wspominały pobyt w Egipcie i już szykowały się do nowej wyprawy. Podczas długich spacerów z Suzi lord rozmyślał o korzystnej ewolucji Egiptu. Ustalając granice z podzielną Turcją, Traktat Lozański ostatecznie uwolnił stare państwo egipskie od wpływów otomańskich. Mimo sporadycznych zamieszek społeczeństwo się zmieniało. Powołanie banku Misr pozwalało na odtworzenie oszczędności, powstawała też średnia burżuazja, pragnąca korzystać z owoców coraz widocznego ekonomicznego rozwoju. Aspiracje do niepodległości oczywiście nie znikły, ale wydawały się mniej agresywne i może wygasną w przypływie dobrobytu.

—Czyżby mój ojciec marzył?

—Nie można nic przed tobą ukryć, Eve.

—Lubię to zdrobienie.

—Strzeż się go. Czyni z ciebie kusicielkę.

—Obiecuj, że mnie zabierzesz ze sobą tej zimy.

—Mam tylko jedno słowo.

—Egipt jest taki piękny... i ta dolina! Rozumiem twoją pasję.

—Sprawiasz mi wielką radość...

—Czy myślisz, ojczu, że pan Carter odkryje ten sławny grobowiec?

—On w to wierzy, a to najważniejsze.

Upały zmniejszyły się w pierwszych dniach jesieni. Howard Carter udał się do Kairu, by porozmawiać z Arthurem

Lucasem, dyrektorem rządowego laboratorium analitycznego, któremu powierzył część zawartości waz. Lucasa, doświadczonego chemika, pasjonowały starożytne techniki zabezpieczania i odnawiania. Uczony o okrągłej twarzy, ozdobionej czarnym sumiastym wąsem i gęstymi brwiami, zawsze był pełen powagi, którą podkreślał nienagannie biały

i wykrochmalony kołnierzyk.

Powolny i skrupulatny Lucas z radością przebadał materiał sprzed trzech tysięcy lat.

—Jakie wnioski? — zapytał Carter.

—Pańskie wazy zawierały mieszaninę kwarcu, wapienia, asfaltu, żywicy i siarczanu sodu.

—A ślady oliwy?

—Także.

Carter był rozczarowany. Zgodnie z napisami wazy służyły do konserwowania świętych olejów, a więc nie należały do materiałów pogrzebnych, które mogłyby wskazywać na bliskość grobowca.

—Jak idą pańskie poszukiwania?

—Jeśli będzie trzeba, odgruzuję całą dolinę.

—Chciałbym panu pomóc. Jeśli będzie panu potrzebna chemia, proszę bez wahań odwołać się do moich usług.

Ahmed Girigar i jego robotnicy z zapalem podjęli pracę. Carter, codziennie obecny na miejscu, przekazywał im swoją

energię i pewność sukcesu. Odsłoniwszy chaty rzemieślników, zabrał się do nowego miejsca blisko grobowca Totmessa III. Tutaj także musiał odrzucić odpady pochodzące z wykopalisk Davisa, by dotrzeć do gruntu doliny z czasów XVIII dynastii, czasów, gdy wybrano to miejsce na nekropole faraonów.

Mapa archeologa nieustannie się wzbogacała. Ustalił miejsce małych grobowców, poprawiając błędy poprzedników, wytyczał dokładne plany i zastanawiał się nad wyborami ówczesnych konstruktorów. Zbyt często zapominał o konieczności wydobywania przedmiotów godnych wartościowej kolekcji. Jego jedynym znaleziskiem był zbiór

fragmentów kanopskich, pochodzących z grobowca numer 42, pierwszego, jaki zbadał w dolinie wiele lat wcześniej.

Kiedy Carnarvon powrócił w towarzystwie żony i córki, nie zdarzył się żaden cud. Carter nie miał żadnego, ani dużego, ani małego przedmiotu. Jedyłą niespodzianką było urządzenie jadalni w górnej części grobowca Ramzesa XI, gdzie na Boże Narodzenie odbył się bankiet podlany doskonałym szampanem. Zachwycony tym, że córka jest szczęśliwa, a małżonka odprężona, Carnarvon nie zadał pytań dotyczących nędznych wyników prac. Dzięki życzliwości gościnnego faraona biesiadnicy, siedząc wokół długiego stołu, uczestniczyli w święcie poza czasem.

Kiedy rozeszli się zaproszeni goście, Carter zgasił światła i pełnymi płucami wdychał powietrze nocy. Wracając wolnym krokiem, wchłaniał w siebie dolinę, którą tak kochał, a która odmawiała mu swej ostatniej tajemnicy.

O kilkanaście kroków od grobowca z ciemności wyłoniła się jakaś sylwetka.

—Raifa!

—Howardzie, nie pamiętasz już o moim istnieniu.

—Raifa...

—Ja nie kłamię. Widziałam tę młodą dziewczynę. Widziałam, jak na nią patrzysz.

—Lady Evelyn to córka Carnarvona. Ja nie mam prawa...

—Miłość drwi z zakazów. Ja też nie miałam prawa. Ale ona ma dwadzieścia lat, a ja ponad czterdzieści... Czy istnieje

inna prawda?

Raifa cofnęła się.

—Nie odchodź...

—Już mnie nie zobaczysz, Howardzie. Dolina zwyciężyła. To ona przyciągnęła tę młodą dziewczynę, a nas oddaliła na zawsze.

ROZDZIAŁ 55

Carter, bardzo poruszony zakończeniem związku z Raifą, zatonął w herkulesowych pracach, które wyczerpały najsilniejszych robotników. W środku doliny przebadał przestrzeń

między zasmucającym grobowcem nr 55 a grobowcem Ramzesa IX. Raz jeszcze dotarł do skalnego podłoża, a jedyną nagrodą była waza kanopska z epoki Ramesydów.

By nie ulec rozczarowaniu, zaatakował drugą stronę grobowca nr 55 i musiał zadowolić się nędzną skrytką, zawierającą rozety z brązu i czerwony jaspis, przeznaczony do kolorowania papirusu. Potem zaciągnął swoją ekipę do parowu, gdzie wokół grobowca Totmesa III przerzucił już tony kamieni. Do akcji znów wkroczyła kolejka.

Na próżno.

Dolina pozostawała jałowa.

Carnarvon i Carter obserwowali zachód słońca, siedząc pod daszkiem domu archeologów.

—Nadal nic, Howardzie?

—To prawda, nic istotnego. Może dolina jest najbardziej niewdzięcznym ze wszystkich miejsc, ale kiedy odślania którąś ze swych tajemnic, stokrotnie nagradza długie lata monotonnej pracy.

—Wierzę panu, ale ogarniają mnie wątpliwości. Jaki jest obecnie plan?

—Dotrzeć do pierwotnego podłoża wokół wielkich grobowców. Groby z epoki Ramessydów drążono na wyższym poziomie niż grobowce osiemnastej dynastii, do której należy

Tutenchamon. Trzeba więc nie tylko zejść poniżej skalnych

odpadów, ale także poniżej poziomu Ramzesa Drugiego i jego następców.

—To kolosalne przedsięwzięcie.

— Czy nie dlatego właśnie pan mnie wybrał?

Lord uśmiechnął się.

— Howardzie, niech pan się ograniczy do odślaniania tajemnic doliny, a nie moich.

Carnarvon wstał i wolnym krokiem zszedł po ścieżce, podpierając się laską.

Carter często zastanawiał się, czy arystokrata uważa go za prawdziwego przyjaciela, czy też funduje mu złudzenie takiego przywileju. Nie martwił się tym wystawianiem go

na próbę, bo jego istnienie było ciągiem wyzwań, pragnął jednak, by choć raz lord Carnarvon otworzył przed nim serce.

Z ostatniego języka ognia, jakim zachodzące słońce liznęło z boczne doliny, wyłoniła się czarnowłosa kobieta w białej sukni.

—Nie chciałam opuścić Luksoru bez pożegnania z panem — powiedziała lady Evelyn.

—Wzrusza mnie pani uprzejmość.

—Pan jest tu bardzo samotny.

—Otaczają mnie faraonowie.

—Czy ich mowa nie jest nazbyt milcząca?

—Przyznaję, że nie mają tak łagodnego głosu jak pani.

—Zmienia się pan w uwodziciela?

—W tej dziedzinie jestem chyba najniezdarniejszym z ludzi.

—To nie jest pewne...

—Wróci pani tutaj?

—Na pewno.

Biała suknia zawirowała i zniknęła w ciemnościach.

Pierre Lacau zamknął teczkę z dokumentami. Po długim namyśle, nie uwzględniając poszczególnych interesów i najróżniejszych drażliwości, podjął nieodwołalne decyzje. Przyjął więc lorda Carnarvona z chłodną determinacją.

—Przykro mi, panie dyrektorze, ale nie mam żadnego skarbu do podziału. Sezon był kiepski.

—Powinien pan zmienić archeologa.

—Howard Carter zupełnie mnie zadowala.

—Ma za długi język, zwłaszcza gdy krytykuje Urząd do spraw Zabytków, a jego dyrektora określa jako przeciętnego

i niekompetentnego uczonego.

—To plotki.

— Ponieważ ciągle wracają, muszą być prawdziwe.

Lacau rozłożył swoje akta.

— Licencje na wykopaliska to przestarzałe dokumenty. Odtąd zawierać będą ściśle przestrzegane zobowiązanie: stała

obecność inspektora Urzędu do spraw Zabytków podczas wszelkich prac. To on będzie prowadzić skuteczny dozór i interweniować w razie potrzeby.

—Nie obawia się pan pewnych... tarć?

—Będę je ignorował.

—To wszystko?

—Zmieniony jest sposób podziału przedmiotów znalezionych podczas wykopalisk.

Ręce Carnarvona zacisnęły się na lasce.

—Na jaki?

—Zniesiony zostaje podział pół na pół. Nasz urząd będzie nabywać wszystkich znalezionych archeologicznych przedmiotów albo ich części, zależnie od potrzeb swoich i muzeum.

—Znaczny cios... Czy to właściwe określenie?

—Raczej naukowa konieczność.

—Więc muszę się jej poddać.

—Serdecznie to panu doradzam. Jeszcze inny istotny punkt, milordzie. Pańska koncesja wygasa w kwietniu tysiąc

dziewięćset dwudziestego trzeciego roku. Potem Dolina Królów powróci do Urzędu do spraw Zabytków.

—To nie jest całkiem w porządku. Pan Maspero oferował mi lepszy termin.

—Niech Bóg nad nim czuwa, ale on już nie kieruje tym urzędem. Pan, zdaje się, wraca do Anglii? Życzę więc szczęś-

liwej podróży.

W początkach jesieni 1921 roku lord Carnarvon słuchał pierwszych regularnych audycji radiowych z ogromnego odbiornika, który zagrabił jego bibliotekę. Świat szedł w złym kierunku: Chiny zezwoliły na założenie partii komunistycznej, Niemcy, pod naciskiem Hitlera, partii narodowo-socjalistycznej, krwawe konwulsje wstrząsały Rosją, a strajki górników zakłócały spokój Wielkiej Brytanii. Lorda znowu zaniepokoił Egipt. Ze względu na buntownicze nastroje władze brytyjskie zgodziły się na rozmowy ze zwolennikami niepodległości. Negocjacje jednak szybko się skończyły, bo wysoki komisarz odmówił wszelkich ustępstw. Zaghlul znów

stał się kozłem ofiarnym i został powtórnie deportowany, tym razem na Seszele.

Zielone trawniki Highclere lśniły w jesiennym słońcu. Przez okna biblioteki piąty lord Carnarvon kontemplował z zachwytem niezmienny od kilku pokoleń krajobraz. Najstraszniejsza z wojen zdewastowała Europę, zachwiała najbardziej stabilnymi społeczeństwami, ale Highclere było takie jak dawniej, niczym niezmienny przydrożny słupek.

Po kolacji lady Almina zasiadła z mężem przed płonącym kominkiem.

—Jesteś czymś zaniepokojona, kochanie.

—Zaniepokoił mnie nasi księgowi. Kurs funta szterlinga spada, wzrasta inflacja, a nasze wydatki rosną. Utrzymanie

piętnastu tysięcy hektarów i licznej służby niebawem będzie prawdziwą sztuką. Jeśli chcemy zachować nasz poziom życia, musimy na czymś oszczędzić.

—Na czym?

—Nie sposób oszczędzać na służbie domowej, podobnie na ogrodnikach. Ekwipaż do polowania z nagonką są niezbędne. Pozostają więc...

—...tylko moje wykopaliska w Egipcie.

—Przyznasz, że wyniki są raczej średnie. Sprzedaż kolekcji nie pozwoli odzyskać wkładu. Pomyśl o tym, bardzo proszę.

Carter żałował, że nie zachował stałej posady, która pozwoliłaby mu prowadzić wykopaliska przez całe życie, bez konieczności uzyskiwania dobrych rezultatów. Natychmiast jednak stwierdził, że to idiotyczna myśl, bo administracyjna hierarchia nie pozwoliłaby mu badać Doliny Królów. Carnarvon był jedynym człowiekiem, który ofiarowywał mu możliwość zrealizowania marzeń.

Carter udał się na spotkanie, które wyznaczył mu Herbert Winlock. W jednym z salonów Winter Pałace odbyła się ostatnia transakcja, która czyniła Metropolitan Museum właścicielem najpiękniejszych przedmiotów z kolekcji Carnarvona. Niebawem miano wystawić dwieście eksponatów. Naszyjniki, bransolety, pierścienie i czarki świadczące będą

o sztuce jubilerów Nowego Państwa ku wściekłości Urzędu do spraw Zabytków i British Museum.

Suma, jaką otrzyma lord Carnarvon, w znacznej mierze zwróci poniesione wydatki, końcowa zaś prowizja Cartera pozwoli mu zakończyć życie w jakiejś wiosce Górnego Egiptu, z dala od sztucznej cywilizacji, której dogmatów nie podzielał.

Uradowany Winlock zauważył przygnębienie Cartera.

—Koncesja kończy się wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, a ja będę jeszcze daleki od zakończenia prac.

—W Nowym Jorku dokładnie przyjrzałem się tym skromnym znaleziskom, które zbagatelizował Davis... Potwierdziły moją hipotezę. Obecność pieczęci królewskiej nekropoli oraz imienia Tutenchamona stanowią

ostateczny dowód, że po pogrzebie odbył się bankiet na jego cześć w Dolinie Królów, gdzie został pochowany. Mogę nawet sprecyzować, że uczestniczyło w nim ośmioro zaproszonych

gości, że mieli na głowach wieńce z kwiatów i zjedli solidną

kolację. W jadłospisie figurowały kaczki i baranina. Wypito

sporo piwa i wina i zadano sobie trud zakopania zarówno resztek tego wyjątkowego posiłku jak i pozostałości zastawy.

Wzrok Cartera ożywił się.

— Ja nie mam prawa wątpić. Tutenchamon jest gdzieś tu, blisko. Ale dlaczego został tak dobrze ukryty?

ROZDZIAŁ 56

Demostenes był wściekły. Przez Cartera handel starożytnościami miał się coraz gorzej. To prawda, rabowanie prywatnych grobów trwało nadal, ale nie było już nic z Doliny Królów. Amatorzy zaś płacili zawsze więcej za średniej nawet jakości przedmioty tam wydobyte. Grek mnożył więc rozmno-

wy z inspektorami Urzędu do spraw Zabytków. Ci doceniali jego hojność, która czyniła znośnymi ich nędzne dochody, i dawali posłuch plotkom, które rozsiewał. Wszyscy wiedzieli, że Anglik nie cieszy się sympatią Pierre'a Lacau i że

daje zły przykład, pracując bez wytchnienia. Koniecznie należało się go pozbyć, tym bardziej że egiptolodzy zaczęli podrywać z „szaleńca z doliny”, który przerzucał tony piasku i skał w poszukiwaniu grobu od dawna odkrytego przez Davisa.

W obecności trzech młodych wilków z Urzędu do spraw Zabytków, którzy zainkasowali już kopertę zawierającą kosztą dojazdu, Demostenes wyłożył kilka atutowych kart.

—Panowie, mam niemiły obowiązek powiadomić panów, że Howard Carter to człowiek przekupny. Właśnie zawarł tajemny układ z Amerykanami i za ogromne sumy sprzedaje im bardzo cenne przedmioty.

—Kradzione? — zapytał najwyższy rangą inspektor.

—Oczywiście.

—Czy Carnarvon był ich oficjalnym właścicielem?

—Tak.

—W takim razie nie możemy interweniować.

—To kradzież, zbrodnia przeciw egipskiemu dziedzictwu.

—Raczej sprawa między Carnarvonem i jego kupcami.

—Ale to jeszcze nie wszystko — nalegał Grek. — Dla kolekcjonerów Carter jest ekspertem. Żąda znacznych, płatnych z góry sum za wydawanie swych cennych opinii. Nawet

miliarder Caluste Gulbenkian, najbogatszy handlarz naftowy w tym regionie, nagroził go po królewsku. Panowie,

Carter bogaci się kosztem Egiptu!

—Dowody?

—Moja opinia nie wystarczy?

—Carter nie jest urzędnikiem. Zarabia na życie tak, jak uważa za stosowne. Nam potrzebny byłby jakiś oczywisty zawodowy błąd, zniszczenie miejsca wykopalisk, systematyczne niszczenie zabytków.

Demostenes zamówił likier na bazie ziaren konopi. Potrzebny mu był sztuczny raj z dala od Luksoru i Cartera.

Carter wezwał *reisa*, czterdziestu mężczyzn i stu dwudziestu chłopców. Luty będzie decydujący. Poprosił więc tę liczną grupę, by podwoiła wysiłki na nowym miejscu, po wschodniej stronie grobowca Siptaha, faraona z końca XIX

dynastii. Davis nie badał tego obszaru, można więc było oczekiwać miłych niespodzianek.

Luty 1922 był czasem intensywnej działalności. Wszyscy robotnicy, pod kierunkiem Ahmeda Girigara, przyłożyli się do pracy. Olbrzymią ilość kamiennych odpadów wysypano do wąwozu położonego w pobliżu grobowca Totmesa III. Dzięki zapałowi całej ekipy Carter w krótkim czasie znów dotarł do dawnego poziomu doliny i szukał na nim grobowca Tutenchamona.

Carnarvon telegraficznie zawiadomił go o swoim bliskim przyjeździe.

Gdy lord pojawił się na miejscu wykopalisk, wydał się Carterowi zatroskany. Dyskretnie spojrzął na wykopy.

—Piękna robota, Howard.

—Ekipa była wspaniała. Zasluguje na gratyfikację.

—Dostanie ją. A wyniki?

Archeolog był bliski łez.

—Nic. Absolutnie nic. Ani grobowca, ani pięknych przedmiotów.

—Mam dla pana ważne wiadomości. Jutro, dwudziestego pierwszego lutego, Egipt uzyska status suwerennego i niezależnego państwa.

—Anglia rezygnuje...

—Nie całkiem. Brytyjski wysoki komisarz pozostanie prawdziwym panem kraju, a nasza armia nadal będzie go okupować. Rząd Jego Królewskiej Mości ma bronić Egiptu przed zewnętrzną agresją, strzec jego interesów, zapewnić bezpieczeństwo środków komunikacji i kontrolować Sudan.

—Niezależne państwo... więc to maskarada.

—To też nie całkiem tak. Egipt będzie korzystać z większych uprawnień, Anglia zaś musi mu okazywać pewne względy.

Carnarvon nie ujawnił roli, jaką odegrał w tych negocjacjach.

— Rezultaty wydają się nikłe — rzekł wzruszony Carter — ale nasza znajomość doliny stała się o wiele głębsza. Plany królewskich grobowców osiemnastej dynastii nie mają już dla mnie tajemnic i zaczynam rozumieć, jak pracowali

rzemieślnicy Ramzesów. Te ostatnie prace były niezwykle. Czy mam je panu dokładnie opisać?

— Słucham pana, Howardzie — odpowiedział znużonym głosem lord.

Piętnastego marca 1922 roku Fuad I odrzucił tytuł sułtana i za zgodą władz brytyjskich ogłosił się królem Egiptu. Carter i Carnarvon jedli we dwójkę kolację w skromnej jadalni domu archeologów, gdzie Carter wydał posiłek godny arystokraty: faszerowane liście winorośli, klopsiki z jagnięcia z ziołami, ryba z Morza Czerwonego, melon i egipskie ciastka.

Carnarvon nie szukał wybiegów.

—Czy jest jeszcze nadzieja na wielkie odkrycie?

—Jestem o tym przekonany.

—Nasz bilans jest nieszczególny. Wyjawszy transakcje handlowe bez związku z doliną, wydobyliśmy z tej ziemi tylko wazy z epoki Ramessydów.

—Winlock dowiódł, że grób Tutenchamona pozostaje do odkrycia.

—Wierzę ci, Howardzie. Ale może chodzi o ten mały grób odpowiadający rządowi małego władcy, poza tym od dawna zrabowany?

—Na pewno nie zrabowany. Jakieś przedmioty pojawiłyby się u antykwariuszy.

—Rzeczywiście. Ale nawet nienaruszony nie może kryć wiele. Czy ściganie tej chimery wymagałoby nowych starań

i miesięcy zażartej pracy?

—Póki zostanie choćby piędź nie przebadanego terenu, musimy przy tym obstawać. Lordzie, pan mi obiecał szczęście.

—Nie mogę zaprzeczyć. Jednak szczęście to niewierna kochanka, która może mnie opuścić.

—Przeżyliśmy razem bardzo trudne doświadczenia. Sukces jest bliski, czuję to!

—Koncesja się kończy.

—Lacau nie ośmieli się odmówić jej odnowienia.

—Myli się pan. On jest pełen nienawiści.

—Niech się udusi własną żółcią! Te długie, na pozór

jałowe lata były niezbędne. Moja ekipa dotarła się, jest doskonale zgrana i zbliżamy się do końca naszych poszukiwań.

—Nie miałby pan do zaproponowania innego miejsca?

—Nie zdradzajmy Doliny Królów.

Carnarvon poczuł, że nie przełamie determinacji Cartera.

— Dobrze... poświęćmy jej ostatni sezon... Jakie miejsce pan wybrał?

Carter zamyślił się.

—To może się wydać absurdalne, ale mam ochotę kopać pod fundamentami chat robotników, obok grobowca Ramzesa Szóstego.

—Przecież pan odsłonił tę strefę.

—Nie doprowadziłem badań do końca z powodu turystów i oficjalnych wizyt. Tym razem odetnę dostęp do grobowca i dowiem się, czy chaty nie zakrywają fundamentów, które dostarczyć by mogły klucza do tajemnicy.

Dziewiątego maja 1922 roku Carter samotnie obchodził swoje czterdzieste dziewiąte urodziny. Wypiwszy butelkę szampana, błąkał się po swojej dolinie. Z każdym krokiem wyłaniały się inne wspomnienia: odkrycie grobowców założyciela, Amenhotepa I, królowej Hatszepsut... tyle nadziei i porażek, miłość Raify, wierność Ahmeda Girigara i dziwna przyjaźń George'a Herberta, lorda Carnarvona, zarazem wyniosłego i tak bliskiego. Czuł się zdruzgotany i wyczerpany, jakby przyszłość już go nie dotyczyła.

Za niespełna rok będzie musiał odesłać swoich ludzi i zamknąć stanowisko. Lacau i egiptolodzy zatriumfują. Dolina zostanie porzucona i oddana we władanie turystom. Lodowaty wiatr porażki przyprawił go o dreszcz.

ROZDZIAŁ 57

Przygnębiony Carnarvon leżał na szezlongu, zwrócony twarzą do parku Highclere całego w kolorach jesieni. Sierpniowy upał otulał rozłożyste libańskie cedry. Lady

Almina, czule pielęgnując małżonka, coraz częściej odwiedzała lekarzy. Jej mąż nie chodził już nawet na spacer z Suzi. Czując, że pan jest chory, suka większość czasu spędzała, leżąc u jego stóp.

Podczas gdy syn lorda Carnarvona uprawiał tradycyjne sporty angielskiej arystokracji, lady Evelyn nieustannie obserwowała ojca. On, który zwykle tak lubił z nią rozmawiać, teraz na długie chwile popadał w milczenie. Nie cieszyła go nawet lektura prac archeologicznych. Parokrotnie zasnął nad nimi, a książka wypadła mu z rąk na trawnik.

Żaden lek nie zmniejszył wycieńczenia przypominającego powolną śmierć. Ani błagania lady Alminy, ani czułości lady Evelyn nie łagodziły cierpień lorda, który odmawiał wszelkich wizyt.

Córka przyniosła mu filiżankę herbaty.

—Eve...

—Tak, ojcze?

—Usiądź przy mnie. Czuję w tobie niezgodę, niemal bunt. Widowisko, które prezentuje, jest niegodne ojca.

—Aż tak się nie zadreczaj. Po prostu masz kiepski okres.

—W wieku pięćdziesięciu sześciu lat jestem już tylko kalekim starcem.

—Ten chory zaraz poczuje się lepiej, gdy zechce wyrazić swoje troski.

Carnarvon uniósł się na szezlongu i spojrzał na córkę.

—Znasz mnie lepiej niż ja sam siebie.

—Czego się lękasz? Żeby aż tak się gryźć... ciężar musi być wielki.

—Jeszcze większy, niż możesz sobie wyobrazić.

—To zrób coś! Człowiek o takiej sile ducha jak ty, ojcze, nie może ograniczać się do zgryzot.

— Masz rację.

Pocałowała go w czoło.

— Wyślij depeszę do Howarda Cartera — rozkazał — i wezwij go tutaj.

Syn skromnego malarza zwierząt z pewnym niepokojem wkraczał do olbrzymiej posiadłości szefa. Highclere

przytłaczało wielkością i wspaniałością. Surowość Doliny Królów sprawiła, że Carter stracił zamiłowanie do doskonale wystrzyżonych trawników, zielonych wzgórz, buków i dębów. Carter-wieśniak zakochany w ziemi chciałby mieć taką posiadłość. Bogactwo lorda rzucało się w oczy i sprowadzało go do nędznej kondycji lokaja na służbie u pana.

Przez chwilę miał ochotę uciec. Przypomnił sobie jednak, że jego prawdziwym panem jest zagubiony faraon, którego ledwie słyszalny głos pokonał barierę wieków. Tuląc do serca wypełnioną dokumentami teczkę, podążał za sługą, który wprowadził go do zamkowej biblioteki.

Właśnie zaczęła się niezwykle silna burza i zgasło światło. Carter znieruchomiał w ciemności, otoczony pięknymi i wszystkim łagodzącymi książkami. Ciemności rozświetliła lady Evelyn ze świecą w ręku.

— Pan Carter! Co za radość znów pana widzieć... nawet jeśli ledwie pana poznaję!

Szybko zapaliła inne świece, których blask wypełnił pokój łagodną jasnością.

—Podoba się panu Highclere?

—Któż nie byłby olśniony?

—Ten zamek oczarował moje dzieciństwo. Jeśli pan zechce, odsłonię mu wszystkie jego tajemnice.

—Proszę wybaczyć moją niecierpliwość, jak ma się pani ojciec? Ten telegram...

Twarz młodej kobiety posmutniała.'

— Zaraz go zawiadomię.

Kilka minut później pojawił się Carnarvon. Miał ściągnięte rysy, a ręce ukryte pod pledem, który otulał mu nogi. Siedział na inwalidzkim wózku, który pchała córka.

—Dobry wieczór, Howardzie. Dziś rano kiepsko się czułem i poruszam się z trudem. Evelyn żąda, żebym się oszczędzał.

—Jeśli to wizyta nie w porę...

—To ja o nią prosiłem. Musimy przedyskutować ważne sprawy. Evelyn, zostaw nas samych i poproś, by podano nam porto.

Dziewczyna wyszła, ociągając się.

— Co nowego, Howardzie?

— Nic szczególnego. Przygotowałem następny sezon i zatrudniłem ekipę na zwykłych warunkach.

Lord odchylił głowę do tyłu.

— Jestem zmęczony, bardzo zmęczony... a Egipt nie jest już zbyt pewnym krajem. Wciąż rośnie tam przemoc. Niedługo miejscowi odrzucą obcych i przejmą władzę. Będę musiał znaleźć inne miejsce na moje zimowe pobyty.

Carter milczał w oczekiwaniu dalszego ciągu wypowiedzi, która tu się urwała. Wtedy się zbuntował.

— Lord Carnarvon nie przemawia w ten sposób — rzekł. — Człowiek, którego znałem, nigdy nie cofnąłby się przed niebezpieczeństwem i nie lękałby się kraju, który kocha bardziej niż inne.

Czy zuchwalstwo sługi wywoła wściekłość pana? Carterowi było to obojętne.

—Przepraszam, że cię uraziłem, Howardzie. Lacau mnie zniechęcił. Nowy regulamin, który zamierza wprowadzić, to katastrofa.

—Zajmę się panem Lacau.

—Nie docenia pan siły biurokracji. Zdolna jest odrzeć człowieka ze wszystkiego.

—Lacau boi się pana i Anglii. Cofnie się, jeśli pan pokaże zęby.

—Wcale nie jestem tego pewny... Jakie argumenty możemy przedstawić? Przez pięć sezonów wykopalisk przerzucił

pan ponad dwieście tysięcy ton skalnych odłamków i piasku,

a ja zainwestowałem ponad dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów na kopanie dziur w piasku, by wyciągnąć kilka

waz. Spójrzmy na to realnie, nie udało się.

—Uważa pan, że jestem niekompetentny?

—Przeciwnie, pan jest najlepszym archeologiem swego pokolenia. Jeśli pan niczego nie odkrył w tej przeklętej dolinie, widać już nic tam nie ma do znalezienia. Co zostawię

po sobie? Góry kamieni i dziury... Jutro wszyscy będą sztydzić

z nazwiska Carnarvon. Jestem bardzo bogaty, Howardzie, ale wojna wywróciła świat do góry nogami i zmieniła reguły

ekonomii. Przedtem nie liczyłem. Teraz, jak każdy, muszę pilnować własnego budżetu. Moja fortuna nie jest niewy-

czerpana. Trzeba być angielskim lordem, drogi
przyjacielu,

236

żeby mieć taką cierpliwość i stracić tyle pieniędzy na przemieszczanie rumoszu w obłokach kurzu.

—Dziwi mnie taka ostrożność. Czyżby pan zrezygnował ze starań o nową koncesję?

—Rzeczywiście zrezygnuję. Nakazuje mi to zdrowie i dobrobyt mojej rodziny.

—Jeśli mój ostatni sezon okaże się...

—Nie będzie ostatniego sezonu, Howardzie.

—To niemożliwe! Wbija mi pan nóż w plecy.

—Nie mam takiego zamiaru.

—Niech mi pan da ostatnią szansę.

—To zbytuczne.

Carter otworzył teczkę i wyjął z niej mapę Doliny Królów, którą rozłożył na dużym stole.

—Proszę spojrzeć. Wskazałem tu dokładne umiejscowienie wszystkich odkryć dokonanych w dolinie od najskromniejszej figurki aż po największy grobowiec. Nikomu

nie pokazałem tej mapy. Pozwala ona sądzić, że jedyna naprawdę nie przebadana strefa rozciąga się wokół grobowca Ramzesa Szóstego. Ledwie dotknąłem środkowej części tego miejsca. To tu, i nigdzie indziej, kryje się grób Tutenchamona.

—Tyle mi o tym opowiadałeś, Howardzie... Sen zmienił się w koszmar.

—Niech mi pan przyzna ten ostatni sezon.

Carnarvon zaprzeczył ruchem głowy.

—To niech mi pan przynajmniej przyzna swoje poparcie.

—Po co?

—Sam sfinansuję te prace.

—Pan, Howardzie?

—Dzięki panu zarobiłem trochę pieniędzy. Wydam je do ostatniego pensa i do ostatniej godziny, którą będę mógł opłacić robotnikom. Nawet jeśli nie starczy mi na miesiąc robót, udowodnię, że mam rację. Proszę tylko o zachowanie pańskiej pozycji oficjalnego współnika, żeby Lacau nie utrudniał mi pracy.

Carnarvon odrzucił pled i wstał.

—Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem.

—Jakim?

— To nikt inny, tylko ja sfinansuję roboty naszego ostatniego sezonu.

ROZDZIAŁ 58

Carter wrócił do Luksoru drugiego października 1922 roku, ożywiony dziką wręcz determinacją. Natychmiast wezwał Ahmeda Girigara i wyjaśnił mu swój plan: podjąć intensywne prace na północny wschód od grobowca Ramzesa VI.

Reis okazał pewne zdziwienie. Przecież trzeba będzie odciąć dostęp turystom i rozebrać chaty robotników z czasów Ramzesów? Taki właśnie był zamiar archeologa.

Ahmed Girigar wycofał się, gdy usłyszał charakterystyczny śpiew.

— Czy jakiś ptak osiedlił się u pana?

Carter przecisnął się między skrzyniami pełnymi butelek francuskiego wina, herbatników i konserw zakupionych w firmie Fortnum and Mason i wrócił z klatką, w której trzepotał się kanarek. *Reis* był zachwycony.

—Złoty ptak! Przyniesie panu szczęście.

—Chciałem usłyszeć ten głos.

—Złoty ptak przemawia językiem nieba. On nas poprowadzi.

Wszyscy robotnicy z ekipy wiedzieli, że to ostatni sezon wykopalisk pod kierunkiem Howarda Cartera, wymagającego lecz wyrozumiałego szefa, który interesował się losem swoich ludzi i ich rodzin. Jutro trzeba będzie znowu pogodzić się z jarzmem lodowatego i wyniosłego cudzoziemca, który zadowolony się odwiedzaniem miejsca wykopalisk od czasu do czasu, sławiąc swoje wysiłki wobec wybitniejszych gości.

Carter ze skupieniem wydał dokładne polecenia. Gdy tylko odcięto dostęp do grobowca Ramzesa VI, kazał wybrać masy rumoszu zalegającego jeszcze w kwartale, który miano badać. Pierwszego listopada sfotografował domostwa robotników z epoki Ramessydów, a sprawdzwszy swoje dawne dane, kazał je zniszczyć, by kopać głębiej. Ahmed Girigar

powiedział mu, że co najmniej metr ziemi dzieli fundamenty tych konstrukcji od pierwotnej skały. Oczyszczanie terenu zajmie trzy lub cztery dni.

Jakiś mężczyzna czekał na Cartera przed wejściem do jego domu na pustkowiu. Rozpoznał go z trudem, tak był postarzały i zniszczony.

—Pan nazywa się Gamal i jest bratem Raify.

—Moja siostra umarła.

—Jak się to stało?

—Nieważne. Wyraziła pragnienie, by pan uczestniczył w jej pogrzebie. Nie mogłem zdradzić zmarłej.

Gamal obrócił się na pięcie i odszedł. Carter ruszył za nim.

Gdy płaczki wyśpiewywały żale, umyte ciepłą wodą zwłoki Raify owinięto w biały całun. Ze związanymi kostkami i watą w uszach i nozdrzach, Raifa zaczynała swoją ostatnią podróż, kołysana modlitwą za zmarłych: *Należymy do Boga i musimy do Niego powrócić*. Tylko mężczyźni podążali za zamkniętą trumną, przykrytą ozdobną tkaniną. Na cmentarzu deklamowano fragment z Koranu: *Dwaj aniołowie przyjdą po ciebie i będą zadawać pytania. Napytanie: kto jest twoim Panem? odpowiedz: jest nim Allah. Na pytanie: kto jest twoim prorokiem? odpowiedz: Mohamed to mój prorok*. W grobie, tam gdzie znajdowała się głowa, wykopano dziurę, aby żywi mogli rozmawiać ze zmarłą.

Rzucane do grobu grudy ziemi pochłonęły lata młodości i szczęścia.

Wieczorem trzeciego listopada zakończono rozbiórkę chat robotników. Teraz można już było drążyć nagą skałę, ryzykując wejście na nie zbadany teren. Tej nocy Carter bardzo źle spał. Budził się kilkakrotnie, dręczony obrazem łagodnej twarzy Raify. O świcie kanarek rozpoczął swój śpiew, jakby uczestniczył w narodzinach nowego słońca.

Zjawiwszy się na terenie wykopalisk, Howard Carter dziwnie się poczuł, ale szybko pojął dlaczego — panowała tu cisza. Zazwyczaj robotnicy rozmawiali, wymieniali opinie,

używali narzędzi, śpiewali. W ten ranoek czwartego listopada wszyscy milczeli. Carter podszedł do *reisa*.

— Jakiś wypadek?

Ahmed Girigar nie odpowiedział. Kiwnął tylko na nosiciela wody, by się zbliżył.

— Powiedz.

Ten cały drzał.

— Dla zabawy grzebałem kijem w piasku, o tam... Nagle kij uderzył w coś twardego. Zaciekawiony kopałem dalej. Rękami odsłoniłem blok kamienia. Wydaje mi się... wydaje mi się, że jest bardzo stary! Przeraziłem się i przykryłem go piaskiem.

— Pokaż mi to miejsce — rozkazał Carter.

Potem przykląkł i sam je odsłonił.

— To stopień schodów... może to schody wyrybane w skale.

Było jeszcze za wcześnie, by się cieszyć. Robotnicy zmieniali się w ciągu całego dnia, by odsłonić schody, które prowadziły w głąb, na cztery metry poniżej wejścia do grobowca Ramzesa VI. Kształt stopni, ich szerokość i wymodelowanie przypominały te z podziemi XVIII dynastii, epoki Tutenchamona. Niestety, podczas ich odsłaniania nie znaleziono nic, co by to potwierdzało. Nie było żadnego składziku ani żadnych przedmiotów z imieniem faraona.

Noc z czwartego na piątego listopada była krótka. Leżąc na łóżku, Carter zamykał oczy i zmuszał się do odpoczynku. Odsuwał od siebie hipotezy i kłębiące się w głowie nadzieje, skupiając się tylko na rzeczywistości. Po prostu odsłonił schody prowadzące do jakiegoś grobowca.

Dzień pracy zaczął się bardzo wcześnie, w nerwowym nastroju. Robotnicy nie śpiewali ani nie rozmawiali. Wszyscy mieli świadomość, że uczestniczą w niezwyklej przygodzie i pragnęli dowiedzieć się czegoś więcej. *Reis* nie musiał zachęcać ich do pracy. Już zaczęła się szerzyć legenda o tym, że to grobowiec złotego ptaka, którego dusza pokierowała ludzką ręką.

W miarę jak spod ziemi wylaniał się bieg schodów, Carter był coraz bardziej nerwowy. Setki razy miał ochotę wejść

między robotników i przyspieszyć robotę. Nerwowe godziny płynęły zbyt wolno. Czy przypadkiem nie szło tu o zwykły składzik, który porzucono, nim go wykorzystano? Dolina tyle razy zadrwiła z niego, wciągając go w różne pułapki! Trudno nie pamiętać, że nigdy nie oddała nietkniętego grobowca.

Wczesnym popołudniem Carter, drżąc, zszedł po schodach. Może był pierwszym od trzech tysięcy lat człowiekiem, który wykonywał tę banalną czynność. Na wykopalisku panowała absolutna cisza, jakby wszystkich ogarnął święty lęk.

Carter wstrzymał odkopywanie na poziomie dwunastego stopnia, bo odsłaniać się zaczęła górna część drzwi, które natychmiast chciał obejrzeć. Na zaprawie skalnych bloków widać było ślady kilku pieczęci.

— A więc to prawda — szepnął. — Miałem rację, nie tracąc wiary w Dolinę Królów.

Rozpoznał Anubisa zwyciężającego dziewięciu wrogów Egiptu, którzy, skuci łańcuchami, nie mogli mu już zaszkodzić. Była to pieczęć królewskiej nekropoli, o której marzył od tylu lat! Pozostawało tylko zidentyfikować imię króla, by poznać właściciela grobowca.

Rozczarowanie było straszliwe.

Położono tylko pieczęcie królewskiej nekropoli, jedną pionowo, inne poziomo podczas ostatecznego zamknięcia grobowca. Znaczyło to, że jest to grób wysokiego dygnitarza, którego uznano za godnego spoczywania między królami. Na chwilę dostrzeżony Tutenchamon oddalił się.

Pozostawało to zamurowane wejście. Czy nie dowodziło ono, że grobowca nie zrabowano? Oczywiście, wąskie wejście ostatecznie wykluczało hipotezę królewskiego grobowca. Ale może krył on tajemnicę jakiegoś budowniczego radosnej epoki, gdy Egipt lśnił tysiącem światła? I dlaczego pochowany tam człowiek został tak dobrze ukryty? Chyba że to tylko skrytka na mniej lub bardziej wartościowe przedmioty...

Gdy minęły pierwsze emocje, Carter obejrzał centymetr po centymetrze górną część drzwi. Tam, gdzie odpadła zaprawa murarska, odsłoniło się drewno. Nadproże. Czy to

wejście do skrytki, czy może dostęp do obniżającego się korytarza? Poszerzył szczelinę między murem a zaprawą na tyle, by w świetle elektrycznej latarki dojrzeć, co jest po drugiej stronie zabezpieczonych drzwi.

Na pewno był tam korytarz, ale wypełniony rumoszem i żwirem! Budowniczym nie wystarczyło ukrycie grobowca pod chatami robotników, niezwykle starannie przysłonili też dostęp do niego. Natychmiast rozbić te odrzwia i oczyścić korytarz? Pohamował głupi odruch. Carnarvon powinien być przy tym. Pozbawienie go tej radości byłoby żalną zdradą.

Carter przebył dwanaście stopni w górę i poprosił *reisa*, by je zasypać ziemią, a także pilnować tego miejsca dniem i nocą.

—Pan wydaje się wstrząśnięty... Mam pana odprowadzić do domu?

—Dziękuję, Ahmedzie. Wolę być sam.

Zapadła noc. Światło księżyca rozsnuło srebrzysty woal nad Doliną Królów. Bardzo podnieceni robotnicy rozeszli się z przekonaniem, że za tajemniczymi drzwiami kryje się olbrzymi skarb. Mimo zaleceń *reisa* żaden z nich nie utrzyma długo języka za zębami.

Carter wsiadł na osiołka. Był bardzo zdenerwowany i miał ochotę błąkać się po dolinie przez całą noc. Zaczynało się trudne do zniesienia czekanie. Kiedy wreszcie Carnarvon zejdzie po tych schodach? Jaki cud mógł mu obiecać? Na pewno nie królewski grób, ale bardzo stary grobowiec, pochodzący z czasów dynastii Amenhotepów i Totmesów. A jeżeli lord zostanie zdewastowany i ograbiony skład i natychmiast położy kres prowadzonym pracom? Nie, doprawdy Carter tracił głowę... Opieczetowane wejście i zablokowany korytarz dowodziły, że ten tajemniczy grobowiec nie został zrabowany.

Osiół wędrował w świetle księżyca, a rozgorączkowany umysł Cartera gubił się wśród najbardziej szalonych marzeń, przechodząc od wielkich nadziei do rozpaczki.

ROZDZIAŁ 59

Carnarvon w towarzystwie Suzi wracał z długiego spaceru po parku Highclere. Lady Evelyn, z rozwianymi włosami, wybiegła ku niemu, wymachując jakimś papierem.

— Ojczy, chodź szybko! Telegram od Howarda Cartera!

Arystokrata nie uwierzyłby, że jest zdolny do tak silnego wzruszenia. Teraz on podbiegł. Córka wpadła mu w ramiona.

— Przeczytaj mi go.

—Znam go na pamięć: *Wreszcie cudowne odkrycie w dolinie. Wspaniały grobowiec z nienaruszonymi pieczęciami. Przysłoniłem go i czekam na pański przyjazd. Gratulacje.*

—Gratulacje — powtórzył wzruszony Carnarvon.

—Kiedy wyjeżdżamy?

—Jak najszybciej, Eve. Carter to czarodziej. Nie należy mu się sprzeciwiać.

—Jaka jestem szczęśliwa!

—Ja także... już przestałem wierzyć w takie szczęście.

—Czyżby to był Tutenchamon?

—Carter nie wymawia jego imienia.

—Z ostrożności...

—Nie zadawajmy sobie setek pytań. Odpowiedzi są w Egipcie.

Obiad upłynął w nastroju grobowym. Lady Almina przyjęła wiadomość jak katastrofę. Egipt był dla niej zamkniętą już kartą.

—Stan zdrowia zakazuje ci tak męczącej podróży.

—Czy przeczytałaś dokładnie telegram Cartera?

—Twój Carter to marzyciel. Chce cię olśnić, by mieć finansowanie.

—To nie jest w jego stylu.

—Czy w Highclere nie jesteś najszczęśliwszym z ludzi? Możesz się spokojnie oddawać ulubionym zajęciom, czytaniu

i polowaniom, patrzeć, jak rosną twoje dzieci, które cię podziwiają, że nie wspomnę o moich uczuciach.

- Jestem świadom swego szczęścia, Almino, ale Carter mnie potrzebuje.
—Me może sobie poradzić sam?
—Chodzi o nienaruszony grobowiec.
—A ileż to razy zapewniałeś mnie, że to niemożliwość?
—Mylilem się. To Carter miał rację.
—Mam złe przeczucie. Proszę, byś to wziął pod uwagę.
—Lękam się, że moje kufry są już spakowane.

Szóstego listopada Carter pilnował zasypywania stopni, które zniknęły pod warstwą zabezpieczającej ziemi. Dwa-dzieścia cztery godziny po rozpoczęciu tej dziwnej pracy nie można było już nic dojrzeć. Wielkie kamienne bloki z chat robotników z epoki Ramessydów zatoczono przed zasypane schody. Carter zastanawiał się wręcz, czy tego wszystkiego nie wyśnił. Jedyne stała obecność uzbrojonych strażników wskazywała na istnienie godnych zainteresowania zabytków.

Siódmego listopada Ahmed Girigar obudził go nagle.

- Co się stało?
—Jakiś człowiek chce z panem rozmawiać. Mówi, że to ważne.

Carter ubrał się szybko. Gość czekał przed domem, trzymając w ręku notes i ołówek.

—Jestem dziennikarzem. Podobno odkrył pan właśnie jakiś bajeczny skarb. Jeśli mi pan przyzna wyłączność, znajdzie się pan na pierwszej stronie.

- Kto panu opowiedział tę bajkę?
—W Luksorze nie mówi się o niczym innym.

Carter zwrócił się do *reisa*.

- Ahmed, proszę odprowadzić tego pana.
—Hola! Pan musi udzielić informacji prasie!
—Radzę nie nalegać.

Wzrost i spojrzenie *reisa* przekonały dziennikarza.

— Proszę mi wierzyć, Carter, prasa tu wróci, i to z siłą.

Ledwie zniknął, jeden z robotników z ekipy przyniósł płócienny worek pełen listów i przesyłek. Rzeczywiście cały

Luksor został już poinformowany. Archeologowi gratulo-

wano, oferowano współudział w wykopaliskach, grożono, zadawano tysiące pytań.

Howard Carter padł na fotel.

—Czuję się zagubiony, Ahmedzie. Porywa mnie ten wir.

—Jesteś zbyt samotny. Potrzebujesz pomocy.

—Carnarvon nie pojawi się tu przed upływem trzech tygodni... Jak stawiać opór, jeśli to szaleństwo będzie naras-

tać? Nie jestem przygotowany do walki z taką falą!

—Znam solidnego człowieka, który ci pomoże. Skontaktuj się z nim już dzisiaj.

Arthur Callender, dawny menedżer egipskich kolei państwowych, żył spokojnie na emeryturze w Armant, dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Luksoru. Znany inżynier uczestniczył w wykopaliskach archeologicznych jako człowiek do wszystkiego i jego drogi kilkakrotnie skrzyżowały się z drogami Howarda Cartera, którego szanował. Gdy tylko otrzymał jego wezwanie o pomoc, natychmiast na nie odpowiedział.

Wysoki, silnie zbudowany, o szerokich ramionach i grubych rysach, Callender przypominał słonia. Źle ubrany i żarłoczny, nigdy się nie denerwował i działał kojąco na otoczenie. Nie przerażało go żadne techniczne zadanie. Elektryczność nie miała przed nim tajemnic i umiał posługiwać się każdym narzędziem. Zbudować dom, przewieźć skrzynie, ocenić ilość i rodzaj potrzebnych na budowie materiałów — to były dla niego dziecinne igraszki.

Carter i Callender uścisnęli się.

—Do czego mogę się przydać, Howardzie?

—Pan nie pyta, czemu pana tu sprowadziłem?

—To nieważne. Służyć znaczy służyć.

—Grobowiec, Arthurze. Grobowiec z czasów osiemnastej dynastii.

—Zasłużyłeś na to.

—On może być pusty.

—W końcu nawet polowanie uśmiechnie się do wartościowego łowcy.

—Muszę pojechać do Luksoru powitać Carnarvona

i jego córkę, którzy właśnie telegrafowali. Moi robotnicy to uczciwi ludzie, ale są pod wielką presją i...

— Rozumiem. Będę czuwać nad grobowcem jak nad bliską istotą. Jedź spokojnie, Howardzie.

Na jednym z wielkich odłamów skalnych oznaczających położenie odkrycia Carter namalował herb piątego lorda Carnarvona. Wszyscy znali tożsamość nowego właściciela.

Podczas pobytu w Kairze Carter kupił sprzęt elektryczny i przedłożył w Urzędzie do spraw Zabytków podanie o pozwolenie na założenie oświetlenia podłączonego do instalacji

przy grobowcu Ramzesa VI. Lacau nie mógł odmówić; urządzenie ułatwi archeologowi pracę.

W Dolinie Królów Callender zorganizował czujną straż, która zniechęciła ciekawskich oraz ewentualnych rabusiów. Co więcej, przywódca klanu Abd el-Rasul ostudził ich zapale, przypominając o istniejącym między nim a Carterem pakcie o nieagresji.

Demostenes wkroczył jednak do gry. Rozwścieczony na samą myśl o triumfie Cartera, zwrócił się do znanego z ksenofobii szejka ze wschodniego brzegu. Notabl ten, czarownik

i wytwórca talizmanów, cieszył się wielką sławą, a w najbiedniejszych budził lęk.

Wraz ze sforą uczniów stanął przed miejscem grobowca. Arthur Callender odłożył kanapkę z ogórkiem, którą właśnie zajadał, i stawiał mu czoło, patrząc prosto w oczy. Przerażeni robotnicy Cartera wycofali się. *Reis* upomniał ich, by nie uciekli.

—To przeklęte miejsce — oznajmił szejk. — W tym grobowcu są złe duchy. Nikt nie powinien otwierać drzwi zapieczętowanych przez antyczne demony! A gdyby ktoś to

zrobił, na świat wyleją się diaboliczne moce, których nie potrafi zniszczyć żaden czarownik, a profanatorzy zostaną ukarani.

—Zamierzasz tu zostać? — zapytał Callender, założywszy ręce na piersi.

—Oczywiście, że nie — odparł zdziwiony szejk.

—Tym lepiej. To jest archeologiczne stanowisko zakazane dla publiczności, a ja muszę cię poprosić, byś natychmiast stąd odszedł.

—Bezczelny! Zginiesz jak inni!

—Lepiej umrzeć ze spokojem serca niż z nienawiścią na ustach.

—Niechaj przekłety będzie ten grobowiec i ci, co do niego wejda!

Hałaśliwa kohorta oddaliła się. Callender usiadł i wgrzył się w swoją kanapkę.

Callender rezydował samotnie w kwaterze Cartera, gdzie krótko odpoczywał pomiędzy dwoma zmianami straży. Ufał tylko Ahmedowi Girigarowi i kilku jego bliskim, których nie przeraził fanatyzm szejka. Ale i tak pojawiał się nieoczekiwanie dniem lub nocą, chcąc się upewnić, że przestrzega się jego nakazów.

Jego riajlepszym przyjacielem był kanarek. Gdy tylko Callender wchodził do domu, ptak witał go wesołym śpiewem. Inżynier pamiętał, by dzielić się z nim smakołykami. Tego wieczoru przeczuł, że zdarzyło się coś niezwykłego. Drzwi skrzypnęły, ale ptaszek milczał. Gdy nateżył ucha, dotarło do niego trzepotanie skrzydeł.

Dramat rozegrał się w pokoju, gdzie stała złota klatka. Kobra połykała kanarka.

Callender zabił węża, ale jego łup był martwy. Pochował go przed domem.

Już następnego dnia szeptano, że była to pierwsza ofiara przekleństwa szejka. Faraon, którego dusza wśliznęła się w ciało kobry, zemścił się na złotym ptaku, który ujawnił miejsce jego grobowca.

ROZDZIAŁ 60

Carter umierał z niecierpliwości i przeklinał powolność statków. W dolinie czekał nienaruszony grób, a on chodził tam i z powrotem po peronie dworca w Luksorze.

Hamowana radość Carnarvona i uśmiech lady Evelyn, zachwyconej perspektywą przeżycia najbardziej niezwyklej przygody, zatarły straconsy czas. Przebycie kanału La Manche, podróż koleją przez Francję, przepłynięcie z Marsylii do Aleksandrii, znów kolej żelazna z Aleksandrii do Kairu, a potem z Kairu do Luksoru... dla lorda nie był to koniec trudnych doświadczeń. Musiał jeszcze przepłynąć promem ze wschodniego na zachodni brzeg Nilu, odebrać pozdrowienia gubernatora prowincji, który przybył ich powitać, a potem wsiąść na osiołka i w jego rytmie dotrzeć do Doliny Królów.

W szarym kapeluszu z białą lamówką, w grubym dwurzędowym płaszczu i wełnianym szalu, zmęczony i zziębnięty Carnarvon nie mógł się rozgrzać. Jego uradowana córka miała na sobie jasnobłęzy kostium. Futrzany kołnierz przypominał o europejskich chłódach, bardzo zaś skromna, zapinana z boku spódnica o manierach obowiązujących młodą kobietę z establishmentu. Błyszczące oczy Suzi, biegnącej przy osiołku, rejestrowały każdy szczegół tego widowiska.

Im dalej się posuwali, tym więcej było gapiów. Zachwycona lady Evelyn przyjmowała wręczane jej kwiaty. Jacyś chłopcy grali na tamburynach, a dziewczęta tańczyły, wydając radosne okrzyki.

— Gdyby to nie był dwudziesty trzeci dzień listopada i gdybym nie nazywał się Carnarvon, mógłbym uwierzyć, że odgrywam wjazd Chrystusa do Jerozolimy. Mój drogi Howardzie, wydaje się, że pańskie drobne odkrycie narobiło sporo szumu.

Carter obserwował córkę Carnarvona. Z ładnej stała się piękna. Młoda dziewczyna ustąpiła miejsca wesolej młodej kobiecie o żywym i głębokim spojrzeniu.

— Niech nam pan powie prawdę — zażądała niesfor-
nie. — Jakie imię nosi leżący w tym grobowcu król?

— Nie wiem.

— Czyżby pan rzeczywiście zatrzymał się przed tymi
drzwiami?

Carter zarumienił się.

— Przysięgam na honor!

— Niech pan nie czuje się urażony — powiedziała ze śmiechem. — Naprawdę jest pan niezwykłym człowiekiem. Mnie na pańskim miejscu zabrakłoby takiej odwagi.

Wkraczając do doliny, osły przyspieszyły. Powiadomiony telegramem Callender zaczął odsłaniać schody. Lady Evelyn zeskoczyła z wierzchowca i pierwsza znalazła się na terenie wykopaliska.

— Kiedy podejmujemy prace?

— Kiedy tylko państwo zechcą — odparł Carter.

— Przydałoby się nieco odpoczynku — wtrącił Carnarvon. — Czekają nas trudne dni.

Rankiem dwudziestego czwartego listopada Carter wpatrywał się w schody. Do kogo prowadziły? Usiadł na skalnym bloku i machinalnie wsunął ręce w piasek. Gwałtowne uczu-

cie oparzenia wyrwało mu krzyk bóleści. Pochylił się i dostrzegł małego czarnego skorpiona, który go właśnie ukąsił. Nie tracąc zimnej krwi, wezwał Ahmeda Girigara.

— Ukąszenie tej odmiany nie jest śmiertelne, ale natychmiast trzeba zdezynfekować ranę.

Najlepsza znachorka z Gurna przyniosła zioła i maść i zabandażowała spuchnięty przegub. Ból i gorączka były do zniesienia. Żadna trucizna nie przeszkodzi Carterowi w dalszym prowadzeniu wykopalisk. Pomyślał o Raifie, która także знаła pradawne sposoby leczenia, zdolne zwalczyć tę truciznę. (Przez miesiąc archeolog odczuwał gwałtowne niekiedy bóle. Pieczenie wzmagało się podczas każdej pełni księżyca, ale nic nie groziło jego życiu i miał dość sił, by nadal pracować).

Carter odpoczywał aż do przybycia Carnarvona i jego córki wczesnym popołudniem. Potem, ukrywając zabandażowany lewy przegub w rękawie marynarki, sprawdził, czy ma właściwie zawiązaną muszkę, i pomógł lady Evelyn zeskoczyć z osła. Choć miał zawroty głowy, zdołał ich zmylić.

— Czy dzisiaj odsłonimy drzwi? — zapytała niecierpliwie młoda kobieta.

— Nie traćmy ani chwili.

Callender skończył już robotę. Teraz odsłoniętych było szesnaście stopni. Carter zachęcił Carnaryona i jego córkę, by zeszli w dół.

—Jest kilka odcisków pieczęci! — zawołała.

—To znak nekropoli — wyjaśnił Carter.

Carnarvon przykleknął.

—Na dole są inne.

Zaintrygowany Carter podszedł bliżej. Rzeczywiście, niższa część drzwi miała dosyć wyraźne inskrypcje hieroglificzne.

Królewski kartusz parokrotnie powtórzony...

Carter poczuł, że serce przestało mu bić. Błady cofnął się o krok.

—Howardzie... źle się pan czuje?

Archeolog nie był w stanie odpowiedzieć. Wskazał tylko palcem kartusze.

—Tam... na drzwiach...

Carnarvon wziął go pod rękę.

—Co tam czytasz, Howardzie?

—Tutenchamon.

Ekstaza świętych musiała przypominać tę niewysłowioną radość, która ogarnia całą ludzką istotę, przenosząc ją w trudny do opisanego stan zawieszenia między niebem a ziemią. Nareszcie Tutenchamon! Król wyłonił się z głębi czasu.

Jego wieczyste mieszkanie odradzało się w dolinie, stając się

jej centrum.

Carnarvon nadal podtrzymywał Cartera.

—Koniaku?

—Nie... Muszę być przytomny. Chcę jeszcze raz obejrzeć te drzwi.

Carter bał się, że to pomyłka, że źle odczytał jakieś inne imię, ale to jednak Tutenchamona pochowano w tym dziwnym miejscu.

—To niesłychane, Howardzie — powiedział ciepło Callender.

—Brawo, panie Howardzie! — zawołała z zachwytem lady Evelyn. — Czy mogę pana ucałować?

Nie usłyszała przyzwolenia archeologa.

—To najpiękniejszy wyraz wdzięczności — uznał lord. — Jest pan człowiekiem sławnym i uwielbianym.
—Ojcostwo odkrycia przypada panu.
—Nie zamierzam przeczyć, że mam w tym udział, ale oto spełnia się pańskie marzenie.
—Nasze marzenie.
Carnarvon udał, że się zastanawia.
—Nie całkiem się pan myli.
Carter znów pochylił się nad pieczęciami.
—Czy jakiś inny monarcha dzieli z nim ten grobowiec?
—To dużo poważniejsze.
Carter pobladł. Carnarvon dostrzegł jego zmieszanie.
—Co się stało?
—Ten grób zgwałcono.

ROZDZIAŁ 61

— Skąd ta pewność?
— Jedną z pieczęci nekropoli położono na czymś w rodzaju pęknięcia. Drzwi otwarto po ich opieczętowaniu i potem ponownie przybito pieczęcie.
Carnarvon nie tracił nadziei.
—To wydarzenie miało miejsce przed epoką Ramesydów, skoro chaty robotników zbudowano nad tym grobowcem i one go ukryły i ocaliły.
—Niepodważalne rozumowanie — stwierdził Carnarvon. — Moze materiał pogrzebowy ocalał.
Poszukiwaczy ogarnął głuchy niepokój. Czy złodzieje dostali się do grobowca?
Ahmed Girigar zaalarmował Cartera. Z odłamków, które zalegały u stóp schodów, wy dobył właśnie skarabeusza. Archeolog nie mógł uwierzyć własnym oczom, bo nosił on imię Totmesa III. Zaciekawiony oglądał najmniejszą skorupkę, wspomagany przez lady Evelyn, która miała szczęśliwą rękę i wyłowila kilka fragmentów z inskrypcjami.
Pokazała je Carterowi, coraz bardziej zbitemu z tropu. /n.ów odcyfrował imię Tutenchamona, ale inne kartusze mówiły o obecności jego poprzedników, Echnatona heretyka

i Semenchara. Inny jeszcze odłamek wymieniał Amenhotepa III, ojca Echnatona.

—Pięciu faraonów — szepnął Carter.

—Co z tego wynika?

—Nic dobrego.

Callender zbierał fragmenty naczyń i drewnianych skrzynek na klejnoty i królewskie stroje; jedne należały do Tutenchamona, inne do Echnatona. Ten widok zniechęcał Cartera.

—Skąd ten pesymizm, Howardzie?

—Boję się, że ten grobowiec to tylko zwykły, od dawna obrabowany schowek. Relikwie dowodzą, że kapłani prze-
mieścili mumie tych królów, by je zabezpieczyć w tej jamie.

Po próbie kradzieży ukryto je gdzie indziej.

—Jest też inna możliwość: Tutenchamon, zmuszony do opuszczenia el Amarna i powrotu do Teb, ukrył tu skarby, które zabrał ze sobą.

Carter przytaknął szefowi, ale myślał o licznych rabunkach grobowców, o których mówiło wiele papirusów. Wyobrażał sobie narady złodziei, ich marsz w ciemności, napad na straż i wkroczenie do grobowca w poszukiwaniu złota. Ci kryminaliści nie szanowali mumii. Zrywali jej naszyjniki, klejnoty i amulety, zdejmowali maski, palili bandaże. Zabierali ze sobą wazy, meble i posągi, a następnie dzielili łupy. Po ich przejściu święty dom popadał w chaos i rozpacz. Carter bał się napotkać coś takiego po drugiej stronie opieczętowanych drzwi.

—Otworzymy to jutro — postanowił.

—Po co czekać? — zapytała niecierpliwa lady Evelyn.

—Ze względu na regulamin Urzędu do spraw Zabytków.

Carter nie buntował się, przybity. Rozczarowanie zajęło miejsce upojenia.

Lacau wysłał do doliny najbardziej ponurego z inspektorów, chudego i sztywnego Rexa Engelbacha, który nigdy się nie śmiał. Dwudziestego piątego listopada rano przybył na miejsce. Widok schodów nie wywołał w nim żadnej reakcji.

—Czy chodzi o drzwi grobowca u stóp schodów?

—To możliwe — odparł lord Carnarvon.

—W takim razie trzeba przewidzieć żelazną kratę.

—Jest przewidziana. Wcześniej zamierzaliśmy jednak wejść.

—Proszę nie zapominać, że inspektor Urzędu do spraw Zabytków musi być obecny w chwili otwarcia. Pierre Lacau

jest w tym względzie bardzo wymagający. Każde złamanie

przepisów będzie surowo karane.

—A ja proszę — wtrącił zirytowany Carter — żeby pan nie zapominał, że odkrywca ma prawo wejść pierwszy.

Rex Engelbach wyprostował się.

—Rzeczywiście sprecyzowano to w waszej licencji na wykopaliska, nad czym ubolewam. Pośpiech amatora jest niebezpieczny.

—Nie jestem amatorem i pracuję w tej dolinie dłużej niż pan.

Carnarvon wkroczył, obawiając się bójki.

—Więc proszę zostać. Pan Carter zaraz przystąpi do otwarcia.

Lady Evelyn, obojętna na urzędnicze spory, już stała pod drzwiami. Carnarvon sfotografował ją, zrobił też kilka zdjęć pieczęci.

—Może pan stwierdzić — rzekł Carter do Engelbacha — że pracujemy tu z całą powagą. Sam przerysowałem najdrobniejsze szczegóły i nasza publikacja będzie nie tylko dokładna, ale i pełna.

—Miejmy nadzieję.

—Musi pan potwierdzić istotny fakt.

Carnarvon i jego córka odsłoniли drzwi. Carter pokazał Engelbachowi ich wyższą, lewą część.

—Co tu jest tak szczególnego?

—Powłoka zaprawy. Przykrywa dziurę, którą przedostali się złodzieje.

—To tylko hipoteza.

—Niewątpliwa pewność. Proszę zaznaczyć w raporcie, że grób naruszono w starożytności.

Engelbach robił notatki. Carnarvon wymienił porozumiewawczy uśmiech z Carterem. Wobec Pierre'a Lacau i je-

go administracji różnica między „grobowcem nienaruszonym” a „grobowcem zrabowanym” może mieć wielkie znaczenie.

—Dokładny rodzaj tego grobowca?

—Żeby się tego dowiedzieć, panie Engelbach, trzeba tam wejść.

—To będzie długo trwało?

—Drzwi nie są szerokie.

—No to zaczynajmy.

Robotnicy zdejmowali kolejno kamienne bloki. Carter dojrzał wejście do wyraźnie obniżającego się chodnika wysokiego na dwa metry i tak szerokiego jak schody. Posuwanie się naprzód wymagało odgarniania rumoszu i ziemi. W odpadach tych kryły się godne uwagi szczątki: odłamki garnków, korki dzbanów, wazy z alabastru i wazy malowane. Carter zatrzymał się przy buklakach, w których przechowywano wodę potrzebną do gipsowania drzwi lub do samej zaprawy. Żaden z tych przedmiotów nie wymieniał imienia Tutenchamona lub jego poprzedników.

— To ślady kradzieży — uznał Carnarvon. — Bandyeci przebili sobie przejście w tej zaporze i zostawili tu część łupów.

Engelbach nadal robił notatki. O zmierzchu korytarz był już oczyszczony na odcinku około dziesięciu metrów.

— Nie widzę następnych drzwi — zauważył inspektor Urzędu do spraw Zabytków. — Nie ma pan szczęścia, Carter. Trafił pan na pustą i ponownie zatkaną skrytkę.

Dwudziestego szóstego listopada Rex Engelbach nie przybył już na teren wykopaliska, które uznał za nieciekawe. Rozgorączkowany Carter nie myślał o bolącej ręce. Fakt, iż uwolnił się od tego ograniczonego urzędnika, dodał mu skrzydeł. Jego podniecenie udzieliło się robotnikom — tryskali energią i nadal uważnie usuwali rumosz. Jeszcze tylko metr i odsłonili drugie drzwi, które niebawem oczyścili.

Tym razem czekała ich próba prawdy. Czy wejście do grobowca będzie bramą piekieł czy raj? Carter przypomniał

sobie, że sto lat wcześniej, czternastego września, Champollion w chwili natchnienia przeniknął tajemnicę hieroglifów. Jeśli brytyjski egiptolog otworzy drzwi pierwszego nienaruszonego grobowca, połączy się z nim w legendzie.

—Czy otworzymy te drzwi? — zapytała lady Evelyn.

—To może być niebezpieczne. Jeśli powietrza nie wymieniano tam od prawie trzydziestu czterech wieków, trudno

wykluczyć, że nie jest toksyczne.

—Gwiżdżę na ryzyko. Trzeba zapomnieć o strachu, gdy się przeżywa taką chwilę.

Carter spojrział pytająco na Carnarvona. Arystokrata nie wyraził sprzeciwu. Jego córka była równie uparta jak on.

— Jest sposób, by ustalić istnienie ewentualnych szkodliwych emanacji: płomień świecy. Jeśli świeca zgaśnie, wszyscy jak najszybciej opuszczamy grobowiec.

Ze ściśniętym gardłem Carter zrobił dziurkę w lewym górnym rogu drzwi. Wsunął tam żelazny pręt, który podał mu Callender, i trafił w próżnię. Po tamtej stronie nie było żadnej blokady. Potem zbliżył do otworu zapaloną świecę. Płomień chwiał się przez chwilę, ale nie zgasł.

— Proszę ją potrzymać — powiedział do Carnarvona. — Poszerzę otwór.

Carter patrzył, drżąc. Miał wrażenie, że wchodzi żywy w inny świat, przekracza święty próg, który oddziela ludzkość od bajecznej krainy.

Początkowo nie widział nic. Migocący płomień świecy oświetlał tylko małeńki krąg. Potem jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Powoli poszczególne kształty zaczęły wyłaniać się z mroku.

Carnarvon stał się równie niecierpliwym jak jego córka.

—Widzi pan coś?

—Tak, cuda.

ROZDZIAŁ 62

— Niezwykłe zwierzęta, posągi, złoto... wszędzie blask /Jota!

Z kolei spojrział oniemiały Carnarvon. Gdy przysła kolej

na lady Evelyn, okazała się równie oszczędna w słowach jak mężczyźni. Callender zaś stracił mowę. Przygoda zmieniła się w cud.

Carter zatkał pobieżnie dziurę i cała czwórka w milczeniu opuściła grobowiec. Callender założył drewnianą kratę na zewnętrzne drzwi i poprosił *reisa*, by pełnił straż przez całą noc. Ahmed Girigar nie zadawał żadnych pytań. Trzej mężczyźni i lady Evelyn dosiedli osłów i bez słowa ruszyli do domu archeologów. Suzi towarzyszyła im w milczeniu.

Callender nalał cztery kieliszki koniaku. Alkohol przełamał milczenie Carnarvona.

—Dziesiątki, a może setki arcydzieł... Dolina jest hojna, Howardzie.

—To najcudowniejszy dzień naszego życia, dzień cudu... I pomyśleć, że Davis przerwał wykopaliska dwa metry przed

tym grobowcem! Ale nie rozumiem jego planu. Nie jest podobny do żadnego z grobowców.

—Czy ma kilka komnat? — zapytała lady Evelyn.

—Dojrzałem jakby ślad przejścia na północnej ścianie, Pewnie zamurowane drzwi.

—Ani sarkofagu, ani mumii — zauważył Callender.

—Więc widać to skrytka — podsumował Carter.

—Czyżby pan zapomniał o tym przejściu, które może prowadzi do komory grobowej? — zaproponował Carnarvon. — Jeśli nie naruszono zamurowanych drzwi, Tutenchamon spoczywa jeszcze w swoim sarkofagu.

—Musimy opróżnić przedsionek, zbadać cały grobowiec... Trzeba nam dużo cierpliwości, zanim spotkamy fara-

ona... jeśli on istnieje.

Lady Evelyn wstała rozniewana.

—Wracajmy do grobowca.

—Nie chce pani powiedzieć, że...

—Owszem. Trzeba rozpocząć jeszcze tej nocy.

—Jeśli Urząd do spraw Zabytków dowie się o tym, unieważni naszą licencję.

—*Reis* nas nie zdradzi — zapewnił Callender. — To wspaniały typ. Dopuścimy go do tajemnicy.

—Trzeba napisać list do Engelbacha — rzekł Carnar-

von. — Powiemy mu, że drugie drzwi zostały odsłonięte i że oczekujemy go jutro rano na wykopalisku.

— Czy otrzymawszy ten list dziś wieczór, nie zjawi się tu natychmiast? — zaniepokoiła się młoda kobieta.

— Nie ma takiego ryzyka. Urząd kończy pracę o piątej po południu. Engelbach znajdzie list dopiero jutro.

— A więc, panowie, zaopatrmy się w latarki. Ja idę pierwsza.

Ahmed Girigar przywiązał osła do słupka i gdy cała czwórka weszła do środka, podjął wartę przed drewnianą kratą. W towarzystwie Suzi pełnił straż na zewnątrz.

Carter wahał się, czy sforsować drzwi do komory zamkniętej przez kapłanów w czasach świetności Egiptu. Czy takie przedsięwzięcie nie było naznaczone pieczęcią szaleństwa?

— Trzeba by poszerzyć otwór — stwierdził Carnarvon.

— Powinniśmy zrezygnować — oświadczył Carter.

Lady Evelyn zbliżyła się do archeologa i wzięła go za rękę.

— Oczywiście to pan decyduje... ale niech pan nie robi nam tej przykrości.

W mroku jej uśmiech przypominał uśmiech egipskiej bogini.

Carter poszerzył otwór.

— Chciałabym wejść pierwsza. Jeśli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, to ja powinnam stawić mu czoło.

— Lady Evelyn...

— Nie zmienię zdania, panie Carter. Archeolog musi koniecznie przeżyć, by napisać naukowy raport.

Carnarvon pomógł córce. Carter poradził sobie sam, u potem podał ramię lordowi, którego Callender delikatnie przepchnął. Lady Evelyn oświetlała ich latarką.

— Zaklinowałem się — jęczał Callender, znacznie korulentniejszy od towarzyszy.

Carter pociągnął go. Odpadł jakiś kamień i przyjaciel w końcu się przecisnął.

Przytuleni do siebie, z bijącym sercem skierowali latarki na skarb. Nagromadzenie przedmiotów przeszło najśmielsze marzenia: złożone rytualne łoża, królewskie posągi z czarnego drewna, malowane i inkrustowane kufry, alabastrowe wazy, krzesła, laski, zdemontowane części rydwanów... Wzrok skakał od jednego arcydzieła do drugiego.

Lekki zapach unosił się w tym powietrzu, którym odychali jako pierwsi od ponad trzech tysięcy lat.

Lady Evelyn wyrwał się krzyk.

— O, tam jest wąż!

Chciała schronić się w ramiona Cartera, ale Callender stanął między nimi.

— To wąż, ale ze złożonego drewna.

Gdy wzruszenie minęło, archeolog zmierzył pomieszczenie: miało 8 metrów długości, 3,60 metrów szerokości i 2,20 metrów wysokości. W tej małej przestrzeni zgromadzony był bajeczny wprost skarb, jakiego dotąd nie odkryto w Egipcie.

—Jaki tu bałagan — zauważył Carnarvon. — Przedmioty ustawione jedno na drugim... Chyba że zaskoczono złodziei przy pracy.

—To uporządkowany nieład — sprostował Carter. — Spójrzcie na ziemię.

Na ziemi rozłożone były kawałki tkanin i wyschłe kwiaty, których nikt nie podeptał.

— Ci, co po raz ostatni dotknęli tej świętej ziemi, starali się niczego nie zniszczyć. My stoimy nie tylko wobec materialnego skarbu, ale wobec duszy Egiptu. Nasze nozdrza wypełnia zapach wieczności.

Carter, niezwykle poruszony, znieruchomiał przed trzema łożami zmartwychwstania: jedno, z głową lwa, symbolizowało czujność, drugie, z głową krowy, przywoływało niebiańską matkę, a ostatnie, z głową hipopotama, uosabiało macicę odrodzenia. Ich rysujący się na ścianie cień jakby przywracał im życie.

Lady Evelyn nie ośmieliła się otwierać dziesiątków szkatulek z cennego drzewa i pudełek w kształcie jaja. Ścienne malowidło przedstawiające Tutenchamona na rydwanie, który zwyciężył umykających nieprzyjaciół, wprowadziło ją

w rodzaj ekstazy. Carter uniósł pokrywę kufra na cześć młodego króla: wewnątrz były sandały i ubrania ozdobione kolorowymi paciorkami.

— On nosił te szaty i wkładał te sandały — powiedziała wzruszona Evelyn.

Carnarvon podziwiał tron: rzeźba na oparciu poświęcona była Tutenchamonowi i jego młodej małżonce. Królowa, stojąc naprzeciw męża, wyrażała swoje uczucie, wyciągając do niego ramię w geście czułości i niezrównanej dystynkcji.

—To najpiękniejsza płaskorzeźba egipskiej sztuki — szepnął Carter.

—Jaki pan musi być szczęśliwy — rzekła lady Evelyn, stojąc tak blisko, że prawie go dotykała.

Błogosławione chwile trwały. Mnóstwo jedynych w swoim rodzaju przedmiotów przyciągało wzrok egyp-tologa.

—Chodźcie tu — zaproponował Callender, który mimo tuszy poruszał się, niczego nie potracając. — W południowo-

-zachodnim kącie przedsionka jest otwór.

—Jeśli wąski, to ja idę pierwsza!

Lady Evelyn z latarką w rękę zrobiła to od razu. Natychmiast wezwała też Cartera, który na czworakach wpełzł do małego kwadratowego pomieszczenia, tak jak przedsionek wydrążonego w skale. Ono też wypełnione było wspaniałymi przedmiotami, złożonymi łóżami, złotymi krzesłami, alabastrowymi wazami. I tu panował nieporządek, jakby burza przeszła przez to miejsce, niszcząc pierwotny ład.

Carter był przytłoczony. Badanie zawartości przedsionka i aneksu wymagać będzie lat inwentaryzacji i poszukiwań. Trzeba będzie zrozumieć i wyjaśnić, dlaczego w ten sposób pomyślany został jedyny nienaruszony grobowiec Doliny Królów. Grobowiec... czy to właściwe słowo? Czyż nie brakło samego Tutenchamona?

Wróciwszy do przedsionka, Carter skierował się ku przy-
jęcie przejścia, które chyba odróżniał na północnej ścianie. M usiał zderzyć się ze spojrzeniem dwóch posągów z czarnego drewna, uosobień samego króla jako strażnika własnego grobowca. W głębi duszy błagał, aby wybaczył mu to wtarg-

nięcie i obiecał im szanować duszę i ciało faraona, jeśli dotrze do jego sarkofagu. Z jednej strony Carter był już teraz przekonany, że znajduje się w królewskim grobowcu, a nie w najbardziej nawet bajecznej skrytce, z drugiej jednak zdumienie budził w nim niezwykle plan grobowca, w niczym nie przypominający innych. Zazwyczaj dłuższy lub krótszy korytarz z bocznymi kaplicami prowadził do komory grobowej. Czy tu ukryto ją za murami przedsionka?

Inny niż reszta muru kolor zaprawy świadczył o istnieniu jakiegoś przejścia. Przybito na nim pieczęcie nekropoli. Kapłani zatkali więc otwór, opuszczając sekretną komnatę.

—Czy chce pan iść dalej, milordzie?

—Oczywiście — odpowiedziała za ojca lady Evelyn.

Carter z pomocą Callendera wyrwał kilka bloków. Promień jego latarki oświetlał tylko coś w rodzaju wąskiego korytarza, zapewne prowadzącego do innego pomieszczenia. Musiał więc wyjąć inne bloki i odsłonić dół ściany, by się tam wśliznąć. Carnarvon, jego córka i Callender wstrzymali oddech.

Nagle Carter zniknął, jakby wpadł w przepaść.

— Howardzie! Gdzie jesteś?

Znow pojawiła się głowa archeologa.

—Wszystko w porządku... Poziom jest tu obniżony o prawie metr w stosunku do przedsionka. Ta różnica mnie zaskoczyła.

—Co pan widzi?

—Na razie nic... muszę znaleźć latarkę.

Milczenie nie trwało długo.

—O mój Boże! Złota ściana!

Nogami naprzód lady Evelyn wcisnęła się w dziurę w mu-

rze. Połączone latarki jej i Cartera oświetliły olbrzymią skrzynię-kaplicę, niemal całkowicie wypełniającą pomieszczenie równie małe jak przedsionek, lecz większe od aneksu.

— Komora grobowa... Jesteśmy w niej!

Po nich wszedł Carnarvon. Otyłość Callendera nie pozwoliła mu skorzystać z tej drogi. On i Carter postanowili nie wyjmować kolejnych bloków. Zatkanie dziury w murze nie może im zabrać zbyt dużo czasu.

Zafascynowany lord pogłaskał złoto gigantycznego katafalku, którego drzwi zamknięte były na rygiel.

— Spoczywa w środku, jestem pewny. Po raz pierwszy faraon w złotym sarkofagu!

Carter lekko pociągnął zasuwkę.

Trumnę pokrywał biały całun obsypany różami.

— On tu jest — szepnął zduszonym głosem. — Dobrze mu tutaj i będę o niego dbać.

Drżącymi rękoma zamknął drzwi skrzyni i zasuwę.

— Dzisiejszej nocy już nie sposób iść dalej, nie ryzykując zniszczenia tych cudów.

Lady Evelyn, przykucnąwszy, skierowała latarkę na przejście wybite w północno-wschodnim rogu komory grobowej.

— O, tam jest inny pokój... to niesamowite!

Carter i Carnarvon przeczołgali się za młodą kobietą. Ich wzrok przyciągnął niezwykle złożony relikwiarz. W czterech jego rogach cztery złote boginie wyciągały ręce w opiekuńczym geście. Twarze były tak doskonałe, ciała tak piękne, że

ogarnęło ich prawdziwie nabożne uczucie.

—Musimy już iść — powiedział z żalem Carter. — Trzeba wrócić do domu przed świtem.

—To największe odkrycie wszechczasów — szepnął Carnarvon. — Jest tu dosyć przedmiotów, by wypełnić całą górną część British Museum poświęconą Egiptowi.

Z żalem opuścili ten nowy pokój pełen skarbów, gdzie królowa! wspaniała! posąg szakala Anubisa. Kasetki, wazy, lampy, kosze, modele łodzi i klejnoty ułożone pod ścianami tworzyły olśniewająco piękną dekorację.

Trochę otumanieni powrócili do komory grobowej i przedostali się do przedsionka. Callender wstawił na miejsce kamienne bloki, a Carter przysłonił przejście pokrywą kosza i lodygami trzciny.

Ahmed Girigar o nic nie pytał. Cztery cienie dosiadły osłów i — z Suzi jako przewodnikiem — zniknęły w ciszy kończącej się nocy.

ROZDZIAŁ 63

Carter nie zasnął. Przekonywał sam siebie, że nie śnił i że grobowiec Tutenchamona naprawdę istnieje. Aby się w tym upewnić, spojrzął na pospiesznie naszkicowany plan.

| | | |
|---------------------|--|-------------------|
| ANEKS 1 1 | | KOMORA GROBOWA |
| PRZEDSIONEK | | |

SKARBIEC

KORYTARZ

SCHODY



Jedyny nienaruszony królewski grobowiec w dolinie składał się z czterech małych pomieszczeń. Choć niepodobny do żadnego innego, grobowiec zawierał wszystkie istotne elementy. Nie było to pospiesznie przygotowane miejsce, ale starannie wykończony wszechświat, w którym znalazły swoje miejsce wszystkie rytualne przedmioty niezbędne w przyszłym życiu króla. Tutenchamon oferował więc doskonałą drogę poznania temu, kto pragnął odkryć tajemnice egipskiej duchowości, a poprzez nią także tajemnice zmartwychwstania.

Wczesnym rankiem Carter obudził Callendera i poprosił, aby przygotował instalację elektryczną, która podłączona do głównego generatora doliny pozwoliłaby oświetlić grobowiec Tutenchamona. Sam natomiast zdjął pieczęcie z dru-

gich drzwi, które miały być zdemontowane. Wspomagany przez córkę Carnarvon robił zdjęcia. Oni także nie zmużyli oka. Wszyscy bali się przybycia Rexa Engelbacha.

Koło południa przed wejściem do grobowca zjawił się jeden z jego podwładnych, Ibrahim Effendi. Powitał go Carter.

— Pan Engelbach przekazał mi pański list. Inne zajęcia zatrzymały go w mieście. Ja też jestem dosyć zajęty, więc gdybyśmy mogli szybko...

Mężczyzna był raczej oschły i wyniosły. Carter zaprowadził go aż do drzwi przedsionka i zwrócił uwagę na ślady rabusiów. Przedstawił też inspektora Carnarvonowi i jego córce, którzy pochwalili kompetencje Urzędu do spraw Zabytków. Gdy już dopełniono tych uprzejmości, Callender przystąpił do demontażu drzwi.

Na progu spoczywała alabastrowa waza. Carter podniósł ją i przeczytał zdobiący jej brzeg hieroglificzny napis:

*Niechaj twoje ka * żyje! Obyś mógł tu spędzić miliony lat, ty, co kochasz Teby, siedząc zwrócony twarzą do północnego wiatru, ze wzrokiem wpatrzonym w niebiańską szczęśliwość.*

— To ostatnie życzenie — oceniła lady Evelyn. — Pewnie jego małżonki, kiedy opuszczała grobowiec.

Ziemia pokryta była żwirem, odłamkami glinianych naczyń i roślinnymi odpadkami. Ibrahim Effendi ostrożnie posuwał się naprzód, zdziwiony takim nagromadzeniem przedmiotów: laski, broń, kosze, naczynia, berła, trąbki, szkatułki, krzesła... Carter, który penetrował ściany za pomocą silnej latarki elektrycznej, zwrócił uwagę na otwarte przejście w południowo-zachodnim rogu przedsionka. Inspektor potwierdził istnienie aneksu, jeszcze bardziej zagraconego niż główne pomieszczenie. Carter zaznaczył, że pewna liczba szkatulek i koszy została otwarta i że grobowiec należałoby uznać za obrabowany.

— Ciekawi złodzieje — zaoponował inspektor. — Nie-

* Twórcza moc, która przeżywa śmierć.

wiele stąd wynieśli. Proszę spojrzeć na te zawinięte w szal złote kółka. Nietrudno je było *zabrać*.

— Wniosek narzuca się sam — oświadczył Carnarvon. — Bandyty zostali zaskoczeni i aresztowani. Potem kapłani pobieżnie to uporządkowali.

Wyjaśnienie chyba usatysfakcjonowało inspektora. Carter zachował dla siebie inną hipotezę, która wykluczała kradzież: aby zachować skarb Tutenchamona, przewieziono go do innego grobowca z wyraźnym pośpiechem. Niejasna sytuacja polityczna? Działanie magii? Chęć ocalenia przesłania uznanego za istotne? Zapewne mieszanka wszystkich tych motywów.

Ibrahim Effendi dostrzegł pokrywę kosza i trzciny. Odśunał je, odsłaniając zniszczoną część muru.

— Jest jeszcze inne pomieszczenie.

— To pewne — przyznał Carnarvon — ale nierozważna byłaby rozbiórka tej ściany przed opróżnieniem przedsionka.

— Jak zamierzacie panowie dalej prowadzić roboty? — zapytał Cartera urzędnik.

— To gigantyczna praca. Trzeba przygotować plany, wszystko sfotografować, czuwając nad tym, by magnezowy

flesz nie spowodował pożaru, i wynieść wszystkie przedmioty, nie niszcząc ich. Niewątpliwie niektóre trzeba będzie

odnowić, nim się je ruszy. Mój kolega Callender zajmie się

konstrukcją żelaznej kraty, która zabezpieczy grobowiec przed ludzką zachłannością. Poza tym w nocy strażnik czuwać będzie w korytarzu.

— Doskonale. Inspektor Urzędu do spraw Zabytków sprawdzać będzie postęp waszych prac co drugi dzień. Nasz

dyrektor bardzo pilnuje przestrzegania przepisów.

— My też — dodał lord Carnarvon.

Pierwsza inwazyjna fala załała dolinę tego samego popołudnia. W Luksorze mówiono tylko o bajecznym odkryciu Carnarvona i Cartera. Egipcjolodzy rzucili się na zachodni brzeg, uznając, iż mają prawo obejrzeć grobowiec, który miał czelność wydobyć na światło dzienne odbiegający od powszechnych norm archeolog.

Howard Carter zdecydowanie odmówił otwarcia kraty. Nie przerażała go sfera wyjących psów, których szczekania nasłuchiwał się w ciągu całej swojej kariery.

—To nie jest grobowiec Tutenchamona, lecz Horemheba! — wykrzykiwał jakiś brytyjski erudyta.

—Nieprawda. Musi się pan lepiej poinformować. Grobowiec Horemheba znajduje się w dolinie, ale nie w tym miejscu.

—Czy to nie jest skrytka pałacowego wyposażenia? — sugerował uczonego francuski.

—Nie.

—Podobno rozpoznano jakieś przedmioty z Mezopotamii — twierdził pewien Niemiec — i wcale nie chodzi tu o egipski grobowiec.

—Chodzi o najwspanialszą sztukę faraonów w najczystszym stylu osiemnastej dynastii.

—Niech nam pan pokaże te arcydzieła!

—Lord Carnarvon postanowił się nie spieszyć. Ponieważ stanęliśmy wobec najbardziej niezwykłego kiedykolwiek odkrytego skarbu, winni mu jesteśmy pełen szacunek.

—Ale nie każe nam pan przecież czekać? — protestował Francuz.

—Jeśli będzie trzeba, to nawet kilka lat. Wybaczcie mi, panowie. Cieszy mnie wprawdzie wasze towarzystwo, ale Tutenchamon pochłania całą moją uwagę.

Tego wieczora gubernator prowincji był na kolacji w Winter Palace z lordem Carnarvonem i jego córką.

—Lordzie, Egipt jest z pana dumny. Pański archeolog, Howard Carter, działa bardzo skutecznie. Niestety, ma trudny charakter. Koledzy ubolewają nad jego postawą.

—On ubolewa nad nimi już od wielu lat. Ludzie zazdroszczą mu sukcesu, panie gubernatorze.

—Zapewne... ale czy nie mógłby przyspieszyć prac wykopaliskowych? Zazwyczaj nie podejmuje się aż takich ostrożności.

—To prawda. Belzoni rozkopywał grobowiec w dziesięć

dni, a czasem w dziesięć godzin... Tutenchamon wymaga jednak wielu zabiegów.

—Carter nie zamierza chyba inwentaryzować przedmiotów jedne po drugich?

—Oczywiście, że tak — odparła lady Evelyn. — Żadne naciski tego nie zmieniają.

—Nauka oczekuje szybkiej publikacji...

—Nauka podporządkuje się wymaganiom wykopalisk.

—Nie należałoby powtarzać smutnego doświadczenia grobowca numer pięćdziesiąt pięć — uprzejmie uściślił Carnarvon.

— Pospiesznie go odsłaniano i został zdewastowany przez specjalistów.

—Oczywiście, oczywiście... ale rok pracy powinien wystarczyć, żeby...

—Tutenchamon zdecyduje — rzekła lady Evelyn z uroczym uśmiechem.

Carnarvon doszedł do wniosku, że wystarczy już tego grania na nerwach gościa.

—Niech pan będzie spokojny, panie gubernatorze... Zorganizujemy oficjalne otwarcie grobowca, aby pan i inni dostojnicy mogli go obejrzyć i zachwycić się skarbem.

—Ach... cóż za wspaniały pomysł! Czy przewidział pan już jakiś termin?

—Odpowiadałby panu dwudziesty dziewiąty listopada?

—Wspaniale.

Atmosfera stała się wręcz serdeczna. Gubernator otrzymał zapewnienie, że będzie wśród pierwszych komentujących nieznaną jeszcze wspaniałość. Carnarvon nie dodał, że wysłano już część zaproszeń i że zapomniano poprosić o pozwolenie Urząd do spraw Zabytków.

Wieść o grobowcu rozeszła się po całym Egipcie. Dziennikarze, odcięci od dokładnych informacji, musieli zmyślać i puszczać wodze własnej fantazji, bo Carnarvon odmawiał wszelkich spotkań przed oficjalnym otwarciem, które stało się narodowym wydarzeniem.

Dwudziestego ósmego listopada rozeszła się plotka, że w Dolinie Królów wylądowały trzy samoloty. Wielu świad-

ków widziało na własne oczy, jak Carter przenosił olbrzymie skrzynie i ładował je do luków. Wypełnione skarbami Tutenchamona samoloty odleciały w nieznanym kierunku, a wiarołomny archeolog zniknął.

— Dolina to miejsce niezwykle — powiedział Carter kilkudziesięciu reporterom, którzy przybyli tam, by sprawdzić informację — ale nie może służyć jako pas startowy. Za dużo tu dziur i pagórków!

ROZDZIAŁ 64

Lady Allenby, reprezentująca wysokiego komisarza, który wrócił do Kairu, gubernator prowincji oraz szef lokalnej policji byli w pierwszym rzędzie wybitnych osobistości, które dwudziestego dziewiątego listopada tłoczyły się przed wejściem do grobowca. Niektórzy notable zauważyli nieobecność Pierre'a Lacau oraz przedstawiciela Ministerstwa Robót Publicznych, które zajmowało się też sprawami archeologii. Lord Carnarvon zachowywał się, jakby grobowiec był jego własnością. Któż jednak w takiej chwili mógłby mu to wyrzucić?

Carter był zdenerwowany. On, który nienawidził światowego życia, będzie musiał oprowadzać te gadatliwe i niezdiscyplinowane osobistości, dbające tylko o swoje przywileje, czyli — w tym przypadku — o to, aby jako pierwsi mogli obejrzeć złoto zapomnianego faraona. Gdy Carter wkraczał z nimi w schodzący w dół korytarz, Carnarvon zajmował się prasą, ograniczoną jedynie do Arthura Mertona z *Timesa*, któremu pozwolono zwiedzić grobowiec i napisać artykuł.

—Moi egipscy koledzy są niezadowoleni — wyznał. — A wręcz wściekły Bradstreet, korespondent *New York Timesa*, grozi panu odwetem.

—Amerykanie są drażliwi. Niech pan robi swoje i nie zajmuje się resztą.

Zachwycony Merton stał się autorem światowego przeboju. Dzięki wyłączności dla *Timesa* artykuł poświęcony sensacyjnemu odkryciu szybko obiegił świat. Tutenchamon

stał się gwiazdą aktualności, której dzienniki i tygodniki poświęcały tyleż artykułów, co rządzącemu monarsze. Już trzydziestego listopada agencja Reutersa oceniła skarb na kilkanaście milionów funtów szterlingów i rozbudziła najróżniejsze żądze. Carnarvon był raczej zadowolony ze swojej strategii. Skoncentrowanie informacji było majstersztykiem. Rozproszenie byłoby ją osłabiło. To, że dziennikarze biją się między sobą i umizgują do Mertona, przyniosło mu ulgę. Nie mógł jednak uniknąć przeciwnika, który po południu trzydziestego listopada kierował się wolnym krokiem ku wejściu do grobowca.

—Piękne odkrycie — powiedział Pierre Lacau.

—To zasługa Cartera.

—Podobno udała się wczorajsza mała uroczystość.

—Carter oczarował naszych gości.

—Jako dyrektor Urzędu do spraw Zabytków powinienem być tam obecny.

—Godna pożałowania pomyłka przy wypełnianiu zaproszeń pozbawiła nas tej radości.

—*Błąd dotknął również ministra robót publicznych.*

—To prawo serii.

— Czy zamierza mi pan zakazać wejścia do grobowca?

Carnarvon oburzył się.

— Jak pan może tak sądzić!? Pozwoli pan, że go oprowadzę. Carter bardzo się ucieszy z tego spotkania.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Carter, który rozpoczął inwentaryzację, nie przerwał pracy. Lacau nie objawił

żadnego wzruszenia na widok jedynych w swoim rodzaju dzieł sztuki, które wypełniały przedsionek. Carnarvon opowiedział mu, że niestety grobowiec został obrabowany oraz że to pomieszczenie połączone jest z dworną innymi, ale jedno z nich jest niedostępne.

—Kiedy zamierzacie przebić ścianę?

—Nie wcześniej niż w lutym przyszłego roku. Muszę wrócić do Londynu, a Carter pragnie posuwać się naprzód,

zachowując jak największą ostrożność.

—Tym lepiej. Macie dużo szczęścia.

—Czy nie zabiegaliśmy o nie?

—Wszystko, co tu widzę, jest wyjątkowe. Obu panów

uwążam za odpowiedzialnych za bezpieczeŃstwo tych przedmiotów.

— Cieszę się, że pan tak uważa — odparł ironicznie Carter.

Wierzchem dłoni Carter odsunął górę telegramów i listów, które zebrały się na jego biurku.

—Oni zwariowali... Nie wiedziałem, że mam setkę bliskich kuzynów, gotowych przyjechać mi pomóc, a zwłaszcza dzielić ze mną skarb!

—Artykuł *Timesa*, sprzedany całej światowej prasie, zrobił furorę — rzekł Carnarvon. — Tutenchamon stał się największą międzynarodową gwiazdą, a pan jest jego impresariem.

Wyciągnięty na szeszlengu lord popijał piwo. To wszystko zaczynało go bawić.

—Jestem archeologiem i chcę mieć spokój!

—Niech się pan uspokoi, Howardzie. Podniecenie w końcu opadnie.

—To trwa już dziesięć dni i wcale się nie zmniejsza! Można jeszcze znieść pełne hipokryzji pochwały... Ale jak

traktować pogróżki, przekleństwa, idiotyczne rady i wątpliwe żarty? Tysiąc osób prosi, aby im wysłać trochę złota albo garść piasku, który nabożnie zachowają!

—To cena sławy, mój drogi. Od najbogatszego człowieka świata można żądać wszystkiego.

—Nikt nie ograbi Tutenchamona.

—Cóż to za faraon! On, o którym nic nie wiadomo, zaćmił wszystkie koronowane głowy, międzynarodowe kon-

ferencje, debaty dotyczące szkód wojennych, a nawet zawody

krykieta. Po tylu wiekach milczenia wyszedł na przód sceny

i przemawia donośnym głosem.

—Czy pan wie, iż oskarżono nas o to, że obudziliśmy złe moce śpiące w grobowcach? To z ich, a więc z naszego powodu, belgijscy żołnierze dopuszczają się okropności w Kongo.

—Howardzie, dzięki tobie cały świat zaczął marzyć, więc nie przejmuj się kilkoma koszmarami.

—Nie mogę już stąd wyjść, żeby mnie nie napadali dziennikarze. Chcą wszystko wiedzieć o Tutenchamonie.

—Co im odpowiadasz?

—Że umarł i został pochowany w Dolinie Królów.

—To nie musi ich zbytnio bawić.

—Nie znoszę ich! Nie jestem cyrkowcem, lecz uczonym, który spędził życie w służbie starożytnego Egiptu w najbar-

dziej niegościnnych miejscach, przekopując tony piasku, ucząc się cierpliwości, milczenia i samotności. Uwolnijcie mnie od tych pasożytów.

—Niestety, Howardzie, dla nas to dopiero początek epidemii.

W grudniu 1922 roku natarły na dolinę hordy dziennikarzy, erudytów, handlarzy, a zwłaszcza turystów. Grobowiec Tutenchamona był obowiązkowym miejscem odwiedzin. Należało obejrzeć jego wejście i spróbować się tam dostać. W tłoku, zamęcie i kurzu wszyscy próbowali pertraktować z Carterem, zadawać mu pytania, uzyskać informacje o najnowszym odkryciu.

Ledwie zaświtało, turyści przybywali wózkami lub na grzbiecie osłów i zasiadali na kamiennej balustradzie, którą Carter kazał zbudować wokół grobowca. Każdy przepowiadał sąsiadowi, że zaraz zdarzy się coś niezwykłego, na przykład że wyjdzie złoty posąg lub pojawi się mumia. Niektórzy mówili bez przerwy, inni czytali, jeszcze inni fotografowali się na tle grobowca. Kiedy Carter wychodził na zewnątrz, zaczepiali go i niemal wpadali w histerię. Czasem archeolog myślał, że balustrada runie pod ich ciężarem.

Tego grudniowego ranka jakiś telegrafista uzyskał pozwolenie przekroczenia bariery straży i wejścia do korytarza, gdzie czekał na niego Carter.

—Jakaś wiadomość dla mnie?

—I tak, i nie.

—Proszę to wyjaśnić.

—Jestem turystą... Agencja obiecała mi, że będę mógł zwiedzić grobowiec. Zdobyłem więc ten mundur i oto jestem!

Carter chwycił faceta za kołnierz marynarki i wyrzucił z grobowca. Ledwie zakończył tę operację, pojawiła się grupa oficjeli. Musiał obejrzyć ich rekomendacje, napisane przez dyplomatów i funkcjonariuszy Muzeum Kairskiego, by upewnić się, że nie są sfałszowane. Przez pół godziny prezentował im, jak tyłu innym, arcydzieła przedsonka.

Wychodząc, jeden z tych uprzywilejowanych szepnął do ucha małżonki: „W gruncie rzeczy nie ma tu wiele do oglądania”. Wściekły Carter zamknął drewnianą kratę, opuścił dolinę, przebył Nil i pospiesznie udał się do Urzędu do spraw Zabytków, gdzie Ibrahim Effendi popijał kawę.

— Już się nie zwiedza grobowca Tutenchamona!

Urzędnik wstał zdumiony.

—Panie Carter! To niemożliwe! On przyciąga tysiące turystów; hotelarze i kupcy są zachwyceni.

—Mam zamiar wszystko zasypać i zniknąć, póki nie skończy się to zamieszanie.

—Oskarżą pana o egoizm i grubiaństwo.

—Więcuczony, który nie godzi się na to, by mu przeszkadzano, zasługuje na potępienie? Dziesięć wizyt dziennie

to pięć straconych godzin pracy. Dlaczego ci wieczni uprzy-

wilejowani mają więcej praw niż inni, choć nic ich nie obchodzi Tutenchamon, jego grobowiec i cały Egipt? Kieruje

nimi tylko ciekawość i snobizm. Ważne jest to, że mogą epatować znajomych, bo udało im się zdobyć przepustkę.

—Pański zawód wymaga...

—Pomówmy więc o moim zawodzie! Powszechnie uważa się, że archeologia to rozrywka miliarderów. Ilu „archeologów” urobiło się po łokcie na wykopaliskach? Zwykle powierzają pracę robotnikom albo niezdarom! Ja muszę ocalić skarb Tutenchamona i ocalę. Nie pozwolę, aby głupcy

/rujnowali przedsonkę i przewracali znajdujące się tam przedmioty. Od tej chwili nie uwzględniam żadnych rekomendacji. Pozwolenie zwiedzania mogę wydać tylko ja sam.

Carter zatrzasnął za sobą drzwi. Urzędnik pomyślał, że archeolog ma wrodzony talent do zwiększania liczby własnych wrogów.

ROZDZIAŁ 65

Wieczorem drugiego grudnia Carter, Carnarvon i lady Evelyn jedli kolację w prywatnym salonie Winter Pałace. Młoda kobieta w wydekoltowanej turkusowej sukni promieniała. Lord był w dobrym humorze, a Carter zmęczony i zatroskany.

—Zabawna wiadomość, Howardzie. Porozumiał się ze mną konserwator egipskiej kolekcji British Museum, Budge.

Nagle doszedł do wniosku, że pan i ja jesteśmy wielkimi archeologami.

—Chce coś dostać.

—Wydaje się, że nie wierzysz w jego szczerość.

—British Museum nic nie dostanie.

—Ja też jestem tego zdania. Długotrwała pogarda może wywołać niechęć.

Lady Evelyn wyraziła niepokój.

—Wydaje się pan bardzo zmęczony.

—Jestem pełen niepokoju.

—Dlaczego?

—Badanie tego grobowca i jego zawartości przekracza moje kompetencje. Nie tylko opróżnianie go będzie długie

i kosztowne, ale jeszcze potrzebni mi są eksperci.

Carnarvon bał się, że to usłyszy.

—Długie i kosztowne — powtórzył.

—Ale przecież nie wycofasz się, ojczule!

—Jeśli zwrócimy koncesję Urzędowi do spraw Zabytków — wtrącił Carter — straci pan wszystkie prawa do przedmiotów.

—Więc co pan proponuje?

—Stworzyć ekipę.

—Wspaniale! — pochwaliła lady Evelyn.

—Oczywiście pan już wybrał swoich współpracowników — wtrącił Carnarvon.

—Bardzo mi pomógł mój przyjaciel Winlock.

—Metropolitan Museum! Do niego się pan odwołał?

—Czy nie jest wiernym i oddanym partnerem?

—A reszta ekipy?

—Harry Burton, najlepszy fotograf świata w dziedzinie

archeologii. Arthur Mace, siostrzeniec Petriego, specjalista od renowacji i pakowania obiektów, a także dwóch rysowników. Profesor Breasted zajmie się inskrypcjami, tak samo gramatyk Gardiner. Callender nadal będzie mi pomagać, a niebawem dołączy do nas chemik Lucas. Carnarvon zapalił cygaro.

— Doskonale, Howardzie. Pan mnie codziennie bardziej zadziwia. Nie wiedziałem, że jest pan także przywódcą ludzi, zdolnym zjednoczyć najlepszy na dziś zespół. Intryguje mnie jeden szczegół: ile to mnie będzie kosztować?

Carter uśmiechnął się.

— Nic.

Mimo dużej wprawy w posługiwaniu się angielską flegmą, Carnarvon omal się nie udusił, połykając dym.

—Słucham?

—Nasze odkrycie wzbudziło entuzjazm Lythgoe'a, jednego z dyrektorów Metropolitan. Stawia swój personel do naszej dyspozycji za darmo.

—Więc w czym sęk?

—Chciałby się z panem spotkać i negocjować... w innym rejestrze.

—Ulżyło mi... Przez chwilę sądziłem, że już nic nie pojmuję z ludzkiej natury. Gdzie on jest?

—W Londynie. Uważa, że takie spotkanie nie powinno odbywać się w Egipcie.

—Ma rację. Zasypcie grobowiec, postawcie straż i jak najszybciej zbierzcie członków całej ekipy. Wyjedziemy do

Londynu czwartego grudnia.

—Tak szybko? — zaprotestowała lady Evelyn.

—Nie mamy wyboru. Howard to człowiek bezlitosny. Wrócimy tu jak najszybciej.

Carter odgadł, że smutek, który odczytał w oczach lady Evelyn, był przeznaczony dla niego.

—Z tym fotografem to doskonały pomysł — podjął Carnarvon.

—Znam pańskie zamiłowanie do tej sztuki, ale...

—Nie czuję się urażony. Mimo talentu zepsułem prawie wszystkie swoje klisze! A pan, Howardzie, niech nie zapo-

mina o malarstwie. Tutenchamon to niewyczerpana kopal-

nia. Później wszyscy będą sobie wrywać pańskie obrazy i zostanie pan milionerem.

— Pomyślę o tym.

Czy ona myślała o tym „później”?

Czwartego grudnia lord i jego córka wyjechali z Luksoru do Kairu. Carter ich odprowadzał. Dał Carnarvonowi listę niezbędnych zakupów. Schody do grobowca zostały zasypane aż po pierwszy stopień. Miejsca strzegli egipscy żołnierze, do których dołączyli zaufani ludzie *reisa*. Turyści jednak przyglądali się tylko kolosowi, który ze strzelbą w rękę siedział na skalnym głazie z wymalowanym herbem lorda Carnarvona. Callender strzelałby do każdego, kto by próbował wkroczyć na zakazany teren. Od tego zadania nie odrywało go ani słońce, ani żarty. Dzięki niemu Carter mógł spokojnie wyjechać.

W Kairze Carnarvon zamieszkał w hotelu Shepheard, zbudowanym wedle najczystszej londyńskiej tradycji. Luksusowy hotel przyjmował każdej zimy licznych Anglików z najlepszego towarzystwa. Chętnie jadali śniadania i pili popołudniową herbatę w ogrodach oddzielonych kratami od czystej i szerokiej ulicy. Elegantki afiszowały swoje toalety przed monumentalnym wejściem, ozdobionym palmami.

Carnarvon był zadumany. Podczas podróży wspomniął o dwóch wielkich projektach. Pierwszym była seria książek o grobowcu, w tym popularne wydanie przeznaczone dla szerokiej publiczności oraz poważna naukowa publikacja. Drugim atrakcyjny i rozrywkowy film. Carter zaprotestował: nie był ani pisarzem, ani reżyserem.

Lord Carnarvon doradził mu, by spróbował pracować ze specjalistami i pomyślał o zyskach, jakie będzie z tego czerpał. Jeśli odkrywcy grobu nie uświadomią sobie, że staje się on także handlowym przedsięwzięciem, to jego eksploatacją zajmą się inni.

— Mam nudne spotkanie w hotelu. Może zechciałby pan, Howardzie, pokazać mojej córce stary Kair? Suzi zupełnie nie nadaje się do tej roli.

- Chciałbym od razu zająć się zakupami.
Lady Evelyn uznała, że musi interweniować.
—Niech mnie pan zabierze z sobą! Bardzo chciałabym zobaczyć targ.
—Lękam się, że to miejsce...
—Pan mnie obroni.

I ten wysłannik brytyjskiego rządu był ponury jak jego poprzednicy. Średniego wzrostu, z przygasłym wzrokiem i w szarym ubraniu zdawał się równie przykry jak smog.

- Jesteśmy bardzo zdziwieni, lordzie Carnarvon.
—Rozumiem panów. Nie w każdą sobotę trafia się na Tutenchamona.
—Nie mówię o pańskiej epopei archeologicznej, której techniczne aspekty nas nie zajmują, lecz o pana trudnym do wyjaśnienia milczeniu od chwili przybycia do Egiptu.
—A przecież powód jest prosty.
—Czy byłby pan uprzejmy go podać?
—Tutenchamon.
—Przepraszam?
—Moja epopeja to także duchowa przygoda i z tego względu już mniej interesuje mnie polityka. Kiedy człowiek zajmuje się nieśmiertelnością faraona, ludzkie sprawy zaskrawają na kpinę.
—Milordzie, pan chyba błądzi.
—Przeciwnie, przyjacielu, przeciwnie.

Carterowi potrzebna była żelazna krata, artykuły chemiczne, materiały fotograficzne, różnej wielkości skrzynie i trzydzieści dwie bele bawełnianego płótna, około dwóch kilometrów waty i tyleż chirurgicznej taśmy. Zamierzał także kupić samochód i kilka innych drobiazgów.

Khan el-Khalili, największy bazar Wschodu, zamykał dziesięć tysięcy sklepików w sieci krętych i ciemnych uliczek, gdzie sprzedawano złoto, przyprawy, prawdziwe i fałszywe Itarożytności, meble, dywany, strzelby, sztylety i wszystkie artykuły dawnego i współczesnego przemysłu. To, czego

oczy nie dojrzały w sklepikach, można było uzyskać dzięki biegłej gadaninie.

Lady Evelyn oceniała zręczność Cartera, podziwiała każdidelką, upajała się esencjami lotosu i jaśminu i kupiła dwa strusie jaja do swojej kolekcji.

Kiedy Carter uzyskał pewność, że jego zamówienia zostaną dostarczone do Luksoru w najlepszym z możliwych terminów, zabrał młodą kobietę do cytadeli, skąd podziwiali stolicę Egiptu. Z tego najwyższego punktu nie można było dostrzec trądu ubogich dzielnic. Z magmy gęsto zabudowanych domostw wystawały wieże minaretów, kopuły i kilka chrześcijańskich krzyży. W dali rysowały się piramidy Gizy, Abusiru i Sakkary.

—Nie mam ochoty wracać do Anglii. Czy nie mógłby pan przekonać ojca...

—Tylko jedna istota ma na niego rzeczywisty wpływ: pani, lady Evelyn.

—Nie mam prawa go porzucić?

—To byłaby zdrada.

—Czy najbardziej kochająca córka nie powinna kiedyś opuścić ojca?

Carter nie odważył się odpowiedzieć. Blask zachodzącego słońca mieszał się ze światłami miasta oraz żółtymi i czerwonymi latarniami kawiarni.

— Niech pani ode mnie nie żąda, abym interpretował przeznaczenie... Przed wielu laty musiałem przerwać wykopalisko o kilka metrów od schodów, które prowadzą do grobowca Tutenchamona. Czemu los zgotował mi tyle wątpliwości, wysiłków i cierpień? Może dlatego, że w chwili odkrycia powinna pani mieć dwadzieścia lat.

Znękana twarz Howarda Cartera wzruszyła lady Evelyn. Nie było w nim nic z uwodziciela, brakowało mu wdzięku, często zachowywał się zbyt surowo, ale tego wieczora cały był łagodnością i wzdychał do niemożliwego szczęścia.

Ani on, ani ona nie przerwali już wieczornego milczenia. Od Kairu, matki świata, oczekiwali jutrzeńki.

ROZDZIAŁ 66

Przyjaźń, święta wartość, niekiedy stawała się ciężarem. Misja, jaką Carnarvon go obarczył, ogromnie ciążyła Carterowi. Miał się rozmówić z dyrektorem Urzędu do spraw Zabytków i uzyskać pewne gwarancje.

Poprzedniego dnia statek z Carnarvonem i jego córką na pokładzie odpłynął do Anglii. Na podstawie pewnych zachowań i spojrzeń Carter zaczął żywić nadzieję, że Evelyn nie uraziły jego uczucia. Nie miał jednak odwagi o to pytać, w obawie, że sen pryśnie.

Zgodnie z życzeniem lorda Carnarvona Pierre Lacau zgodził się przyjąć Cartera bez ceremonii, z dala od oficjalnych ram własnego biura. Spotkania nie wpisano w jego kalendarz. Panowie spotkali się późnym popołudniem na piaskowym dziedzińcu muzeum Bulaq, gdzie Mariette urządził pierwszy budynek poświęcony cywilizacji faraonów.

Tego ranka Carter otrzymał depezę podpisaną przez *reisa*, Ahmeda Girigara:

Pozwalam sobie poinformować Jego Ekscelencję, że wszystko jest w porządku i że jego rozkazy zostały wykonane zgodnie z instrukcjami. My wszyscy tutaj pozdrawiamy pańską szanowną osobę i wszystkich członków rodziny lorda Carnarvona.

Ten krótki tekst uspokoił go i rozczulił; takie oddanie dodało mu sił.

Lacau, chłodny i elegancki, przyglądał się swemu rozmówcy z poczuciem wyższości zmieszanej z pogardą.

—Jakieś kłopoty, panie Carter?

— Żadnych.

—I czemu tak tajemniczo?

—Lorda Carnarvona zaniepokoiła sprawa podziału przedmiotów.

—Ach, podział! Rzeczywiście trzeba będzie do tego dojść.

—Jakie są pańskie zamiary?

Carterowi wydało się, że jest zbyt bezpośredni, zbyt brutalny. Ton Lacau przyprawiał go o gęsią skórkę.

—Zastosuję się do zwyczajów. Skoro lord Carnarvon pokrywa koszty prac, które zapowiadają się na długie i koszt-

towne, otrzyma wartościowe przedmioty.

—Chciałbym przypomnieć panu, że grobowiec został zrabowany.

—Moi inspektorzy to odnotowali, niemniej punkt ten będzie tematem naukowej dyskusji.

Lacau nie powiedział, że cała zawartość nienaruszonego grobowca przypada muzeum. Jego półuśmiešek wyrażał jednak pewność, że ma w ręku silną kartę.

—Czy mógłby pan potwierdzić swoje zobowiązanie na piśmie?

—To nie jest niezbędne. Moje słowo wystarczy lordowi. Może go pan uspokoić, pewna liczba arcydzieł wzbogaci jego kolekcję.

Carter był nieswój, bo miał wrażenie, że Lacau patrzy na niego jak na łup.

—Zorganizował pan już swoją ekipę? — zapytał słodko Lacau.

—Wracam do Luksoru, by skoordynować wysiłki.

—Proszę czuwać nad Tutenchamonem.

Carter wołał tysiąc godzin pracy w przeladowanym grobowcu niż dziesięć minut rozmowy z Pierre'em Lacau, ale dzięki temu będzie mógł zadepeszować do Carnarvona, że negocjacje zakończyły się pozytywnie.

Szesnastego grudnia Carter ponownie otworzył grobowiec, a siedemnastego kazał założyć żelazną kratę przy wejściu do przedsionka. Poprzedniego dnia zamówione w Kairze materiały dotarły na miejsce. Callender szczegółowo je sprawdził i był usatysfakcjonowany. Teraz można już było rozpocząć poważną pracę.

Osiemnastego odbyło się pierwsze zebranie ekipy. Carter rozdał sterty bielizny. Trzeba ją było często zmieniać z powodu wysokiej temperatury panującej wewnątrz grobowca.

— Panowie, dziękuję za współpracę. A teraz proponuję, byście zaznajomili się z miejscem.

Specjalista od epigrafiki Breasted, fotograf Burton, spe-

cialista od konserwacji Mace i dwóch rysowników Metropolitan Museum podążyło za Carterem, który bardzo powoli zagłębił się w opadający w dół korytarz. Krateę osłaniało białe płótno.

— To brytyjski duch? — zapytał Burton.

Callender ze środka przedsonka zapalił światło, a Carter uniósł zasłonę i odsunął kratę. Spojrzenia skierowały się najpierw na obu czarnoskórych strażników na progu, a potem na złoty tron. Majestat tego spektaklu, jego nierealny przepych przeniósł nagle przybyszów z XX wieku w chwalebny epokę młodego faraona, którego odnaleziona dusza promieniała złotem. Ze łzami w oczach gratulowali Carterowi i dziękowali za najpiękniejszy prezent w życiu. Breasted tak silnie uściśnął mu dłoń, że Anglik z trudem ją uwolnił.

— Moim zdaniem — oświadczył Burton, który z pomocą ironii próbował zapanować nad wzruszeniem — sprawa Tutenchamona może okazać się wieczna.

Carnarvon nie wiedział już, od czego zacząć. Po triumfalnym przyjęciu, jakie spotkało go w Anglii, dwudziestego pierwszego grudnia udał się do Buckingham Pałace, gdzie król Jerzy V udzielił mu audiencji. Błyskotliwy i wesoły Carnarvon oczarował władcę, a potem zachwycił opinię publiczną złąknioną szczegółów i anegdot. Podczas konferencji, na której zjawił się cały Londyn, lord Carnarvon wbrew lekkiej wadzie wymowy odniósł piękny sukces, opowiadając o szesnastu latach wykopalisk, o wątpliwościach i zawiedzionych nadziejach, jakie poprzedzały to niezwykle odkrycie. Gratulowali mu wszyscy: arystokraci, politycy, aktorzy, bankierzy, a nawet sławny dżokej Denoghull.

W wigilię Bożego Narodzenia, choć zmęczony, udał się do Burlington Hotel. Albert Lythgoe, oficjalny przedstawiciel Metropolitan Museum, przyjął go bardzo serdecznie.

—Co za triumf, milordzie! Pańska wizyta to dla mnie zaszczyt.

—Była przewidziana, drogi przyjacielu.

- Wypije pan kieliszek szampana?
- Nie odmawiamy najradośniejszego z win.
Zdenerwowany Lythgoe przewrócił kieliszek. Mówił szybko, wychwalał zalety Cartera, słauił odwagę Carnarvona.
- Teraz czeka nas trudne zadanie — wyznał arystokrata. — Przedmiotów jest tak wiele... boję się, że rok to za mało.
- Ekipa Metropolitan będzie do pańskiej dyspozycji tak długo, jak będzie trzeba.
- Jestem za to bardzo wdzięczny. Oczywiście pozostaje delikatna sprawa: podział tych arcydzieł.
- Czy uważa pan, że moje muzeum...
- Egipt kochał sprawiedliwość, ja też ją doceniam. Pańska pomoc jest tak cenna, że zasługuje na nagrodę.
- Lythgoe byłby ucałował arystokratę, gdyby konwenanse nie zakazywały tak ekscentrycznego zachowania.
- Jakie jest stanowisko pana Lacau?
- Uznaje moje prawa do podziału.
- Nie należy mu ufać — radził Lythgoe. — Jeśli nie potwierdzi swoich zobowiązań na piśmie, może zmienić zdanie.
- Jak go przekonać?
- Samemu podejmując odnawianie przedmiotów. Urząd do spraw Zabytków nie jest do tego zdolny. Im więcej przedmiotów pan ocali, tym więcej Lacau ich panu przyzna.
- Pozostaje mi już tylko życzyć panu radosnych świąt Bożego Narodzenia.

W chłodną londyńską noc lord myślał o tym, jakiego psikusa zrobi British Museum, które tak lekceważy Cartera. Nie przepadał za Amerykanami, ale w obecnej sytuacji stanowili jedyne możliwe wyjście. Pogwizdując wesoło popularną piosenkę, lord Carnarvon wsiadł do samochodu, który miał go odwieźć do Highclere, na rodzinną Wigilię. Eve będzie uradowana, dowiadując się, że przygoda trwa nadal.

ROZDZIAŁ 67

Dwudziestego piątego grudnia Carter postanowił wynieść z grobowca pierwszy przedmiot. Jakby przeczuwali dramat, bo meble wydawały dziwne trzaski.

— Znów jakiś duch — osądził fotograf.

Żarcik nie zabawił Callendera. Carter poprosił współpracowników, by poruszali się niezwykle ostrożnie po małej „alei centralnej” w środku przedsionka. Gwałtowniejszy gest mógł spowodować zawalenie się stosu przedmiotów pokrytych cienką warstwą różowego kurzu, którą archeolog ostrożnie zdejmował szmatką zamoczoną w ciepłej wodzie.

Mace sięgnął po parę sandałów. Dotknął ich i natychmiast odłożył, jakby trzymał w ręku bombę, która zaraz może wybuchnąć.

— Nie można ich ruszać, póki nie zostaną wzmocnione. Inaczej rozsypią się w proch.

Amerikanin użył parafiny, która stwardniała po dwóch godzinach. Na pogrzebowych bukietach rozpylił celuloid. Carter zrozumiał, że każdy przedmiot stanowić będzie osobny problem, że ruszając jeden, uszkodzić można inne i że trzeba będzie restaurować znaczną ich liczbę w ograniczonej przestrzeni przedsionka. Nawet Callendera na chwilę zniechęciło to olbrzymie przedsięwzięcie, które wymagało rąk czarodziejki.

— Każde zaniedbanie z naszej strony to kryminalna sprawa — oświadczył Carter. — Musimy przekazać światu

ten skarb i stanąć na wysokości niezwyklego zadania, jakie

nam przypadło.

— Czasem dobrze być fotografem — zauważył Burton.

— Nie używajcie też zbyt mocnego światła.

— Mnie wystarczy półmrok... Ale mogę zaproponować coś lepszego: dwa przenośne reflektory. Dają jednolite świat-

ło, znacznie lepsze od flesza i będą dłużej naświetlać.

Po południu Carter trafił na inny problem: nadmiaru paciorków zdobiących naszyjniki i bransolety. Choć nitki były zbutwiałe, nie chciał stracić ani jednego, kazał więc możliwie najdokładniej odrysować oryginały i z igłą w ręku

sam zajął się ich nawlekaniem, zachowując porządek ustalony przez starożytnego rzemieślnika.

Wokół wejścia do grobowca stał coraz liczniejszy tłum. Mace i Callender po kolei wynosili ze środka przedmioty, które witano hucznymi oklaskami. Był to nieprzerwany spektakl i ludzie tłoczyli się, by w nim uczestniczyć.

Wynosząc wielki naszyjnik, który rozbłysnął w słońcu, Carter dojrzał młodego Araba. Zdołał się on precyzyjnie do pierwszego rzędu i chyba był zafascynowany. Archeolog kiwnął na niego, a Callender pozwolił mu się zbliżyć.

—Twoja twarz kogoś mi przypomina... Jak się nazywasz, chłopcze?

—Husajn Abd el-Rasul.

Syn szefa klanu! Można osobistość dotrzymała słowa, więc Carter chciał mu za to uroczyście podziękować. Założył Husajnowi naszyjnik, a Burton go sfotografował. Na białej galabii odcinał się skarabeusz, wznoszący w przednich łapkach słońce.

—Gdy tylko wywołam klisze, dam ci zdjęcie.

—Zachowam je na całe życie i będę je pokazywał wszystkim, którzy przekroczą próg mego domu * — obiecał Husajn.

Żołnierze, członkowie Urzędu do spraw Zabytków i zaufani Ahmeda Girigara nadal pełnili wartę dzień i noc. Niektóre dzienniki wspominały o gangsterach, zdecydowanych zawładnąć skarbem Tutenchamona. Miejscowi bandyci, wbrew zaleceniom Abd el-Rasula, zgodziliby się im pomóc. Carter nie traktował lekko tych pogroźek i nieustannie zajmował się bezpieczeństwem. Cztery łańcuchy zaopatrzone w kłódki zamykały drewnianą kratę wejścia i wążącą pół tony żelazną, która strzegła dostępu do przedsionka. Tylko Carter mógł wydać polecenie, żeby wynieść jakiś przedmiot.

* Dotrzymał słowa. Husajn Abd el-Rasul, właściciel restauracji w pobliżu Ramesseum w zachodnich Tebach, eksponuje tam ten zdumiewający dokument.

—Nie można dalej tak pracować — skarżył się Burton. — Jak najszybciej potrzebne nam jest laboratorium i magazyn.

—Nie wystarczy panu ciemnia?

—Grobowiec numer pięćdziesiąt pięć jest blisko Tutenchamona, ale za ciasny. Kto przyznaje dogodne miejsca?

— Urząd do spraw Zabytków. Zajmę się tym.

Musiał więc raz jeszcze spotkać się z Rexem Engelbachem, który ze swą niewzruszoną miną odrzucił pomysł. Kiedy skończył perorować, Carter przystąpił do natarcia.

— Jeśli pan mi nie przydzielili obszerniejszego lokalu, przerwiemy pracę. I to pan będzie odpowiedzialny za tę porażkę.

Zirytowany Engelbach zgodził się dyskutować.

—Co by panu odpowiadało?

—Odpowiadałby nam grobowiec Setiego Drugiego. Jest wąski, ale głęboki. Ponieważ ludzie nie odwiedzają go często, przeszkodzimy tylko kilku specjalistom.

—Jest zbyt oddalony od grobowca Tutenchamona. Lepiej byłoby zbudować hangar w pobliżu.

—Turyści wzięliby go szturmem. Przyznaję, że to dosyć daleko, ale moglibyśmy przeciąć drogę, zamykając ją dla nieproszonych gości. Łatwo też będzie go zabezpieczyć. Już

przewidziałem żelazną kratę.

Engelbach wahał się.

— Skąły otaczające ten grobowiec chronią go od słońca — mówił dalej Carter — co zapewnia tam pewną świeżość nawet latem. Co więcej, przestrzeń przed wejściem jest uporządkowana. Ulokujemy tam studio fotograficzne na świeżym powietrzu i stolarnię.

Engelbach ustąpił.

Obiekty układano na wyłożonych wata noszach i przywiązywano bandażami. Raz w ciągu dnia imponujący konwój wyruszał z grobowca Tutenchamona i kierował się do grobowca Setiego II. Zbrojni policjanci i wyposażeni w pałki *cliausze* pilnowali noszowych i trzymali na odległość ciekaw-

skich, którzy bez przerwy fotografowali. Podekscytowani widzowie wydawali okrzyki i potrącali robiących notatki dziennikarzy. Zirytowany Carter ubolewał, że tej zimy zużycie klisz będzie większe niż w ciągu całej historii fotografii — wystarczyło, żeby wykonał jakiś gest, a już rozlegał się szczeł migawek.

Ledwie pojawiał się cenny ładunek, ekipa zaczynała działać szybko i precyzyjnie. Numer, wymiary, tekst inskrypcji, rysunki, fotografie. Każde dzieło wyposażone było w fiszkę identyfikacyjną, niezbędną dla późniejszych badań. Następnie układano je w głębi grobowca i starannie pakowano — miały przecież odbyć podróż do muzeum w Kairze.

W chwili gdy kolejny ładunek już miał wyruszać, zniknęło słońce. Carter spojrzął w górę. Wielkie czarne chmury przysłoniły niebo. Callender wpadł w panikę.

— Burza... jeśli się zacznie, pogrzebowe łoża szlag trafi! Nie zdążymy ich zabezpieczyć.

Błyskawica rozświetliła chmury. Spadło kilka kropel deszczu. W ciągu paru minut spadnie ulewa, zmieni dno doliny w rzekę i zaleje grobowiec. Żadna krata nie zagrozi drogi takiemu kataklizmowi.

Carter zamknął oczy.

Pozostała mu już tylko modlitwa. Przypomniawszy sobie inwokację do boga Amona, pana wiatrów. Silny podmuch omal go nie przewrócił. Wiatr po krótkiej walce rozegnał chmury i rozwiął burzę.

— Opiekują się nami tam, w górze — powiedział Callender.

Sen trwał. Leżąc na łóżku, Carter po raz dziesiąty czytał list, który napisała do niego lady Evelyn. Długi list, nakreślony krągłym i tkliwym pismem... Młoda kobieta przypominała ich nocną wyprawę do grobowca, wyrażała archeologowi wdzięczność, szczegółowo opisywała tę epopeję. Jej noworoczne życzenia szczęścia tchnęły szczerą i głęboką życzliwością.

Ona — arystokratka. On — prostak... Szokujące i niemożliwe! Czy ośmieliła się opowiedzieć o swoich skłonnościach

lordowi Carnarvonowi? Na pewno nie. Kto by zwyciężył — przyjaciel czy właściciel Highclere? On, Carter, musi zrezygnować ze szczęścia, bo urodził się w biednej rodzinie, nie uczęszczał do żadnego sławnego college'u, kulturę archeologiczną zdobył i ukształtował na terenie wykopalisk, i nienawidzili go koledzy po fachu.

Wzbierał w nim bunt przeciwko konwenansom i niesprawiedliwości, które skazywały świat na walkę klas, równie przeciwną naturze jak okrutną. Tym razem nie zrezygnuje.

ROZDZIAŁ 68

Wokół Demostenesa zebrała się większość handlarzy starożytności Luksoru. Wszyscy stali się zajadłymi wrogami Cartera, oskarżanego o to, że rujnuje kwitnący dawniej interes. Odkrycie skarbów Tutenchamona pogorszyło jeszcze sytuację. Ani jeden przedmiot nie opuścił miejsca wykopalisk i amatorzy myśleli już tylko o tych nieosiągalnych cudach! Należało coś przedsięwziąć.

—A gdyby Carter popełnił jakiś zawodowy błąd... — zasugerował pewien Libańczyk.

—Niech pan się pożegna z taką hipotezą — odparł Demostenes. — Jest zbyt ostrożny.

—A czy on rzeczywiście odkrył jakiś grobowiec? — zapytał Syryjczyk. — Musimy zniszczyć tę legendę!

—Niestety, ona jest rzeczywistością.

—Przecież istnieją prawa, nawet w tym kraju! Do kogo należy skarb? Chyba nie do Cartera!

—Proszę nie zapominać o lordzie Carnarvonie. Jemu zależy tylko na wzbogaceniu własnej kolekcji, więc igrza z funkcjonariuszami Urzędu do spraw Zabytków, których my moglibyśmy bez trudu przekupić.

—Carnarvon jest nieosiągalny — oświadczył najstarszy z handlarzy. — To Cartera trzeba zniszczyć.

—Możesz na mnie liczyć — rzekł Demostenes.

—Jeśli ci się uda, będziesz bogaty.

Howard Carter utonął w pracy. Czuwał, aby każdy nawet najskromniejszy przedmiot traktowano z tą samą dokładnością co arcydzieło. Burton, nie buntując się, pracował w szalonym tempie i wywoływał ponad pięćdziesiąt zdjęć dziennie. Mace odnawiał, naprawiał, pakował. Callender dostarczał skrzyń.

Wieczorem, gdy współpracownicy odpoczywali, Carter porządkował notatki, wpisywał wykonaną w ciągu dnia robotę do dziennika wykopalisk, porządkował negatywy i planował zajęcia na następny dzień, by nie marnować czasu. I tak z powodu niepotrzebnych wizyt stracono zbyt wiele godzin. Tylko noc przynosiła mu spokój, którego w dolinie już nie było.

Od świtu w dolinie gromadzili się turyści i korespondenci gazet w nadziei, że zobaczą jakieś wynoszone arcydzieło. Ledwie ktoś z ekipy Cartera wziął do ręki jakiś przedmiot, wybuchały komentarze. Krążyły też listy wysyłane przez adeptów wiedzy tajemnej, którzy radzili, żeby na próg grobowca wylewać mleko, wino lub miód dla ułagodzenia wściekłości złych duchów. Ten narastający jarmark spekulacji coraz bardziej drażnił Cartera.

W Luksorze panowało poruszenie. To małe miasto stało się teatrem walki między turystami zawiedzionymi tym, że nie wpuszczono ich do grobowca, a także między dziennikarzami, którzy odbywszy podróż na koniu lub grzbiecie osła, tłoczyli się w kolejce do telegrafu. Po podnietach dnia następowały podniety nocy. W salonach wielkich hoteli tańczono walca i polkę, by potem przez całą noc rozmawiać o tonach złota tajemnie ukrytych w grobowcu.

Carter odrzucał wszystkie zaproszenia na te wieczory, na których głupota rywalizowała z marnością. Jego jedyną rozrywką była — raz w tygodniu — samotna kolacja w Winter Pałace. Tam właśnie zaczął go Demostenes, starannie ogolony i w smokingu.

—Zrobił pan majątek?

Grek przysiadł się.

—Ja nie, pan tak.

— Myli się pan. Skarb Tutenchamona nie jest na sprzedaż.

— Jeszcze nie. To są setki, setki przedmiotów... Wszystkich nie będzie można wystawić w muzeum. Kiedy lord Carnarvon i Urząd do spraw Zabytków podzielią między siebie to, co im się należy, zostanie chyba nieco okruczków.

Carter jadł wołowinę saute. Po lewej stronie jego talerza leżał notes, który przeglądał.

— Ja chętnie nabędę te okruczki — ciągnął Demostenes. — Zyski będą ogromne. Gdyby pan znał moich klientów! Siedemdziesiąt procent dla pana, trzydzieści dla mnie...

nie licząc tej małej zaliczki.

Greki popchnął w stronę Cartera kopertę wypchaną funtami szterlingami. Archeolog zawiesił dłoń z widelcem tuż nad kopertą. Z widelca spadła kropla sosu i splamiła ją.

— Niech pan uważa, Demostenesie. Bruka pan swoje dobro.

Demostenes, wściekły, schował kopertę.

—Wszystko można kupić, panie Carter! Nie będę skąpił.

—Traci pan czas. Skarb Tutenchamona wart jest więcej niż wszystkie pieniądze planety, bo zawiera tajemnicę. A ta-

jemnica ta nie jest na sprzedaż.

—Zrujnowałeś mnie, Carter. I zapłacisz za to!

Czarna marynarka, czerwone spodnie i kapelusz przydały Demostenesowi odwagi — udał się do szejka, przewodniczącego tego dnia *zarowi*, magicznej ceremonii, podczas której manipulował niebezpiecznymi siłami. Grek podał swoje nazwisko strażnikowi stojącemu przy bramie niskiego i niechlujnego domu. Schyliwszy się wpół, Demostenes wkroczył w pełną dymu przestrzeń i przysiadł na ławce obok zawiniętej w czarny szal kobiety. Szejk wyśpiewał jakieś formuły, po czym zarznął barana. Umazawszy się jego krwią, zaczął się kręcić w kółko, wzywając duchy.

Kobieta odrzuciła szal, chwyciła nóż i na swoich przedramionach jęła rysować długie krwawe ślady. Nie czując najmniejszego bólu, odcięła sobie koniec lewego palca wskazującego. Przerażony Demostenes cofnął się do drzwi. Zakłęcia szejka przygwoździły go do miejsca.

— O, duchy ciemności, wychodźcie ze swoich jam, zabijcie rabusiów i profanatorów, co ważą się zakłócać spokój Tutenchamona!

Greki zachwiał się. Zabrakło mu tchu. Trzymając się za serce, padł na ziemię.

Carter nadstawił ucha. Tym razem się nie mylił. To był odgłos silnika. Obłok kurzu towarzyszył zbliżającemu się automobilowi. Lord Carnarvon siedział za kierownicą i jechał bardzo wolno. Droga niezbyt nadawała się do szybkiej jazdy, a on chciał oszczędzić zbytnich wstrząsów siedzącej obok lady Evelyn. Wehikuł pokonał odległość między przystanią a wejściem do Doliny Królów w ciągu pół godziny.

Cała ekipa zebrała się, by powitać podróżnych. Bardzo wzruszony lord uściskał Cartera, który dostrzegł czułe i ukradkowe spojrzenie lady Evelyn. Burton poprosił, aby pozowali do fotografii. Suzi przysiadła na pierwszym planie.

Niecierpliwy Carnarvon ruszył szybkim krokiem do grobowca Setiego II.

— Od tak dawna pragnąłem ujrzeć to miejsce... Wspaniale, panowie!

Długo podziwiał odrestaurowane już dzieła, które lśniły większym blaskiem niż w mroku grobowca. Mace pokazał mu kilka ozdobnych lasek oraz rytualne szaty ozdobione setkami złotych rozetek.

— Nadzwyczajna robota! To zasługuje na nagrodę.

Carnarvon odkorkował butelkę Dom Perignon, którą przywiózł. Burton rozlał wino do kieliszków. Wszyscy byli dumni i szczęśliwi.

— Taki jestem zmęczony, Howardzie.

Carnarvon wyciągnął się na wyplatany szezlongu. U jego stóp spała Suzi. Podczas zaimprovizowanego koktajlu lord dowcipkował i dodawał energii małej konfraterni.

— Wydaje się pan w doskonałej formie.

—To mylące pozory.

—Podróż ojca zmęczyła — wtrąciła lady Evelyn.

—Widok tych skarbów przywraca mi młodość — zapewnił lord.

Carnarvon w nieodłącznym kapeluszu z szerokim rondem na głowie oglądał zachód słońca. Taras domu archeologów otwierał się na skały doliny, które — różowe, milczące — tonęły w czerwonym kręgu chylącej się ku tamtemu światu planety.

—Tutenchamon nie umarł, Howardzie. Przebył podziemny świat i wyłonił się w swojej godzinie, nie w naszej. Dlatego

nie można go rzucić na łup byle komu. Obiegają mnie dziennikarze całego świata. Czemu nie przyznać ostatecznej

wyłącznieści *Timesowi!*

—Doskonała myśl. Jego kairski korespondent, Arthur Merton, to przyjaciel i dobry znawca archeologii. Poprawnie

zrelacjonuje naszą przygodę.

—Kontrakt przyniesie niezłą sumkę i pokryje część kosztów. Mając do czynienia z jednym tylko dziennikarzem, zaoszczędzimy energii.

Lady Evelyn oglądała stertę fotografii.

—Panie Howardzie, czy pan jest pewny, że to rzeczywiście grobowiec Tutenchamona? A może to tylko rodzaj skrytki? Ramzes Pierwszy, który panował tylko dwa lata, ma grobowiec większy niż Tutenchamon, który zasiadał na

Ironie co najmniej sześć lat!

—Wciąż rozmyślałam o prawdziwej naturze naszego odkrycia — wyznał Carter. — To coś więcej niż tylko egipski

grobowiec. Kierownik robót pragnął, aby jego położenie pozostało tajemnicą doliny. Już poczynając od Nowego Państwa, za ostatnich Ramzesów, jego ślady zniknęły z archiwów. Ukryty pod chatami rzemieślników, stał się niedo-

stępny dla złodziei. Dlaczego? Bo Tutenchamon był łącznikiem między kultem słońca a wiedzą tajemniczego boga Amona. W nim wyrażało się duchowe nauczanie Egiptu, które należało za wszelką cenę ocalić. Młody król był wiel-

kim faraonem.

ROZDZIAŁ 69

Pierre Lacau stracił legendarną zimną krew. Podarł numer *Morning Post* na drobne kawałki i wrzucił do kosza. Pierwsze ataki na Carnarvona i Cartera raczej go bawiły. Dowiedziawszy się o istnieniu kontraktu wyłączności z *Timesem*, dziennikarze wściekli się, oskarżając lorda i jego archeologa o prostytuowanie nauki i tarzanie się w najbardziej ponurym merkantyлизmie. Czyż nie uznali całkiem niesłusznie grobowca Tutenchamona za prywatną własność?

Kairskie wydanie *Morning Post* zajęło się jednak człowiekiem naprawdę odpowiedzialnym za ten stan rzeczy, czyli dyrektorem Urzędu do spraw Zabytków! Wyrzucano Lacau, że odmawia wszelkich informacji prasie, jakby był niewolnikiem Carnarvona. Egipskie dzienniki wykorzystały ten kanał. Dlaczego francuski urzędnik nie dyskredytuje brytyjskiego arystokraty? Dlaczego nie udostępnia grobowca wszystkim dziennikarzom i godzi się na supremację *Timesa*!

Lacau nie był przygotowany na tak burzliwe doświadczenie. To przekłete odkrycie sprawiło, że przeżywał szturm tysięcy sławnych i nieznanymi turystów, którzy z taką samą złością żądali przepustek. Udał się więc do Luksoru na spotkanie z Carterem, który przyjął go na terenie wykopaliska; był zajęty pakowaniem naszyjników.

—Sytuacja staje się nieznośna.

—Liczy się tylko praca. Niech zawistni szczekają.

—Pan powinien być uprzejmniejszy wobec egipskich dziennikarzy.

—Kontrakt jest kontraktem, niech się zwróć do *Timesa*.

—Odmowa wpuszczania turystów do grobowca wywołuje wielkie niezadowolenie.

—Gwiżdżę na to. Nie mam już ani minuty do stracenia na głupstwa.

—Jeśli jakaś osobistość zaopatrzona jest w oficjalną przepustkę egipskiego rządu, niech pan ją wpuści!

—Na pewno nie, bo grobowiec byłby pełen turystów, a my nie moglibyśmy go opróżnić.

Lacau czuł, że jest w kleszczach.

— Ustalmy przynajmniej jakąś datę. Żądam, by zarezer-

wowano jeden dzień dla odwiedzających polecanych przez mój urząd. Dołączą do nich egipcyscy i obcy dziennikarze. To jedyny sposób, by zahamować kampanię prasową przeciw panu i mnie.

—Niemożliwe.

—Wyznaczam datę dwudziestego szóstego stycznia.

Lacau próżno oczekiwał pisemnej zgody Cartera. Wysłał więc Rexa Engelbacha, który wyposażony w administracyjne uprawnienia wkroczył bezwzględnie i zapalczywie.

—Dyrektor wybrał datę dla oficjalnych wizyt. Czy ona panu odpowiada?

—Nie.

—Pański upór jest nie do przyjęcia!

—Nie interesują mnie światowe rozrywki.

—Urząd do spraw Zabytków...

—Urząd nie może narzucać obecności profanów.

—Czyżby pan był kapłanem świętego miejsca?

— Zaczyna pan coś rozumieć.

Engelbach stracił kontenans.

—Wszystkich drażnią pańskie przeklęte pancerne drzwi! Zachowuje się pan jak tyran, zazdrośnie strzegący skarbu, który do niego nie należy... Jeśli tak dalej pójdzie, ucieknę się do broni palnej i biorę pańskie stanowisko szturmem!

—Czemu nie użyć dynamitu? Byłby skuteczniejszy.

— Pomyślę o tym.

Upokorzony Engelbach odszedł.

Carter zachęcił Carnarvona, by wszedł do przedsionka grobowca. Jak zwykle obaj posuwali się powoli i ściszyli głosy. Tuż obok czuwał faraon.

Przystanąłi przed skrzynką z numerem 42.

—To jest to?

—Tak.

—Jest pan pewien, że to papirusy?

—Tylko raz uniosłem pokrywę. Panu przypadł honor sprawdzenia.

Ręka Carnarvona zadrżała. Odkryć papirusy to tyle, co zerwać zasłonę okrywającą tajemnicze rządy Tutenchamona, odcyfrować jeden z najciemniejszych okresów historii Egiptu, zrozumieć, dlaczego ten grobowiec jest jedyny w swoim rodzaju.

Lord wyjął pierwszy zwój i zaczął go rozwijać z niezwykłą starannością.

— To tylko len, Howardzie... zwykły zwój materiału.

Carter przejrzał resztę zawartości szkatuły.

—Rzeczywiście, to zwoje lnu... A jednak jestem pewny, że w tym grobowcu ukryto papirusy. Jeśli nie zamknięto ich w kufrze, zostały ukryte wewnątrz któregoś z posągów.

Było kilka podobnych przypadków w dolinie *. Czy jednak będziemy mieli czas otworzyć wszystkie posągi nie uszkadzając ich?

—Skąd ten pesymizm, Howardzie?

—Zewsząd nas atakują.

—Niech pan pracuje w spokoju. Jestem tu. A proszę pamiętać, że dopisuje mi szczęście.

Ekipa pracowała z coraz większym zapałem. Każdy dzień przynosił porcję cudów: a to tron, na którego oparciu pojawiał się geniusz wieczności, trzymający w ręce łodygi milionletnie, a to ozdobione głową lwa rytualne łoże, na którym Tutenchamon leżał podczas świąt regeneracji, albo znów cedrowy kufer inkrustowany kością słoniową i pokryty tekstem, który zapewniał, że oczy, usta i uszy króla zostaną znowu otwarte na tamtym świecie, gdzie władca, owiany orzeźwiającym wietrzykiem, smakować będzie delikatne potrawy.

Carnarvon przeżywał podniecające chwile. Splin zniknął z jego myśli i serca. Niekiedy łapał się na tym, że dziękuje Tutenchamonowi za tę łaskę, której już nie oczekiwał. Córka dzieliła z nim to cudowne szczęście. Ojciec nie wspominał

* Carter słusznie przeczuwał: w 1990 roku, dzięki badaniom radiologicznym uzyskano pewność, że wewnątrz posągów należących do skarbu Tutenchamona były papirusy.

już o bólach, zapomniał o nich. Jak młody człowiek biegał od grobowca do laboratorium i z laboratorium do grobowca. Ona sama przejęła szalony rytm pracy Cartera i u jego boku uczyła się odczytywać hieroglify, zwięźle opisywać przedmioty, rejestrując i oceniając ich stan. Carter i lady Evelyn, nierozłączni, wnosili na teren wykopaliska młodzieńczą radość.

Carnarvon odpoczywał przed wejściem do laboratorium, kiedy dojrzał elegancką i kruchą sylwetkę Pierre'a Lacau, ciało obce w dolinie.

—Odwołuję się do pańskiej odpowiedzialności, lordzie.

—Czemu nie?

—Proszę mi wierzyć, sprawa jest poważna. Nawet mnie samemu zagroziła nieustępliwość Cartera.

—Bardzo mi przykro z tego powodu. Przyznaję, że Howard jest uczonym, któremu brak ducha dyplomacji. Ale nikt nie podważa jego powołania, kompetencji i uczciwości.

—Nie, nikt... Trzeba pozwolić egipskim dziennikarzom wejść do grobowca. Prowadzą przeciwko mnie coraz bezwzględniejszą walkę.

—Niech pan nie będzie taki wrażliwy na krytykę, panie Lacau. Kontrakt z *Timesem* nie pozwala mi udzielać podobnych uprawnień.

—Ponieważ nie chce pan wysłuchać moich racji, będę musiał zastosować inne metody. Jeszcze dzisiaj otrzymacie

obowiązujące pismo z Ministerstwa Robót Publicznych, któremu podlegają wykopaliska archeologiczne.

Lacau dotrzymał słowa. Oficjalny list sformułowany był w łagodnym raczej tonie. Radca prawny ministerstwa zalecał

Carterowi i Carnarvonowi bardziej pojednawczą postawę w obronie własnych interesów i nieangażowanie się w walkę, która zaszkodzić może wszystkim uczonym, pragnącym badać egipską ziemię. Między wierszami można się było doczytać pewnych gróźb, ale konkluzje sprowadzały się do jednej tylko sugestii: przyjąć rozwiązania zapewniające interes wszystkich stron.

ROZDZIAŁ 70

Carter pił poranną kawę, kiedy *reis* zapowiedział nieoczekiwanego i zdumiewającego gościa.

—Jakie nazwisko wymieniałeś?

—Arthur Weigall.

Carter odstawił filiżankę i wyszedł na taras. Nigdy obecność tego bandyty nie splami jego domu. Weigall, były inspektor Urzędu do spraw Zabytków, podejrzany o kradzież i zmuszony do dymisji, ośmielił się wrócić do Egiptu!

Gość, ubrany w kolonialny kask, elegancką prążkowaną marynarkę i szare spodnie, był przystojnym mężczyzną, równie sztywnym jak kołnierzyk jego koszuli. Wąskie wargi i przenikliwy wzrok wyrażały ukrytą agresję.

Znając porywczy charakter gospodarza i jego opinię o sobie, Arthur Weigall nie marnował czasu na uprzejmości.

— Jestem niewinny i chcę panu pomóc. Rozmawia z panem szczerzy przyjaciel. Błagam, niech mnie pan choćby przez chwilę wysłucha.

Weigall miał ruchliwą i zmieniającą się twarz. Zdawało się, że mieszka w nim kilku osobników.

—Proszę się streszczać.

—Howardzie, grozi panu wielkie niebezpieczeństwo. Egipt nie jest już podległą kolonią. Gardząc miejscową prasą,

zwrócił pan przeciw sobie opinię publiczną. Oskarżając pana

o kradzież i zaczynają nienawidzić. Tutenchamon nie należy

do pana. Zwolennicy niepodległości uważają go za swojaka,

którego pan więzi.

—Plecie pan głupstwa.

—Pan się myli. Trzeba wrócić na ziemię, powiedzieć egipskiej prasie, że rozumie pan jej zarzuty i żałuje, że się tak

zachował.

—Mam tylko moralność: ani żalu, ani wyrzutów sumienia.

—Niech pan się upiera, Howardzie. To już nie jest podbite terytorium. Świat się zmienił, a pan wciąż żyje pod

panowaniem osiemnastej dynastii, w pobliżu ukochanego faraona. Niech pan zbytnio nie liczy na wsparcie Carnarvona. To słaby i chory człowiek. A poza tym...

—A poza tym?

—Mówi się o przekleństwie, które dotknie profanatorów grobu.

—Idiotyczne.

—Niech pan sobie przypomni straszliwe ostrzeżenie wielkiego dostojnika Ursu: *Tego, kto naruszy grób w nekropoli,*

znenawidzi światłość; nie otrzyma już wody na ołtarzu Ozy-

rysa, umrze z pragnienia w tamtym świecie i nie zdoła przeka-

zać własnych dóbr dzieciom.

—To mnie nie dotyczy — oświadczył Carter. — Ursu żył w czasach Amenhotepa Drugiego, a nie za rządów Tutenchamona. Ja nie zgwałciłem grobowca, ocalam go przed zniszczeniem i rabunkiem. Wreszcie nie mam dzieci.

—To źle, że nie traktuje pan serio ostrzeżeń. Bardzo chciałbym, żeby pan zrozumiał...

—Niech się pan wynosi.

—Nigdy nie wejdiesz do tajemnej komnaty, Carter, albo spadnie na ciebie przekleństwo!

Po długiej, chwilami bardzo ożywionej rozmowie Carnarvon uzyskał zgodę Cartera. Dwudziestego szóstego stycznia, w dniu wybranym przez Lacau, wszystkim egipskim i zagranicznym dziennikarzom pozwolono zwiedzić przedsiónek i stwierdzić, że ekipa Cartera pracuje doskonale.

To ustępstwo nie uspokoiło mściwego zapалу Bradstreeta, korespondenta *New York Timesa* i *Morning Post*. Wyłączność, z której korzystał *Times*, jawiła mu się jako niemożliwy do przyjęcia cios. Nadal kierował zjadliwą kampanią przeciw ekipie odkrywców i handlarzy, którzy zawładnęli Tutenchamonem. Cartera opisywał jako potwornego pyszałka i egoistę, który nie przekazuje żadnej poważnej informacji i chce wszystko zachować dla siebie, a jego przełożonego, Carnarvona, zmienił w człowieka interesu, zajętego wyłącznie korzyściami i gotowego rozmawiać o każdym korzystnym kontrakcie. Ci dwaj rabusie okazali się znacznie skuteczniejsi od band złodziei z Gurna. Dlaczego arcydzieła znalezione w przedsiönku nie zostały jeszcze wystawione? Dlaczego grobowca nie otwarto dla zwiedzających? Bo Carter, jak przysłowiowy skąpiec, który tuli do piersi worek

złota, opóźnia opróżnianie grobu i wymyśla tysiące administracyjnych trudności, które uniemożliwiają Urzędowi do spraw Zabytków wypełnianie jego funkcji.

Lady Evelyn pomagała Carterowi załatwiać coraz obfitszą korespondencję.

—Chce pan przeczytać ostatni artykuł tego podłego Bradstreeta?

—Nie.

—Tym lepiej. Trzeba zachować energię na istotniejsze sprawy. Czy odpowiadamy na dzisiejszych sto próśb o autografy?

—Podzielę to z Mace'em i Burtonem. Pani ojciec i ja postanowiliśmy nie lekceważyć tych, którzy dodają nam otuchy i dostrzegają trudności naszej pracy.

—Czy przesłamy znalezione w grobowcu nasiona temu brytyjskiemu handlarzowi nasion, który chce zasiać egipskie zboże?

—Najpierw sami musimy je przebadać.

—Tu jest prośba paryskiego krawca, który prosi o próbkę tkaniny, żeby wylansować modę Tutenchamona.

—To pani musi na to odpowiedzieć, lady Evelyn.

—Poradzi sobie bez nas. Aha... to trzeci list jakiegoś fabrykanta konserw, który żąda zmumifikowanych środków spożywczych.

Carter złapał się za głowę.

— Ja już nie mogę...

Wstała, podeszła do niego i wytarła mu czoło chusteczką nasyconą wodą kolońską.

—Musi się pan trzymać, Howardzie. Jeśli pan się załamie, sępy spadną na Tutenchamona i zniszczone zostanie dzieło

pana życia.

—Bez pani...

—Niech pan nic nie mówi.

Luty był wyjątkowo ciepły. Wiatr z piaskiem drażnił oczy i utrudniał przemieszczanie się. Kilka razy dziennie człon-

kowie ekipy musieli zmieniać bieliznę. Lady Evelyn, wyzbywszy się wyposażenia turystki, ubierała się na sportowo i przysposobiła sobie maleńki prywatny salonik w grobowcu

Setiego II. Starła się nie przeszkadzać specjalistom od odnawiania przedmiotów i pakowania, którzy walczyli z czasem. Ich praca powinna zakończyć się przed nadejściem kwietnia, kiedy warunki klimatyczne uniemożliwią wykonywanie tak wyczerpujących zadań.

Olbrzymim sukcesem i chwilą wyjątkowego wzruszenia dla widzów zebranych wokół grobowca i na trasie do laboratorium było wyniesienie wielkich rytualnych łoż. Kiedy głowa lwa ukazała się u szczytu schodów, przez tłum przetoczył się pełen podziwu szmer. Zwierzę było jak żywe, jego spojrzenie zarazem pełne powagi i roześmiane zapadało w dusze. Lew, symbol dnia wczorajszego i jutra, niwelował wieki, które dzieliły zamknięcie grobowca od jego ponownego otwarcia. Wszyscy świadkowie śledzili powolne gesty Callendera, który pilnował wkładania tych arcydzieł do wielkich, wyłożonych watoliną skrzyń.

Ciekawscy zajmowali najlepsze miejsca od szóstej rano. Nikt nie był rozczarowany. Tego dnia pojawił się też złoty tron, którego zdobienia opiewały miłość Tutenchamona do młodej małżonki, oraz tak realistyczne popiersie króla, że niektórym zdawało się, iż władca we własnej osobie zbudził się z głębokiego snu. Nawet najbardziej zblazowani czuli, że są świadkami niezwykłego zdarzenia. Niezależnie od tego, czy się ceni egipską sztukę, Tutenchamona i historie faraonów, czy się tego nie ceni. Więziona i ukryta dotąd w ciemnościach siła niczym wysoka fala wylała się na świat ludzi — magiczna fala ciągnąca za sobą energię zdolną porużyć sumienia.

Carnarvon zorganizował wreszcie konferencję prasową. W największym salonie Winter Pałace tłoczyli się dziennikarze. Mimo służb porządkowych i zaproszeń obowiązujących przy wejściu, bariery przekroczyło wielu widzów na gapę.

Lord z teatralnym wyczuciem czekał, aż gwar umilknie, nim zacząć mówić.

— Pan Carter i jego ekipa, dzięki godnym Egipcjan wysiłkom, przestrzegał programu, jaki sobie narzuciliśmy, aby zapoznać świat z niezwykleymi skarbami Tutenchamona. Mam nadzieję, że uzyskane wyniki uciszą złośliwych i zawistnych. Przedmioty z przedsionka, z których wiele odnowiono w naszym laboratorium w Dolinie Królów, zostaną przewiezione do muzeum w Kairze na początku kwietnia. Urząd do spraw Zabytków zajmie się później zorganizowaniem wystawy godnej tych niezwykleych eksponatów.

Rozległo się kilka szyderczych śmiechów. Niekompetencja większości urzędników urzędu była przysłowiowa. Carnarvon wrzucił olbrzymi kamień do ogródka Pierre'a Lacau.

—Czy grobowiec będzie dostępny dla publiczności? — zapytał cierpko Bradstreet.

—Z całą pewnością nie.

—Z jakiego powodu?

—Najistotniejszego ze wszystkich: prace wykopaliskowe nie są zakończone.

Dreszcz podniecenia ożywił zebranych. Ołówki i wieczne pióra zaczęły biegać po papierze. Bradstreet, przekonany, że nie otrzyma żadnej precyzyjnej odpowiedzi, wymierzył cios:

—Kiedy przebijecie mur do ukrytej komory?

—Pan jest dobrze poinformowany — przyznał Carnarvon z półśmiechem.

—No więc jaka to data?

—Wybijemy zamurowane drzwi siedemnastego lutego, w obecności królowej Belgów.

ROZDZIAŁ 71

Żywa królowa dla zmarłego króla, popularna władczyni dla uwielbianego faraona. Tym reklamowym chwytem lord Carnarvon uciszył oszczerców. Piętnastego lutego Luksor stał się pępkiem świata: wszystkie stolice skierowały oczy na to miasteczko Górnego Egiptu, z którego dotrą setki depesz poświęconych Dolinie Królów. Egipskie koleje potrofiły

liczbę pociągów z Kairu. Hotele pełne były lordów, *ladies*, księżąt, księżnych, a nawet radzów, którzy nie chcieli przegapić tak oczekiwanego cudu, jakim było odkrycie nie zrabowanego grobowca faraona.

Wygląd drogi prowadzącej do doliny bardzo się zmienił. Dawniej był to piach, skały i cisza. Obecnie sznur warczących samochodów przesuwiał się między dwoma szeregami żołnierzy armii egipskiej w paradnych mundurach, którzy tworzyli szpaler honorowy dla znamienitych gości.

Carter się wściekał. Przyływ turystów, choćby byli wpływowymi i sławnymi miliarderami, przeszkadzał mu w pracy i zagrażał bezpieczeństwu przedmiotów. Iluż to głupkowatym lordom i sztywnym księżnym nie pozwolił przewrócić alabastrowej wazy lub podeptać pereł! Jedynie obecność lady Evelyn dawała mu siłę, by grać tę komedię.

Szesnastego lutego królowa i jej syn, książę Leopold, przybyli do Luksoru, dokładnie w chwili kiedy rozpowszechniono wiadomość o tragicznej śmierci kanarka. Gazety zajęły się tym dramatem. Niektóre dodawały, że komora grobowa roi się od kobr, które atakują profanatorów. Bradstreet ironizował: w tym sławnym a tak długo niedostępnym pomieszczeniu odkryta zostanie tylko pustka, albo jeszcze lepiej: obrabowany sarkofag.

Siedemnastego w południe opróżniono przedsionek. Pozostały tylko dwa posągi czarnoskórego króla, po obu stronach przejścia do komory grobowej. Carter nie bez żalu przyglądał się ogołoconemu pomieszczeniu. Jakby zapadał się kawał jego życia. Może powinien był zadowolić się wyryciem w pamięci pierwszego obrazu tych cudowności i zamurować grobowiec...

O czternastej zaczęła się oficjalna ceremonia. Zamiast przewidywanych dwudziestu dwa razy tyle osób tłoczyło się w ostatnim domostwie Tutenchamona. Lady Evelyn, lord Carnarvon i Carter rywalizowali klasyczną elegancją ze swoimi gośćmi. Brytyjski wysoki komisarz, lord Allenby i najwyższe władze egipskie odpowiedziały na zaproszenie lorda Carnarvona. Lacau i Engelbach także. Ten ostatni zasiał pewne wątpliwości, przypominając smutną przygodę

Davisa, który kilka lat wcześniej fatygował pana kraju, by mu pokazać puste wazy. Cierpiąca królowa Belgów przeprosiła za nieobecność.

Carter, Carnarvon i lady Evelyn wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, gdy kamerzyści i fotografowie utrwalali na kliszach świetną publiczność, tłoczącą się u wejścia do grobowca. Carter otworzył żelazną kratę przed przed-sionkiem.

—Strasznie tu ciemno — skarżył się były egipski minister.

—Proszę się nie bać — powiedział Carnarvon — nie pochłoną pana wnętrzości ziemi. Będziemy słuchać swois-

tego koncertu. Carter zaśpiewa nam nieznaną pieśń.

Oparty o parapet markotny Arthur Weigall obserwował, jak uprzywilejowani znikają w korytarzu.

—Lord wciąż dowcipkuje — zauważył stojący obok niego dziennikarz.

—Przy tym stanie ducha nie damę mu więcej niż sześć tygodni życia. Przekleństwo faraonów...

—Mam nadzieję, że pan żartuje?

Zawstydzony Weigall odszedł. Jego miejsce zajął inny dziennikarz. Tak jak i jego koledzy skłonny był spędzić popołudnie w słońcu, w nadziei że jako pierwszy zdobędzie jakąś informację o tajemnym pomieszczeniu. Już krążyły plotki. Pewne źródło mówiło o dwóch mumiach, z których kwadrans później zrobiło się osiem.

Ekipa archeologiczna rozstawiła krzesła i barierą oddzieliła tych, którzy obserwowali zamurowane wejście, gdzie wzniesiono małą platformę; zapewniła ona Carterowi dobre warunki pracy, bez ryzyka zniszczenia czarnych posągów, zabezpieczonych drewnianymi skrzyniami.

Wchodząc na pomost, Carter wyczuł dreszcz podniecenia, który przebiegał widzów za barierką. Choć drżały mu ręce, wymierzył pierwszy cios w oświetloną reflektorami powierzchnię.

Usunąwszy drewniane nadproże, które wskazywało na obecność drzewi, zdjął gips i kamienie, zewnętrzną warstwę wypełniającą, i wybił niedużą dziurę.

— Lampa — rzucił do Callendera.

Carter oświetlił tajemną komnatę. Tylko on jeden mógł dojrzeć to, co było po drugiej stronie ściany. Widzowie wstrzymali oddech.

— Widzę ścianę... ścianę ze złota i fajansu!

Callender podał mu lewar i pomógł oderwać największy kamień, by poszerzyć otwór. Carter, którego ruchy stały się nerwowe, tracił cierpliwość, natrafiając na nieregularne bloki o różnych wymiarach i ciężarze, chciał jednak osobiście wyjąć każdy z nich. Callender odbierał od niego bloki i przekazywał robotnikowi, który układał je w przed-sionku. Mace pilnował, by ściana nie zwała się i nie uszkodziła skarbu w tajemnej komnacie. Carter wsunął w otwór materac i przeszedł na drugą stronę. Tuż za nim Carnarvon.

Zebrani oczekiwali jakiegoś oświadczenia, ale Carter właśnie nadepnął na rozsypane paciorki z jakiegoś naszyjnika. Choć widzów ogarniała coraz większa niecierpliwość, zbierał paciorki jeden po drugim i nie ruszył dalej, póki nie skończył. Lacau postanowił być trzecim z uprzywilejowanych. Carter, wpadłszy w ekstazę przed wielką skrzynią-kaplicą, której boki wyglądały jak złota ściana, nie wygnał go. Wszyscy trzej ostrożnie posuwali się naprzód, bo podłoga pokryta była symbolami: magiczne wiosła, które pozwalały królewskiej barce żeglować po drogach nieba, naos zawierający rytualne instrumenty używane podczas uroczystości pogrzebowych, bukiety persei, dzbany na wino, srebrne łąki; skóry Anubisa zwinięte wokół drzewca przypominały o śmierci i odrodzeniu.

Lacau milczał. Inskrypcje i malowidła na olbrzymiej kaplicy, wypełniającej prawie całą komnatę, były całkowicie nieznaną skarbnicą. Ile trzeba będzie lat badań, by je zinterpretować? Na ścianach sceny przedstawiające otwarcie ust królewskiej mumii, przywiezionej do nekropoli przez „przyjaciół króla”. Odważanie serca, skonfrontowanego z Regułą, okazało się dla faraona przychylne; to dlatego dusza Tutenchamona wstąpiła w wieczność.

Carter odciągnął zasuwę, otworzył wielkie drzwi z przodu i odsłonił drugą kaplicę. Na jej drzwiach była pieczęć.

— Nienaruszona — zauważył Lacau. — A ten kir, któ-

ry z czasem zżółkł... nikt go nie uniósł od czasu pogrzebu króla!

Milczeli długą chwilę. Kto ośmieli się złamać pieczęć?

Spojrzenie Pierre'a Lacau zatrzymało się na niskich drzwiach, które otwierały się, ukazując ostatnie pomieszczenie grobowca: skarbczyka. Carter wszedł tam pierwszy; zauważył trzciniową żagiew wbity w glinianą cegłę. Leżący na kapliczce i otulony lnianą tkaniną Anubis spoglądał na intruza. Naprzeciw drzwi, oparte o ścianę, w głębi, cztery boginie ze złota wyciągały ramiona, osłaniając kanopską skrzynię, gdzie przechowywano wnętrzości króla. Boginie były tak naturalne i żywe, a ich twarze wyrażały taki spokój, że ledwie odważył się na nie spojrzeć.

Kufry, modele statków, klejnoty, przybory skryby, wachlarze ze strusich piór, statuetki... aż mieniło się w oczach. Kiedy zdumiony Lacau wyszedł, lady Evelyn dołączyła do ojca i archeologa. Carter, odcyfrowując hieroglify wyryte na wielu przedmiotach, zidentyfikował nazwiska ludzi bliskich monarsze, między innymi Maję, ministra finansów i głównego nadzorcę królewskiej nekropoli. A więc to on nakazał wydrążenie grobowca w tym miejscu i narzucił absolutną tajemnicę po uroczystościach pogrzebowych! Wierny Maja, którego kontynuatorem stał się Carter.

Poruszony już chciał opuścić komorę grobową, gdy zauważył lampę z knotem, na której glinianej podstawie był jakiś napis.

—Co on mówi? — zapytała lady Evelyn.

—Ochronia grobowiec przed wszelkim rabunkiem i strzeże nienaruszalności sekretnej komnaty.

Ani Carter, ani Carnarvon nie zdołali powiedzieć słowa, wróciwszy do przedsionka. Po prostu wzniesli ramiona ku niebu. Pozostałe osobistości kolejno przekraczały próg świętego miejsca. Wielu z nich z trudem rozstawało się z fascynującym światem, jaki im ofiarowano. Wszyscy drżeli, wszyscy przytłoczeni byli pięknem. Podniecenie ustąpiło miejsca powadze świadków przekonanych, że uczestniczyli w misterium, którego prawdziwa natura im umykała.

Ponad trzy godziny od rozpoczęcia tego dziwnego ceremoniału Carter i Carnarvon jako ostatni wyszli z grobowca,

spoceni, zakurzeni i wyczerpani. Słońce już zaszło i było rzeško. Carter zarzucił szal na ramiona lady Evelyn.

—Dolina jest odmieniona — zauważyła. — Niech pan spojrzy... jakie niezwykle światło! Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

—Nigdy bardziej jej nie kochałem... Ofiarowała nam niemożliwe.

ROZDZIAŁ 72

Tutenchamon stał się absolutnym panem Luksoru. Obecny był w każdej rozmowie, nie było sklepu, w którym jego imienia nie przydano by jakiemuś towarowi. Kucharze wymyślili „zupy Tutenchamona” albo pieczone a la „Tut”, a organizatorzy rozrywek przyciągali tłumy na „bal Tutenchamona”.

Bradstreet, który zamierzał napisać ironiczny artykuł na temat dyplomatycznej choroby królowej Belgów, musiał z tego zrezygnować, dowiedziawszy się, że władczyni szybko powróciła do zdrowia i udała się na zachodni brzeg już osiemnastego lutego. Zapewne wolała samotną wizytę od tłumy oficjalnej inauguracji.

Callender miał dla niej niespodziankę. Ulepszając instalację elektryczną i zasłaniając żarówki, stworzył łagodny i ciepły nastrój, sprzyjający odkrywaniu wielkiej skrzyni i cudów skarbcza. Zaskoczony tym egiptolog' Jean Capart, który towarzyszył królowej, przyklasnął pomysłowi.

— Jak zatrzymać tę umykającą chwilę? To najpiękniejszy dzień w moim życiu!

Pełen entuzjazmu ucałował Cartera w oba policzki.

— Jest pan geniuszem i dobroczyńcą ludzkości.

Howarda Cartera uszczęśliwiła ta oznaka szczerej przyjaźni ze strony kolegi, choć nie aspirował do podobnej chwały. Tutenchamon naprawdę czynił cuda.

Królowa miała na sobie białą suknię, biały kapelusz z szerokim rondem i przysłaniającą twarz woalkę, a na ramionach etolę ze srebrnych lisów. Jej przybycie nie przeszło niedostrzeżone, ponieważ w świetle było aż siedem samochodów

oraz zastęp konnych pojazdów i różnych wozów zaprzężonych w osły. Ludek na zachodnim brzegu był szczęśliwy, że może uczestniczyć w święcie, i hałaśliwie objawiał swoją radość. Czyż sam szef prowincji nie dał przykładu, każąc na przystani witać władczynię fanfarami?

Grypa, na którą cierpiała Jej Królewska Mość, nie była udawana. Mimo upału królowa miała dreszcze. Zwiedzanie grobowca pochłonęło ją całkowicie. Zadawała wiele pytań zachwyconemu Carterowi, który otworzył kilka szkatulek zamkniętych od czasu śmierci Tutenchamona. Jedna z nich zawierała węża z połączanego drewna, na widok którego zwiedzający aż podskoczyli, tak wydawał się żywy.

Królowa Belgów nie żałowała pochwał Carnarvonowi i Carterowi podczas konferencji prasowej, którą zwołała tego samego wieczora. Cieszyła się z pobytu w Luksorze, a jeszcze bardziej z faktu, iż obejrzała zdumiewającej piękności arcydzieła, i podkreślała, że cały świat powinien być wdzięczny lordowi i jego archeologowi.

—Zasłabnięcie?

—Tak, Howardzie. Jestem trzecim zwiedzającym, który zemdlął, wychodząc z grobowca.

—To upał.

—Plotka mówi o przekleństwie rzuconym przez szejka.

—Pan w to wierzy?

—Nie — odparł Carnarvon. — Ono zresztą nikogo nie zniechęciło do oblegania grobowca, *Times* jest cennym so-

jusznikiem. Codzienne sprawozdanie z naszych prac zamyka

usta naszym przeciwnikom.

—Wyjąwszy Bradstreeta i *New York Timesa*! On twierdzi, że rozbieżności między egipskim rządem a nami nieustannie rosną.

—Minister robót publicznych właśnie zdementował twierdzenia Bradstreeta nazywając je śmiesznymi, i cieszy się z serdecznych stosunków z nami. Otrzymaliśmy też list od króla Fuada: *Jest mi szczególnie miło skierować do panów gorące gratulacje w chwili, gdy naszą długoletnią współpracę uwieńczył sukces.* Zwyciężyliśmy przeciwni-

ków, Howardzie. Już nawet Lacau nie może kiwnąć małym palcem. Jako międzynarodowy bohater jesteś nietykalny.

Między dwudziestym a dwudziestym piątym lutego dziesiątki tysięcy turystów zdobyło szturmem zachodni brzeg i rzuciło się na grobowiec Tutenchamona. Ciekawych nie zniechęciła nawet burza piaskowa. Nocne życie w Luksorze było równie ożywione jak w wielkiej stolicy. Wielu Amerykanów obojętnych na cuda egipskiej archeologii, lecz spragnionych wyścigów konnych i wielbłądzych, podejmowało wysokie zakłady, dużo piło i bawiło się nocami na wycieczkowych statkach pływających po Nilu.

Carter odsunął dwóch podchmielonych mężczyzn i wszedł do salonu Winter Pałace, gdzie Carnarvon pił herbatę w towarzystwie przedstawiciela Metropolitan Museum. Lord wyczuł, że coś się stało.

—To nie może dłużej trwać. Ci turyści są bardziej niezdolni niż muchy.

—Rząd egipski prosił nas o zgodę na otwarcie grobowca publiczności i...

—To był błąd. Te bandy podnieconych stanowią zagrożenie.

—Wypadek?

—Jakiś grubas utknął w przejściu między murem a skrzynią i zarysował jej powierzchnię. Jutro dojdzie do innych szkód. Jeśli nie zamkniemy grobowca, za nic nie odpowiadam.

Carnarvon, równie zaniepokojony jak Carter, pospiesznie porozumiał się z przedstawicielem ministerstwa. Spragniony samotności archeolog zajęty był wypełnianiem dziennika wykopalisk, kiedy cicho otwarły się drzwi jego domu.

— Mogę wejść?

Uśmiech lady Evelyn rozbroiłby nawet najbardziej złośliwego najeźdźcę, więc Carter odłożył wieczne pióro.

— Bardzo proszę.

Słońce zachodziło nad doliną. Skały zabarwiały się kolorem ochry, cisza ogarniała domostwa wieczności.

—Ojciec jest zaniepokojony.

—Bardzo mi przykro. Nie jesteśmy w pełni zgodni co do stanowiska wobec władz. Ustępstwa spowodują w końcu katastrofę.

Lady Evelyn podeszła do Cartera i położyła prawą dłoń na jego ramieniu. Skamieniał, ledwie śmiał oddychać.

—Nieznosny z pana człowiek.

—Ja...

—Lubię pański charakter, Howardzie. Jest nieznosny i jedyny w swoim rodzaju. Pan jest przekonany, że absolutnie można przeżyć na ziemi i że prawość to jedyne możliwe do

przyjęcia postępowanie.

—Rzeczywiście.

Ucałowała go w czoło. Carter chwycił się biurka, jak tonący deski.

—Czy dla pana jestem dość bezkompromisowa?

—Chciałbym pani powiedzieć...

Wstał wolno, lękając się, że każe mu usiąść, ale ona odsunęła się, nagle nieosiągalna.

—Nie chcę pani stracić, Evelyn.

Zrobił krok w jej stronę. Nie cofnęła się.

—Nie wiem jak...

—Zamilcz, Howardzie. Nie oczekuję słów.

Wziął ją w ramiona. Lady Evelyn, Evelyn, Eve, zakochana kobieta, szczęście.

O szóstej rano Carter jeszcze nie wstał. Z otwartymi oczyma próbował zakotwiczyć w pamięci każdą chwilę tej cudownej nocy, kiedy to po raz pierwszy od trzydziestu trzech lat nie marzył o Dolinie Królów.

Drzwi domu archeologów otwarły się z hukiem.

—Jesteś tam, Carter?

Archeolog przewrócił się na bok.

—Odpowiadaj!

—Jestem w swoim pokoju, milordzie.

Carnarvon był wzburzony i wściekły.

- Eve wszystko mi opowiedziała.
- Miała rację.
- Zabraniam panu spotykać się z nią.
- Dlaczego?
- Jesteście z innych światów.
- Ona arystokratka, a ja prostak!
- Właśnie.
- Odmówi pan, jeśli poproszę o jej rękę?
- Muszę.
- Jakie prawo do tego zmusza?
- Moralność i zwyczaj.

Carter wstał i ubrał się.

—Pan sam w to nie wierzy. Pański charakter i pańskie życie zaprzecza takiemu konformizmowi.

—Wierzę w to dla mojej córki i będę zwalczać jej szaleństwo.

—Kochać mnie to szaleństwo?

—Zrozum to, Howardzie!

—Odmawiam. Podobno świat się zmienił... Dzisiaj plebejusz może poślubić hrabiankę.

—Mylisz się. Pańską jedyną miłością jest Dolina Królów. I to jest prawdziwy powód mojej odmowy. Muszę pana strzec przed nim samym.

—Proszę nie wyrokować o moich uczuciach.

—Zapomnij o Evelyn.

—Nigdy. Ani przez chwilę jej nie zachęcałem. Ale nie potrafię odepchnąć.

Carnarvon nie hamował już złości.

—Zadaj sobie gwałt. Ona ma dwadzieścia dwa lata, a ty pięćdziesiąt! To potworne, Carter!

Archeolog poprawił muszkę.

—Niech pan się nie poniża, dyskutując z potworem. Proszę wyjść.

—Pan wie, co to oznacza?

—Lord odsyła prostaka. Nasza współpraca jest zakończona.

ROZDZIAŁ 73

Ragtime zalał salę balową Winter Pałace, wypierając spokojniejsze tańce. Młodzi ludzie z wyższych angielskich i amerykańskich sfer oddawali się tej nowej rozrywce, nawiązując liczne flirty.

W salonie obok Carter pił.

Raz jeszcze był sam, opuszczony przez wszystkich. Sen, który zdawał się już w zasięgu ręki, zmieniał się w koszmar. Carnarvon zatrudni innego archeologa, by otworzył kaplice i odsłonił ostatnią tajemnicę. Jaką przyszłość mógł ofiarować arystokratce bezrobotny archeolog?

Carter napełnił właśnie kieliszek, gdy jakaś ręka zacisnęła się na jego przegubie.

—Nie niszczyć sam siebie, Howardzie.

Lord Carnarvon usiadł naprzeciw.

—Chciałem cię przeprosić.

—Pan...

—Dobrze pan słyszał. Pan jest moim jedynym przyjacielem. Gniewać się na pana byłoby największą głupotą. Cokol-

wiek się zdarzy, jakiegokolwiek uczucia żywiłby pan wobec mnie, moja życzliwość nigdy pana nie zawiedzie. Zachowa-

łem się jak głupiec... Kłamstwa, nerwy, zgiełek sławy? Przy-

znaję, że to tylko żalosne wyjaśnienia.

—Wydają mi się całkiem sensowne. Picie w samotności to herezja. Czy mogę pana poczęstować kieliszkiem szam-

pana?

—Z przyjemnością.

Po dziewięciu dniach intensywnych wizyt wspomagany przez Carnarvona Carter zwyciężył. Urząd do spraw Zabytków i rząd przystały na zamknięcie grobowca ze względu na konieczność jego ocalenia. Kiedy obaj panowie przyglądali się opróżnionemu przedsiönkowi, poczuli się bardzo nieswojo.

— Ściany w smutnym żółtym kolorze, pusta podłoga, ani śladu jakiegóś dekoracji... rozpaczyć! Jesteśmy profanatorami.

—Nie sędzę, Howardzie. Tutenchamon odczuwa nasz szacunek.

—A czemu miałby nam wybaczyć, że przewróciliśmy do góry nogami jego grobowiec?

—Bo przekazemy jego przesłanie światu. Stary Egipt ledwie zaczyna mówić. Pan przecież zapewniał, że nie kiero-

wały nim ani przesady, ani bałwochwalstwo i że jego praw-

dziwymi wartościami była znajomość i wierność uniwersalnej

Regule i uświęcenie codzienności. Nasza cywilizacja jest żałosna, Howardzie. Jej bóstwa to hipokryzja, korupcja i przeciętność. Wojna światowa i tysiące zabitych... oto bilans

naszego sławnego postępu. Jeśli nie odnajdziemy wiary Egipcjan, jesteśmy skazani na nicość.

Carter nie odrywał wzroku od dwóch czarnych posągów, które nadal czuwały przy wejściu do tajemnej komory. Złoto ich hełmów i światło ich oczu oczyszczały duszę.

— Nasza epoka to cyniczny materializm. Niszczy wszystko, co niezgodne z jej małostkowością. Tutenchamon to cud, najwspanialszy z cudów, jedyne światło nadziei.

Wielka żelazna krata zamknęła się za przedsiönkiem. Dziesiątki robotników, a wśród nich wiele dzieci, wysypało w korytarzu setki koszy z piaskiem i odłamkami skał. *Reis* chodził tam i z powrotem wzdłuż szeregu zasypujących dostęp do grobowca. Kiedy zapadła noc, Callender włączył reflektory. Praca trwała aż do świtu. Dwudziestego siódmego lutego o wpół do szóstej wieczne domostwo Tutenchamona znowu zniknęło.

—Niech odpoczywa w spokoju — szepnął Carter.

—Nikt nie będzie mógł opróżnić jego grobowca — stwierdził Carnarvon. — Cóż to za nieprawdopodobny postęp! Archeolodzy zwykle odkopują, my zakopujemy!

Chyba po raz pierwszy badacze dobrowolnie zasypują miejsce, na którym pracowali.

—Czasami myślę, żeby już nie zakłócać jego spokoju.

—Musi pan doprowadzić rzecz do końca, Howardzie.

Ten król dręczy pana w snach od młodości. Spotkania z nim wymaga zwykła uprzejmość.

Żołnierze i strażnicy Urzędu do spraw Zabytków rozłożyli się wokół balustrady, która znaczyła miejsce grobowca. Carter poprosił *reisa*, by ich pilnowała jego własna służba porządkowa. Ale kto mógł sobie wyobrazić, że ta wypełniona ziemią jama przysłania jedyny nienaruszony grobowiec w Dolinie Królów?

Carnarvon uściskał dłoń Pierre'a Lacau.

—Temperatura w Kairze jest mniej męcząca niż w Lukсорze. Czy podać panu miętową herbatę, panie hrabio?

—Chętnie.

—Pańska wizyta to dla mnie honor. Egipski dwór i wysoki komisarz uwielbiają pana. Wszystkie osobistości tego

kraju uważają pana za narodowego bohatera.

—Na szczęście mam jeszcze kilku wrogów. Inaczej osiadłbym na laurach.

—Chodzi o zwolenników niepodległości? To nie istotnego.

—Pan się myli, panie Lacau. Oni nie zrezygnują. Jaki podział przedmiotów pan przewiduje?

Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków bał się tego pytania. Carnarvon korzystał ze swojej sławy, aby ciągnąć niedozwolone zyski, omijając regulamin. Wściekając się w duchu, Lacau już widział, jak rozprasza się bajeczna kolekcja wszechczasów.

—Podział... trzeba to będzie przedyskutować.

—Czyżby pan był przeciwny tej idei?

—Pańskie pytanie jest bardzo kłopotliwe. Dawne obyczaje bywały czasem niejasne... Czy nie sądzi pan, że gdyby

skarby Tutenchamona zgromadzono w muzeum w Kairze...

—Proszę zaproponować mi ich listę. Przedyskutujemy to, zgodnie z pańskim życzeniem.

Lacau patrzył, jak lord wychodzi. Machinalnie złamał ołówek, który trzymał w prawej ręce.

Nadal wiał silny wiatr, niosąc piasek. Na przekór kurzawie i upałowi ekipa wciąż pracowała w laboratorium. Odnawianie klejnotów, szat, drewna i glinianych garnków wymagało dokładności i cierpliwości. Carnarvon interesował się najmniejszym drobiazgiem i pytał specjalistów o stosowane techniki. Wszyscy zauważyli jego rosnącą nerwowość i zmęczenie, które drażyło mu twarz.

Podczas przerwy po lunchu Carter postanowił się z nim rozmówić.

—Nie widziałem lady Evelyn.

—Jesteś wolny, Howardzie. Ona też.

—Czy pan rzeczywiście mi wybaczył?

—Nie popełniłeś nic złego.

—Ostatnio wydaje się pan taki daleki.

—To idiotyczne, ale bołą mnie zęby. Dwa się złamały, jeden wypadł... Starzeję się i tęsknię za Suzi. Z powodu złego stanu zdrowia musiała zostać w Highclere. Brakuje mi

jej... Tak doskonale mnie pilnowała, a także naszych skarbów! I ten artykuł w egipskim dzienniku *al-Ahram*, to skan-

dal! Mnie, mnie oskarżać, że chcę wydobyć z grobowca Tutenchamona i potajemnie wywieźć jego mumię do Anglii!

Zmęczyły mnie te oszczerstwa... Przecież mówiłem, że jeśli król spoczywa w sarkofagu ukrytym w którejś ze skrzyń, podejmę starania, żeby tam pozostał i żeby go nie przewożono do muzeum w Kairze. Nie podzielam niezdrowej namiętności amatorów mumii wystawianych w witrynach. Ale

egipscy dziennikarze mi nie wierzą! ■ Uważają, że Tutenchamon to ich przodek i brytyjski lord nie powinien się nim

zajmować.

—Niech pan zapomni o tych głupstwach.

—Nie mogę. Anglia nie panuje już nad światem, Howardzie. Nie jest już strażniczką pokoju i cywilizacji. Pan i ja musimy jednak pozostać protektorami tego króla, który stał się naszym bratem. Spojrzec mu w twarz... to będzie jednak niezwykła chwila.

Carnarvon podskoczył i dotknął policzka,

— To komar... ale ukąszenie było bolesne.

Na skórze pojawiła się kropelka krwi. Lord wytarł ją chusteczką ozdobioną herbem.

—Muszę wracać do Kairu.

—Lacau?

—On nie jest szczerzy. Mam wrażenie, że po cichu stara się przeszkodzić naszym poszukiwaniom i wzbogacić swoją

kolekcję. Trzeba mu zadać decydujące pchnięcie, póki jeszcze

czas. Pod koniec tego miesiąca zabytki zostaną sprawiedliwie

podzielone. Czy wyobraża pan sobie kilka z tych arcydzieł

w Highclere?

Rozmarzony lord Carnarvon nasunął głębiej kapelusz i wspierając się na lasce, wyszedł z laboratorium. Niby falujący cień zniknął w chmurze białozółtego kurzu, który przysłonił rany doliny.

ROZDZIAŁ 74

Lacau nie mógł przyjąć lorda Carnarvona, bo był chory. Lady Evelyn oczekiwiała, że ojciec będzie niezadowolony, ale on, bardzo zmęczony, wrócił do hotelu i przespał cały dzień.

Nazajutrz rano wydawał się w dobrym nastroju. Całując go, córka zauważyła jego spuchniętą szyję. Dostrzegł jej niepokój.

— To węzły chłonne... trochę bolesne. W ciągu ostatnich tygodni dolina mnie wyczerpała.

Wszedł fryzjer. Carnarvon pomyślał o jednym z epizodów swojej egipskiej przygody, kiedy to pewien golibroda zamie-

rzał podciąć mu gardło. Tym razem brzytwa przesuwiała się delikatnie po skórze pokrytej miękką pianką.

Carnarvon krzyknął z bólu. Fryzjer cofnął się zrozpaczony.

— Proszę wybaczyć... skaleczyłem pana!

Carnarvon pogłaskała się po policzku. Krew sączyła się z miejsca, gdzie ukąsił go komar.

— Proszę wyjść!

Fryzjer wyszedł zawstydzony. Lord sam skończył się golić. Kiedy wstawał, zakreśliło mu się w głowie, uczeplił się więc fotela i dotarłszy z trudem do łóżka, padł na nie.

W południe lady Evelyn zastała go leżącego, niezdolnego

się ruszyć. Przeżrana natychmiast wezwała lekarza, którego diagnoza brzmiała: zator płuc. Zlecił środki przeciwniekcyjne. Mimo podanych leków temperatura przekroczyła czterdzieści stopni.

—Boję się, że to poważne, Eve.

—Nie martw się, ojczu, jestem przy tobie.

—Dobrze byłoby wysłać telegram do matki i brata. Niech przyjeżdżają jak najszybciej.

—Zaraz się tym zajmę.

Lady Evelyn napisała także do Howarda Cartera. Nie ukrywała swojego niepokoju i obiecała codziennie dostarczać mu wiadomości.

Dziennikarze oblegali młodą kobietę już tego samego wieczora. Musiała przyznać, że ojciec leży w łóżku i że zapewne będzie potrzebował kilku tygodni wypoczynku.

Specjaliści u jego wezłowią zmieniali się. Pesymistycznie usposobieni stwierdzili uogólnioną infekcję i zatrucie krwi. Jeden z nich, wbrew opinii kolegów, był przekonany, że chory połknął jakąś toksyczną substancję.

Komunikaty o stanie zdrowia Carnarvona drukowały codziennie egipskie gazety, które Carter po raz pierwszy czytał z zachłannością. Podkreślały one wysokie morale pacjenta, jego odwagę i jasność widzenia. To prawda, gorączka wciąż się utrzymywała, ale walka z chorobą przybierała korzystny obrót.

Setki administracyjnych kłopotów zatrzymywało Cartera w Luksorze, gdzie Engelbach i jego zbiry co dwa dni sprawdzali postępy prac nad restauracją przedmiotów. Mimo to gotów był przyjechać do Kairu, gdy tylko lady Evelyn tego zażąda.

W ostatnim tygodniu marca lord prosił córkę, by mu opowiedziała o poszukiwaniach, które Carter opisywał w lis-

tach. Roboty postępowały naprzód, a ekipa była pewna, że Carnarvon doceni jej pracę.

—Czy jesteś szczęśliwa, Eve?

—Póki ty jesteś chory, słowo „szczęście” nie ma sensu.

—Pomyśl o sobie... Taki starzec jak ja nie może ci ofiarować szczęścia.

—Ty, ojczu, dałeś mi wszystko. Jak mogłabym zapo-

mnieć o naszych spacerach po parku Highclere, rozmowach w świetle księżyca, o lekcjach czytania w bibliotece, o polowaniach, kiedy tak staraliśmy się spudłować? A potem Egipt, twój Egipt! Zaświaty na ziemi, faraon wskrzeszony w blasku złota, wieczność w zasięgu ręki... Objawiłeś mi to wszystko.

—Będziesz musiała obejść się beze mnie.

—To pomysł niegodny lorda Carnarvona.

—Poślubisz Howarda?

—Odmawiam odpowiedzi.

—Dlaczego?

—Żyj dalej, to się dowiesz.

Na początku kwietnia przyniosła ojcu list podpisany przez Pierre'a Lacau i ministra robót publicznych. Zgodzili się niczego nie zmieniać w ustaleniach sprzed końca 1924 roku. Decyzja ta oznaczała, że lord, jako finansujący wykopaliska, legalnie otrzyma pewną liczbę przedmiotów ze skarbu Tutenchamona.

—Cieszysz się, ojcze?

—Za późno, Eve.

—Oczywiście, że nie! Wyzdrowiejesz.

—Usłyszałem wezwanie i przygotowuję się.

—Nie...

—Chcę, by mnie pochowano na szczycie wzgórza nad Highclere. Tam już niebawem wiosna... Moją jedyną muzyką żałobną będzie śpiew skowronków. Ceremonia ma być prosta i krótka... moi bliscy, starzy słudzy, wieśniacy, którzy utrzymują majątek, Suzi... Żadnego polityka, żadnego notabla.

—Howard Carter?

—Dla niego ja nie umieram. Niech nie opuszcza doliny, nie skończywszy prac nad konserwacją. Skarb Tutenchamona jest ważniejszy niż umierający stary lord.

Lady Evelyn wybuchnęła płaczem.

— Nie masz prawa odchodzić!

— Śmierć to kiepski żart... ale nie ja jestem jego autorem.

Carnarvon stracił przytomność. Lady Evelyn nie śmiała zawiadomić Cartera. W pamięci jedynego przyjaciela lord pragnął pozostać istotą silną i zdrową.

Carnarvon nie poznał ani małżonki, ani syna, oficera armii Indii, dla którego statek zmienił swój kurs. Jego oczy oglądały już inny świat, w którym ludzkie sylwetki stawały się mglistymi widmami.

Piątego kwietnia 1923 roku o pierwszej czterdzieści pięć lord Carnarvon wyzionął ducha.

Wszystkie światła Kairu zgasły w chwili jego śmierci, choć elektryczności dostarczało sześć niezależnych elektrowni. Technicy dłuższy czas próżno usiłowali ustalić przyczynę tej awarii. Wszędzie zapalano świece i lampy naftowe.

W Highclere foksterierka Suzi, ulubiona suka lorda Carnarvona, rozpaczliwie zawyla i zdechła dokładnie w chwili, gdy jej pan wstępował na drogę do zaświatów, po której bezbłędnie go poprowadzi.

ROZDZIAŁ 75

Przyzwyczajenie nie rozpraszało tajemnicy. Żadna z dawnych mocy nie opuściła doliny, gdzie nadal żyły dusze królów. Przeszłość i teraźniejszość stanowiły jedność w orszaku Anubisa, pana śmierci.

Jak Carter żyć będzie dalej bez Carnarvona, przyjaciela i brata? Carnarvona, który przeżył tylko o sześć miesięcy odkrycie grobowca Tutenchamona i nie zobaczy ani jego sarkofagu, ani mumii — zakładając, że nie jest zniszczona.

Archeolog miał wciąż przed oczyma ten przeklęty, spisany po francusku akt zgonu, który precyzował, że George Herbert Stanhope, Earl of Carnarvon, urodzony dwudziestego drugiego czerwca 1866 roku, liczący sobie pięćdziesiąt sześć

lat i przybyły z Londynu, zmarł na zapalenie płuc po ośmiu dniach choroby.

Carnarvon, człowiek prawy, awanturnik pokrywający zapal elegancją, pozbawiony gwałtowności zdobywca... Bez niego dnię będą szare i zimne, nawet pod gorącym słońcem. Carter miał ochotę zamknąć laboratorium i na zawsze zostawić dolinę i grobowiec milczeniu i pyłowi. Carnarvon nie

pozwoił mu jednak na to tchórzostwo. Za niespełna miesiąc wszystkie przedmioty z przedsiönka miały być gotowe do dalekiej podróży. Trzeba było zapomnieć o smutku, zmęczeniu i cierpkim smaku samotności.

Nowa ofiara przekleństwa faraönów. Wiele dzienników wydrukowało na pierwszej stronie tę sensacyjną informację, która obieęła świat. Conan Doyle, specjalista od spirytyzmu, oświadczył, że prawdopodobnie Tutenchamon zemścił się na głównym profanatorze. Niektóre dzienniki, uchodzące nawet za poważne, odwołały się do tekstu zapisanego w grobowcu. Czyż nie przepowiadał on zniszczenia wszystkich, co się odważą tknąć skarb? Przypomniano, że Egipcjanie byli niebezpiecznymi czarownikami. Karali strasznymi cierpieniami rabusiów grobów.

Sławni lekarze protestowali przeciw tym niedorzecznościom. Co najwyżej zgodzili się na istnienie zarazków chorobotwórczych powodujących ogólną infekcję, której ofiarą padł lord Carnarvon. Czy nie należałoby zdezynfekować grobowca przed ponownym wkroczeniem do niego?

Śmierć kilku turystów wywołała panikę. To prawda, byli starzy i chorzy, ale wszyscy odwiedzili grobowiec. Kilkunastu amerykańskich polityków zażądało starannego zbadania mumii przechowywanych w muzeach. Czy nie są one odpowiedzialne za niewyjaśnione zgony, a nawet epidemie? W Anglii właściciele egipskich starożytności odesłali je do British Museum, by uwolnić się od złowróźbnych przedmiotów.

Carter zgodził się stanąć przed sforą dziennikarzy, którzy zasypali go pytaniami.

—Jak się pan czuje?

—Doskonale, choć śmierć lorda Carnarvona głęboko mnie zasmuciła.

—Jak pańskie bóle brzucha?

—Wyleczone od dziesięciu lat.

—Czy odważy się pan znowu wejść do grobowca?

—Gdy tylko będzie to możliwe.

—Oskarża się pana o profanację.

—Nikt bardziej ode mnie nie szanuje pamięci Tutenchamona. Moim najgorętszym pragnieniem jest spotkać go,
pozdrowić i zagwarantować absolutne bezpieczeństwo jego

mumii, jeśli ona istnieje, aby wielbiły ją wieki.

—Czy egipskie teksty nie zabraniają wkraczania do grobowców?

—Przeklinają profanów nie okazujących szacunku i żądają czci i miłości wobec istoty obecnej w domostwie wskrze-

szenia, aby przetrwało jej imię. Nie należy nigdy mijać grobu,

nie przeczytawszy znajdujących się tam napisów. Tutenchamon czekał na nas. Spotkanie z nim było naszym obowiązkiem.

Carter myślał o rozpaczce Evelyn. Była obecna przy agonii ojca, przeżyła śmierć człowieka, którego uwielbiała i który otworzył jej wszystkie ścieżki życia. Nie był zdolny napisać do niej kojącego i uspokajającego listu, na który składałyby się puste słowa. Tak jak i on, skazana była na samotność. Ku jakim horyzontom zawiedzie ją miłość?

Pracował nad konserwacją naszyjnika, kiedy wysoki egipski urzędnik, w towarzystwie Engelbacha, stanął przed wejściem do laboratorium. Callender zagroził im drogę, prosząc, by zaczekali, aż archeolog skończy. Nawlekanie paciorków wykluczało wszelki pośpiech.

Godzinę później obaj byli u kresu' wytrzymałości nerwowej. Wreszcie Carter wyszedł na ich spotkanie.

—Chcę zwiedzić grobowiec — oświadczył wyniośle Egipcjanin.

—Z jakiego tytułu?

—Mam pozwolenie Urzędu do spraw Zabytków.

—To bez znaczenia.

—Co to ma znaczyć?

—Tyle tylko, że grobowiec jest zamknięty aż do następnej kampanii wykopaliskowej.

—Kto podjął taką decyzję?

—Ja.

—To egipski grobowiec i nie należy do pana.

—Odpowiadam za jego ocalenie.

—Panie Carter, radzę, aby pan pozwolił mi tam wejść.

—A ja radzę panu się wynieść.

Engelbach dolał oliwy do ognia.

—Howard Carter myśli, że jest ponad prawem... Nie zawsze tak będzie!

—Gdyby Urząd do spraw Zabytków zatrudniał mniej niezdarnych pracowników, dziedzictwo faraonów byłoby lepiej chronione.

—Chodźmy — powiedział Engelbach. — Załatwimy tę sprawę na wyższym szczeblu.

—Uzyskamy pańską dymisję! — obiecał wysoki urzędnik.

—Nie macie żadnych szans — odparł z uśmiechem Carter. — Nie podlegam żadnemu urzędowi.

Ostatnie grudy ziemi zakryły grób George'a Herberta, piątego lorda Carnarvon. Ze szczytu wzniesienia Beacon Hill panował on na zawsze nad swoim majątkiem Highclere, gdzie libańskie cedry wznosiły wierzchołki do wiosennego słońca.

Zgodnie z życzeniem hrabiego, uroczystości pogrzebowe były niezwykle skromne. Uczestniczyła w nich tylko rodzina

i prawdziwi przyjaciele, z wyjątkiem Howarda Cartera, nadal prowadzącego w Egipcie misję, której nie zdołał zakończyć Carnarvon. Suzi spała nieopodal swego pana, którego nie opuściła ani w życiu, ani w śmierci.

Skowronki śpiewały, szczęśliwe, że wznoszą się w niebo. Koncert był tak łagodny i zachwycający, że łagodził smutek pożegnania. Lady Evelyn myślała o ptaku z ludzką głową, którego pokazał jej Carter na ścianach grobowca. Czy dusza jej ojca nie opuściła ciała, by włączyć się w kosmiczny taniec, który każe jej latać nieprzerwanie od ojczyznej ziemi ku Egiptowi Tutenchamona?

W godzinie pogrzebu przyjaciela Carter złożył u wejścia do grobowca Tutenchamona wieniec z liści i gałąź akacji.

Sokół przeciął błękitne niebo nad Doliną Królów, której niezmiennie światło zacierało zwycięstwa i porażki ludzkości.

Nawet jeśli Carnarvon spoczywał w Highclere, w majątku przodków, tu zakończyła się jego wędrówka i tu spełniło jego marzenie. Zasługiwał na wieniec usprawiedliwienia istot prawdy, zdolnych podążać bez zmęczenia i zdrady drogą własnej metamorfozy.

Bez Carnarvona dalsza podróż będzie już tylko trudną próbą. Przyszłość rysowała się ponuro. Jedyнным jasnym punktem była obecność zapomnianego faraona, którego magiczna siła ożywiła wieczystą przyjaźń.

ROZDZIAŁ 76

Dziewiętnastego kwietnia 1923 roku król Fuad, najwyższy zwierzchnik armii, ustąpił przed żądaniami partii politycznych, przyznając konstytucję. Władca zachował dla siebie władzę wykonawczą, a ustawodawczą otrzymał parlament. Wafd, ogłaszając niepodległość, zorganizowała strajk sklepiarzy i pokojowe marsze. Wykorzystując zapał ludu, uzyskała znaczną większość, zdecydowana rządzić zarazem przeciw królowi i przeciw Anglii. Fuad, który chętnie następował swoich ministrów, jeśli odważyli mu się sprzeciwiać, rozmyślał wówczas o rozwiązaniu bezczelnego i zbytęznego parlamentu. Jednak Wafd oraz wyłoniony z niej premier Zaghlul zdołali rozpowszechnić ideał egipskiego nacjonalizmu, choć związani byli z bankierami i wielkimi właścicielami ziemskimi, wrogimi wszelkim reformom społecznym.

Ekipa Cartera, pracująca w laboratorium-grobowcu Setiego II, sądziła, że jej nie dotyczy to poruszenie. A jednak wysoki szarżą policjant, odziany w piękny biały mundur 7, mnóstwem odznaczeń, wezwał archeologa na posterunek w Gurna. Siedząc za olbrzymim biurkiem, funkcjonariusz przeglądał stos raportów.

—Panie Carter, pańska sytuacja jest nieuregulowana.

—To mnie dziwi.

—Tak mówią fakty.

—Jakie?

—Pańscy egipscy pracownicy nie są ubezpieczeni.

—Nieprawda.

—Oto dowody!

—Proszę mi je pokazać.

Policjant wyciągnął kartkę ze stosu papierów.

—Oto one: choroby, wypadki, zamachy!

Carter przeczytał biurokratyczną prozę.

—To wszystko fałsz.

—Ośmiela się pan wątpić w oficjalne dokumenty?

—Bez cienia wahania. *Reis* Ahmed Girigar złoży oświadczenie na moją korzyść, podobnie jak wszyscy robotnicy. Proszę o natychmiastową konfrontację.

—Jeśli mówi pan prawdę, nie jest to może potrzebne.

—Bardzo mi na tym zależy.

—Odwołam się do moich przełożonych.

Policjant włożył pod prawą pachę stos akt, wstał, wyszedł z biura i wsiadł do powozu. Gdy ten oddalał się w obłoku kurzu, Carter przetarł chusteczką czoło.

Przy trzydziestu siedmiu stopniach Celsjusza w cieniu, trzynastego maja 1923 roku, Carter i jego ekipa zapakowali skarby przedsiönka w wełnę i tkaniny i ułożyli wszystkie starannie zabezpieczone przed wstrząsami przedmioty w trzydziestu czterech skrzyniach. Na nabrzeżu czekał statek parowy, wycarterowany przez Urząd do spraw Zabytków.

—Prawie dziesięć kilometrów między laboratorium a Nilem — zauważył Callender. — Jak organizujemy transport?

—Myślałem o tragarzach — odparł Carter.

—Niemożliwe. Za gorąco i za daleko.

—Więc ciężarówki!

—Odradzam. Droga jest fatalna. Pełna zakrętów i zasypana kamieniami... Wiele rzeczy mogłoby się potłuc.

—Zostaje więc tylko jedna możliwość: kolejka.

—To mrówcza praca!

—Nie mamy wyboru.

Nazajutrz o piątej rano Callender kierował układaniem pierwszych torów dostarczonych przez Urząd do spraw Zabytków. Proste i zakrzywione dawały łącznie trzydzieści metrów. Kiedy zażądał reszty, urzędnicy wyznali, że to wszystko, co obiecała administracja.

O ósmej rano Carter stwierdził, że to katastrofa. Wybuch jego wściekłości pod adresem urzędu nie zrobił wrażenia na jej przedstawicielach. Wykonali polecenia Lacau i nie im należy się nagana. Widząc, że przyjaciel jest bliski załamania, Callender zabrał się do roboty. Z pomocą kilku robotników załadował skrzynie do wagonów i przepchnął je aż do końca torów, potem zdemontował te z końca i ułożył z przodu.

— Nic prostszego — oświadczył. — Powtarzając ten manewr kilkaset razy, dotrzemy do Nilu.

Robotnicy prowadzili operację z uporem i odwagą, które wzruszyły Cartera. *Reis* Ahmed Girigar nadawał rytm wysiłkowi i dostarczał swoim ludziom wody. Callender nieustannie polewał rozgrzane tory i pilnował skrzyń. Siedemnastego maja w południe konwój opuścił dolinę. Carter pomyślał o powolnej procesji, która trzy tysiące lat wcześniej niosła te przedmioty w stronę królewskiego grobowca.

— Dzisiaj nie możemy iść dalej — powiedział z zalem Callender. — Droga jest coraz trudniejsza, a robotnicy są zmęczeni.

Carter rzucił się na szlak, usuwał kamienie, próbował sam przełożyć tory.

—Nie upieraj się, Howardzie.

—Nie możemy się tu zatrzymać!

—Musimy. Przyznajmy sobie chwilę wypoczynku.

—A co z bezpieczeństwem?

— Sami je zapewnimy, z pomocą Ahmeda.

Skrzynie wyładowano i ułożono obok koryta wyschłej rzeki. W nocy Carter nie zmrużył oka. O świcie *reis* i jego ludzie wycisnęli z siebie nową energię. Za punkt honoru

uznali pokonanie przeszkód. Znow zaczął się piekielny balet.

Straszliwie zdenerwowany Carter bał się wypadku lub okaleczeń. Mimo pośpiechu narzucił powolne tempo w układaniu coraz to cięższych torów.

Przysłani przez gubernatora prowincji żołnierze rozginali gapiów i natrętów. Żaden nie zaofiarował pomocy.

Nareszcie Nil.

— Woda jest niska, a brzeg bardzo stromy — ubolewał Callender. — Do pokonania został najniebezpieczniejszy odcinek.

Tory ułożono na wyboistym zboczu. Ugięły się pod ciężarem wagonów.

— Zatrzymaj je! — krzyknął Carter.

Pięćdziesięciu ludzi przyhamowało zjazd pierwszego wagonu. Wydawało się, że powiązane ze sobą skrzynie zaraz wypadną. Groteskowym gestem Carter próbował je przepchnąć do tyłu.

— Odsuń się! — rozkazał Callender. — Jeszcze cię przegniotą!

Nie posłuchał. Pośród koncertu metalowych zgrzytów i jęków wagony zatrzymały się na końcu torów, które prawie

sięgały wody. Żadna skrzynia nie wypadła. Carter, Callender, Ahmed Girigar i robotnicy wydali spontanicznie okrzyk triumfu.

—Na wszystkich świętych, Howardzie! Ja w to nie wierzyłem!

—Chroni nas Tutenchamon.

—Nie popadasz w mistycyzm?

—Jeszcze jeden wysiłek, mój stary. Trzeba przenieść skrzynie na statek.

Zapowiadany piękny statek okazał się najzwyklejszą barką. Bez kwasów, stojąc po pas w wodzie, tragarze załadowali skrzynie na statek ciągnięty przez holownik. Carter ucałował *reisa* i pogratulował swoim ludziom z zapalem, który wszyscy zapamiętali. W ich rodzinach przez wieki wspominać się będzie ten wyczyn.

Stojąc na dziobie barki, Carter sycił się bryzą. Carnarvon byłby z niego dumny.

Dwudziestego siódmego maja Pierre Lacau czekał na Cartera na nabrzeżu położonym o półtora kilometra od Muzeum Kairskiego. Pełen niepokoju dyrektor Urzędu do spraw Zabytków zapomniał o światowych manierach.

—Przedmioty nie są uszkodzone?

—Mimo braku współpracy z waszej strony moja ekipa dokonała niemożliwości.

Lacau przemilczał przytyk.

— Otwórzmy jedną skrzynię.

Carter zgodził się na to. Lacau ujrzał laski i nogi krzesel owinięte w grube opaski.

— Inną.

Zapakowane w grube warstwy tkaniny delikatne szkatułki też nie ucierpiały podczas podróży.

— Czy to zadowala pana dyrektora?

Lacau mruknął pod nosem niejasne podziękowanie.

— Pańskie prace renowacyjne trwały bardzo długo. Rozpakowywanie też zabierze sporo czasu. A publiczność niecierpliwie czeka na możliwość obejrzenia tych dzieł, których, niestety, nie będzie można pokazać przed upływem pół roku.

—Myli się pan.

Lacau zeszywniał.

—Proszę o wyjaśnienie.

— Wszystkie te obiekty zostały zinwentaryzowane i opisane. Pańskie służby nie muszą więc wykonywać żadnych naukowych zadań. Co więcej, Callender i ja zapakowaliśmy je według porządku, który was zadowoli. Wystarczy przestrzegać numeracji skrzyń przy wyjmowaniu przedmiotów. Ich odnowienie było tak staranne, że wasze laboratorium nie ma już nic do roboty.

— Kiedy, pańskim zdaniem, będziemy mogli je wystawić?

Carter udał, że się zastanawia.

—Jeśli ci, co je będą rozpakowywać, są kompetentni... za tydzień!

—Groteskowe!

Tydzień później olśnieni widzowie popadali w ekstazę przed sześcioma witrynami pierwszej wystawy skarbów Tutenchamona. Przed drzwiami muzeum tłoczyły się tysiące

ciekawych i żaden się nie rozczarował. Wskrzeszony król zasłużył na swoją sławę.

ROZDZIAŁ 77

W maju 1923 roku termometr wskazywał ponad pięćdziesiąt stopni Celsjusza, ale zapal Howarda Cartera wcale nie osłabił. Obojętny na zmęczenie koncentrował się na poważnym problemie: jak rozebrać — niby cebulę — złote skrzynie, aby wydobyć ich prawdopodobny rdzeń: królewski sarkofag.

W rozmowach ze współpracownikami, którzy lękali się najmniejszego nawet ryzyka, dyskutowano różne możliwe sposoby. Te medytacje przerwał list od lady Evelyn. Archeolog miał pilnie udać się do Highclere, gdzie rozważany był delikatny problem sukcesji po lordzie Carnarvonie.

Wezwanie to wywołało w nim niepokój. Czyżby wdowa postanowiła przerwać finansowanie wykopalisk?

Angielscy dziennikarze oblegali go od chwili, gdy zszedł ze statku, gdzie musiał wypełnić notę do *Who's Who*, określając swój zawód słowem: „malarz”. Próbował uciec, ale sfóra otaczała go zewsząd. Jedynym wyjściem było odpowiedzieć na pytania.

- Czy dotknęło pana przekleństwo Tutenchamona?
- Prześladuje mnie swymi błogosławieństwami.
- Boi się pan widma faraona?
- Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi na świecie.
- Został pan miliarderm?
- Jeszcze nie. Mam za mało wolnego czasu.
- Czy prowadzenie wykopalisk nie było zbyt szybkie?
- Pierre Lacau zarzuca mi powolność.
- Czy nie jest pan hieną cmentarną?
- Tutenchamon to mój duchowy brat. Odnajdując jego grobowiec, wydobywam na światło dzienne jego przesłanie.

—Kiedy otworzy pan sarkofag?

—Jeśli pozwolą mi spokojnie pracować, za trochę więcej niż miesiąc.

Carter rozmyślał przy grobie przyjaciela. Radosne lato Highclere przeczyło śmierci. Wielkie cedry, majestatyczne i spokojne, sięgały nieba.

—On nie opuścił Doliny Królów. Codziennie czuję jego obecność.

—On nas nie opuści — obiecała lady Evelyn. — Chodź, Howardzie, moja matka może zacząć się niepokoić.

Łagodna i zarazem stanowcza lady Almina nie okazała żadnej niechęci archeologowi. On jednak bał się, że go obciążą odpowiedzialnością za śmierć męża.

—Dzięki panu, Howardzie, George Herbert poznał prawdziwe szczęście na tej ziemi. Raj, którego szukał, nazywał się Tutenchamon. Dlatego panu pomogę.

Carter z trudem powstrzymał łzy. Silny jej wsparciem mógł dalej prowadzić walkę.

—Najpilniejszą sprawą jest przepisanie koncesji na wykopaliska na pani nazwisko.

—A są jakieś trudności?

—Lacau będzie się opierał, ale też będzie musiał ustąpić.

—Czy uważa pan, że należy przedłużyć kontrakt wyłączności z *Timesem*?

—Przynajmniej na rok. Inaczej prasa będzie oblegać grobowiec. Musimy także zażądać całkowitej niezależności,

by zahamować zalew turystów i inspektorów Urzędu do spraw Zabytków.

—To pan musi załatwić te problemy. Teraz jest pan moim archeologicznym doradcą, jedynym człowiekiem uprawnionym do kontynuowania dzieła mego męża.

Lato powoli odchodziło. Ogrodnicy o zmierzchu podlewali trawniki, lesiste wzgórza złociły się w słońcu, belweder /, białego marmuru czuwał nad posiadłością, której pan nigdy już nie opuści. Carter przyjął zaproszenie lady Alminy.

Spędzić lato w Highclere obok Evelyn — to był nieoczekiwany prezent.

Piątego sierpnia otrzymał niezwykle wzruszający list. Ahmed Girigar i jego robotnicy życzyli mu doskonałego zdrowia, mając nadzieję, że niebawem go zobaczą, i informując, że nie doszło do żadnego incydentu na wykopalisku, gdzie *reis* przestrzegał skrupulatnie wszystkich jego nakazów bezpieczeństwa. Podczas pikniku na skraju bukowego lasu Carter parokrotnie czytał ten list lady Evelyn.

—Dzielni ludzie! A więc świata nie zaludniają jedynie zazdrońcy i ambicjonaci!

—Czyżbyś stał się pesymistą, Howardzie?

—Tylko człowiekiem przenikliwym.

—Nie bądź taki gorzki.

—Wiem, że chcą mi przeszkodzić w doprowadzeniu do końca mojej przygody i że posłużą się najniższymi sposobami, by mnie zniszczyć. Niektórzy wrogowie staną z

otwartą przyłbicą, inni działać będą w cieniu. Nawet jeśli ich interesy

będą sprzeczne, zjednoczą się przeciwko mnie.

—Myślisz... o przekleństwie?

—W egipskich grobowcach nie ma żadnej demonicznej siły. Przeciwnie, przechowują one elementy niezwyklego skarbu: tajemnicę nieśmiertelności. Jak dotąd, przekazano nam tylko jej okruchy.

Młoda kobieta położyła głowę na ramieniu Cartera. Prześliznąwszy się przez listowie, słoneczny promień rozświetlił jej włosy.

—Czy musisz tyle ryzykować, Howardzie?

—Nigdy jeszcze nie odkryto nienaruszonego grobowca. Jeśli mi się to uda, zwyciężona zostanie śmierć.

—To najbardziej szalony ze snów...

—Tutenchamon jest bardzo blisko, Eve. To już nie jest sen. Przekleństwo rozsiewa nie on, lecz sfera zawistnych, którzy szykują się do ataku na mnie. A nie ma już twego ojca, który by mi pomógł. Bez niego jestem bezbronny.

—Zaufaj sam sobie. Jesteś dużo silniejszy, niż to sobie wyobrażasz.

Nad lasem przeleciało stado dzikich kaczek. Mała współ-

nota migrujących ptaków, złączona ruchem, leciała ku nowej ziemi, którą znał tylko jej przewodnik.

—Lato niedługo się skończy.

—Czy rozmawiałś z matką?

—Cała rodzina jest przeciwna naszemu związkowi. Gdybyśmy wzięli ślub, zawieszono zostanie finansowanie wyko-

palisk.

—To ich ostatnie słowo?

—Wszelkie negocjacje są niemożliwe. Jesteś uważany za przyjaciela i kontynuatora dzieła mego ojca, nic więcej.

—Więc dlaczego ona zgodziła się na moją obecność w Highclere?

—Bo ja tego zażądałam. Jestem gotowa pójść za tobą, Howardzie.

—To byłoby szaleństwo. Córnka lorda nie może zagubić się w megaliansie z awanturnikiem. Malarz i archeolog to niewystarczające tytuły szlachectwa.

—Więc kpijmy sobie z małżeństwa!

Wstała porywczo, wzięła go za rękę i zmusiła, aby wszedł za nią w las. Lekki wiatr poruszał liście. Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, jasność kończącego się dnia zabarwiła na złoto białą suknię porzuconą na krzewie głogu.

ROZDZIAŁ 78

Praca archeologa, zajęcia administracyjne, kontakty z prasą, problemy podziału przedmiotów, organizacja oficjalnych wizyt, pertraktacje handlowe, próby wydobycia sarkofagu

oto co oczekiwało Cartera, kiedy ósmego października 1923 roku dotarł do Kairu w pięknej i zdrowej porze egipskiej jesieni, która uroczymi czyniła nawet najbardziej zrujnowane

chaty. Brakowało mu Carnarvona — bez niego był nerwowy i niespokojny. Sam nie był zdolny stawić czoła potworom o wielu obliczach, ale nie miał wyboru. Atmosfera w Londynie stała się nie do zniesienia od czasu nagłej śmierci Aubreya Herberta, brata Carnarvona. Dodana do innych zaskakujących zgonów, dostarczyła ostatecznego dowodu przekleństwa, którego autorem mógł być tylko Tutenchamon.

Droga krzyżowa zaczynała się od siedziby Urzędu do spraw Zabytków, gdzie dawniej lord robił z Pierre'em Lacau, co chciał.

Wbrew oczekiwaniom dyrektor przyjął Cartera uprzejmie.

—Czy pańska ekipa jest już gotowa?

—Od Triestu podróżowaliśmy wspólnie.

—Czego pragnie lady Almina?

—Żeby odnowiono koncesję na jej nazwisko.

—To uprawniona prośba. Mam nadzieję, że zatwierdziła pana jako eksperta?

—To jej decyzja.

—Tym lepiej. Któż nie uznałby pańskich kompetencji.

—Dlatego też chciałbym omówić z panem problem zwiędzających. Oni uniemożliwiają mi pracę. Najlepszym rozwiązaniem byłoby nie przyjmować nikogo przed demonstacją kaplic.

Pierre Lacau skrzywił się.

— To bardzo kłopotliwe. Proszę spojrzeć.

I wskazał na dwa olbrzymie stosy listów zalegających na jego biurku.

—To oficjalne prośby egipskich osobistości. Wciąż ich przybywa. Dostojnicy ci uważają, że grobowiec jest własnością ich kraju i nikt nie może stawać im na drodze.

—Mimo wszystko to niemożliwe.

—Lord Carnarvon był bardziej ustępliwy. Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji. Co mam im odpowiedzieć?

—Że tylko ja mam prawo wydawać pozwolenia na wizytę.

Lacau coś zanotował.

—Czy okres wyłączności przyznany *Timesowi* nie dobiega końca?

—W ciągu lata wiele dzienników podpisało umowy z *Timesem*. Musi więc zachować uprzywilejowaną pozycję. Dla-

tego też Arthura Mertona, korespondenta *Timesa*, zatrudniłem jako członka ekipy.

—Czy to nie... lekkomyślność?

—To doskonale archeolog amator. Będzie na miejscu, by relacjonować wydarzenia.

—Lękam się, że egipskie dzienniki nie przyjmą tego zyczliwie.

—Nadal będą korzystać z istotnego przywileju: bezpłatnego komunikatu. Tylko one nie będą płacić za oficjalne informacje.

—Dobrze, dobrze... Pańskie dokumenty będą gotowe jutro.

Carter chciał jak najszybciej wrócić do doliny, by znów rozkoszować się jej dziką wspaniałością i przekroczyć ostatni etap dzielący go jeszcze od Tutenchamona. Kair był za wielki i zbyt hałaśliwy. Nigdy zresztą nie lubił miast, gdzie człowiek zmienia się w mrówkę lub połamanego pajaca, oddzielnego od ziemi i nieba. Wciąż czuł pustkę, jaką pozostawił po sobie Carnarvon. Czy bez niego zdoła ugiąć dyrektora Lacau?

Wyszedł na cytadelę i medytował wpatrzony w pustynię, którą nadgryzała nieprzerwana ekspansja stolicy. Kochał ten krajobraz absolutu, to wezwanie do wiecznej prawdy, której nie mogła skalać żadna podłość. Nawet gwałtowność wiatru i surowość skał zachowała czułość nomadów, podejmujących nieprzerwaną wędrówkę. Kiedy przeniknie już tajemnicę wskrzeszonego faraona, zabierze tam Eve.

Subtelna twarz Lacau zdawała się bardziej zamknięta niż poprzedniego dnia. Położył płasko dłonie na czerwonej teoczce akt.

—Bardzo mi przykro, Carter.

—Dlaczego?

—Broniłem pańskiej sprawy, ale niektórzy członkowie urzędu wysuwają kontrargumenty, których nie mogę bagatelizować.

Na tym stanowisku muszę być bezstronny i uwzględniać różne opinie. Kompromis i równowaga to jedyna rozsądna postawa.

—Czy mógłby pan wyrazić to jaśniej?

—Zatrudnienie Mertona jest właściwie nielegalne. Jeśli

zaś chodzi o brak zgody na zwiedzanie i lekceważenie miejscowej prasy... może ona rozpocząć kampanię przeciwko panu.

— Kto tu z kogo drwi? Nie wystarczy im darmowa informacja?

Lacau wolno otworzył czerwoną teczkę.

—Chętnie oskarżę pana o nienawiść do Egiptu i traktowanie grobowca jako swojej prywatnej własności.

—Ja nienawidzę Egiptu, gdzie przyjechałem, mając osiemnaście lat? To moja prawdziwa ojczyzna, panie dyrek-

torze! Ofiarowałem jej własną duszę.

—Wierzę panu, choć uważam, że to przesadne deklaracje... Także pańska niewzruszona postawa w kwestii zwiedzania jest bardzo krytykowana.

—To opinia snobów, których grobowiec obchodzi tyle co zeszloroczny śnieg! O co im chodzi? Chcą się pysnić na światowych przyjęciach, opowiadając, że widzieli Tutencha-

mona! A pan żąda, żebym zarzucił naukowe prace z powodu

tej bandy ciekawskich? Niech pan podpisze koncesję i zakończmy sprawę. Muszę jak najszybciej wracać do doliny.

Lacau przekartkował teczkę z papierami.

— Zobaczmy, panie Carter, zobaczymy... Muszę porozumieć się z ministrem.

Abdel Hamid Sulejman Pasza, minister robót publicznych,

był człowiekiem używającym życia, amatorem bankietów i długich sjest. Piał się wzwyż spokojnie i stale, a zawdzięczał to charakterowi; był uprzejmy i cierpliwy. Obdarzony geniuszem dyplomatycznym, jako zaciekły wróg konfliktów miał zwyczaj rozwiązywać je, schlebując przeciwnikom. Niepodległość Egiptu jawiła mu się jako niebezpieczny sen, który doprowadzi kraj do ruiny. Musiał jednak delikatnie traktować drażliwych nacjonalistów i udawać, że aprobejuje ich teorię.

Pierre Lacau skłonił się przed ministrem.

—Jaką to ma pan delikatną sprawę, o której mamy rozmawiać, panie dyrektorze?

—Koncesja Carnarvona.

—Czy to nie jest załatwiony problem?

—Niestety nie, panie ministrze! Howard Carter jest człowiekiem upartym, który nie chce przystać na żadne uzasadnione wymogi Urzędu do spraw Zabytków.

—Wychwała się jednak jego kompetencje.

—Ja ich nie podważam... ale powinien okazać więcej zrozumienia wobec egipskiej prasy i zgodzić się na otwarcie

grobowca dla znakomitości.

—Jeśli się nie mylę, pan Carter jest obywatelem brytyjskim.

—Rzeczywiście.

—Brytyjska kolonia w Kairze to istotny czynnik równowagi naszego kraju.

—Oczywiście, ale...

—Sprzeciwiać się panu Carterowi to niepokoić wysokiego komisarza i ściągać sobie na głowę dyplomatyczne kłopoty.

—Wyłączność, z jakiej korzysta *Times*, jest obelgą dla Egiptu.

—Niech pan nie przesadza, panie dyrektorze! To najwyższe handlowe porozumienie. A jeśli idzie o zwiedzających,

czy nie mogą trochę poczekać? Ten konflikt wydaje mi się całkowicie niepotrzebny.

Próżno urażony Lacau próbował przekonać ministra o słuszności swego widzenia sprawy.

—Więc co mi pan radzi?

—Podpisać koncesję i pozwolić Carterowi dalej pracować. Dla mnie, panie dyrektorze, ta sprawa jest zamknięta.

ROZDZIAŁ 79

Osiemnastego października robotnicy zaczęli odsuwać tony rumoszu, które chroniły grobowiec podczas nieobecności Cartera. Pod kierownictwem Ahmeda Girigara pracowali z zapałem, by spełnić życzenia archeologa: odsłonić wejście w ciągu tygodnia. Mimo upału szeregi nosiciele koszy wypełniały zadanie z doskonałą regularnością, w rytmie monottonnych przyśpiewów.

Wzruszony Carter znów ruszył schodzącym w dół korytarzem, otworzył kratę i wszedł do sanktuarium. Miał wrażenie, że Carnarvon idzie obok i stawia czoło drzwiom wielkich skrzyń, które powinny przysłaniać sarkofag. Towarzysząc mu Callender ośmielił się wyznać mu prawdę.

—Nie jesteśmy przygotowani, Howardzie. Urząd do spraw Zabytków nie dostarczył obiecanych lamp i brakuje niezbędnych materiałów do zabezpieczenia kaplic.

—Przecież przekazałem środki, wyznaczyłem daty i podkreślałem, jak ważne są lampy!

Wściekłość Cartera była tym większa, że oświetlenie wokół grobowca funkcjonowało nienagannie. Protesty skierowane do lokalnego inspektora stały się jedynie przyczyną dodatkowego raportu, potwierdzającego bałagan. Jeśli Bóg pozwoli, lampy zostaną podłączone pod koniec miesiąca.

Wychodząc z inspektoratu, Carter spotkał Bradstreeta. Zbudowany jak atleta dziennikarz opuścił swoje biuro w Kairze na wieść o podjęciu wykopalisk. Silny, kłótniwy, z widocznymi żyłami na czole, liczył na to, że pogrzyży archeologa.

—Cześć, Carter! Co nowego?

—Nie muszę panu odpowiadać.

—To by mnie zdziwiło! Masz przed sobą korespondenta *New York Timesa*, londyńskiego *Daily Mail* i *Egyptian Mail*.

Moja misja polega na informowaniu całego świata i nie uciekniesz mi jak złodziej.

—Proszę się porozumieć z akredytowanym przedstawicielem *Timesa*.

—Ta sytuacja nie może trwać dłużej! Wszyscy dziennikarze winni mieć te same prawa.

—Taka była wola lorda Carnarvona.

—On umarł.

—Nie dla mnie.

—Wzywam pana do złamania kontraktu wyłączności z *Timesem*

—Podobno pan dobrze gra w polo.

Bradstreet zmarszczył brwi.

—To prawda, ale nie widzę...

—Ja jestem mistrzem w walkach wręcz.

Żyły na czole dziennikarza wezbrały, a twarz poczerwieniała. Przypominał rozjuszonego byka.

— Zduszę cię, Carter! Masz coraz więcej wrogów, trzeba ich tylko zjednoczyć.

— Nie pójdę — powiedział gniewnie Carter.

Callender podniósł na przyjaciela wzrok zbitego psa. Mimo swoich szerokich ramion i masywnego wyglądu był tak samo strapiony jak Carter.

— Chyba lepiej się ukorzyć — poradził z żalem.

— To pułapka! Lacau wzywa mnie do Kairu, żeby rozpakować skrzynie i rozłożyć przedmioty... Cóż za żalсна błaga! Chce mnie zatrzymać w stolicy i udowodnić, że zaniedbuję wykopalisko.

— Jeśli nie będziesz współpracował, odizoluje cię jeszcze bardziej. Sama świadomość niebezpieczeństwa już je tłumi.

Walka nigdy cię nie przerażała.

Carter uściśnął Callendera.

— Będę walczył.

W gabinecie dyrektora Lacau obecni byli minister robót publicznych i kilku wysokich egipskich i angielskich urzędników. Grobowiec Tutenchamona stawał się sprawą państwową. Carter występował w roli oskarżonego przed trybunałem zdecydowanym udowodnić •mu jego winę.

— Gdzie są skrzynie do rozpakowania? — zapytał z uśmiechem archeolog.

Lacau spojrział na ministra, szukając przyzwolenia, i zwró-

cił się do Cartera w tonie namaszczonej władzy.

— W porozumieniu z najwyższymi czynnikami zwracamy się do pana z prośbą, by pozwolił pan rządowi publikować codziennie biuletyn informacyjny dotyczący prowadzonych prac.

— Odmawiam. Prawo publikacji musi być zarezerwowane dla mojej ekipy i dla mnie. Pospieszne publikowanie sprawdzonych wiadomości może bardzo zaszkodzić naszej pracy.

Lacau porozumiał się z ministrem.

—To uzasadnione wymaganie — przyznał minister. — Czy zgodziłby się zaprosić przedstawiciela prasy codziennej do zwiedzenia grobowca?

—Oczywiście.

—Ciągnięcie korzyści z tego miejsca jest krepujące — podjął Lacau.

Carter zaczął się denerwować.

— Zawarty z *Timesem* układ wyłączności miał mnie chronić przed sforą wścibskich dziennikarzy. Uzyskane w ten sposób pieniądze pozwalają finansować prace na miejscu wykopalisk. Ale jedynym celem jest zabezpieczenie bajecznych skarbów, które Carnarvon i ja odkryliśmy. Dlatego zwracam się do rządu i Urzędu do spraw Zabytków o pełne wsparcie. Żadnego nękania przez prasę i zwiedzających ani żadnych administracyjnych trudności. Właśnie o to proszę z przekonaniem, że wszyscy tu obecni staną po stronie *sacrum* a nie *profanum*.

Czas płynął. Carter kilkakrotnie telefonował do ministra, ale ten albo był nieobecny, albo na posiedzeniu. Po upływie nerwowego tygodnia archeolog podjął jeszcze jedną próbę, którą uznał za ostatnią. Tym razem dotarł do wpływowej osobistości. Rozmowa była serdeczna, ale pełna zakłopotania. Minister zaniepokoił Cartera, oświadczając, że Lacau chciałby na nowo podjąć negocjacje, ale uspokoił go, zapewniając, że trudności zostaną niebawem zwalczone. Jeśli chce, może wrócić do Luksoru i podjąć swoje prace.

Archeolog nie dał się długo prosić.

Callender przyniósł grubą przesyłkę z pieczęcią Urzędu do spraw Zabytków. Carter nerwowo rozerwał kopertę. Rozpoznał drobne i szybkie pismo Lacau, który punkt po punkcie przyjmował warunki archeologa.

— Zwyciężyliśmy? — zapytał Callender.

Carter już miał odpowiedzieć, że rezultat przewyższał

oczekiwania, ale przebiegł jeszcze wzrokiem ostatnie wiersze. *Oczywiście* — konkludował Lacau — *wysuwane przez pana warunki mogą być jedynie tymczasowe i ulegać zmianom w zależności od wyników.*

Carter wypuścił z rąk dokument, który spadł na kamienisty grunt doliny.

—Całkowita klęska.

—Co pan zamierza zrobić?

—Pracować dalej. Obecnie moim jedynym mistrzem jest Tutenchamon.

Konflikt zaczął narastać już nazajutrz. Lacau wysłał drugi list, znacznie mniej uprzejmy, w którym wymawiał Carterowi, że wchodzi w drogę Urzędowi do spraw Zabytków, bo to do niego, i tylko do niego, a nie do prywatnego archeologa należy reglamentowanie wizyt w miejscu, które jest własnością państwa. Dyrektor urzędu określił też swoje żądania: zdemontować kaplice, nie niszcząc ich zdobień, i wydobyć prawdopodobnie znajdujący się tam sarkofag. Carter i jego ekipa mieli natychmiast podporządkować się poleceniom i ograniczyć do ściśle archeologicznych problemów.

Egipska prasa zdecydowanie zaatakowała Anglika, oskarżając go o to, że zachowuje się jak kolonialista, choć jest gościem Egiptu. Tutenchamon był faraonem, a nie brytyjskim królem. Kontrakt wyłączności z *Timesem* był obelgą dla partii nacjonalistycznej i ludu. W swojej odpowiedzi na tę falę krytyki Carter wskazywał na różnice między współczesnymi Egipcjanami — w większości potomkami arabskich najeźdźców z szóstego wieku po Chrystusie, wyznawcami islamu — a Egipcjanami starożytności, wrogo usposobionymi wobec wszelkiego dogmatyzmu. Niezręczność ta pogłębiłaby jego rosnącą wciąż niepopularność i nienawiść wielu kaznodziejów. Członkom ekipy udało się wyperswadować mu replikę, nawet jeśli to, co mówił, było prawdą.

— Cóż to za świat — zapytał Callendera — w którym prawa przysługują tylko kłamcom i intrygantom? Nawet ta

święta ziemia nie umie już przekształcić sumień. Gdzie trzeba się udać, aby odetchnąć odrobiną świeżego powietrza?

— W głąb grobowca Tutenchamona. Pańskiego grobowca.

ROZDZIAŁ 80

Jak zdemontować kaplice, by ich nie uszkodzić? To zadanie stało się obsesją Cartera. W sanktuarium grobowca czuł się wolny i silny. Żaden ze współpracowników nie wytrzymał jego rytmu pracy. Zajęty stanem złocen i kruchością rzeźb, przygotował kilka projektów przed rozpoczęciem tej delikatnej operacji. Zaczął od usunięcia dwóch strażników, którzy stali przy przejściu do komory grobowej. Czarnoskórych królów, owiniętych bandażami, obudowano. Widać było tylko ich oczy, niby ostatni dowód życia dwóch wielkich zranionych ciał.

Wysłuchawszy opinii członków ekipy, Carter poprosił Callendera, by zbudował drewniane rusztowanie wokół kaplicy zewnętrznej. Wcisnął się na nie z wielkim trudem, poobijany, z pokaleczonymi rękami, przybierając najniewygodniejsze pozy. Mimo upału i ciasnoty posuwał się centymetr po centymetrze, w strachu, że w pewnej chwili płyta, znalazłszy się w niewłaściwym położeniu, wygnie się i spadnie. Carter walczył ze straszliwą wizją: tysiące kawałków i nieodwracalne zniszczenia.

Po dziesięciu dniach wysiłków udało się podnieść najcięż-

szą część pokrywy. Carter musiał odwołać się do pomocy chłopca, by wsunął drewniane rolki pod krawężnik, który spełniał funkcję sanek. Zdemontowaną część ustawiono pod wyścielaną ścianą komory grobowej, lecz archeolog i jego asystenci nie uznali tego jeszcze za zwycięstwo. Najtrudniejsze zostało do zrobienia.

Zdjęto pokrycie i Carter mógł podziwiać lniany całun, który zakrywał drugą kaplicę. Wezwał Mertona, korespondenta *Timesa*. Dziennikarza przeszedł dreszcz.

— Arka Przymierza... To na pewno ona!

Merton wyszedł z grobowca i godzinę później wrócił

z Biblią w rękę. Odczytał fragment Exodusu poświęconego cennej relikwii. Jego wyobraźnia płonęła.

— Oto sekret Tutenchamona! Udał się do Izraela i wywiózł stamtąd Arkę. Nigdy w dolinie nie było cenniejszego skarbu. Dlatego grobowiec był tak dobrze ukryty.

Carter pozostał sceptyczny. Uniósł zasłonę, która opadła pod ciężarem złożonych rozetek z brązu.

— Niebawem otworzymy opieczętowane drzwi drugiej kaplicy — rzekł półgłosem.

Lacau studiował „dossier” Cartera ze zwykłą starannością. Pełen zapału urzędnik, przywiązany do regulaminów niczym do świętej księgi, coraz gorzej znosił samowolę tego awanturnika, który nie chciał się wpisać w administracyjną hierarchię. Jego wymagania były nieestosowne. Jak rzucić na kolana Cartera? Na razie to się Lacau nie udało. To prawda, dziennikarz Bradstreet i jego egipscy koledzy prowadzili ostrą walkę, która co dzień osłabiała pozycję Cartera i rozpowszechniała jego obraz jako człowieka podłego, nastawionego na zysk i godnego pogardy, ale archeolog drwił z cudzych ocen i z uporem dążył swoją drogą. Co więcej, pracując wewnątrz grobowca Tutenchamona, odzyskiwał siły. Żeby go dobić, należało trafić go w serce, nie zadowalając się powierzchownymi ranami.

Lacau znalazł właśnie słaby punkt przeciwnika.

Pozostawało już tylko rozwinąć ostrożną strategię, bez widocznego ciosu. Za pomocą drobnych posunięć zniszczył nerwy Cartera, podważył jego powołanie i zmusił do popełnienia fatalnego błędu.

Pełen oburzenia Carter zebrał członków ekipy w laboratorium.

[— Otrzymałem dziś rano najbardziej obelżywą prośbę w całej historii archeologii egipskiej. Dyrektor Lacau żąda ■de mnie przekazania mu listy członków ekipy, jakby jej nie knał. i jakby on, a nie ja sam, odpowiadał za moich współpracowników, zgodnie z przyznaną mi koncesją.

Głos zabrał Merton.

—To z mojego powodu. Bradstreet musiał interweniować na wysokim szczeblu. Chce udowodnić, że w ekipie archeo-

logów nie ma miejsca dla korespondenta gazety.

—Pan jest bardziej kompetentny niż większość inspektorów Urzędu do spraw Zabytków.

—Jeśli pan tego zażąda, Howardzie, podam się do dymisji.

—Pan jest przyjacielem i pożytecznym współpracownikiem. Zostanie pan z nami.

—Nie trzeba ufać panu Lacau, to jezuita zaprawiony w najbardziej przebiegłych strategiach.

—On nie ma żadnych praw do tego grobowca i wie o tym. Ta walka może mu tylko przynieść rozczarowanie. Proszę pamiętać, że minister jest po naszej stronie.

Grubo ciosana twarz Callendera nadal była chmurna, lecz nie odważył się powiedzieć, że ministrowie nie są wieczni i że on już od dawna nie wierzy ani w prawo, ani w sprawiedliwość.

—Wyśle mu pan tę listę? — zapytał Merton.

—Carnarvon by tego nie zrobił, ja też nie. Lacau zapowiada swoją wizytę na trzynastego grudnia, więc porozmawiamy.

Lacau zwiedził grobowiec i laboratorium. Towarzyszył mu tylko Ahmed Girigar. Dyrektor, bardzo niezadowolony, wdrapał się aż do domu Cartera, gdzie owinięty w koc archeolog popijał grog.

—Przykro mi, że nie mogłem przyjąć pana z honorami, ale przeziębilem się i muszę siedzieć w domu.

Z rękami założonymi na plecach, bardzo elegancki, Pierre Lacau przemówił słodkim głosem, który kontrastował z jego sztywnym sposobem bycia.

—Pańskie wymagania są nieuzasadnione, panie Carter. Jedyne rząd, a nie pan, może przyznawać prawo do zwiedzania odpowiednio zarejestrowane i dostarczone w formie dokumentu.

—Prace wykopaliskowe prowadzę ja, a nie rząd.

—Obowiązkiem rządu jest kontrola.

—Chodzi o moją koncesję. Ja tu jestem panem. Proszę udowodnić, że jest inaczej.

—Pan nie ma prawa zatrudniać Mertona. To dziennikarz, nie archeolog.

—Wybór współpracowników należy do mnie. Pana urząd nie ma tu prawa wglądu.

—Jeśli on nie poda się do dymisji, będzie pan miał poważne kłopoty.

—On nie zrezygnuje. Pańskie nakazy są zbyt ciężkie, panie dyrektorze. Grożąc mi, tylko traci pan czas.

—Oceni to minister.

—Już ocenił.

—Zobaczmy. Czy pan wie, o czym szeptacie się w Kairze? Carter wypił łyk gorącego grogu.

—Proszę powiedzieć. Plotka to jedno z pańskich ulubionych praktyk.

Lacau nie patrzył na swego rozmówcę.

— Niektórzy uważają, że lord Carnarvon był szpiegiem i człowiekiem interesu, całkowicie obojętnym wobec nauki i archeologii, a pan idzie jego śladem. Hipoteza ta rzuca szczególne światło na pańskie zachowanie.

Carter wstał i odrzucił koc.

—Pan jest podły. Lord namiętnie kochał Egipt. Badanie tej ziemi stało się celem jego życia. A jeśli idzie o mnie, całe

moje istnienie poświęciłem temu krajowi.

—Załóżmy... Ale te sentymentalne porywy nie usprawiedliwiają pańskiej arogancji.

—Chcę pracować w spokoju.

—A pomyślał pan o podziale przedmiotów?

—Sprawa jest załatwiona.

—To nie takie pewne. Nie rozstrzygnięta jest także inna, jeszcze poważniejsza sprawa.

Carterem wstrząsały dreszcze.

— Koncesja nie jest wieczna — przypomniał Lacau. — Muszę to sprawdzić, ale chyba niebawem się kończy. Jej odnowienie zależy od Urzędu do spraw Zabytków, który Itaje się coraz bardziej wymagający, jeśli chodzi o umiejętności prowadzących wykopaliska i powagę programu. Uczony tej klasy co pan może jedynie docenić tę surowość. Proszę

się leczyć. Wrócimy do tej rozmowy, kiedy pan wyzdrowieje. Mam nadzieję, że to nie Tutenchamon przyprawił pana o chorobę.

ROZDZIAŁ 81

Piętnastego grudnia wściekły Carter wszedł do biura ministra robót publicznych. Był zdecydowany powiedzieć mu całą prawdę i doprowadzić do zakończenia prześladowań. Sulejman Pasza nie wydał mu się równie jowialny jak zazwyczaj. Na jego biurku leżała opasła teczka ze znakiem Urzędu do spraw Zabytków.

—Zadowolony jest pan z odkryć, panie Carter?

—Dyrektor Lacau nieustannie odrzuca moje żądania.

—Stara się jak najlepiej wypełniać swoją funkcję. Prowadzona przeciwko panu kampania prasowa jest bardzo przykra, a niektórzy dziennikarze zaczynają otwarcie krytykować

moją postawę. Jako minister muszę być ponad konfliktem. Carter zbladł.

—Obecność Arthura Mertona jest niepożądana — ciągnął Sulejman Pasza. — Z moich informacji wynika, że nie jest to naukowiec. Fakt akredytowania dziennikarza z *77-mesa* jest godnym pożałowania błędem.

—Ja jestem gwarantem jego kompetencji.

—Trudno uznać taki argument. Pan jest oddanym nauce człowiekiem pokoju, panie Carter. Niech pan bezterminowo

zabroni wstępu do grobowca temu Mertonowi i wszystko wróci do normy. Będzie tam bywał z innymi koresponden-

tami prasy, w wybrany przez pana terminie.

—To ultimatum?

—Nie używajmy wielkich słów! Chodzi o zwykły kompromis.

—Czy mogę przedstawić swoje zastrzeżenia?

—Nie traćmy już czasu na drobiazgi. Sam skreśliłem nazwisko Mertona z listy pańskiej ekipy.

—Czy to jest zgodne z prawem?

Pytanie oburzyło ministra, który stał się szorstki.

— To moje życzenie, panie Carter.

- Jeśli ustąpię, żadna ekipa archeologów nie będzie już spokojnie pracować w Egipcie.
- Niech pan nie dramatyzuje.
- Przedstawię pańskie propozycje moim współpracownikom.
- Proszę nie posuwać się zbyt daleko, panie Carter.
- Pan też nie powinien, panie ministrze.

Wróciwszy do Luksoru, Carter zebrał współpracowników w grobowcu Setiego II. Nie ukrywał przed nimi powagi chwili i przytoczył wypowiedzi ministra robót publicznych. Nie chcąc podejmować brutalnej decyzji, która przeszkodziłaby badaniom, konsultował się z nimi kolejno. Opinie były zbieżne: politycy przekraczali prawo. Manipulowani przez zwolenników niezależności i Francuza, który kierował Urzędem do spraw Zabytków, rozpoczynali ukrytą wojnę z Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Kapitulacja oznaczałaby rezygnację z niezbednej niezależności archeologów.

Silny tą jednomyślnością Carter napisał do ministra. Odmówił odesłania Mertona, oświadczył, że specjaliści z Metropolitan Museum opuszczą dolinę, jeśli ich przełożony będzie przedmiotem nacisków administracyjnych, oraz że *Times* nie zawaha się relacjonować tych faktów. Pewny, że Sulejman Pasza stanie po stronie rozsądku, wyraził ubolewanie z powodu incydentu, który ich skłócił, i żałował, że nie może przystać na sugerowane ograniczenia.

Minister odpowiedział milczeniem.

Wnętrze grobowca przypominało salę operacyjną. Drewniane nosze, trzciniowa podściółka, kilometry opasek, paczki waty i elektryczne światło — wszystko to bardziej kojarzyło się z chłodem interwencji chirurgicznej niż magiczną atmosferą królewskiego grobowca. Na zewnątrz strażnicy i żołnierze nie bez trudu odpychali turystów okazujących bilety, które upoważniały ich do zwiedzenia najsłynniejszego grobowca świata. Bilety kupili u poganiaczy osłów lub sprze-

dawców fałszywych starożytności i zapalczywie demonstrowali swoje niezadowolenie.

Przekonany, że kłopoty się skończyły, trzeciego stycznia 1924 roku Carter przeciął sznur i odciągnął zasuwę zamykającą drugą kaplicę grobową. Callender i inni członkowie ekipy patrzyli, jak otwiera złocone drzwi.

— Więcej światła — zażądał.

Callender włączył dwie wielkie lampy. Oświetliły podwójne drzwi nowej kaplicy.

— Jeszcze jedna! — zawołał fotograf Burton. — Kiedy się skończą te pudła w pudle?

Trzecia także była nienaruszona. Carter, ciężko oddychając, otworzył drzwi i odkrył czwartą. Dostępu do niej broniły dwa sokoły o rozpostartych skrzydłach. Hieroglify zachowały jeszcze ślad słów Tutenchamona: *Jestem wiecznością, widziałem wczoraj i znam jutro*. Mimo nalegań towarzyszy zmieszany Carter odmówił dalszej pracy.

—Może to ostatnia przeszkoda — zasugerował Callender.

—Zapewne... ale czy mamy prawo...

— Pomyśl o Carnarvonie. Pozbawiłbyś go tej radości?

Carter złamał pieczęcie. Skrzydła ostatnich drzwi otwarły się powoli. Snop światła nie oświetlał już kolejnych złotych drzwi, lecz ramię bogini Neftydy, „władczyni świątyni”, która czuwała nad wspinałym sarkofagiem z kwarcytu. Widok niezapomniany i cudowny: zadaniem tej kobiety z innego świata, czulej i łagodnej, było odstraszenie intruzów. Cartera i jego towarzyszy ogarnął pełen szacunku lęk wobec tego wcielenia tysiącletniej wiary, której nie zużył czas.

— Nienaruszony sarkofag — szepnął zdumiony Carter. — Jedyne w Dolinie Królów.

Poczuł przy sobie obecność lorda Carnarvona. Uczestniczył w triumfie z drugiego brzegu śmierci.

Carter nabożnie zamknął drzwi czwartej kaplicy.

Archeolog przeczytał raz jeszcze tekst telegramu do Pierre'a Lacau:

Moje poszukiwania pozwalają stwierdzić, że czwarta kaplica zawiera wspaniały sarkofag. Nienaruszony! Pozdrowienia.

Ledwie przekazano to przesłanie, niezwykła wiadomość rozeszła się po całym Egipcie. Tysiące turystów i ciekawych

ruszyło do Doliny Królów. Fotografowie i dziennikarze oblegali Cartera, gdy wyszedł z grobowca. Mimo ochrony współpracowników musiał odpowiedzieć Bradstreetowi, który zastąpił mu drogę.

—Czy pan jest pewny, że sarkofag jest zamknięty?

—Tak.

—Znajdzie pan w nim coś niezwykłego?

—Niewyobrażalnego.

—A czemu od razu go nie otworzyć?

—Przedtem muszę sfotografować boki kaplic i zinwentaryzować złożone tam rytualne przedmioty. Wszelki pośpiech byłby sprawą kryminalną.

—Mówią, że śmiertelnie trujący gaz wydobędzie się, gdy tylko uniesie pan pokrywą sarkofagu.

—Jestem gotów podjąć to ryzyko.

—Mumia będzie pokryta złotem?

—Możliwe.

—Kiedy się tego dowiemy?

—Nie wiem. Następnym etapem to demontaż dwóch ostatnich kaplic. Czy pozwoli mi pan wrócić do domu?

Carter wydał polecenie, żeby zamknąć grobowiec. Potrzebował ciszy i samotności po tych podniecających chwilach. Ekipa zająć się miała odnawianiem przedmiotów. Daleki śpiew ptaków przypominał mu kanarka, złotego ptaka, którego zbawienny wpływ wspomógł najbardziej niezwykle z jego odkryć. Spojrzał na olbrzymią mapę Doliny Królów, na którą naniósł wszystkie wcześniejsze odkrycia. Smukłym i wprawnym pismem zaznaczył miejsce grobowca Tutenchamona.

Zasiadał do kolacji, kiedy Ahmed Girigar, czujny szef jego służb porządkowych, ostrzegł go, że przybywa wysłannik Ministerstwa Robót Publicznych. Mimo zmęczenia przyjął odzianego po europejsku wysokiego urzędnika.

Mężczyzna nie chciał usiąść.

—Minister przysłała panu gratulacje, ale jest bardzo niezadowolony ze sposobu otwarcia ostatniej kaplicy. Powinien był w tym uczestniczyć przedstawiciel Urzędu do spraw Zabytków.

—Wezwałem pana Engelbacha, ale miał jakieś ważniejsze obowiązki. Proszę się jednak nie martwić, sarkofag nie ucierpiał z powodu jego nieobecności.

—Rząd zarzuca panu ponadto, że wpuścił pan do grobowca korespondenta *Timesa*, co jest sprzeczne z kodeksem

etycznym wykopalisk.

—To mylna informacja. Obecni byli tylko członkowie mojej ekipy.

—Pozwolę sobie zanotować pańskie wyjaśnienia i poproszę o podpisanie protokołu dla ministra.

Carter przeczytał prozę wysokiego urzędnika, stwierdził, że jego odpowiedzi nie zostały zniekształcone i złożył parafę na dokumencie.

—Lękam się poważnych komplikacji — oświadczył wysłannik.

—Niepotrzebnie się pan niepokoi. Wszystko jest w porządku.

Bradstreet i Lacau nadal prowadzili swoją krecią robotę. Im bliżej sarkofagu był Carter, tym stawali się zjadliwsi. Nawet jeśli minister robót publicznych zaczynał przechylać się na ich stronę, mogli jedynie wbijać piki w plecy Cartera.

—Jeszcze jeden gość — oznajmił Ahmed Girigar.

—O, nie! Później.

— Musi pan przyjąć tego gościa. Przybył z bardzo daleka. Zaciekawiony Carter wyraził zgodę.

Lady Evelyn zbliżyła się do niego ubrana w fiołkową suknię, świetlista i wiotka.

ROZDZIAŁ 82

—Kiedy pani przyjechała?

—W tej chwili.

—Długo pozostanie pani w Luksorze?

— A czy pan nie potrzebuje asystentki? Plotka mówi o odkryciu bajecznych skarbów.

Carter czule objął lady Evelyn, jakby się bał, że ten miraż zniknie.

—Matka pani...

—Zgodziła się, żebym spędziła zimę w Egipcie i czuwała nad pańskimi pracami w imieniu ojca.

—On jest przy mnie, Eve. Nikt nie może go zastąpić.

—Dlatego też nigdy nie będę mogła pana poślubić, Howardzie. Niezbyt liczę się ze zdaniem rodziny, ale on nie

dał swojej zgody.

—A gdyby dał jakiś znak z wysokości niebios?

—Oby jego dusza pana wysłuchała.

—Cała drżysz.

—Chyba się przeziębiłam.

Okrył jej ramiona wełnianym szalem. Oczy młodej kobiety zatrzymały się na wielkiej mapie Doliny Królów.

—Udało się panu, Howardzie. Jaki szczęśliwy byłby ojciec!

—Nie ogłaszajmy zwycięstwa zbyt wcześnie. Znam kilka przypadków nienaruszonych, ale pustych sarkofagów.

—To nie ten... Tutenchamon żyje, czuję to!

—Żyje? Chce pani powiedzieć...

Wpatrywała się w niego z miłością, jaką kobieta potrafi ofiarować w chwili duchowej łączności.

— Czy faraon może umrzeć?

Noc zapadła nad doliną. Carter zgasił światło i zsunął szal z jej ramion. W dali Nil unosił z prądem szczęście gasnącego dnia.

Nadszedł czas demontażu kaplic, część po części. Carter, obojętny na upał i kurz, walczył z pośpiechem i z gwałtownymi gestami. Wydobycie sarkofagu wymagało absolutnego poszanowania zasad bezpieczeństwa; nie wolno było dopuścić do uszkodzenia żadnego elementu tych bezcennych dzieł. Przy okazji odnotował, że egipcyscy cieśle w dziwny sposób montowali boki paneli; porządek był odwrócony w stosunku do głównych punktów i hieroglificznych wskazówek. Pewnie

musieli działać pospiesznie — kierownik budowy nakazał jak najszybsze ukrycie grobowca.

W czasie gdy Carter spokojnie pracował, hotele Luksoru były oblegane przez hordy turystów. Ten sam pokój rezerwowano cztery czy pięć razy, toteż trwały bezustanne bitwy. Zwyciężali ci, co dawali największy bakszysz. Inni musieli zadowolić się pensjonatem lub, co gorsza, pokojem w prywatnych mieszkaniach. Sklepikarze, wędrowni kupcy, właściciele powozów wielbili Tutenchamona, który uczynił ich interesy kwitnącymi.

Największy fałszerz w mieście postarał się o spotkanie z Carterem i prosił go o interwencję. Produkował on seryjnie fałszywe skarabeusze według tradycyjnych metod. Zadowalała się nimi większość kolekcjonerów. Ale od czasu gdy ogłoszono istnienie nienaruszonego grobowca, nielojalni konkurenci zalewali rynek bardzo kiepskimi produktami. Carter ubolewał, że nie może potwierdzić własnym znakiem dobrych fałszerzy, i z powagą doradził kupcowi, aby skontaktował się z Urzędem do spraw Zabytków.

Opuszczał właśnie grobowiec po ciężkim dniu pracy, kiedy lady Evelyn przyniosła mu lokalny dziennik, w którym Lacau mówił o swoich zamiarach.

—Jeszcze jedna gadanina.

—Nie, Howardzie, to pogróżka. Zdaniem dyrektora Lacau rząd zamierza zawiesić pańskie prace i pozwolić turystom zwiedzać sanktuarium.

—Idiotyczne. Są tam jeszcze podobne deklaracje?

—Oskarża pana o mnożenie kłopotów i nieustanne przeszkadzanie urzędowi i rządowi. Według niego podaje pan w wątpliwość niezależność państwa i pojęcie publicznej własności.

—Inaczej mówiąc, odmawia podziału przedmiotów, który ustalił z pani ojcem! Lacau to prawdziwy wąż... A przecież

wie, że nie kieruje mną chęć zysku, lecz pragnienie sprawied-

liwości. Próbuje okraść waszą rodzinę i pozbawić ją należ-

nych praw. Nie pozwolę mu na to.

—Niech pan będzie ostrożny, Howardzie.

—Przed wszystkim muszę być stanowczy.

Carter zebrał znanych egiptologów, swego mistrza New-

berry'ego, angielskiego filologa Gardinera, swego amerykańskiego kolegę Breasteda i Alberta Lythgoe, przedstawiciela Metropolitan Museum. W imieniu nauki Carter i czterej specjaliści zredagowali bardzo krytyczny list na temat Pierre'a Lacau i Urzędu do spraw Zabytków, którego postawa utrudniała postęp prac. Oświadczyli, że grobowiec Tutenchamona nie należy do Egiptu, lecz do całego świata. Howard Carter i jego ekipa wypełniają swoją misję z niekwestionowanym zapałem i powagą. Po co nieustannie im przeszkadzać, żądając udostępnienia grobowca zwiedzającym, zamiast zadbać przede wszystkim o ocalenie skarbów? Egipski rząd nie łoży na to ani grosza. W roboty inwestował jedynie lord Carnarvon. Lacau nie wypełnia swoich zadań i postępuje jak drobiazgowy biurokrata. To on powinien przyznać się do błędów i w końcu zacząć wspierać wysiłki Cartera. Dla zachowania równowagi kopie listu przesłano do brytyjskiego wysokiego komisarza i kilku instytucji naukowych.

Carter podniósł kieliszek szampana. Lady Evelyn i współpracownicy poszli jego śladem.

—Lacau nie odważył się replikować.

—Bądźmy ostrożni — zalecał Callender. — Pewnie knuje coś w ukryciu.

—Za późno.

—To jezuita — zauważył Burton — zawsze zdolny wymyślić strategię, której nikt nie przewidzi.

—Ja jestem optymistą — zapewnił Carter. — Przystanie nas dręczyć. Królewska droga do sarkofagu jest otwarta.

Zatroskana lady Evelyn zadowolona się wypiciem doskonałego trunku. Nie chciała psuć dobrego humoru archeologa.

—Wyczuwam jakieś niedomówienie — szepnęła jej do ucha.

—Dziś wieczór bądźmy szczęśliwi.

—Jutro pokażę pani najdoskonalszy z sarkofagów.

Carter był zaniepokojony. Właśnie zauważył ślad pęknięcia na pokrywie sarkofagu. Naprawiono go w starożytno-

ności. Gips i farba imitowały granit, maskując wypadek. Na każdym rogu bogini wyciągała ramiona i skrzydła, chroniąc duszę króla i ofiarowując mu wieczne życie.

Carter podniósł rękę do gardła.

—Howard! Co ci jest?

—Źle się poczułem...

—Co się dzieje?

—Pęknięcie, w pokrywie... To oznacza, że może naruszono sarkofag.

Młoda kobieta przyjrzała się ranie kamiennej trumny.

—Nie, to niemożliwe. Nie bój się.

—Skąd ta pewność?

—Czuję to w głębi duszy. Tę ranę opatrzyła ręka robotnika faraona.

Carter dotknął pokrywy. Słowa lady Evelyn dodały mu otuchy.

Zdyszany Callender zatrzymał się na progu komory grobowej.

— Katastrofa... Musi pan natychmiast jechać do Kairu.

ROZDZIAŁ 83

Zaniepokojony Carter minął próg gabinetu nowego ministra robót publicznych, Morcosa Beja Hanny. Archeolog, dotąd obojętny na polityczne zmiany, pojął nareszcie, że dojście do władzy nacjonalisty Saada Zaghlula zmieniło stosunek egipskich oficjeli do obcokrajowców.

Minister był dobrze zbudowanym mężczyzną o wąskim czole i marsowym wyglądzie. Nie użył zwykłych grzecznościowych formułek.

—Pan jest Anglikiem, panie Carter?

—Tak, panie ministrze.

—Nie lubię Anglików. Wsadzili mnie do więzienia na cztery lata, bo żądałem niepodległości dla mojej ojczyzny.

Lud uczynił mnie bohaterem. Chciałbym mu podziękować za zaufanie i dowieść, że nie zmieniłem ideałów. Pan ma jakiś ideał?

—Grobowiec Tutenchamona.

—Nie znam się na archeologii. Nudzą mnie stare kamienie. Wolę interesować się ludźmi, pan nie?

—Przebywam w towarzystwie faraonów od młodości. Tutenchamon jest moim towarzyszem drogi, który usprawiedliwia wszelkie poświęcenia.

Morcos Bej Hanna zapalił cygaro.

— Nie powinien pan zakładać nogi na nogę. W moim kraju to nieuprzejma pozycja, kiedy rozmawia się z przełożonym.

Carter, wściekły i nie za dobrze panujący nad nerwami, zmienił pozycję. Więcej już nie ustąpi.

—Po cóż to ja pana wezwałem... Aha! Sprawa Tutenchamona... Za dużo konfliktów z administracją, o wiele za dużo. Nie podobają mi się te spory. Archeolog powinien siedzieć cicho i słuchać.

—Pod warunkiem, że pozwala mu się spokojnie pracować i doprowadzić do końca badania.

Ministra zdumiało, że ten cudzoziemiec ośmiela się stawiać mu czoło.

—Pierre Lacau przekazał mi część dokumentów — powiedział. — Jego zdaniem pańska koncesja nie daje żadnych

praw własności do grobowca, uważanego za nienaruszony, a tym bardziej do skarbów, jakie zawiera.

—Układy uzgodnione z lordem Carnarvonem...

—Praw w Egipcie nie ustanawia angielski lord! Niech pan się łoży z Urzędem do spraw Zabytków i już mi nie przeszkadza.

—Postępowanie urzędu jest krzywdzące.

—A pańskie, panie Carter? Czy nie podpisał pan kontraktu wyłączności z *Timesem*, gardząc egipską prasą, która

miała przecież prawo pierwszeństwa do informacji?

—Lord Carnarvon słusznie uważał, że codzienna obecność dziesiątków dziennikarzy przeszkadzałyby postępowi prac.

—Oto przykład brytyjskiej hipokryzji! Ale mówmy o pańskiej pracy... Zdecydowanie zalecam panu, aby przestrzegał pan poleceń i nie opuszczał Egiptu.

Oburzony Carter wstał.

— Pan wybaczy, ale nie rozumiem.

—To przecież proste: jako zatrudniony przez moje ministerstwo, winien pan być gorliwym urzędnikiem.

—Jestem na służbie wdowy, lady Carnarvon, właścicielki koncesji.

Morcos Bej Hanna nacisnął dzwonek. Otwarły się drzwi po lewej i stanął w nich Pierre Lacau z górą dokumentów. Skłonił się przed ministrem.

— Oto szczegóły dotyczące sporu.

Carter poczuł, że znalazł się w pułapce. Byłby już z hukiem opuścił gabinet, gdyby nie nieoczekiwana reakcja ministra:

—Te papiery mnie nudzą. Przeszłość jest przeszłością. Kiedy organizujemy ceremonię otwarcia sarkofagu? Pojutrze... ten termin dosyć mi odpowiada.

—Niemożliwe — odparł Carter.

—Dlaczego?

—Bo nie znam liczby ani stanu trumien, które zawiera. Wydobyć ich z kamiennego sarkofagu może zabrać kilka miesięcy.

Minister zwrócił się do Pierre'a Lacau.

—Co pan o tym sądzi, panie dyrektorze?

Lacau postanowił nie kłamać.

—Howard Carter ma rację, wysuwając taką hipotezę.

Morcos Bej Hanna nie ukrywał zawodu.

— Archeologia naprawdę rozczarowuje. Proszę mnie zawiadomić, gdy będziecie gotowi.

Minister opuścił gabinet, zostawiając Cartera i Lacau twarzą w twarz.

—Nie mogłem postąpić inaczej — tłumaczył się Lacau.

—Powinien pan odłożyć tę dokumentację — doradził mu Carter. — Jej ciężar w końcu pana wyczerpie.

Dwunastego lutego o godzinie piętnastej Carter zebrał swoich gości przy sarkofagu Tutenchamona. Wysłuchawszy wielu pytań dotyczących rzeczywistych zamiarów ministra i Lacau, posłuchał rady lady Evelyn: przyspieszyć tempo prac i zaprosić kilka osób do udziału w wyjątkowej ceremonii podniesienia kamiennej pokrywy. Obok członków ekipy

obecni byli podsekretarz Ministerstwa Robót Publicznych i Pierre Lacau, którego czarny garnitur nadawał uroczystości pogrzebowy akcent.

Callender sprawdził wytrzymałość wyciągarek i lin. Spojrzeniem dał Carterowi znak, że układ podnoszenia jest w porządku. Carter wydał rozkaz, żeby działać. W głębokiej ciszy gigantyczna płyta uniosła się w górę.

Carter wsunął głowę pod zawieszoną nad nim pokrywę. Dziesięć kwintali kamienia zakolysało się, po czym znieuchomiło. Lady Evelyn gotowa była chwycić archeologa za rękę i pociągnąć do tyłu, ale on już ściągał całun i zwijał go bardzo wolno drżącymi rękoma. Spływając potem, musiał parokrotnie powtarzać operację. Zwijając ostatek całunu, wydał okrzyk zachwyty.

Złota twarz Tutenchamona, spokojna i szlachetna, spoglądała w wieczność. Jej rysy wymodelowano na płatkach złota, oczy były z aragonitu i obsydianu, brwi i powieki z lapis-lazuli. Ręce złożone na piersi trzymały inkrustowany błękitnym fajansem magiczny pastorał pasterza i bicz rolnika.

Teraz lady Evelyn wsunęła się pod pokrywę sarkofagu. Piękność złotej twarzy przewyższała wspaniałością wszystko, co dotąd widziała. Tutenchamon nie umarł. Wskrzeszone życie zamieszkiwało jego kamienne oczy. Korona, którą chroniła bogini-sęp, matka świata, i bogini-kobra, symbol witalnej siły, sytuowała króla w boskim wszechświecie, z którego wykluczono człowieka.

Wszyscy goście kontemlowali faraona.

Żaden szept nie zakłócił medytacji i świętego charakteru tego spotkania ze wspomnieniem zza grobu, które wyłoniło **lic** z ciemności. Callender płakał. Lacau, choć chrześcijanin, doznał dziwnych wzruszeń. Doskonałość portretu wydawała **ie** niebiańska.

, Ociągając się, kolejno opuścili grobowiec. Rozstanie p młodym królem było bolesne. Howard Carter jako ostatni tuszył w górę korytarzem, który prowadził do światła na iewnątrz. Wizja królewskiej istoty odcisnęła się w jego Umyśle.

— Żywy — szepnął.

ROZDZIAŁ 84

Na kilka minut Carter zaniemówił. Lacau i podsekretarz stanu czekali dłuższą chwilę, aż odzyska mowę, by się pożegnać.

—Cudowne — przyznał Lacau.

—Dobrze byłoby zaprosić kilku zwiedzających — przypomniał podsekretarz — a także zorganizować konferencję prasową. Wydarzenie jest tak niezwykle...

—Jak pan uważa — zgodził się Carter jeszcze w szoku.

—Uważam, że żonom członków ekipy powinno się pokazać faraona przed dziennikarzami — zaproponował Cal-
lender.

—To oczywiście — przyznał Carter. — Zasłużyły na tę nagrodę.

—Oczywiście — przyznał podsekretarz. — Potrzebne nam jednak będzie obejście prawa. Zadzwonię do ministra, żeby szybko załatwić ten drobny problem.

—Cudowne — powtórzył Lacau nadal zanurzony we śnie.

Carter dusił się. Jeszcze raz wrócił do grobowca pod pretekstem sprawdzenia sznurów, choć naprawdę chciał znaleźć się sam na sam z Tuteochamonem i zapytać go o tajemnicę spojrzania, którego nie zgasiła noc śmierci.

Powietrze było przejrzyste i lekkie. Współpracownicy Cartera i ich żony składali mu gratulacje. W ten lutowy poranek wielka radość ożywiała rozmowy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że uczestniczą w historycznej chwili.

Reis Ahmed Girigar pierwszy dojrzał posłańca na osle, który zbliżał się do grobowca Tutenchamona.

— pilny list do pana Cartera! — zawołał.

Archeolog ze zdumieniem przeczytał przesłanie podpisane przez Pierre'a Lacau, dyrektora Urzędu do spraw Zabytków. Otrzymałszy telegram od ministra robót publicznych, który formalnie zabraniał wpuszczenia do grobowca żon współpracowników Cartera, Lacau czuł się w obowiązku sformułować to polecenie w jeszcze wyraźniejszej formie. Wpra-

wdzie ubolewał nad tym niemiłym nieporozumieniem, ale przez szacunek dla ministerialnych decyzji zobowiązywał Cartera, by zastosował się do nich bez żadnych dyskusji. Bez pisemnego pozwolenia żadna kobieta nie może wejść do grobowca. Carter zacisnął pięści.

— Strasznie mi przykro — powiedział. — Minister odmawia waszym żonom prawa do obejrzenia Tutenchamona.

Rozległy się protesty, ale Callender i Burton odradzali łamać zakaz. List Lacau miał urzędowy charakter. Nieuwzględnienie go byłoby wykroczeniem.

— A podporządkowanie się jest tchórzostwem.

Carter zredagował krótką i brutalną notę, w której wyliczył nieprawdopodobne zniewagi, jakie spotykały jego samego i jego ekipę. Dlatego odmawiają dalszych prac i zamykają grobowiec.

Bardzo zirytowany poprosił Mertona, by opublikował w *Timesie* dokładną relację ze zdarzeń i napiętnował rolę Lacau. Potem szybkim krokiem skierował się do grobowca Setiego II, z pomocą Callendera założył tam żelazną kratę i kłódki. Następnie zamknął kratę chroniącą wejście do grobowca Tutenchamona, wsunął do kieszeni jedyny zestaw kluczy, wsiadł na osła i ruszył w stronę nabrzeża. On, który tak lubił wdychać bryzę podczas przeprawy przez Nil, teraz nie zwrócił na nią uwagi. Powozem szybko dotarł do Winter Pałace. Przebiegł hall i przypiął swoje pismo na tablicy ogłoszeń, przed którym przechodziły setki turystów i osobistości.

Kilka godzin później spór stał się publiczny. Oskarżenia Cartera i jego niezwykła decyzja stały się niebawem jedynym tematem rozmów całego Luksoru.

Carter prowadził też walkę na innym froncie. Wysłał depesze do premiera Zaghlula, prosząc o interwencję w swojej sprawie. Ten ostatni mógł jedynie potępić trudną do zakwalifikowania postawę Urzędu do spraw Zabytków. By dowieść własnych praw, archeolog myślał nawet o wytoczeniu procesu rządowi.

— Wygramy go — oznajmił lady Evelyn.

— Większość turystów krytykuje pańską inicjatywę.

— To nieważne.

Odpowiedź Zaghlula była szybka i oschła.

— Niesamowite! — ubolewał Carter. — Zaghlul nie tylko nie potwierdza faktów, ale przypomina mi jeszcze, że grobowiec nie jest moją własnością, a ja nie mam prawa porzucać pracy.

Zaniepokojona lady Evelyn przeczytała pismo premiera. Mimo chłodnego tonu dopatrzyła się w nim pewnych zachęcających oznak.

—Przyznaje, że pańskimi odkryciami bardzo interesuje się cały świat.

—Uprzejmościowa formułka... popiera swego ministra, a mnie potępia.

—To nierówna walka, Howardzie.

—Na pewno. Prawo jest po mojej stronie.

Pierre Lacau z zadowoleniem przejrzał prasę. Tylko *Times*

broniał Cartera i oskarżał egipski rząd, że wysłał policję, by siłą zabronić wejścia do grobowca kilku szanownym paniom. Wszystkie inne dzienniki krytykowały reakcję archeologa, uznanego za megalomana, człowieka skończonego, nie panującego nad nerwami najgorszego rodzaju kolonialistę. Morcos Bej Hanna, minister robót publicznych, szeroko rozpowszechnił w egipskich gazetach własną wersję. Dlatego uważały one, że Carter, jako organizator zamętu i strajku, nie zasługuje już na to, by kierować wykopaliskami. Złamał bowiem zasady swego zawodu i zagraża dalszym poszukiwaniom.

Lacau cieszył się. Naiwny i niezręczny Carter popełnił fatalny błąd. Jako ofiara cierpliwego taktycznego nękania nie ustrzegł się zastawionych na drodze pułapek. Kim w oczach opinii publicznej stawał się popędliwy awanturnik, jeśli nie kimś w rodzaju bandyty? Rząd powinien go złamać i potwierdzić własną niezależność.

Dla zbitego z tropu Cartera to była prawdziwa męczarnia. Próżno Callender próbował go pocieszyć. Nie bawily

go dowcipy Burtona, a ożywiała jedynie obecność lady Bvelyn.

—Ci politycy to naprawdę żałośni ludzie. Kłamstwo i zdrada, oto ich sposób bycia.

—Czyżbyś odkrywał świat, Howardzie?

Schronili się w domu archeologów, którego pilnował Ahmed Girigar i jego ludzie. Kilku turystów, rozwścieczonych zamknięciem grobowca Tutenchamona, próbowało pokonać prowadzącą tam ścieżkę, aby skłąć archeologa.

Carter pił więcej niż zwykle.

—Czemu tyle nieszczęść? Najpierw śmierć lorda Carnarvona, potem ta wrogość...

—Wytrzymaj, Howardzie. Jeśli ustąpisz, Lacau zatriumfuje i skalana zostanie pamięć mego ojca.

Powiedziała to bez cienia agresji. Carter czerpał nowe siły z jej łagodności.

— Będę walczył, Eve. Będę walczył aż do końca.

Carter i jego współpracownicy odbyli naradę wojenną. Nikt nie zrezygnował. Wszyscy byli zdania, że minister robót publicznych i dyrektor Urzędu do spraw Zabytków przekroczyli swoje uprawnienia i stosowali politykę zastraszenia. Ani razu w ciągu swego niespokojnego życia Howard Carter nie ugiął się przed pogróżką.

Bezwarunkowe poparcie ekipy dodawało mu sił. Mocny tą jednością serc postanowił odrzucić wszelki kompromis. Odtąd za badanie grobowca odpowiadać będzie wyłącznie archeolog.

Piętnastego stycznia o świcie Howard Carter wszedł na ścieżkę prowadzącą do doliny. Przed grobowcem Tutenchamona pełniło straż wojsko. Pomyślał, że to wzmocnienie zwykłych środków ostrożności. Wyższy oficer zastąpił mu drogę:

—Strefa zabroniona.

—Jestem Howard Carter.

—Ma pan pisemne pozwolenie z Ministerstwa Robót Publicznych lub Urzędu do spraw Zabytków?

—Nie potrzebuję go.

—Otrzymałem dokładne instrukcje: grobowiec Tutenchamona oraz grobowiec Setiego Drugiego, zapisany pod numerem piętnastym, a służący jako laboratorium, są zamknięte i nikomu nie wolno tam wejść.

—Pan raczej żartować...

—Proszę nie wykonywać żadnych nieprzemyślanych gestów, bo użyję siły.

ROZDZIAŁ 85

Carter zamknął się w najciemniejszym kącie domu archeologów, jak ranione zwierzę. Przez dwa dni nic nie jadł. Uparta lady Evelyn zmusiła go do wypicia herbaty i zjedzenia garstki ryżu. Archeolog kilkakrotnie przeczytał artykuł w *Saturday Review*, którego autor niepokoił się jakością lin utrzymujących w powietrzu pokrywę sarkofagu. Jeśli się zerwą, szkody będą nie do naprawienia.

—Muszę się tym zająć.

—To niemożliwe, Howardzie. Żołnierze cię nie przepuszczą.

—Czy minister dostał mój list z protestem?

—Oczywiście, że tak. Ale nie odpowie.

—Co mam zrobić, Eve? Oni odbierają mi życie, niszczą Tutenchamona!

—Musisz czekać i modlić się. Liny wytrzymają, przysięgam.

Uwierzył. Jej spojrzenie nie kłamało.

Tydzień po oficjalnym zamknięciu zmieniły się poglądy opinii publicznej. Teraz wymawiano rządowi, że nie mianując innego archeologa, który prowadziłby dalsze prace, zapomniał o grożącym sarkofagowi ryzyku. Sznury w końcu pękną, a pokrywa runie i zniszczy złotą trumnę.

Times podkreślał niezręczność władz. Taka bezkompromisowość przypadła na szczególnie źle wybrany moment.

Zdanie zmienili nawet lokalni dziennikarze. Czy Carter nie był przypadkiem ofiarą, a nie winnym? Za radą lady

Hvelyn archeolog zgodził się przyjąć ich przedstawiciela. Ogolony, z równo ostrzyżonym wąsem, nienagannie zawiązaną muszką, próbował nadrabiać miną.

—Panie Carter, czy zgodzi się pan przyznać do własnych błędów?

—Nie popełniłem żadnego, oprócz wiary w sprawiedliwość.

—Czy podtrzymuje pan swoją krytykę wobec ministerstwa?

—Minister kłamie, przedstawiając mnie jako przeciwnika Hgiptu i jego ludu. Ten kraj jest moją ojczyzną. Ja po prostu

odmawiam udostępniania grobowca ciekawskim, póki nie /ostaną wyjęte trumny.

—Nazwał pan ministra kłamcą?

—To właściwe określenie.

—Czego pan chce?

—Żeby usunięto policję i żeby największa archeologiczna przygoda wszechczasów mogła toczyć się dalej. Tylko mój

zespół dysponuje niezbędnymi kompetencjami.

Lacau złożył gazetę, w której ukazał się artykuł Cartera. Zaproszony na Radę Ministrów dyrektor Urzędu do spraw Zabytków przedstawił fakty i odczytał zebranim członkom rządu najważniejsze dokumenty dossier.

Jego akt oskarżenia wobec Cartera był przytłaczający. Minister robót publicznych potwierdził go w całej rozciągłości i uznał, że obrażając go, archeolog obraził cały naród. Nikt z kolegów nie stanął w jego obronie.

— Uważa pan, że Howard Carter zerwał swój kontrakt Z Hgiptem, naruszając obowiązki uczonego i zamykając grobowiec bez pozwolenia? — zapytał Zaghlul.

Rada jak jeden mąż głosowała „tak”.

— Czy popieracie działania pana Lacau i jego urzędu?

Odpowiedź była taka sama.

— A zatem — stwierdził premier — Howard Carter nie ma prawa dalej prowadzić wykopalisk ani wchodzić do grobowca. W przyszłości rząd sam przejmie odpowiedzialność za sprawę Tutenchamona.

Lektura oficjalnego komunikatu zdumiała Cartera. Jego przegrana wydawała się całkowita. Zaghul wykorzystywał najbardziej demagogiczny argument: działał tak, by jak najwcześniej umożliwić ludowi możliwość obejrzenia wielkiego odkrycia ludzkości na jego ziemi. Callender i inni członkowie ekipy byli załamani. Obojętni na wieloletnie trudy politycy i ambitni urzędnicy zniszczyli cudowny sen. Carter próbował podtrzymać ducha w swoim zespole.

—Anglia nas nie opuści.

—Myślał pan o wysokim komisarzy? — zapytał Burton.

—Nie — odparła lady Evelyn. — On nie lubił mojego ojca i nie zaryzykuje kariery, przeciwstawiając się otwarciu

egipskiemu rządowi.

—A jakie jest inne wyjście?

—Parlament! Telegrafowałam do matki, aby uzyskała wsparcie politycznych przyjaciół ojca. Nasz rząd zmusi rząd

egipski do ustępstw.

Entuzjazm młodej kobiety udzielił się innym. Carter przypomniał podniosłe chwile, które znaczyły ich epopeję, i otworzył kilka butelek szampana. W ciągu tej nocy ekipa odzyskała nadzieję.

Wschód słońca zaróżowił niebo. Wpatrzeni w brudny pustynnych stoków Eve i Carter wierzyli jeszcze w niemożliwe. Przytuleni do siebie w chłodzie poranka, trwali w milczącym porozumieniu stadła wprawionego w przewyciężaniu setek demonów i pokonywaniu tysięcy przeszkód. Wiedzieli, że oddalenie i rozdarcie palić będą ich dusze i serca. Zanim pochłonie ich otchłań samotności, smakowali szaleństwo medytacji we dwoje pod szczytami Zachodu.

—Czy to miłość, Eve?

—Najgwałtowniejsza i najboleśniejsza.

—Kiedy wyjeżdżasz?

—Wiosna wróci. Teraz matka czeka na mnie w Highclere.

—To takie ważne... zachować pozycję?

—Najistotniejsze i śmieszne.

—Gdybym mógł cię zatrzymać... Dzisiaj jestem już nikim.

—Jesteś wybrańcem bogów, Howardzie. Twoja droga nakreślona została wśród gwiazd. Jest tej samej natury co /łoto Tutenchamona. Ja jestem tylko pewnym etapem.

—Wątpisz w moją szczerłość?

— Ani chwili. Ale nie jestem twoją przyszłością.

Uśmiechnęła się i pocałowała go.

— Jesteś najbardziej zdumiewającym z ludzi, Howardzie,
bo nie zmieniasz się. Ani ja, ani nikt inny nie zawróci cię /
twojej drogi. Kocham cię i podziwiam.

Brytyjski parlament pomrukiwał. Żaden ważny temat nie powinien zakłócić jego spokoju. Do premiera Ramsaya Mac Donalda skierowano nagle interpelację w sprawie afery Tutenchamona.

—Czy to prawda, że pan Carter jest właścicielem koncesji archeologicznej?

—Jest na służbie wdowy po piątym lordzie Carnarvon, który rzeczywiście posiadał taką koncesję.

—Jakie przyjmuje pan stanowisko wobec konfliktu Howarda Cartera z egipskim premierem?

—Rząd Jego Królewskiej Mości nie przyznał żadnych przywilejów pracującej tam ekipie archeologicznej.

Premier udał, że nie słyszy protestów, które wywołało jego oświadczenie. Jeden z protestujących uparł się i prosił o bliższe wyjaśnienia.

— Sprawa Tutenchamona nie należy do naszej kompetencji — wyjaśnił Ramsay Mac Donald. — Ma charakter prywatny. Jeśli zaś chodzi o działalność pana Cartera, podle-

ga ona egipskiemu, a nie naszemu prawodawstwu. Nie chcę już słyszeć o tym człowieku i uważam sprawę za zamkniętą.

ROZDZIAŁ 86

Reis Ahmed Girigar kończył poranne modły kilka metrów od grobowca Tutenchamona, kiedy dojrzał zbliżający się oddział złożony z żołnierzy i policjantów. Na jego czele Pierre Lacau... Wielbłądy i konie sunęły spokojnym krokiem.

Reis od razu zajął miejsce na drodze prowadzącej do grobowca Tutenchamona. Lacau, który jechał między wyższym oficerem i wysokim urzędnikiem Ministerstwa Robót Publicznych, zatrzymał się dwa metry przed nim.

—Ustap nam miejsca, przyjacielu.

—Pan Carter mianował mnie kierownikiem. Moim obowiązkiem jest pilnowanie jego miejsca pracy.

—Ono już do niego nie należy. Teraz znajduje się pod bezpośrednią kontrolą rządu.

—Moim jedynym przełożonym jest pan Carter.

—Mylisz się, obecnie jesteś na służbie rządu.

—Czy ma pan jakiś dokument, który to potwierdza?

Wysoki urzędnik zdenerwował się.

—Wykonaj natychmiast rozkazy premiera!

—Proszę mi pokazać oficjalny dokument.

Na dany przez wyższego oficera znak dwaj żołnierze skierowali broń na *reisa*. Ten ani drgnął.

— Wasze groźby są mi obojętne — oświadczył spokojnie. — Strzelajcie, a staniecie się mordercami.

Wkroczył Lacau.

— Niech nikt nie traci panowania nad sobą... nie chcę żadnego incydentu. *Reis* to człowiek inteligentny i rozsądny. Musi zrozumieć, że szaleństwem jest przeciwstawianie się dyrektywom rządu. Jestem przekonany, że nie zmusi nas do życia siłą.

Lodowaty ton Lacau wywarł wrażenie na Ahmedzie Girgarze.

—Muszę powiadomić pana Cartera.

—Jak sobie życzysz.

Reis pobiegł ostrzec Cartera. Korzystając z okazji, Lacau skierował swoje komando pod bramę. Słusarz przepiłował kłódkę, policjanci wpadli do wnętrza grobowca. Dyrektor chciał działać szybko.

— Opuśćcie pokrywę.

Żołnierze wykonali polecenie. Lacau triumfował, jednak był niespokojny. Bloki zgrzytały, liny się nagrzały, ale nie pękły. Olbrzymia płyta poruszyła się powoli. Dyrektor obserwował jej powolne opadanie. Kiedy spoczęła na sarkofagu, wiedział, że stał się jedynym panem tego miejsca.

Żołnierze strzegący grobowca nie pozwolili Carterowi wejść do prowadzącego w dół korytarza. Na widok Lacau zaczął krzyczeć.

—Co pan ośmielił się zrobić?

—Wykonałem swój obowiązek.

—Jeśli pan uszkodzi sarkofag, ja...

—Niech pan się już niczym nie zajmuje, panie Carter. Skarby Tutenchamona są pod opieką państwa.

—To bezprawie! Koncesja jest na nazwisko lady Carnarvon.

—Błąd. Została wypowiedziana na ten sezon. Tak więc pańska tu obecność jest nielegalna.

—Pan jest potworem.

—Dodaję, że rekwirujemy również laboratorium i pan nie może już z niego korzystać.

—Dziś jeszcze rozpoczynam prawną procedurę przeciwko egipskiemu rządowi.

—To kolejny fałszywy krok, mój drogi. Egipt zachował się bardzo godnie, przestrzegając prawa i moralności. Niech

pan zrezygnuje z nowych agresywnych działań i pozwolimi

przygotować jakieś kompromisowe rozwiązanie.

—Budzi pan moje obrzydzenie. Żądam przeprosin i natychmiastowego otwarcia grobowca.

Lacau odwrócił się i wszedł w korytarz. Carter chciał pójść za nim, lecz trafił na żołnierzy. Rozwścieczony porwał kamień i rzucił nim w niebo.

Dzięki starannej aranżacji egipska prasa w pełni poparła rząd. To do niego należała obrona wielkości narodu przed obcym awanturnikiem, którego jedynym celem było wzbogacenie się kosztem ludu, wyłącznego prawowitego właściciela grobowca Tutenchamona.

Szóstego marca 1924 roku specjalny pociąg z Kairu przywiózł do Luksoru stu siedemdziesięciu zaproszonych gości premiera Zaghlulę, którego notowania były niezwykle wysokie. Wzdłuż całej trasy nacjonalistyczni działacze wykrzykiwali slogany wrogie Anglii i Carterowi, który ukrył się w domu archeologów. Choć Zaghlul, obojętny wobec egip-

skich starożytności, nie brał udziału w tej wyprawie, olbrzymi tłum skandował jego nazwisko, gdy pociąg wjeżdżał na stację w Luksorze.

Zaden z oficjeli nie miał najmniejszej ochoty tracić czasu w Dolinie Królów i znosić upału, ale wycieczka była obowiązkowa. W małej komorze grobowej sto siedemdziesiąt osobistości powitał nadzwyczaj uprzejmy Lacau. Pokrywę sarkofagu zdjęto i oparto o ścianę. Lampa skierowana na króla oświetlała jego złotą twarz. Niezwykłe widowisko zrobiło wrażenie nawet na niezbyt wrażliwych. Politycy chwalili Pierre'a Lacau.

Z pomocą lady Carnarvon Carter zaangażował adwokata, F. M. Maxwella, który rozpoczął prawną procedurę przeciwko rządowi egipskiemu w kairskim sądzie mieszanym, złożonym z autochtonów i obcokrajowców. Jurysdykcja ta, odziedziczona po otomańskiej dominacji, wzbudzała gniew zwolenników niepodległości, którzy żądali jej zniesienia. Minister robót publicznych, Morcos Bej Hanna, zwalczał ją nieustannie. Lady Evelyn zachęcała jednak Cartera do walki. Czyż Maxwell nie cieszył się doskonałą opinią i czyż nie znał doskonale egipskiego prawa? Adwokat, ponurego raczej usposobienia i pozbawiony złudzeń, nigdy się nie uśmiechał. Surowość prawa wydawała mu się najistotniejszym warunkiem przetrwania społeczeństwa, tak zachodniego, jak wschodniego. Uznał, że sprawa Tutenchamona niewątpliwie zakończy się zwycięstwem Cartera, ofiary typowego nadużycia władzy. Dzięki swoim stosunkom i technicznym zaletom swoich akt adwokat uzyskał szybki termin procesu.

W przeddzień jego rozpoczęcia Carter i lady Evelyn byli pełni nadziei. Maxwell nie angażował się lekkomyślnie. Zwykle walczył na zdobytym już terenie i dawał minimalne tylko szanse przeciwnikom.

—Lacau ustąpi, egipski rząd także... ale w gruncie rzeczy nie zależy mi na tym. Pragnę tylko znów zajmować się Tutenchamonem.

—Ojciec nam pomoże. Czuję, że jest blisko.

Rozmowę przerwał im Callender. Z jego smutnej miny Carter natychmiast wyczytał jakąś nową, nieoczekiwaną przeszkodę.

—Pański adwokat, Maxwell...

—Niech pan mówi!

Callender, skamieniały, z trudem znajdował słowa.

—To człowiek nieprzejezdny, zagorzały zwolennik kary śmierci.

—Nas to nie obchodzi.

—Przeciwnie. Kilka lat temu zażądał jej dla pewnego zbrodniarza, którego Anglia chciała surowo ukarać. Na szczęście werdykt był dużo łagodniejszy.

—„Na szczęście”... skąd ta ulga?

—Bo oskarżonym był nie kto inny, jak Morcos Bej Hanna, obecny minister robót publicznych i nasz główny wróg.

Przemówienie Maxwella było bardzo przekonujące. Przedstawił Cartera jako bezinteresownego naukowca, którego jedynym celem było ocalenie skarbów Tutenchamona. Żadna jurysdykcja nie mogła oskarżyć go o korupcję ani przedstawić jako zwykłego wykonawcę. Fakty dowodziły, że prowadził wykopaliska z powagą i ścisłością. Akta prawne nie zawierały żadnych niejasności. Rząd nadużywał władzy, anulując poprzedni kontrakt i zakazując Carterowi wchodzenia do grobowca i pracy w nim.

Sędzia drzemał. Dla niego sprawa była oczywista. Carter i lady Evelyn podzielali jego opinię. Mimo obaw archeolog uznał, że minister robót publicznych nie przeszkodził działaniu sprawiedliwości. Pod koniec expose sędzia zadał pytanie, które go intrygowało.

—Dlaczego pan Carter zamknął grobowiec przed powiadomieniem sądu?

Maxwell zorientował się, że prawnik nie słuchał jego wywodu. Zirykowany powtórzył najważniejszy argument:

—Mój klient dysponował prawem użytkowania miejsca i nie złamał prawa, tak postępując. Natomiast przedstawiciele rządu zachowali się jak bandyci!

—Czy nie sądzi pan, że to określenie jest przesadne?

—Bandyci, złodzieje i grabieżcy, taka jest prawda. Działania urzędników, żołnierzy i policjantów były bezprawne.

Egipska prasa strzelała rozżarzonymi do czerwoności armatnimi kulami w Cartera i jego adwokata, których oskarżono o straszną obrazę Egiptu. Cały lud poczuł się zniesławiony przez tych dwóch Anglików, zwolenników dogrywającego kolonializmu.

Reakcja Morcosa Beja Hanny była szybka i brutalna. Carter nigdy nie będzie mógł wykonywać swego zawodu w Egipcie. Minister robót publicznych odmawiał wszelkich negocjacji. To był koniec kariery odkrywcy Tutenchamona.

ROZDZIAŁ 87

Morcos Bej Hanna chodził w kółko po swoim gabinecie. Mijał wciąż fotografię ukazującą go w towarzystwie innych egipskich osobistości w smutnych więziennych ubraniach.

— Oto ci bandyci! Bandyci, którzy zostali ministrami!

Pierre Lacau, z dokumentami w ręku, przeczekał burzę.

—Ja jestem renegatem, rabusiem! Ja, minister rządu, który Anglicy chcieliby na nowo zamknąć w więzieniu...

Pan też tak uważa?

—Słuszność zwycięży.

—Ten Carter to niebezpieczny wariat! Czy znalazł pan wreszcie jego następcę?

Lacau otworzył teczkę.

—Porozumiałem się z kilkoma amerykańskimi i brytyjskimi archeologami, ale wszyscy odmówili.

—W pańskiej służbie nie ma kompetentnych techników?

—Zadanie jest zbyt delikatne.

—A pański zastępca, Engelbach?

—To człowiek administracji.

—A pan sam, panie dyrektorze?

—Liczne obowiązki nie pozwalają mi spędzać długich tygodni w grobowcu.
—Więc kto?
—Nikt nie chce podjąć ryzyka uszkodzenia trumny. Tylko Carter mógł doprowadzić do...
—Nigdy! Niech jak najszybciej opuści Egipt... albo ukończy się przede mną i przeprosi.

Piękna jednomyślność prasy zaczęła pękać. Jedna z gazet zastanawiała się nad dalszym postępowaniem: czy nie należy załagodzić sporu i zająć się Tutenchamonem? Czy niewzruszona postawa ministra robót publicznych nie zagraża największym z dotąd odkrytych bogactw?

Carter skorzystał z tych wątpliwości, by poprosić o spotkanie z wysokim komisarzem lordem Allenbym, człowiekiem wyniosłym i lodowatym, który nie poparł egipskiego rządu w walce przeciwko rodakowi.

—Niech pan siada, panie Carter.
—Dziękuję, że mnie pan przyjął. Pańskie rady będą dla mnie bardzo cenne.
—Nie jestem szczególnie kompetentny w dziedzinie archeologii.
—Sprawa Tutenchamona przekracza tę dziedzinę.
—Niestety! Ma pan rację... Od czasu pańskiego nieoczekiwanego strajku doszło do swoistej wojny.
—Ja jej nie pragnąłem.
—Należało jej uniknąć. Sprawia mi pan wiele kłopotów. Carter oburzył się.
—Ja? To raczej minister robót publicznych!
—On zajmuje oficjalne stanowisko, które musimy szanować.
—Próbuje okraść lady Carnarvon, odmawiając jej przyznania kilku przedmiotów, którymi, zgodnie ze zwyczajem, zwraca się zainwestowane pieniądze.
—Ten spór mnie nie dotyczy.
—Ale wchodzi w zakres mojego kontraktu. Urząd do spraw Zabytków nie ma prawa go łamać.
—Niech pan zakończy ten spór: taki jest ogólny interes.

Zdumiony Carter wstał.

—Nie może pan tak myśleć. Tu chodzi o Tutenchamona.

—Pan wydaje się nie rozumieć. Gorączka niepodległości może ogarnąć ten kraj w każdej chwili. Pański faraon stał się przedmiotem politycznej gry. Trzeba go zostawić Egip-

cjanom.

—To byłaby zdrada mojego powołania.

—Ono nie pasuje do politycznych nakazów chwili.

—Kpię z tego!

—Nie ma pan racji.

—Pan musi mi pomóc.

—Proszę wyjść.

Wysoki komisarz sięgnął po kałamarz i rzucił nim w Cartera, który zdążył się uchylić.

— Anglia mnie zdradziła.

Lady Evelyn nie zaprzeczyła. Spacerowali brzegiem Nilu, wieczór był łagodny. Zbity z tropu archeolog ucpepił się ramienia młodej kobiety i opowiedział jej o spotkaniu z wysokim komisarzem.

—Wróćmy do Highclere — zaproponowała.

—Moja obecność u twojego boku przyniesie ci niesławę. W żadnym wypadku nie chcę cię krępować. Londyn odrzucił mnie, podobnie jak Kair. Powinnaś się odsunąć od takiego pariasa.

—Nie przesadzaj, Howardzie.

—Ja nie dramatyzuję. Straciłem twego ojca i Tutenchamona, a teraz chcą mnie wygnać z Doliny Królów, ziemi, którą kocham.

Przystanęła.

—Czyżbyś stracił także mnie?

—Boję się tego.

—Muszę jechać do Highclere, ale wrócę.

—Tego nie wiesz ani ty, ani ja.

Zwolennicy niepodległości nie złożyli broni. Carter stał się ich ofiarą i przedmiotem nieprzerwanych ataków. Jeden

z nich był szczególnie zjadliwy: archeologa oskarżono, że ukradł z grobowca papirus dotyczący Księgi Wyjścia. Twierdzono, że zawierał on prawdziwe szczegóły tego wydarzenia i podkreślał okropne zachowanie Żydów podczas ich ucieczki z Egiptu.

Wicekonsul Wielkiej Brytanii wezwał Cartera i bardzo zirytowany gwałtownie go zaatakował.

—Muszę mieć ten papirus. Samo jego istnienie jest zagrożeniem dla pokoju! Czyżby pan nie wiedział, że musimy

równocześnie uwzględniać egipski nacjonalizm i żydowską kolonię w Palestynie? Żaden z tych tekstów nie może być opublikowany.

—Niczego pan nie ryzykuje, bo takie papirusy nie istnieją.

—Czy nie był ukryty w Arce Przymierza wewnątrz grobowca?

—Poświęca pan zbyt wiele uwagi fantastycznym plotkom.

—Pan mnie ma za głupca, panie Carter?

— Jeśli pan choćby trochę wierzy w takie androny, to tak. Wicekonsul sam otworzył mu drzwi swego gabinetu.

— Wysoki komisarz ostrzegwał mnie. Nieznośny z pana człowiek. Powiedziałbym nawet: niepożądany.

Winlock pokonał swoim kaczym krokiem schody do pokoju, gdzie schronił się Carter. W ubogiej dzielnicy, gdzie kiedyś z trudem żył z malarstwa, odnalazł wspomnienia z najtrudniejszego okresu życia, a także kuchenne zapachy, płacz dzieci i beczenie owiec.

Winlock natknął się na dwie czarno ubrane kobiety, przeprosił po arabsku i pchnął drzwi.

Carter malował. Spod jego pędzla wyłaniała się uliczka.

— Przynoszę złe wiadomości, Howardzie.

Zazwyczaj ożywiony i uśmiechnięty Winlock wydawał się zrozpaczony. Carter mieszał farby.

— Egipskie i angielskie władze doszły do porozumienia: ostatecznie odebrały ci grobowiec Tutenchamona. Metropolitan cię nie opuści. Złamiemy tę niesprawiedliwą decyzję. Ale stawiam pewien warunek.

Zaciekawiony Carter odwrócił się do Winlocka.

—Pan musi wyjechać, Howardzie. Jeśli zostanie pan w Egipcie, minister wytoczy panu proces... za przyzwoleniem

Anglii.

—Wyjechać...

—Musi pan nabrać dystansu do tych zdarzeń. W Stanach Zjednoczonych nikt nie będzie się panu naprzykrzać. Prze-

ciwnie, wszyscy oczekują pana jak bohatera.

Carter odłożył pędzel i paletę.

—Czy ta emigracja naprawdę jest potrzebna?

—Tutaj popełnia pan błąd za błędem. Pańscy wrogowie są zbyt możni. Mają w ręku wszystkie ważne karty.

Archeolog wstał, ale zachwiał się jak pijany i chwycił oparcia krzesła.

— Całe moje życie... całe moje życie jest w tym grobowcu.

ROZDZIAŁ 88

Pod koniec marca 1924 roku Pierre Lacau na czele egipskich ekspertów objął w posiadanie grobowiec Tutenchamona. Triumf dyrektora Urzędu do spraw Zabytków był pełny. Carter opuścił Egipt z przekonaniem, że tu nie wróci. Minister robót publicznych nie żałował już pochwał Lacau, bo dzięki niemu ojczyzna odniosła wielkie zwycięstwo. Jeśli zaś idzie o zwolenników niepodległości, uczynili oni z Tutenchamona bojownika własnej sprawy. Faraon przeklął kolonialistę Cartera i na zawsze powstrzymał profanację swego grobu.

Metodyczny i dokładny Lacau postawił sobie za zadanie przygotowanie inwentarza znalezisk dokonanych do czasu zawieszenia prac. W tej dziedzinie czuł się jak ryba w wodzie. Klasyfikowanie, numerowanie, wypisywanie fiszek i list... sprawiało mu to coś w rodzaju rozkoszy

Ahmed Girigar, bliski płaczu, po raz ostatni próbował przeciwstawić się temu, co uznał za gwałt. Został bezwzględnie odsunięty i zagrożono mu więzieniem, jeśli nadal będzie się przeciwstawiał prawu. Milczący chodził krok w krok za Lacau, obserwując poczynania nowego pana tego miejsca.

Dyrektor niczego nie zaniedbał opisać: oczywiście przedmiotów należących do skarbu Tutenchamona, ale także materiałów fotograficznych, środków chemicznych, zawartości laboratorium, mebli znalezionych w grobowcu, a nawet środków spożywczych.

Pojawienie się Winlocka przerwało gorączkową pracę. Amerykanin pobiegł aż do grobowca Setiego II, gdzie Lacau

otwierał każdą skrzynię, by potem powierzyć jej wyładunek swoim zbirom.

—Zgłaszam uroczysty protest w imieniu członków ekipy Howarda Cartera i Metropolitan Museum.

—Protesty są zbyteczne, drogi panie Winlock. Po prostu stosujemy prawo.

—W nie najlepszy sposób.

—To nieistotne. Carter doskonale znał dolinę. W jednym z jego dzienników wykopalisk znalazłem nazwę „magazyn”.

Gdzie on się znajduje?

—Nie wiem. Callender, Mace, Burton i ich koledzy przez solidarność z Carterem odmawiają panu pomocy.

—*Reis* Ahmed jest najlepiej zorientowany ze wszystkich. Niech pan go skłoni, by mówił. To najlepsza rada, jaką mogę panu dać.

Pokonawszy długą drogę od grobowca do grobowca, krótkie nóżki Winlocka zniosły go do Ahmeda Girigara. *Reis* siedział na szczycie wzgórka w pełnym słońcu, jakby chciał, by pochłonęło go światło. Winlock przekonał go do ustępstw. Wszelkie formy oporu były zbyteczne. *Reis* zgodził się z tym, wiedząc, że wcześniej czy później zdradzi go któryś z robotników w zamian za przyzwoitą sumę.

Kilka minut później ślusarz sforsował drzwi grobowca nr 4, należącego do Ramzesa XI, gdzie Carter złożył meble i małe skrzynie. Według świadectwa jakiegoś strażnika archeolog od czasu do czasu spożywał tam posiłek. Jeden z egipskich kontrolerów, mały i wąsaty, wydawał się bardzo podniecony. Lacau przywołał go do porządku. Inwentaryzację przeprowadzać należy bez żadnego pośpiechu. Choć kontroler chciał zacząć od środka, Lacau narzucił zwykle obowiązującą metodę. Zachwyciło go odkrycie pewnego zeszytu. Carter, którego umysł był równie metodycz-

ny jak jego własny, sporządził jasny i dokładny spis. Każdy obiekt, oznaczony numerem i etykietą, łatwo było odnaleźć dzięki temu samemu numerowi na zewnątrz i wewnątrz skrzyni. W głębi ducha dyrektor Urzędu do spraw Zabytków oddał cześć usuniętemu koledze. Byłby gozdien pracować u jego boku.

Egiptski kontroler o gwałtownych gestach zaatakował stos skrzynek noszących napis *Fortnum and Mason*. Dwie z nich, puste, rzucił na ziemię. Lacau powtórnie poprosił, aby zachowywał się stosownie do swojej funkcji i nie zajmował pustymi skrzynkami.

— O tu... jest ta skrzynka! — powiedział.

Lacau odczytał napis „Czerwone wino”. Obecność alkoholu musiała oburzyć jego podwładnego.

—Później się tym zajmiemy.

—Nie, nie! Niech pan ją zaraz otworzy!

Nieco zdumiony Lacau dał się przekonać. Wewnątrz było kilka warstw bawełny, a w środku tego zabezpieczenia wspaniała, pełna wyrazu drewniana głowa.

—Nie ma jej w rejestrze — zapewnił kontroler. — To dowód, że Carter jest złodziejem! Trzeba natychmiast zatelegrafować do premiera i uruchomić procedurę oskarżenia.

—Nic pilnego. To nieoczekiwane odkrycie, ale musi być jakieś wytłumaczenie.

—Kradzież! Carter to złodziej!

Kontroler wezwał kolegów, którzy histerycznie podjęli oskarżenie. Po raz pierwszy Lacau żałował, że nie ma tu Cartera. Nienawidził tego człowieka i jego usposobienia, ale nie wierzył, że jest winny. Niewątpliwie padł ofiarą zastawionej pułapki, a on sam, Pierre Lacau, wysoki funkcjonariusz bez skazy, pełen szacunku dla prawa, niechęący stał się jej narzędziem.

Na krótko przed wyjazdem do Ameryki Carter otrzymał telegram od Winlocka. Napisany szyfrem używanym przez Metropolitan do przekazywania utajnionych informacji, nie ukrywał powagi sytuacji. Drewnianą głowę przewieziono

do muzeum w Kairze, a premier Zaghlul zacierał ręce. Carter powinien natychmiast dostarczyć Lacau niezbędnych informacji, póki afera się nie zaogni.

Pełen niesmaku Carter miał ochotę wrzucić depezę do kosza i schronić się w milczenie. Czy i tak już wszystkiego nie stracił? Teraz wrogowie chcieli jeszcze pozbawić go honoru. Kolonialista i złodziej rzucony na pożarcie opinii publicznej... Trudno o lepszy powód, by uzasadnić jego odsunięcie. Nie, trzeba walczyć. Póki tchu wystarczy. Nawet jeśli zadanie wydaje się niemożliwe do wykonania, będzie próbował odzyskać utracony raj.

Modlił się do nieśmiertelnej duszy Tutenchamona, a uwielbienie dla wskrzeszonego faraona dostarczyło mu nowych sił. Rezygnacja oznaczała zdradę. Nie będzie rozpacział, niezależnie od tego, czy mu się uda, czy nie. Czyż rozstanie z królem, o którym marzył od czasu, kiedy odkrył Egipt, nie byłoby najgorszym tchórzostwem? Choć tylu ludzi próżno zastanawia się nad sensem swego życia, Howard Carter znalazł ów sens: chce służyć Tutenchamonowi, służyć Egipcjowi i ludzkości, dając jej moc boskiego złota w ponadczasowej twarzy świetlistej istoty.

Spokojnie zredagował odpowiedź. Głowa z drewna czekała w grobowcu nr 4 na wpisanie do wykazu, oznaczenie numerem i wciągnięcie na oficjalną listę, której on ani nie zabrał ze sobą, ani nie ukrył. Dodał także, że wraz z Callenderem znaleźli w wejściowym korytarzu fragmenty oddzielonej od głowy ściennej dekoracji, ale ta wymagać będzie bardzo starannego odnowienia.

Na biurku Pierre'a Lacau leżały obok siebie cztery dokumenty.

Pierwszym dokumentem był artykuł Bradstreeta, jednego z najbardziej zajadłych przeciwników Cartera, wydrukowany w *New York Timesie*. Dziennikarz głosił tam z satysfakcją, że przyczynił się do upadku pyszałkowatego archeologa, wrogo usposobionego wobec wolnej prasy. Każdego, kto się jej przeciwstawi, czeka podobny los.

Drugim — oficjalne anulowanie koncesji przyznanej lady

Carnarvon i Howardowi Carterowi, akt administracyjno-prawny, którego nie mógł podważyć mieszany trybunał w Kairze.

Trzecim — depesza od Howarda Cartera.

Czwartym — wersja nowej koncesji, dzieło pióra Morcosa Beja Hanny. Minister robót publicznych nie konsultował się z Pierre'em Lacau i sam zamierzał po dyktatorsku kontrolować działania archeologów w Egipcie, nie przejmując się opiniami dyrektora Urzędu do spraw Zabytków.

Pajac w rękę polityka, oto czym stał się Lacau. Uzyskując głowę Cartera, sam położył własną na pieńki.

ROZDZIAŁ 89

Parowiec *Berengaria* wpłynął do Nowego Jorku dwudziestego pierwszego kwietnia 1924 roku i Howard Carter zrozumiał, że znalazł się w innym świecie. Był przyjmowany i wielbiony jak wielka gwiazda, nie miał chwili odpoczynku. Konferencje, przyjęcia, światowe kolacje, wywiady następowały po sobie w szalonym rytmie. Cała Ameryka chciała zobaczyć i posłuchać jednego z bohaterów nowych czasów, człowieka, który zawdzięczał wszystko tylko sobie i który przeniknął wielką tajemnicę egiptologii.

W galowej sali hotelu Waldorf Astoria Carter otrzymał swój pierwszy honorowy tytuł: członka honorowego Metropolitan Museum. Wręczenie dyplomu zostało przyjęte burzą oklasków. Niektórzy sądzili, że Carter może być tylko Amerykaninem, i ta szybko rozpowszechniająca się plotka oparła się wszelkim zaprzeczeniom.

Carter, pełen pasji i ognia mówca, doskonale wykorzystywał wspaniałe zdjęcia Burtona. Nie szukając oratorskich efektów, zachwycał słuchaczy. Jego ciepły głos, jakoś informacji, cuda, które pokazywał, przносиły słuchaczy do Egiptu, Doliny Królów i wnętrza grobowca Tutenchamona. Umiał przekazać doświadczenia i podzielić się najbardziej podniecającymi chwilami swojej epopei. Jak atleta nie liczył wydatkowanej energii i kończył wykłady całkiem wyczer-

pany. Nowy Jork, Filadelfia, New Heaven, Baltimore, Worcester, Boston, Hartford, Pittsburgh, Chicago, Cincinnati, Detroit, Cleveland, Columbus, Buffalo, Toronto, Montreal, Ottawa... nowy „doktor honorowy” uniwersytetu Yale przemierzył cały Nowy Świat.

Jakże żałował ciszy doliny, samotności swego domu archeologów i słodkich godzin medytacji przed skałami Zachodu! Teraz, pozbawiony codziennego kontaktu z ziemią i tak oczekiwanego spotkania z Tutenchamonem, przekładał już tylko stronice pustego istnienia. Jedyłą jego nadzieją było to, że amerykańska sława zmieni nastawienie egipskich władz. Występ w Carnegie Hall dwudziestego trzeciego kwietnia, przed trzema tysiącami słuchaczy, był apogeum całego tournée. Zaproszony do Białego Domu opowiadał o Tutenchamonie garście uprzywilejowanych w obecności prezydenta Stanów Zjednoczonych, Calvina Coolidge'a. Ku zdumieniu prelegenta, prezydent doskonale znał jego prace. Carter zaczął marzyć, że najmożniejszy na świecie człowiek może zechce interweniować w jego sprawie.

Spuścił z tonu, otrzymawszy ostateczny tekst koncesji, którą napisał minister robót publicznych. Carter został tam przedstawiony jako człowiek niebezpieczny dla nauki. Opuszczając grobowiec, popełnił podłość uzasadniającą stanowisko rządu. Zdumiała go zasadnicza część dokumentu, bowiem rozważano jego powrót jako dyrektora wykopalisk, pozostającego pod ścisłą kontrolą Urzędu do spraw Zabytków. Jednak treść klauzul czyniła to niemożliwym. Raz jeszcze Morcos Bej Hanna zachował się jak niezwykle zręczny fałszerz, bo odpowiedzialność ponosiłby jedynie Carter.

Minister oschle formułował swoje wymagania: wszystkie przedmioty staną się własnością państwa. Carter nie mógłby zatrudnić żadnego współpracownika bez pozwolenia rządu, który zobowiązywał archeologa do zatrudnienia pięciu egipskich stażystów. Tylko rząd wydawałby pozwolenia na zwiedzanie. Do Cartera i lady Carnarvon należałoby redagowanie naukowych raportów, które oceniałby Urząd do spraw Zabytków. Wreszcie minister oczekiwał dwóch listów z przeprosinami, jednego od lady Carnarvon, drugiego od

Cartera, który zobowiązałby się nigdy więcej nie obrażać egipskiego rządu i poddać się jego decyzjom.

—No i co, panie Lacau, gdzie jesteście?

—Nigdzie, panie ministrze.

Morcos Bej Hanna wałnął pięścią w stół.

—Co to znaczy?

—Nikt nie chce zastąpić Howarda Cartera.

—Niemożliwe.

—A jednak prawdziwe.

—Co pan proponuje?

—Wezwać Cartera. Tylko on jest zdolny wydobyć trumny, nie niszcząc ich.

—Przestudiował pan jego notatki?

—Czytałem je parokrotnie. Dowodzą jego powszechnie uznanych kompetencji. Zna pułapki grobowca i porusza się

wśród trudności z niezawodnym instynktem.

Minister przyglądał się dyrektorowi urzędu zdumiony.

—Wygłasza pan pochwały na temat znieawidzonego człowieka?

—Zmusza mnie do tego naukowy obiektywizm. Dlatego przekazałem mu pańskie wymagania w nadziei, że im się podda.

—Nie ma żadnej szansy!

—Nie doceniliśmy bardzo ważnego czynnika. Carter kocha Egipt bardziej niż siebie. Grobowiec Tutenchamona to racja jego istnienia.

Carter pozostał błyskotliwym wykładowcą, ale złożywszy daninę, zamykał się w sobie i krył w hotelowym pokoju. Martwiły go wiadomości docierające z Kairu. Trzydziestego kwietnia parlament zadekretował, że znaczne środki, około dwudziestu tysięcy dolarów, przeznaczone zostaną na kontynuowanie wykopalisk, pod warunkiem że odsunie się od nich Cartera i ekipę Metropolitan Museum. Mimo to żaden archeolog nie zgłosił się do ministra, by uzyskać stanowisko, o jakim marzą wszyscy w branży.

Sprawa wydawała się nieodwołalnie przegrana. Wierny przyrzeczeniu, jakie sam sobie złożył, Carter nadal prowadził walkę na innym terenie. Pisał szczegółową relację wydarzeń z zamiarem jej opublikowania i napiętnowania przewrotności Lacau i egipskiego rządu. Dokument miał wykazać, że on sam padł ofiarą ludzi pozbawionych skrupułów i zajętych wyłącznie własną karierą.

Na pokładzie *Mauretanii*, statku, którym powrócił do Anglii latem 1924 roku, Carter zrezygnował z opublikowania tego pamfletu. Zwiększyłby on tylko agresywność wrogów. Boleśnie odczuwał oddalenie od Egiptu. Z czasem ta rana dolegała mu coraz bardziej. Podróż nie sprawiła mu żadnej przyjemności, tak był przytłoczony zmęczeniem.

Jego powrót nie spotkał się z żadną reakcją brytyjskiej prasy. Amerykańskie wrzenie zastąpiła londyńska obojętność. Carter bardzo szybko wyjechał do Highclere, gdzie jako pierwsza powitała go lady Evelyn.

—Czytałam amerykańskie gazety. Odniosłeś wielki sukces.

—Trafniejsze byłoby określenie „żałosny”.

—Nie wolno się nie doceniać, Howardzie. Zyskałeś sławę.

—Zbyteczną, skoro nie mogę już pracować w Egipcie.

—To prawdziwa miłość...

Carter nie odpowiedział. Ruszył za młodą kobietą do biblioteki, gdzie jej matka czytała wiersze Szekspira. Lady Almina wydawała się nerwowa.

—Egipt jest coraz bardziej niewzruszony. Często myślałam o moim mężu i o panu. Co odpowiedzieć temu niesprawiedliwemu rządowi?

—Ustąpić.

—I to pan mówi? W jakim punkcie?

— Bez pani nie mogę działać. Pani zgoda jest niezbędna.

Lady Almina niemal skamieniała.

—Czy ojciec zaakceptowałby taką postawę? — oburzyła się lady Evelyn.

—Czy nie poświęciłby korzyści materialnych, byle osiągnąć cel poszukiwań?

—Niech pan to wyjaśni — zażądała lady Almina.

—Musi pani zrezygnować ze wszystkich żądań dotyczących przedmiotów. Żaden z nich nie opuści Egiptu.

- Gwarantowano nam odszkodowanie... Mój majątek nie jest niewyczerpany. Proszę mówić dalej.
- Pani i ja musimy ogłosić, że nie podejmiemy żadnych prawnych działań przeciwko rządowi.
- Inaczej mówiąc, oddajemy im się w niewolę.
- Tak.
- Co nam przyznają?
- Możliwość podjęcia pracy i opróżnienia sarkofagu.
- Muszę to przemyśleć.

Koniec lata był dżdżysty i smutny. Podczas długich spacerów po posiadłości Carter i lady Evelyn rozmawiali niewiele. Tematem rozmów był lord Carnarvon, którego duch nawiedzał każdy zagajnik. Carter się nie bronił. Nawet jeśli ukochana kobieta ganiła jego stanowisko, nie próbował jej przekonać. Czy od momentu pierwszego spotkania nie wiedział, że on nie może żyć bez Egiptu?

Trzynastego września lady Almina wysłała list do Jego Ekscelencji Morcosa Beja Hanny. Wyraziła zgodę na czasowe granice nowej koncesji, przypominała jednak, że jej zmarły mążonek przez ponad dziesięć lat finansował nieproduktywne wykopaliska w nadziei, że zostanie nagrodzony jak każdy inny archeolog. Przecież nawet instytucje naukowe

otrzymywały kilka wartościowych przedmiotów jako podziękowanie za ich wkład. Lady Almina prosiła ministra, by rozważył sprawiedliwe rozwiązanie po przejrzeniu całej zawartości grobowca Tutenchamona.

Poinformowała Cartera o swoich działaniach, gdy siedzieli przed głównym kominkiem zamku w godzinie porto. Wielkimi cedrami z Libanu kołysał gwałtowny wiatr. Na grobie Carnarvona lodowaty deszcz obmywał ciało martwego ptaszka.

ROZDZIAŁ 90

Godny i wyważony list lady Alminy Carnarvon wywołał zakłopotanie Morcosa Beja Hanny. Skłócony z Lacau, zniechęcony przez większość współpracowników ze względu

na swój autorytaryzm, minister robót publicznych stał się teraz kolejną ofiarą kampanii prasowej, która niezbyt podobą się premierowi. Opinia publiczna nie mogła pogodzić się z tym, że nie wyznaczono jeszcze następcy Cartera. Okazało się, że krecie działania Lacau były niezwykle skuteczne. Żaden zawodowiec nie chciał podjąć ryzyka uszkodzenia najcenniejszego z sarkofagów i zginać karku pod jarzmem ministerstwa. Nikt nie gwarantował bezpieczeństwa ani niezależności naukowej ekipy.

Morcos Bej Hanna nie spodziewał się takiej reakcji ze strony arystokratki ani uległości Cartera. Sądził, że archeolog nadal będzie atakował i sam się zniesławi. Tymczasem to minister ryzykował, że straci twarz.

Carter nudził się w Londynie.

Lady Carnarvon sądziła, że niebawem nadejdzie odpowiedź ministra. Pomyliła się — od dwóch miesięcy na próżno czekała na urzędowy list upoważniający do powrotu do doliny. Co rano Carter pytał listonosza, który, zasmucony, nie przynosił tego, na co archeolog tak niecierpliwie czekał.

Polityk nie odpowiadał, mimo kilku nieoficjalnych interwencji oraz protestów formułowanych w Ameryce, Europie, a nawet w Egipcie. Carter słono zapłacił za swoje błędy, nadszedł jednak czas na przebaczenie. Cały świat pragnął poznać wielką tajemnicę Tutenchamoña, a tylko angielski archeolog posiadał wystarczające kompetencje, by prowadzić dialog z faraonem.

Morcos Bej Hanna nie przerwał milczenia.

Telefon zadzwonił o siódmej rano i wyrwał Cartera ze snu. Poznał głos lady Evelyn.

— Czytałeś gazetę?

— Jeszcze nie.

— Pospiesz się.

— A cóż tak ważnego...

Ale ona odłożyła już słuchawkę.

Carter ubrał się pospiesznie i kupił wszystkie poranne dzienniki. Premier Zaghlul podał się do dymisji, co pociągnęło za sobą upadek całego rządu. Zacietrzewiony zwolennik

niezależności nie miał wyboru. Po zabójstwie na jednej z ulic

Kairu sir Lee Stacka, gubernatora Sudanu, Wielka Brytania nie bawiła się już w kompromisy. Armia Jego Królewskiej Mości zawładnęła krajem i ogłosiła stan wojenny. Zaghlul nie mógł uznać inwazji. Morcos Bej Hanna, równie jak on wrogi Anglikom, nie był już ministrem.

Carter ucałował artykuł, w którym podano nazwisko nowego premiera: Ahmed Pasza Ziuar, jeden z jego najdawniejszych egipskich przyjaciół!

Jakże łagodna wydawała mu się kairska zima! Przebywający w Egipcie od piętnastego grudnia Carter odżywał. Nawet hałaśliwa stolica jawiła mu się jako oaza spokoju.

Kraj się zmienił. Ludność, poprzednio tak wrogo usposobiona wobec Anglików, teraz prosiła o obronę przeciwko terrorystom, którzy zabijali niewinne ofiary i siali strach w wielkich miastach. Partię Wafd i nacjonalistów, nie tak dawno wynoszonych pod niebiosa, teraz publicznie znieważano.

W drodze do siedziby Urzędu do spraw Zabytków Carter spotkał na ulicy Ahmeda Paszę Ziuara. Padli sobie w objęcia.

—Od jak dawna jesteś w Kairze, Howardzie?

—Od rana! To moje pierwsze spotkanie, panie ministrze.

—Błogosławieństwo Tutenchamona, przyjacielu. Szczęście się odwróciło, teraz ty jesteś górą. Zaghlul i jego fanatycy

byli wobec ciebie bardzo niesprawiedliwi. Niebawem wrócisz

do swojego grobowca.

Carterowi wydawało się, że śni.

—Ahmedzie... gdybyś wiedział...

—Nic nie mów, prawdziwe szczęście jest nieme.

Możny lord Allenby uznał, że sprawa Tutenchamona przybiera właściwy obrót. Wprawdzie nacjonałiści nie zostali wyeliminowani, ale nie byli już wystarczająco silni, by zdys-

kredytować Cartera. Prestiż Wielkiej Brytanii wymagał, aby podjął on pracę. Co więcej, gospodarce regionu Luksoru doskonale zrobiłoby ponowne wylansowanie turystyki w Dolinie Królów. Gdy tylko archeolog podejmie prace, napłyną turyści.

Lord Allenby porozumiał się z nowym premierem Egiptu, wychwalając zalety Cartera i nie szczędząc krytyki Lacau, który okazał tyle złej woli. Ahmed Pasza Ziuar okazał się nieufny, bo choć przyjaźnie usposobiony do Wielkiej Brytanii, przede wszystkim był Egipcjaninem. Do niego należało przywrócić równowagę, nie wychylając się za bardzo ani w jedną, ani w drugą stronę. Poprosił więc swego przyjaciela Howarda Cartera, aby napisał do niego list, precyzując własne zamiary.

Zdziwiony i rozczarowany archeolog list napisał. Przyszła mu jednak do głowy straszliwa myśl: czy przypadkiem także

premier nie chce go zdradzić? Czemu osiągnąwszy wysokie stanowisko, miałby je stracić z powodu zmarłego od tysiącleci faraona?

Ahmed Pasza Ziuar zgodził się spotkać z Carterem w Mohamed Ali Club, w spokojnej atmosferze i z dala od niedyskretnych uszu.

—Dostałeś mój list. Powtarzam raz jeszcze, że moim jedynym zamiarem jest jak najszybciej podjąć prace w grobowcu Tutenchamona. Reszta zostanie zapomniana.

—Niepotrzebnie się niepokoisz. Twoja sprawa jest na dobrej drodze. Pozostał tylko drobny problem: należałoby ostatecznie zrezygnować z praw do skarbu. Jeśli lady Carnarvon potwierdzi to w oficjalnym dokumencie, będziemy mogli działać szybciej. Lud nie może mieć wrażenia, że został

ograbiony.

—Czy egipskie prawo nie przyznaje archeologowi sprawiedliwej zapłaty?

—Zapewne, oczywiście... ale w obecnym klimacie trzeba trzymać się litery prawa.

—Lord Carnarvon był bardzo hojny.

—Nikt temu nie przeczy, ale twój najbardziej zajadły wróg nie składa broni.

—Pierre Lacau?

— Właśnie. To dziwna postać. Pragnie twojego powrotu, ale go nie akceptuje. Nie ufaj mu.

Premier wstał.

— Muszę już iść... mam ważne spotkanie. Ale przedtem jeszcze mam dla ciebie ciekawą wiadomość: nikt nic nie ruszył w grobowcu. Jeśli zgodzisz się pomóc trochę panu Lacau w muzeum, administracja będzie ci wdzięczna.

Lacau i Carter nie uścisnęli sobie dłoni. Lacau, bo nie miał na to ochoty, Carter, bo nie był to angielski zwyczaj.

—Muszę wyznać, drogi panie Carter, że pańska pomoc będzie dla mnie bardzo cenna.

—Czego ma dotyczyć?

—Rozpakowania wraz ze mną zawartości kilku skrzyń.

—To zbyt trudne zadanie dla pracowników Urzędu do spraw Zabytków?

—No bo... mieliśmy pewien wypadek.

Carter się wściekł.

—Zniszczony został lniany kir osłaniający sarkofag.

—Jak pan śmie...

— Bardzo mi przykro. Podjąłem pewne decyzje, by uniknąć na przyszłość podobnych wypadków.

— Decyzje! Niech pan pokaże te skrzynie.

Wściekły Carter stwierdził, że agenci urzędu pomieszały przedmioty i nie zdołali poprawnie zmontować rytualnych rydwanów ze złoconego drewna.

— Analfabeci lepiej by to zrobili — gderał.

— Obiecał pan nie wygłaszać żadnych uwag krytycznych — przypomniał Lacau.

Carter umilkł. Przyszło mu naprawiać wiele błędów i niedokładności. Dawniej napisałby kilkustronicowy raport piętnujący Pierre'a Lacau, Urząd do spraw Zabytków i rząd.

Trzynastego stycznia jego cierpliwość została nagrodzona. Wyglądający na nieco urażonego Lacau wręczył mu zapieczętowaną kopertę. Carter wsunął ją do prawej kieszeni marynarki i wyszedł z muzeum, jakby nie przywiązując żadnego znaczenia do gestu dyrektora. Starał się iść wolno,

póki nie zasłonił go posąg Mariette'a. Dopiero wtedy otworzył kopertę.

Zawierała tekst jak z bajki: pozwolenie na podjęcie prac w grobowcu Tutenchamona.

ROZDZIAŁ 91

Dwudziestego piątego stycznia 1925 roku Pierre Lacau wręczył Howardowi Carterowi klucze do grobowca Tutenchamona. W słońcu Doliny Królów obaj mężczyźni spojrzeli na siebie z wyzwaniem, po czym Carter otworzył kłódkę i zdjął kratę. W towarzystwie dyrektora zszedł chodnikiem w dół, minął przedsionek i wkroczył do komory grobowej, gdzie faraon — z otwartymi oczyma — spał złotym snem.

Carter przesunął się bezszelestnie i powoli obejmował w posiadanie swoją domenę, w której nic się nie zmieniło. Magia miejsca ogarnęła jego umysł. Przyjrzał się freskom przedstawiającym pogrzeb i pochylił nad spokojną twarzą, pozbawioną wszelkich śladów śmierci.

—Odniosłeś triumf, Carter. Ja także wygrałem. Odtąd złodzieje skarbów nie będą już mieli prawa pobytu w Egipcie.

Nie będą już rabować starożytnych bogactw. Historia pamiętać będzie tylko o panu. Ja wprowadziłem surowe prawo, z którego jestem dumny.

—Nie rozumiem pana, panie dyrektorze.

—Cieszę się, że pan tu jest. To pańskie właściwe miejsce.

—Pomógł mi pan, prawda?

Lacau odwrócił się.

—Proszę zostać z Tutenchamonem. On czekał na pana.

Ekipa zabrała się do dzieła z tą samą pasją. Callender, najwierniejszy z wiernych, znów z zapalem przemieszczał swoje ciężkie ciało. Pracę podjęli fotograf Burton i chemik Lucas. Wszyscy ubolewali, że nie ma wśród nich Mace'a, który był tak chory, że spodziewano się najgorszego. Nikt nie napomknął o sławnym przekleństwie.

Carter, zanim zajął się sarkofagiem, przeprowadził klasyfikację i inwentaryzację. Większość czasu spędzał w laboratorium i bardzo dokładnie przygotowywał plan dalszych prac, układając swój katalog. Dramaty się skończyły. Kiedy rząd o to poprosił, Carter otworzył grobowiec i pozwolił go zwiedzić. Prasa, zawsze czujna, wstrzymała się od napaści. Ekipa archeologiczna wykonywała swoją pracę w zdrowej atmosferze. Spokój Doliny Królów, zakotwiczonej w wieczności, narzucał gestom spokój, a myślom umiarkowanie. Tutenchamon, choć nadal pozostał jedną z gwiazd aktualności, nie był już tematem skandałów, bo dziennikarze uznali, że pośpiech mógłby przynieść katastrofę.

Lady Evelyn zgodziła się spotkać z Carterem latem 1925 roku. Pływali po Tamizie, spacerowali alejami Cambridge i po Hyde Parku. Jak para niedorostków wspominali szczęście, którego już nigdy nie zaznają. Ona miała dwadzieścia pięć lat, on pięćdziesiąt dwa.

—Nie obchodzi mnie twój wiek. Czy przebywając z Tutenchamonem, nie stałeś się wiecznym młodzieńcem?

—Spadło na mnie zbyt wiele ciosów i zbyt często mnie zdradzano.

—Ja też się zestarzeję!

—Nie wolno mi wciągać cię na tak niebezpieczną drogę.

—Pan jest egoistą, panie Carter!

—Masz rację. Widzieć cię smutną u swego boku... to byłoby nie do zniesienia.

—Nie jestem snem, Howardzie, lecz żywą kobietą.

—Wiesz, gdzie jest mój dom: to grobowiec Tutenchamona.

—Jak mogłabym walczyć z faraonem?

—Nie znam jego tajemnicy. Tej jesieni staniemy z nią twarzą w twarz. Potrzebuję twojej miłości, Eve. Dla mnie życie zaczyna się jutro.

Ahmed Girigar przesunął ciężką drewnianą barierę zamykającą wejście do laboratorium. Z dumą pokazał Car-

terowi, że niczego nie skradziono. Mimo nieznośnych upałów w ciągu lata pełnili tu straż zaufani ludzie.

Zaraz po przybyciu archeologa robotnicy odsłoniли wejście do grobowca. Przenieśli masy rumoszu, który zgarbięto wcześniej przed schody, by uniknąć próby rabunku. W ciągu dwóch dni ostatnie domostwo Tutenchamona znów stało się dostępne, bo zdjęto osłonę z pni dębowych, która zamykała wejście do korytarza, i otwarto wejście do przedsionka.

Wkraczając w obniżający się korytarz, Carter zawsze odczuwał tak wielkie wzruszenie, że z trudem posuwał się naprzód. Sanktuarium zamieszkiwały niewidzialne moce. Cienie egipskich bóstw i przeistoczonego króla zachowały nad nim pełnię władzy.

Carter długo przebywał przy Tutenchamonie. Prosił niewidzialne siły o użyczenie mu czasu potrzebnego, aby przywrócić światu mądrość tego nieśmiertelnego monarchy.

Gdy wyłonił się z grobowca, przeraził Callendera.

—Wygląda pan na wstrząśniętego... chce pan czegoś na wzmocnienie?

—Wystarczy mi pańska przyjaźń.

—Zadowolony pan ze stanu grobowca?

—Środki przeciw owadom dobrze zadziałały. Nic nie zostało zniszczone i nie widziałem żadnego pasożyta.

—Podjął pan jakąś decyzję?

—Proszę przyłączyć instalację elektryczną do centralnego generatora. Jutro, dziesiątego października, o szóstej trzydzieści, otworzymy złotą trumnę.

Silne reflektory oświetlały sarkofag. Wszyscy zadawali sobie to samo pytanie: czy zawiera jedną czy kilka trumien? Carter skłaniał się ku drugiemu rozwiązaniu, przeczył temu jednak pewien szczegół: trumna pokryta była złotymi listkami. Była długa na 2,23 metra, a więc kolosalna.

Carter postanowił posłużyć się oryginalnymi srebrnymi uchwytyami. Wydawały się solidne i powinny wytrzymać ciężar pokrywy, przytwierdzonej do trumny dziesięcioma

języczkami z masywnego srebra, które wchodziły we wgłębienia. Pierwsza trudność polegała na wydobyciu wielkich srebrnych gwoździ ze złotą główką, stanowiących umocowanie. Ta delikatna operacja udała się, z jednym wyjątkiem: jedną główkę trzeba było spiłować.

Callender przystąpił do zakładania kołowrotu złożonego z dwóch bloków i trzech rolek z automatycznym hamulcem. Kiedy skórzane pasy były już na miejscu, wydał rozkaz, by rozpocząć powolutku podnoszenie pokrywy. Nie wolno było zrobić błędu.

W atmosferze głębokiego skupienia uniosła się pokrywa.

Ujrzeli drugą trumnę, przykrytą lnianym kirem. Leżały na nim girlandy z liści oliwnych i wierzbowych, płatki lotosu i chabry. Król miał na czole wieniec z kwiatów, symbol istoty uznanej za sprawiedliwą przez trybunał tamtego świata.

Carter zdjął kir i przyglądał się niepojętej piękności arcydziełu. Druga trumna była samą doskonałością. Przedstawiała króla jako Ozyrysa przykrytego złotymi listkami, inkrustowanymi masą szklaną w barwach lapis-lazuli, turkus i jaspisu. Łagodna i spokojna twarz była zarazem młoda i pozbawiona wieku.

Czy to nie małżonka Tutenchamona położyła te kwiaty na kirze jako ostatnie świadectwo swojej miłości? Przepych i doskonałość złota łączyły się z ulotnością suchych roślin, które zachowały jeszcze nieco koloru. Trzy tysiące lat zostało przekreślone.

Lucas przyjrzał się im z bliska.

— Gdyby odnieść się do okresu kwitnienia chabrów i dojrzałości mandragory oraz moreli, uznałbym, że Tutenchamona pochowano między połową marca a końcem kwietnia, uwzględniając siedemdziesiąt rytualnych dni mumifikacji.

Analiza uczonego przerwała kontemplację.

— To niepokojące — zauważył Callender — i tu, i tu są ślady wilgoci. Niektórym inkrustacjom grozi odpadnięcie. Może królewska mumia była niewłaściwie konserwowana?

Cartera ogarnął niepokój. Zauważył, że druga trumna

jest tak doskonale wpasowana w pierwszą, że nie można między nie wetknąć nawet palca.
Jak je rozdzielić, nie uszkadzając?

Gdy fotograf Burton zakończył swoją robotę, Carter zastosował jedyną z możliwych metod: najpierw wyjąć trumny z sarkofagu. Operacja okazała się o wiele trudniejsza, niż przewidywano.

—Ciężar jest ogromny — powiedział Callender zlany potem.

—Obie trumny są ciężkie.

—Nie aż tak... Druga musi zawierać olbrzymią masę klejnotów.

Zewnętrzną trumnę spuszczone do sarkofagu, druga pozostała zawieszona i podtrzymana dziesięcioma miedzianymi linami o wielkiej wytrzymałości. Burton fotografował poszczególne fazy manewru. Kiedy złotego Ozyrysa złożono na drewnianą płytę, Carter zdjął pokrywę.

Pojawiła się trzecia trumna, okryta czerwonym kirem. Faraon miał na piersi wieniec z kwiatów. Odsłonięta była tylko jego twarz.

— To niemożliwe, niemożliwe... On cały jest ze złota!

ROZDZIAŁ 92

Niewiarygodny blok złota długi na 1,85 metra — oto cudo, któremu Carter i członkowie jego ekipy przyglądali się ze zdumieniem. W ziemi egipskiej nigdy dotąd nie znaleziono żadnego porównywalnego dzieła. Po raz pierwszy archeolog wydobywał na światło dzienne niezwykle dzieło sztuki i duchowości starożytnych: złoty sarkofag, który chronił ciało wskrzeszenia faraona. Skrzydła bogini Izis i Neftydy spletały się, by go chronić. Nad monarchą czuwały sęp Nechbet, gwarantujący świętą godność, oraz kobra Uadzet, źródło siły istoty.

Carter pomyślał o niewyobrażalnych skarbach, które musiały znajdować się w dolinie, zanim pojawili się tu

rabusie. Tutenchamon był jedynym ocalonym, jedynym świadkiem świetlistej epoki, w której ofiarowywano bajeczne bogactwa zaświatom, by otworzyć ich bramy i zwyciężyć śmierć.

Złotą twarz pokrywała jakaś ciemnawa warstwa. Lucas rozpoznał maści.

— Oto przyczyna wilgotności.

Kiedy Carter dotknął naszyjnika z kwiatów i błękitnego fajansu, rozsypał mu się pod palcami. Cofnął się przerażony.

— Niczego nie dotykajmy! Dzieło jest delikatniejsze, niż na to wygląda.

Callender próbował go pocieszyć.

—Przecież trzeba będzie dotrzeć do mumii.

—Pozwólcie mi się zastanowić.

Carter zamknął się w domu archeologów. Teraz ogarnął go strach. Bał się posunąć zbyt daleko, naruszyć tajemnicę, która powinna zostać ocalona. Czy na progu spotkania z Tutenchamonem nie ograniczyć się do wielbienia największego cudu wykonanego ludzką ręką?

Uświadomił sobie pychę własnej postawy. Ani jego ekipa, ani rząd nie pozwolą mu się zatrzymać w drodze. Nie było lorda Carnarvona, by mu doradził. Lady Evelyn wołała pozostać w Highclere. Sam wobec faraona, którego poszukiwał od tylu lat, Carter czuł się nędzny i niegodny. Jakim prawem ośmielał się naruszać jego spokój? Ciekawość stawała się w jego oczach jedną z najcięższych wad. Żadna nauka nie mogła usprawiedliwić zerwania z wiecznością.

To doświadczenie go przerastało. Gdyby zrezygnował, komu przypadnie kierowanie pracami? Ani Egipt, ani Wielka Brytania nie zniosłyby ponownego odłożenia prac. Cały świat się niecierpliwił. Carter, zwyciężony, przyznał, że nie ma wyboru.

Po długich dyskusjach z kolegami podjął serię środków, aby rozdzielić drugą trumnę od trzeciej. Pierwszoplanowym zadaniem było ocalenie inkrustacji. Po usunięciu kurzu

i oczyszczeniu powierzchni ciepłą wodą z amoniakiem, produktem, którego nazwa pochodziła od egipskiego boga Amona, Carter pokrył ją warstwą gorącego wosku, który rozprowadzono pędzelkiem. Wosk, stygnąc, wystarczająco umocnił inkrustacje.

Ale inna trudność wydawała się prawie niemożliwa do pokonania: obie trumny były sklezione stwardniałymi maściami. Ciemna substancja raz była miękka, to znów kaszowata. Podgrzewana wydzielala silny zapach żywicy. To prawda, zdołano spiłować osiem złotych gwoździ, które łączyły sarkofagi. Ale to nie wystarczało. Maską i mumia nadal były sklezione.

Skuteczna okazać się mogła tylko wysoka temperatura. Ale kilkugodzinne podgrzewanie do sześćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza nie dało żadnych rezultatów. Wyższa temperatura mogła już tylko zniszczyć pokryte złotem drewno. Carter wpadł na pomysł, by je zabezpieczyć warstwą cyny i mokrymi tkaninami. Parafinowe lampy, ustawione pod odwróconymi i opartymi na kobyłkach trumnami, wytwarzały temperaturę sięgającą pięćset stopni Fahrenheita.

Tak upłynęły trzy godziny.

— Puszczają! — zawołał Callender.

Carter nieprzerwanie moczył tkaniny osłaniające złotą maskę.

— Tak, tak, zwyciężyliśmy! — zawołał z zapalem Burton.

— Przerwać! — rozkazał Carter.

Ze zgrozą stwierdził, że z tyłu głowy odrywały się skrawki fajansu.

Po długiej przerwie i interwencji chemika druga trumna oderwała się od swojej powłoki. Dwudziestego ósmego października o świcie złota maska została uwolniona. Tekst wyryty na cennym metalu głosił: *Żywe jest twoje oblicze, twoje prawe oko to barka dnia, a lewe barka nocy.* Umieszczona wzdłuż sarkofagu inna inskrypcja mówiła, że Tutenchamon, głos sprawiedliwy, stał się światłem na niebie i panem życia na wieczność.

Złota maska przedstawiała najczystsza twarz kiedykolwiek wpisaną w materiał. Faraon nie miał już wieku. Umieszczony poza czasem ręką genialnego rzeźbiarza, Tutenchamon

mon stał się bogiem o brodzie z lapis-lazuli. Uśmiech z zaświatów wyrażał całkowite oderwanie. Radość przemieniała jego ukojone rysy.

Callender kończył jakieś obliczenia.

— Nie do wiary... Ostatni sarkofag waży sam ponad tysiąc sto kilogramów czystego złota!

— Ale jeszcze trudniej pojąć, że na drewnianym złożonym łożu stały trzy trumny i ono się nie rozchwiało! — ocenił Burton. — Znaleźliśmy mistrzów w dziedzinie wytrzymałości materiałów.

Carter poprosił o ciszę.

— To złoto, które świeci w nocy grobu — powiedział z powagą — poświęcam pamięci mego przyjaciela lorda Carnarvona, który zmarł w godzinie swego triumfu.

Jedyny faraon z doliny pochowany w trumnie ze złota... Carter nie mógł jeszcze w to uwierzyć. Kiedy życie nagle zmienia się w cud, trudno odnaleźć zwykłe punkty odniesienia. Archeolog, egiptolog, poszukiwacz skarbów — te słowa utraciły już własne znaczenie. Jego los dopełnił się w służbie króla zmarłego przed trzema tysiącami lat i wskrzeszonego w blasku złota bogów. Odtąd świat będzie już inny. Ilu dziesiątek lat potrzeba, by opublikować, przebadać i zrozumieć skarb Tutenchamona? Za pomocą tekstów i przedmiotów, które towarzyszyły mu w wieczności, faraon przekazywał mądrość starożytnego Egiptu i klucz do jego tajemnic. Przywilej Cartera polegał na tym, że żył na tym terenie, uczestniczył w niewysłowionej chwili odkrycia. Teraz inni *muszą kontynuować jego dzieło.*

— Przybył pan Lacau — oznajmił Ahmed Girigar.

Carter, w blezerze i nienagannie wyprasowanych flanelowych spodniach, starannie poprawił białą chusteczkę w kieszonce. Dyrektor Urzędu do spraw Zabytków, elegancki jak zawsze, wyciągnął do niego dłoń, którą Anglik uściśnił.

— Wspaniale, mój drogi Howardzie. Właśnie wracam z grobowca... To zdumiewające! Pan jest najlepszy, muszę to przyznać.

— Tutenchamon, mały zapomniany król, jest najwięk-

szym faraonem. Jutro wszyscy zapomną o mnie, ale jego imię będzie znane na wieki.

— Być może... Ale co z mumią?

Carter podsunął Lacau placek, który sam upiekł. Francuz podziękował.

—Jakie są pańskie zamiary, panie dyrektorze?

—Wydaje mi się, że muzeum w Kairze...

—Nie. To byłby błąd. Nigdy o nic nie błagałem, ale dziś proszę, żeby pan pozwolił Tutenchamonowi spoczywać w je-

go sarkofagu. Kiedy przebadamy już mumię, proszę wydać

polecenie, żeby powróciła tu, do tego grobowca i więcej go

nie opuszczała.

—Skąd ta prośba?

—To sanktuarium jest biegunem żywej energii.

—Stał się pan mistykiem, Howardzie?

—Nie bardziej niż pan. Zna pan święte teksty lepiej ode mnie. Ze słonecznego ciała zmartwychwstania emanują nie-

widzialne siły, które uduchawiają świat i poszerzają serca żywych istot. Egipt wybrał to miejsce, aby tu właśnie ukryć

swoje największe skarby. Nie bądźmy więc niszczycielami

i uszanujmy jego wolę.

Carter patrzył prosto w oczy wczorajszego wroga.

— Błagam o to.

ROZDZIAŁ 93

Lacau i rząd wyrazili zgodę. Tutenchamon nie opuści swego wiecznego domu, nawet jeśli część skarbów będzie wystawiona w Muzeum Kairskim. Carter dopalał ostatniego papierosa przed snem, kiedy dobiegł go tupot pospiesznych kroków na ścieżce,

Ahmed Girigar zapukał do drzwi.

— Niech pan przyjdzie szybko! To zamach!

Ubrawszy się szybko, Carter ruszył za *reisem*, którego ludzie związali właśnie jakiegoś dryblasza o niskim czole i nosie usianym czerwonymi żyłkami. Nadal się wyrywał i wzywał odpowiedzialnego za tę katastrofę.

— To chyba chodzi o mnie — rzekł Carter.

Dryblas uspokoił się.

—Czy to pan ekshumował mumię Tutenchamona?

—W pewnej mierze.

—No to niech pan usłucha głosu Boga i aniołów! Trzeba ją natychmiast zniszczyć! Inaczej rozsieje dżumę po całej planecie! Chciałem dostać się do grobowca i zniszczyć ją, ale

przeszkadzili mi ci niewierni. Niech pan mnie uwolni!

—To chyba niemożliwe. Jestem po stronie niewiernych.

Wiadomość zdumiała cały świat. Howard Carter zmarł dotknięty przekleństwem Tutenchamona. Sam zainteresowany był raczej zdziwiony i musiał zorganizować konferencję prasową, by zdementować informację. Pewien dziennikarz, bardziej nieufny niż jego koledzy, poprosił go, by pociągnął się za wąsy, chcąc się upewnić, że nie są przyklejone.

Pod koniec rozmowy do Cartera podszedł jakiś dziwaczny

mężczyzna w czarnym ubraniu i długim fioletowym płaszczu, na którym pobłyskiwały posrebrzane brosze.

—Czy mogę panu złożyć pewną propozycję?

—Słucham.

—Jestem przedstawicielem organizacji religijnej, która liczy wiele tysięcy członków w Europie i Stanach Zjednoczonych. Bardzo wysoko cenimy pańską pracę.

—To dla mnie zaszczyt.

—Ponieważ praca została zakończona, powinien pan wkroczyć na scenę.

—Jak?

—Mumia nie będzie panu do niczego potrzebna. Dlatego proponujemy, aby ją pan odsprzedał. Akceptujemy pańską cenę.

—Tutenchamon już od dawna jest bezcenny. Kto mógłby ustalić kurs złota bogów? Przykro mi, drogi panie. Dziesiątki

innych sekt już oferowały mi wielkie sumy i odrzuciłem ich

oferty.

—Zwróć się do rządu.

—Proszę bardzo. Musi pan jednak wiedzieć, że odrzucił on wiele korzystnych propozycji ze strony obcych mocarstw.

Tutenchamon należy już tylko do wieczności.

Na początku 1926 roku trzynaście tysięcy zwiedzających spieszyło ku Dolinie Królów, by podziwiać grobowiec faraona. Kamery filmowały bez wytchnienia, maszyny rotacyjne szły pełną parą, nowy telegraf bez drutu robił furorę. Tutenchamon zaćmił inne międzynarodowe gwiazdy i afiszował się na pierwszych stronach magazynów.

Carter nigdzie nie bywał. Schroniwszy się w swoim laboratorium, odnawiał wewnętrzne trumny i złotą maskę, które niebawem miano przewieźć do muzeum w Kairze. Z listu od

lady Alminy dowiedział się, że kolekcja lorda Carnarvona została właśnie sprzedana Metropolitan Museum w Nowym Jorku, ku wielkiemu niezadowoleniu British Museum, które uznało się za oszukane i oskarżało Cartera o zdradę ojczyzny. Jego ojczyzna... Ona była tutaj, w sercu tej doliny, którą w pośpiechu przebiegało tylu ciekawych, zarazem oczarowanych i zbitych z tropu. Tchnąca nieśmiertelnością kraina piasku, kamieni i grobów.

W listopadzie 1927 roku, pięć lat po odkryciu stopni schodów, Carter rozpoczął opróżnianie aneksu. Lady Evelyn widywał tylko na oficjalnych przyjęciach, gdzie nie okazując chłodu, przesyłała mu jedynie okolicznościowy uśmiech. Z rozdartym sercem przyznał, że miała rację. Dlaczego młoda, piękna i utytułowana kobieta miałaby się kompromitować towarzystwem starego piernika, coraz bardziej przypominającego skałę z doliny...

— Ponad czterysta przedmiotów w pomieszczeniu o szerokości trochę ponad dwa i pół metra — stwierdził trochę zaniepokojony. — W dodatku przy głębszym oddechu wszy-

stko może się zawalić. Zanim wyjmemy kufry i pudła, musimy zapewnić temu choćby chwiejną równowagę.

Callender uśmiechnął się.

—Cudownie... dwa lata pracy w perspektywie!

—Czemu mogło służyć to małe pomieszczenie? — zapytał Burton.

—Ostatniej fazie zmartwychwstania — uznał Carter. — Zresztą spójrzcie: drzwi zwrócone są na wschód, ku miejscu, z którego wylania się światło poranka.

—Zawiera tyle dziwacznych przedmiotów!

—Nasze oczy nie umieją patrzeć. Przeczytajcie tekst nad drzwiami. Mówi o tym, że król spędza życie na kształtowaniu

symboli bogów tak, aby dawali mu każdego dnia kadzidło, dary i pożywienie. Dzięki tym aktom, wiecznie powtarzanym

w tym co niewidzialne, Tutenchamon zwycięża siły zniszczenia. Aneks dostarcza dowodu, że on nadal żyje i na ziemi, i w zaświatach. Zwróćcie uwagę na te kosze pełne suszonych owoców, winogron, orzechów, mandragory i na dzbany wina. Dusza się żywi, a także ubiera, stąd rytualne szaty, pancerzyki, sandały.

—Uprawia też sport — dodał Callender — bo są łuki, strzały i bumerangi!

—Wszystko wyraża jej siłę i witalność.

Carter pochylił się nad szachami. Siedząc naprzeciw niewidzialnego partnera, król musiał wygrać partię, by ogłoszono go „sprawiedliwym głosem” i by mógł się odrodzić na podobieństwo tej rzeźby, przedstawiającej pisklę wychodzące z jajka, którą Callender przesunął z czułością.

W południowo-wschodnim rogu małej salki stał tron. Przywoływał on związek króla i królowej w tamtym świecie oraz miłość, która stała się nieśmiertelna dzięki rytuałom. Napis na tronie wymieniał zarazem imię Atona i Amona, których erudyci błędnie opisywali jako przeciwników. Dzięki temu Carter uzyskał pewność, że odrzucając dogmatyzm, wiara egipska nie wywołała wojen religijnych. Kierowało nią jedynie umiłowanie wieczności.

Jedenastego listopada 1927 roku o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć doktor Douglas Derry, profesor anatomii na

uniwersytecie w Kairze, wykonał pierwsze rozcięcie bandażu mumii Tutenchamona, pod uważną kontrolą Howarda Cartera, ubranego w nienaganne trzyczęściowe ubranie i uroczystą muszkę. Carter zażądał jak największego szacunku i pozwolił tylko na rozmowy szeptem. Lacau, Burton, Lucas oraz wysocy urzędnicy egipscy, w europejskich strojach, lecz w stożkowatych czapeczkach na głowach, asystowali przy ceremonii rozgrywającej się w korytarzu grobowca Setiego II.

Carter sam zdjął z mumii trzynaście warstw bandaży, symbolizujących żagiel łodzi, na której duch zmartwychwstałego płynął w zaświaty. Utlenienie żywicznych soków i nadmierne wykorzystanie maści, świętych olejków i natronu spaliły tkanki i zaatakowały kości mumii tak, że wydawały się zwęglone. Odsłaniając ją, Carter stwierdził, że jest zamknięta w magicznej zbroi, złożonej ze stu czterdziestu czterech klejnotów rozmieszczonych w stu miejscach. Niekiedy musiał odcinać nożyczkami warstwy stwardniałego srebra, które przywarły do ciała. Pectorał, diadem, złoty sztylet, puklerz, bransolety — wszystko to czyniło z trupa ciało ze złota, drogocennych kamieni i amuletów. Nie chodziło już o człowieka, choćby był monarchą, lecz o odtworzonego Ozyrysa, gwaranta przeżycia istot wprowadzonych w jego tajemnice. Obserwatorów zaintrygowała podpórka pod głowę. Bez wątplenia było to żelazo, rzadki w Egipcie materiał. Żelazne było także ostrze sztyletu o rękojeści z kryształową gąlką i złotą pochwą. Carter przypomniał, iż w oczach kapłanów żelazo było pochodzenia niebiańskiego i pozwalało królowi pokonać przestrzeń dzielącą go od raję.

Ciało człowieka, który pełnił funkcję faraona, nie było już tylko biednymi zwłokami. Liczący sobie około dwudziestu lat mężczyzna miał 1,65 metra. Części zwłok rozpadały się. Złote etui osłaniało penisa, palce i wielkie palce u nóg.

Gdy osobistości opuściły już Kair, Carter został sam z Tutenchamonem. Czuwał nad nim z zapalem przyjaciela i uwielbieniem skromnego słuęi.

ROZDZIAŁ 94

Pędzelkiem z włosia kuny Carter zdjął kawałki przegniętych bandaży i odsłonił spokojną twarz młodzieńca. Jej kształt był piękny, a wyraz szlachetny. Tutenchamon był królem o wspaniałej powierzchowności. Na czaszce, w miejscu włosów, miał małą czapeczkę z bardzo cienkiego lnu, obszytą tkany mi taśmami i ozdobioną paciorkami z fajansu i złota. Carter dostrzegł na taśmach rysunek czterech kobr, symboli życia, które przeszlięgiwało się przez światy.

Egipcjanie Nowego Państwa umieli doskonale mumifikować. Zalewając ciało taką ilością maści, że je przypalali, działali zgodnie z rytuałem, wolną wolą i świadomością. Te biedne zwłoki, tak kruche w porównaniu ze wspaniałością złotej maski i sarkofagu, zmieniły się w surowiec alchemicznego dzieła. Godne litości, przeżarte i przypalone ciało stało się przecież podstawą przekształcenia w boski metal. Obecność na jego piersi dwóch złotych szelek świadczyła o tym, że Tutenchamona nie uważano za króla, lecz za boga. Mumifikacja twarzy, tak różna niż u innych monarchów, przywodziła na myśl jego trojaką naturę: bóstwa, wielkiego kapłana celebrującego rytuały i faraona oświetlającego ziemię.

Zapomniany przez wszystkich Tutenchamon prześliznął się między wojnami i masakrami, umknął przed rabusiami i schronił się w pamięci współczesnego człowieka Zachodu, który teraz miał mu zapewnić ostateczną obronę.

Rok 1930 był świadkiem powrotu do władzy nacjonalistów. Przedtem jeszcze raz ogłoszono wiadomość o śmierci Cartera. Jego dawny wróg, Zaghlul, zmarł w 1927 roku, a partia Wafd nie za bardzo zajmowała się archeologiem pod koniec jego niezwyklej misji w Dolinie Królów. Oczywiście, nowy rząd, który chciał wcielić wolę ludu, natychmiast ogłosił prawo zakazujące wywożenia z Egiptu jakichkolwiek

przedmiotów odkrytych podczas wykopalisk, ale lady Almina od dawna wiedziała, że nie otrzyma najmniejszej nawet części skarbów Tutenchamona. Mimo to jesienią władze przekazały wdowie po lordzie Carnarvonie 36 tysięcy funtów szterlingów jako odszkodowanie za roboty wykopaliskowe finansowane przez męża.

Kiedy Arthur C. Mace, zastępca konserwatora Metropolitan, umarł na chroniczne zapalenie opłucnej, prasa znowu przypomniła o przekleństwie Tutenchamona. Czyż nie doliczono się dwudziestu ofiar, wśród nich konserwatora Luwru i kilku członków rodziny lorda Carnarvona?

Ożywienie to niezbyt interesowało Cartera, który nadzorował pakowanie wielkich złotych skrzyń-kaplic, przewo-

żonych do muzeum w Kairze, gdzie miały być ponownie złożone. Gorączka opadała. Sławny na całym świecie Tutenchamon zakorzenił się w zbiorowej pamięci ludzkości. Uspokojona już Dolina Królów przyjmowała falę turystów w zimie i drzemała podczas upałów.

Pod koniec lutego 1932 roku ostatnie starannie odnowione

przedmioty opuściły laboratorium i odjechały do stolicy. Zapłakany Callender zamknął grobowiec Setiego II. Naza jutrz miano go ponownie udostępnić turystom.

—To koniec, Howardzie, koniec...

Carter poklepał go po ramieniu.

—Trzeba się z tym pogodzić.

—A nie mógłby pan odkryć jakiegoś innego grobowca?

—Niestety! Grobowiec Tutenchamona był ostatni. Wielki głos Doliny Królów ostatecznie umilkł.

—Co pan zamierza robić, Howardzie?

—Nie wiem. Uzyskać oficjalną posadę, otworzyć nowe wykopalisko...

—Nie ośmielą się panu tego odmówić. Ja wracam do mojej wioski. Złota twarz stała się moją obsesją. Śnię o niej

co noc.

—To jedna z najpiękniejszych wizji.

Mężczyźni pożegnali się. Carter już wcześniej pożegnał innych członków swojej ekipy. Zszedł jeszcze do grobowca, gdzie pozostały na miejscu tylko wapienna kadź i wielki sarkofag chroniący mumie. Tym razem Lacau i gubernator dotrzykali słowa. Tutenchamon na zawsze pozostanie w swoim wieczystym domostwie.

Złota komnata nauczała tajemnic wieczności: „wyjść na światło dzienne jak Bóg” było celem niewidzialnej pracy dokonanej wewnątrz tego skromnego i tak dobrze ukrytego grobowca. Młody król o pogodnym spojrzeniu był wcieleniem wiary człowieka w nieśmiertelność. Nieważny był wiek jego zwłok. „Żywy symbol tajemnicy”, jak głosiło jego imię, Tutenchamon zdołał zapanować nad przemianami światła i wcielić je w złoto swoich sarkofagów. Jego istnienie dostarczało decydującego dowodu, że śmierć może stać się tworzywem wskrzeszonego życia. Tutaj, w tych czterech małych pomieszczeniach, największa z cywilizacji zapisała

swoje najistotniejsze przesłanie. Ilu trzeba będzie pokoleń badaczy, by je odczytać?

Carter skłonił się przed Tutenchamonem, mistrzem wieczności.

Dzień już się kończył, gdy wychodził z grobowca, w którym pozostawiał istotę własnego życia. Dolina, opustoszała i milcząca, sposobila się do ciemności. Carter ucałował Ahmeda Girigara, który powstrzymał łzy, póki archeolog nie zniknął za jednym ze wzgórz wznoszących się nad królewskimi grobowcami.

Siedząc na skale zoranej przez wiatry, słońce i gwałtowne deszcze, Carter wpatrywał się w nagi szczyt, ozłocony blaszkami zachodzącego słońca. Dzięki Tutenchamonowi ta domena nicości przekształciła się w nadzieję. Wszystko tu było skamieniałe i niezmienne, bo na tej ziemi bogów nic nie zaczęło się w czasie i nic się w nim nie zakończy.

Rozległ się krzyk sowy, który zazwyczaj mroził duszę. Tym razem Carter odebrał go jako pogodne wezwanie. Nie, dolina nie zgaśnie. Będzie przemawiać nadal głosem młodego przeistoczonego króla.

ROZDZIAŁ 95

Egipski minister i nowy dyrektor Urzędu do spraw Zabytków równocześnie podnieśli do ust filiżanki kawy, z dystynkcją wypili po małym łyku i powoli je odstawili. Który z nich przemówi pierwszy? Dyrektor ustąpił.

—Przypadek Howarda Cartera nie jest łatwy.

—To nie jest moje zdanie — odparł zirytowany minister.

—Ach tak? Bierze pan pod uwagę jego sławę...

—W żadnym wypadku.

—A więc... to znaczy, że...

—To znaczy, że Egipt nie przyzna mu żadnego terenu wykopalisk... a mam nadzieję, że pan także nie.

Dyrektor milczał.

—Carter to zwolennik kolonizacji, umysł zacofany i arogant.

—Nie sądzi pan, że międzynarodowa opinia...

—Ona ma inne powody do zmartwień. O Carterze już zapomniano. Niech mi pan wierzy, drogi przyjacielu, byłoby wielkim błędem pozwolić mu znowu pracować na naszej ziemi. Wydaje się, że koledzy za nim nie przepadają.

—W istocie, panie ministrze. Z wyjątkiem członków jego ekipy, egiptolodzy uważają go za dyletanta i amatora, który

miał szczęście. Proszę sobie uświadomić, że on nawet nie skończył żadnej wyższej szkoły.

—Sam pan widzi! Sprawa jest załatwiona, panie dyrektorze. Howard Carter już nigdy nie będzie prowadził wykopalisk w Egipcie. I niech się zadowoli odznaczeniami, które mu przyzna Wielka Brytania.

Brytyjski minister kultury powitał trzech egiptologów reprezentujących ich stowarzyszenie i zasiadł przy biurku.

—Cieszę się, że panów widzę. Egiptologia stała się pierwszoplanową wiedzą.

—Nie taka jest jej funkcja — uznał niski i korpulentny mężczyzna występujący w imieniu kolegów. — Howard Carter bardzo zaszkodził opinii naszej dyscypliny.

—Do tego stopnia?

—Bardziej, niż pan może to sobie wyobrazić, panie ministrze. Howard Carter jest hańbą egiptologii. Samouk, syn ubogiego malarza zwierząt, wiejski chłopak, który skradł

sławę poważnym uczonym.

Minister wydał się zażenowany.

—W takim razie wydaje mi się że przyznanie mu urzędowego stanowiska, o które zabiega, będzie trudne.

—To byłaby obelga dla nauki. Wszystkie egiptologiczne autorytety energicznie się temu sprzeciwiają.

—Uspokoiłoby go odznaczenie.

Niski grubas wstał, a zaraz po nim jego obaj akolici.

— To byłaby obelga dla naszego kraju, panie ministrze! Bo w końcu co ten Carter naprawdę zrobił? Nic. Po prostu miał szczęście. To nie wystarcza, aby otrzymać honorowe odznaczenie.

— Moja rola polega na wypełnianiu woli autorytetów. Dziękuję wam, panowie.

Dziwne — pomyślał minister. — Howard Carter, naj-sławniejszy archeolog świata, nie dostanie nawet najniższego odznaczenia, tytułu *Membership of the British Empire*, przyznawanego pocztowcom i zasłużonym maszynistom. Trzymając się z dala od środowisk egiptologii, popełnił niewybaczalną zbrodnię: wolał Egipt od kariery. Zachowanie niezależnego umysłu, którego nie można kupić, kosztuje bardzo drogo.

Tłum turystów tłoczył się wokół grobowca Tutenchamona. Nikt nie chciał nikomu ustąpić. Wzgardzono wszelką uprzejmością. Lekceważono upał i kurz, byle obejrzeć mały grobowiec opróżniony ze skarbów — z wyjątkiem złotego sarkofagu, w którym spoczywał młody król, codziennie wzbudzający okrzyki zachwytu.

Kiedy topniał tłum zwiedzających, około sześćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany z czysto brytyjską elegancją, opuszczał swój punkt obserwacyjny i pustynną ścieżką schodził do najśłynniejszego z grobów. Gdy do Doliny Królów wracała cisza, Howard Carter przeżywał na nowo swoją epopeję. Chory, przytłoczony zmęczeniem, którego nie mógł już zwalczyć, zniszczony zawiścią, złośliwością i zdradą, archeolog miał już jednego tylko przyjaciela: faraona Tutenchamona, którego domostwo otwarto teraz tak szeroko dla gadatliwych, nieuważnych i niedelikatnych gości.

Od 1936 roku Europą wstrząsały konwulsje, które zdaniem pesymistów zapowiadały nową wojnę. Carter się o to nie troszczył. Od czasu zakończenia najbardziej niezwykłego wykopaliska w Dolinie Królów porzucił świat i bez lęku szedł ku własnej śmierci. Ludzkość już go nie interesowała. Kiedy przechodził doliną, ledwie docierały do niego pozdrowienia strażników, kłaniających się temu cieniowi wśród cieni.

Tego zimnego i deszczowego dnia pogrzeb Howarda Cartera, zmarłego drugiego marca 1939 roku, przeszedł niedo-

strzeżony. Anglia lubi dyskretne odejścia, które nie zakłócają porządku publicznego i nie wywołują przejawów złego smaku.

Carter zgasł w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, osamotniony i zapomniany. Lady Evelyn Herbert Beauchamp, jedyna osobistość obecna na pogrzebie, wstrzymywała łzy. Howard nie lubiłby takiej wylewności. Nadal równie piękna Eve patrzyła, jak skromna trumna zanurza się w ziemię, i pomyślała o złocie Tutenchamona.

Dusza Howarda Cartera nie uwięźnie na tym lodowatym cmentarzu. Już odleciała do prawdziwej ojczyzny, Doliny Królów, i roztopiła się w jej jasności.